

Farrell Marjorie

Szkarłatna Róża

PROLOG

— Val... Val, już pora jechać!

Z zadumy wyrwał chłopca znajomy głos. Stał w ogrodzie swej matki na wprost jej ukochanego różanego krzewu, zaciskając powieki. Jeśli nie otworzy oczu, jeśli skupi się całą duszą na swym życzeniu, matka znów się przed nim pojawi z sekatorem w ręku: będzie ścinać szkarłatne kwiaty i układać je w koszyku. Potem odwróci się z uśmiechem do syna, a on chwyci ją za rękę i przekona się, że wydarzenia ostatniego miesiąca były tylko koszmarnym snem.

Gdy jednak otworzył oczy, matki nie było. A przecież tak bardzo tęsknił, tak żarliwie się modlił! I tak strasznie płakał co noc w swoim łóżeczku. Nic jednak nie mogło przywrócić mamy do życia. Róże kołysały główkami na wietrze: czekały na nią tak samo jak on.

— Val! Dylizans nam ucieknie!

Chłopiec wyciągnął rękę i zerwał na wpół rozwiniętą różę. Wyjął chusteczkę i starannie owinąwszy kwiat, włożył go do kieszeni swej kurtki. Gdy będzie już u cioci i wuja, zasuszy kwiat w jednej ze swych książek. Prócz tej róży po matce nie zostało mu nic. Nancy nie zgodziłaby się z nim pod tym względem. Ta ich „służąca do wszystkiego” mogłaby powiedzieć Valowi, że odziedziczył po matce znacznie więcej, niż sądził: szaroniebieskie oczy, ciemnobrązowe włosy, siłę charakteru i gorące serce. Prawdę mówiąc, gdy chłopczyk wyłonił się zza węgła domku i podszedł do czekającej nań Nancy, omal się znowu nie rozpląkała na myśl, że musi pożegnać się ze wszystkim, co zostało po ukochanej pani. Opanowała się jednak ze względu na Vala.

Ledwie dotarli do oberży „Pod Głową Króla”, rozległ się głos trąbki pocztowej. Potem wszystko poszło piorunem: zajechał dylizans, wokół którego, wsiadając i wysiadając, kłębił się tłumek pasażerów; woźnica pochwycił kuferek Vala — ani Nancy, ani chłopcu nie starczyło czasu na nic prócz rozpaczliwego uścisku - potem Val wsiadł do dylizansu i spojrzał na Nancy raz jeszcze oczyma, w których lśniły łzy.

- Szybko przywykniesz do nowego domu! Ciocia Martha będzie dla ciebie jak mama. I nauczysz się ucziwego rzemiosła!

— Będzie mi ciebie brak! — Dolna warga dziecka drżała.

- I mnie będzie ciebie brak, mój dzielny chłopaczku! Nie zapomnij o swojej Nancy!

Dylizans ruszył.

- Nie zapomnę o tobie, Nancy! - zawołał Val. - Nie zapomnę cię nigdy!

Podróż do Westbourne trwała tylko jeden dzień. Chłopiec wysiadł, podano mu jego bagaż i zanim się obejrzał, dylizans już odjechał.

Val czekał przez godzinę: mała samotna figurka w ciemnym ubranku, sprawionym na pogrzeb matki. Miał przy sobie pieniądze, całkiem pokaźną - jego zdaniem sumę, schowaną w starej sakiewce na dnie kufereka. Były jednak przeznaczone dla ciotki i jej męża, którzy zgodzili się wziąć go do siebie. Miejscowy adwokat wyjaśnił tę sprawę

Valowi i teraz chłopiec nie śmiał wyciągnąć z sakiewki nawet paru groszy, by kupić sobie coś do jedzenia. W końcu przeziąbi, więc zebrawszy się na odwagę, przeszedł na drugą stronę ulicy i zajrzał do gospody.

Oberżysta przyjrzał mu się zza kontuaru i oznajmił z rubasznym humorem:

- Wynoś się! Nie obsługujemy krasnoludków!

- Bardzo przepraszam, ale szukam domu państwa Burtonów. Pana George'a Burtona, kowala. Myślałem, że wyjdą mi na spotkanie.

- George Burton, co? A tyś co za jeden?

— Nazywam się Valentine Aston. Jestem siostrzeńcem pani Burton.

Oberżysta uniół brwi.

— Valentine, coś takiego! - mruknął ironicznie. — No więc posłuchaj, paniczu Valentine: George Burton nie ma zwyczaju wychodzić nikomu na spotkanie. Sam musisz się niego pofatygować. Chodź, pokażę ci drogę - dodał. Zrobiło mu się jakoś głupio, że kpił z tego dziecka. Otaczała

nieuchwytna aura smutku. Nic dziwnego, jeśli chłopak idzie do Burtonów! - Patrz: tu wynajmują konie, a tam zaraz jest kuźnia Burtona. A ich dom tuż za nią.

Chłopiec cichutko wyszeptał „dziękuję panu”, podniósł swój kuferek i ruszył we wskazanym kierunku. Nie musiał iść daleko i bez większego trudu znalazł dom wujostwa. Budynek nie był duży i nie tak ładny jak domek jego mamy. Będzie to jednak jego nowy dom. A kowalstwo - jak przypuszczał - stanie się jego przyszłym zawodem. Malec wyprostował się i zastukał do drzwi, najpierw ostrożnie, potem mocniej.

Otworzyła mu kobieta starsza od jego matki. Podobieństwo było bardzo wyraźne. Tylko że mama Vala wyglądała jak nowiutka, skrząca się barwami akwarela, a ta kobieta jak taki sam obraz namalowany wiele lat temu i całkiem wyblakły.

— Szukam pani Marthy Burton. Jestem jej siostrzeńcem. Twarz kobiety rozjaśniła się uśmiechem; zaprosiła chłopca do wnętrza.

— A więc sam do nas trafiłeś! George powiedział, że jesteś już wystarczająco duży! Chciałam wyjść po ciebie — zwierzyła się — ale George na to: „Jak może bez opieki jeździć dylizanssem, to i nasz dom znajdzie!” On sam miał za dużo roboty, żeby po ciebie wyjść.

Chłopiec odniósł wrażenie, że ustami ciotki przemawiają jakby dwie osoby: ona i jej mąż. Szczerze się jednak uradowała przyjazdem siostrzeńca; chłopiec poczuł ulgę, że do- tartł wreszcie na miejsce, a podobieństwo ciotki do mamy podniosło go na duchu.

— Valentine! Valentine Aston! Skąd wytrzasnąłeś takie cudackie imię, smarkaczu? -

George Burton nie był wysoki, ale i tak wzbudził w dziecku strach czerwoną twarzą, wielkimi łapskami i grzmiącym głosem.

- Nie wiem, proszę pana. Tak się po prostu nazywam — odparł chłopiec.

— To imię jego ojca. Jedno z jego imion, George — starała się załagodzić sprawę ciotka.

- Jakiego tam ojca?! To przecież bękart! Nie ma żadnego ojca!

Chłopiec zbladł. Słyszał już oczywiście słowo „bękart” i wiedział, co znaczy. Było symbolem hańby i powodem ustawicznych szyderstw z Samuela, brata znanego Valowi farmera. Chłopczyk spytał matkę o znaczenie tego słowa, gdy farmer w przystępie złości wyzywał brata od „dziedzicowych bękartów”. Wtedy mamusia usiadła obok Vala i

spokojnie wyjaśniła mu, że ludzie mają przeważnie mamę i tatę, którzy wzięli ze sobą ślub przed ich urodzeniem, jednak nie zawsze rodzice są małżeństwem.

— Ale to, co uczynili rodzice, jakie popełnili błędy, nie jest winą dziecka i w niczym go nie obciąża.

- Jego ojcem jest hrabia Faringdon, George - tłumaczyła ciotka Martha. - Charles Richard Valentine Faringdon. Uwiódł moją siostrę, kiedy pojechała w odwiedziny do brata naszej matki. Z czego by Sarah żyła przez te wszystkie lata? Z czego by utrzymywała dom? Hrabia wyznaczył jej pensję. Po co by to robił, gdyby nie był ojcem chłopca? Burtonowie całkiem zapomnieli o obecności Vala. A więc miał ojca? Dotąd sądził, że matka jest wdową po żołnierzu, że jego ojciec był bohaterem i zginął w służbie ojczyzny. Ojciec nigdy się z matką nie ożenił? On sam był jedną z tych godnych wzgardy istot, o których wszyscy plotkują i z których szydzą?

- Ja tam nie dałbym złamanego grosza za to, kto splodził tego smarkacza — warknął kowal. — A ty się lepiej nie pusz, nędzny bękarcie - dodał, odwracając się do Vala. - Masz

szczęście, że zgodziłem się na prośbę ciotki wziąć cię pod swój dach. A jeszcze większe masz szczęście, że nauczysz się u mnie porządnego fachu. A teraz wynocha na górę! Jutro rano masz być w kuźni skoro świt.

Val marzył o własnej izdebce w nowym domu. Tęsknił za miejscem, gdzie będzie mógł poukładać swoje ubrania, swoje książki i ołowiane żołnierzyki, które dostał w ubiegłym roku na Gwiazdkę. Jeden z nich stał się dla chłopca wizerunkiem zmarłego ojca. Val bawił się nim nieustannie: żołnierz staczał niezliczone potyczki, narażał życie w niejednej bitwie.

Kiedy dotarł do izdebki na poddaszu, wyjął z kufierka książki i ułożył je na chwiejnym stoliku przy łóżku. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wydobyl z niej różę; umieścił ją między kartami oprawnej w skórę biblij, którą otrzymał od matki. Potem wyjął ulubionego żołnierzyka. Schwycił go za głowę i szarpał tak długo, aż ją oderwał. W końcu rozebrał się, ułożył starannie ubranie na krześle, jak nauczyła go Nancy, i wgramolił się do łóżka, ściskając w ręku bezgłowego żołnierzyka. Leżał przez kilka godzin bezsennie, nie uroniwszy ani jednej łzy. Wreszcie usnął. Kiedy zaś po raz pierwszy wszedł z Georgem Burtonem do kuźni, wrzucił do ognia oba kawałki zabawki.

Między życiem w matczynym domku a terminowaniem George'a Burtona była taka różnica jak między niebem a piekłem. Przez pierwsze dwa tygodnie Val co noc zasypiał splakany. O Burtonie dało się powiedzieć tylko tyle dobrego, że był istotnie mistrzem w swoim fachu. Ze swym uczniem obchodził się jednak niemiłosiernie i chłopiec musiał harować do upadłego.

Raz ciotka ujęła się za nim, lękliwie pytając męża, czy nie sądzi, że taka praca jest dla dziecka trochę za ciężka. Burton odpowiedział jej uderzeniem pięści warknął:

- Nie wtykaj nosa, suko, w nie swoje sprawy! Nie będę się cackał z tym bękartem tylko dlatego, że jest hrabskim przyplódkiem!

Pod koniec pierwszego tygodnia wszyscy w Westbourne wiedzieli już, że George Burton z chrześcijańskiego miłosierdzia wziął pod swój dach nieślubne dziecko szwagierki. A nim minął drugi tydzień, wszystkie dzieciaki z satysfakcją wrzeszczały na widok Vala:

— Bękart! Bękart!

Przez pierwszych sześć miesięcy Val umierał z rozpacz. Matka nie żyła. Jej siostra wprawdzie darzyła go sympatią, ale tyranizowana i maltretowana przez męża bała się okazywać chłopcu przywiązanie. Miejscowe dzieciaki szykanowały Vala tylko dlatego, że był bękartem i miał „cudackie imię”. Poza tym chłopiec pracował ponad siły. Jeden dzień zlewał się z drugim: Val wstawał wcześniej rano, harował w kuźni, a po powrocie padał na łóżko i natychmiast zasypiał.

Był jednak młody i zdrowy, więc powoli zaczął się przystosowywać do nowego życia. Niekiedy nawet terminowanie sprawiało mu radość, zwłaszcza wówczas gdy obserwował, jak George wykonuje jakiś skomplikowany obstalunek, na przykład ozdobną kratę do kościoła. Nienawidził George’a, ale podziwiał jego talent i siłę.

Starał się nie myśleć o matce i swoim dawnym życiu. Po pewnym czasie zrodził się w nim gniew. Chyba rzeczywiście jego ojcem był ten tam hrabia: skąd by inaczej matka wzięła pieniądze na ich domek? Val zawsze sądził, że utrzymują się z renty po ojcu, ale ileż mogła wynosić renta po zwykłym piechurze? Jeśli zaś matka nigdy nie miała męża, a mimo to urodziła syna, no to była... Val nie mógł wymówić tego słowa. Za to od innych dzieci słyszał je bardzo często. W dodatku to jego imię! Dlaczego matka nazwała go „Valentine”? Czy chciała, żeby wszyscy poznali jego hańbę? Czy nic jej nie obchodziło, że zatruje mu w ten sposób życie?

Pod tym gniewem kryła się dawna miłość i tęsknota za matką. Val nie mógł sobie jednak pozwolić na rozmyślanie o niej. Skoncentrował wszystkie siły na jednym: musi przetrwać! Musi zapewnić sobie dość pożywienia i wypoczynku i starać się jak najczęściej unikać codziennych szturchańców i pijackich awantur ze strony wuja.

Po siedmiu latach terminowania Val śmigał kowalskim młotem nie gorzej od samego George’a, który teraz pozwalał mu wykonywać łatwiejsze prace. Val wcześniej wyrósł. Pewnie byłby smukłym chłopcem, gdyby nie kuźnia. Ciężka fizyczna praca rozwinęła mięśnie ramion i klatki piersiowej, był więc nie tylko wysoki, lecz i potężnie zbudowany. W dniu piętnastych urodzin Vala George uderzył go po raz ostatni. Chłopak powalił brutala jednym ciosem.

— Jeśli mnie tkniesz jeszcze raz, na trzeźwo czy po pijanemu, zabiję cię - oświadczył, wymachując George’owi przed nosem trzymany oburącz młotem. Obaj wiedzieli, że Val jest w stanie to uczynić i że się nie zawaha.

Pewnego letniego dnia, gdy Val miał piętnaście i pół roku, przed kuźnią zatrzymał się elegancki powóz na resorach, z drzwiczkami ozdobionymi jakimś herbem. George wybrał się akurat do pobliskiego miasteczka po gwoździe i kuźni przez cały dzień miał pilnować Val. Przyglądał się teraz z ciekawością, jak stangret otwiera drzwiczki powozu i jak wysiada z niego dziesięcio- czy jednastoletni chłopiec i jakiś godnie wyglądający starszawy jegomość.

Val wytarł ręce w skórzany fartuch i podszedł do nich.

- Czym mogę służyć? - spytał starszego pana, oceniając równocześnie wprawnym okiem powóz i zaprzęg.

- Szukam... Szukamy George’a Burtona.

- Cóż, to jego kuźnia. Tyle że kowala akurat nie ma - odparł z uśmiechem Val. - Wyjechał z domu i wróci dopiero późnym wieczorem. Może ja się na coś przydam? Jestem jego czeladnikiem.

- Prawdę mówiąc, szukamy pana Burtona albo jego żony, by zasięgnąć informacji na temat ich siostrzeńca.

— Siostrzeńca?

- Tak. Nazywa się chyba Aston. Valentine Aston.

Val zawahał się.

- Aston to ja. Czego panowie ode mnie chcą?

Gdy tylko Val zdradził swą tożsamość, twarz chłopca rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

Wiedziałem, że go znajdziemy, Robinson!

Starszy pan położył rękę na ramieniu chłopca, jakby chciał go pohamować. Spojrzał z ledwie maskowaną odrazą na młodzieńca stojącego przed nim ze skrzyżowanymi ramionami, bez śladu uniżoności. Miał usmoloną twarz i ręce, zakasane rękawy pozwalały dostrzec muskularne ramiona, a koszula była przepocona ze szczętem.

Jak masz na imię, Aston?

- Valentine.

- A twoja matka?

Wyraz twarzy Vala uległ zmianie.

— Kim pan właściwie jest i co tu ma do rzeczy moja matka?

— Odpowiedz, proszę! — wtrącił się chłopiec.

Val spojrział z góry na szczerą, teraz wyrażającą błaganie twarz. Ten chłopak podobał mu się. Bóg wie czemu, ale mu się podobał!

- Niech będzie. Ostatecznie, cóż to szkodzi? Moja matka nazywała się Sarah Aston.

Zmarła, kiedy miałem osiem lat; od tej pory mieszkam tutaj. Co was to obchodzi? - dodał gniewnie.

Chłopiec pociągnął Robinsona za rękaw.

— Mogę mu powiedzieć?

— Tak jest, milordzie.

- Nazywam się Charles Thomas Faringdon, wicehrabia Holme. Syn hrabiego Faringdona.

Jesteśmy braćmi! — dodał z nieśmiałym uśmiechem.

Przyrodnimi braćmi - dodał z naciskiem Robinson.

Val tak już przywykł do ukrywania swych uczuć, że nie dał po sobie poznać ani zdziwienia, ani niesmaku. Stał po prostu i patrzył z kamienną twarzą na obu przybyszów. Za panowało długie, niezręczne milczenie. W końcu chłopiec odezwał się z wahaniem:

— Może nie wiedziałeś, kto jest twoim ojcem? - Poczter14

wieniął z zakłopotania i wpatrywał się w nosek błyszczące go skórzanego bucika, na którym zebrało się nieco kurzu.

— Wystarczająco często powtarzano mi, że jestem hrabskim bękartem - odparł szorstko Val.

Twarz chłopca zbieleła, po czym zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Kilka miesięcy temu nie wiedziałem jeszcze, że mam brata - powiedzi cicho. - Odkryłem to dopiero po śmierci mojej mamy... - Głos mu zadrżał. Gdy wreszcie podniósł oczy na Vala, ten dostrzegł, że są pełne łez. Przez chwilę czuł się znowu rozpaczliwie tęskniącym za matką ośmiolatkiem Zupełnie jakby w stojącym przed sobą chłopcu ujrzał samego siebie.

- Ciężko stracić matkę - rzekł łagodnie. Chłopiec skinął tylko głową.

No cóż, milordzie, spotkał się pan z bratem odezwał się Robinson, w którym wygląd Vala budził niewątpliwą odrazę - więc możemy już Wracać

- Och, nie, Robinson! Papa pozwolił mi go zaprosić do domu!

- Ależ, milordzie! - protestował Robinson

Val odczekał chwilkę i powtórzył za nim:

- Milordzie.

— Mam na imię Charles. Jesteśmy braćmi, czy chcesz się do tego przyznać, czy nie! - dodał chłopiec z godnością Prawdziwego a1ystolaty.

- Według mnie to raczej ty mógłbyś mieć obiekcje co do naszego pokrewieństwa, milor... to Znaczy Charlesie - odparł Val z ironicznym uśmiechem

- Miałem nadzieję, że się poznamy... że Zostaniemy prawdziwymi braćmi. Błagałem papę, żeby pozwolił mi tu przyjechać.

Przez chwilę, gdy Val po raz pierwszy usłyszał nazwisko chłopca, ogarnęła go szaleńcza nadzieja, że hrabia w końcu zdecydował się go uznać, że nawet czuje COŚ do swego starszego syna... Val pogardzał oczywiście swoim ojcem za to, że nie ożenił się z jego matką... ale może mimo wszystko zdołaliby się jakoś porozumieć? Teraz jednak pojął jasno,

że skontaktowano się z nim wyłącznie dla zaspokojenia kaprysu młodego wicehrabiego.

A jednak było w Charlesie coś, co Vala pociągało. Czuł, że jest durniem, a jednak patrząc na chłopca, myślał tylko o jednym: i on stracił matkę!

- Nie mógłbym opuścić kuźni, choćbym nawet chciał - wyjaśnił.

Twarz chłopca rozjaśniła się.

- O, Robinson porozmawia z panem Burtonem i wynagrodzi mu twoją nieobecność!

Może sprawiła to sympatia dla chłopca... ale chyba przede wszystkim chęć zobaczenia gęby George'a Burtona, kiedy ten hrabiowski sługus zaproponuje mu taką sumę, że drab nie będzie mógł się oprzeć i spuści terminatora na kilka tygodni z łańcucha! Tak czy owak, Val skinął głową i powiedział z namysłem:

- W porządku. Jeśli majster się zgodzi, pojedę.

Dwa dni później powóz zbliżał się do Faringdon, a Val zastanawiał się, czy warto było płacić aż taką cenę za oglądanie ogłupiałej gęby George'a, gdy usłyszał, co mają mu do powiedzenia Robinson i młody wicehrabia. George nie mógł Vala znieść z racji jego pochodzenia - równocześnie zaszczytnego i haniebnego - i z satysfakcją uniemożliwiłby mu wyjazd, gdyby nie był taki pazerny na forszę. Chciwość zwyciężyła, a George burknął tylko na odjeźdźnym:

— Wrócisz pewnie nadęty jak balon, ale już ja z ciebie wy- puszczę powietrze!

Val obejrzał się na Charliego. Po kilku zaledwie godzinach spędzonych w towarzystwie brata zaczął nazywać go tym zdrobnieniem. Teraz oparty o poduszki chłopiec twardo

spał. Robinson nie odrywał wzroku od widoków za oknem; bez wątpienia nie zamierzał wdawać się w pogawędkę z bękartem hrabiego. Cóż, hrabski bękart także nie ma wielkiej ochoty na rozmowę z cholernym starym sztywniakiem! powiedział sobie w duchu Val.

Konwersacji z Charliem nie sposób było jednak uniknąć.

Valentine uśmiechnął się. Dzieciak terkotał jak najęty o swojej nowej kłaczy, o tym, jak Val pokocha Faringdon, i o tym, że jak najszybciej wybiorą się we dwóch nad rzekę łowić ryby. Val musiał przyznać, że jego przyrodni brat był bardzo serdeczny. Nikt nie okazywał mu ani zainteresowania, ani życzliwości — więc dał się na to złapać jak ostatni dureń. No cóż: to będzie tylko krótka wizyta, zwłaszcza że Val wybrał się do Faringdon przede wszystkim po to, by powiedzieć panu hrabiemu, co myśli o człowieku, który uwiódł i porzucił taką kobietę jak Sarah Aston!

Przybyli późnym popołudniem. Chanie wyprysnął z powozu i był już na frontowych schodach, zanim Robinson czy Val zdążyli wysiąść. Wrócił jednak prawie natychmiast.

- Ojciec od południa objeżdża pola - oznajmił z rozczarowaną miną. - Ale dzięki temu zdążymy się wyszorować po podróży przed obiadem! Papa zostawił wiadomość, że spotka się z nami o szóstej w bibliotece.

Val stał, rozglądając się po wspaniałym otoczeniu, i miał nadzieję, że nie wygląda na porażonego luksusem kmiotka. Główna część budynku pochodziła niewątpliwie z czasów Tudorów*, ale oba skrzydła - wschodnie i zachodnie - dobudowano znacznie później.

Pojawiło się kilku lokajów i wniosło bagaże. Dystyngowany starszy pan w czerni Val - o wstydzie! - w pierwszej chwili wziął go za hrabiego) Powitał ich bardzo uprzejmie.

- To Baynes - wyjaśnił Chanie. - Jest u nas od bardzo dawna, zanim się jeszcze urodziłem.

Val skinął mu sztywno głową i wszedł za bratem do holu, świadom tego, że oczy całej służby są na niego skierowane. Wyobrażał sobie, co te fagasy myślą: „Kochany, słodki panicz w świętej naiwności sprowadził bękartą swojego papy, zasmolone kowalskie popychadło!”

O Boże! Rzeczywiście wyglądam na kocmołucha i prostaka! jęknął w duchu zrozpaczony Val, przejrzawszy się w ogromnym międzyokiennym lustrze. Najlepsze ubranie, uszyte ponad rok temu, wkładał tylko do kościoła, toteż czuł się w nim sztywno i niezręcznie... A w dodatku wyrósł z niego. W ciągu ostatniego roku bardzo zmężniał, a od kowalskiego młota ręce wyciągnęły mu się o Bóg wie ile cali... Z gorzkim uśmiechem spoglądał na wystające spod rękawów surduta długi rękawy koszuli. No i nie ma mowy o zapięciu górnego guzika, bo szwy potrzaskają! Wyprostował się jednak dumnie, przypominając sobie, że jest co prawda tylko kowalskim czeladnikiem, ale za to cholernie dobrym czeladnikiem, a muskułów zdobytych ciężką pracą nie musi się wstydzić!

Val tak chciał mieć już za sobą udrękę pierwszego spotkania z ojcem, że zbyt wcześnie zjawił się w bibliotece.

- Jaśnie pan hrabia i młody wicehrabia jeszcze nie zesli — objaśnił go Baynes. - Ale ogień na kominku płonie, a ja zaraz podam panu sherry.

Zabierał się już do nalewania, lecz Val powstrzymał go.

- Nie, dziękuję, Baynes. Zaczekam na tamtych.

Prawdę rzekłszy, gdy Val ujrzał kruche kieliszki, przysiągł sobie, że za diabła nie weźmie tego do ręki! Przywykł do solidnych kufli, a nie do jakichś tam frymuśnych kryształów, co zaraz by mu w palcach potrzaskały.

- Zostawię zatem pana samego?

- No tak... Dziękuję, Baynes.

Biblioteka okazała się znacznie miłszym pokojem, niż przypuszczał. Ogień wesoło trzaskał na kominku, płomienie oświetlały ciemnoczerwony turecki dywan. W wykuszu okiennym stało duże biurko, a na ścianach zawieszono niezliczone półki z książkami. Przez te wszystkie lata Val wertował bez końca swoje skarby „Robinsona Crusoe” i trzeci tom dzieł Szekspira. Tęsknił za innymi książkami, ale gdy raz przyniósł coś z wypożyczalni, George wyszydził nielitościwie jego „wielkopańskie fochy”, co mu jednak nie przeszkadzało wykorzystywać w interesach umiejętność czytania, pisania i liczenia swojego czeladnika. Nie musiał już zwracać się do żony, by mu odczytywała zamówienia lub prowadziła rachunki. Od tego był teraz Val!

Val zdążył się zorientować, że na półkach w bibliotece stały książki w wielu językach, zanim odkrył wśród nich coś dobrze znanego: oprawny w skórę tom tragedii Williama Szekspira. Wziął ostrożnie książkę do rąk i otworzył: spis treści był taki sam. Hamlet, książę Danii; Otello; Król Lear. Val natychmiast zaczął wertować Króla Leara, szukając swego ulubionego fragmentu, mowy Edmunda z pierwszego aktu. Odczytywał go tylekroć przez te wszystkie lata, że znał ten urywek na pamięć:

Dlaczego „bękart”? Z jakiej racji gorszy,

Skoro proporcje mam równie foremne,

Umysł szlachetny i postać dorodną,

Jak syn czcigodnej matki? Wieczne piętno

Słów „bękart”, „bastard” „z nieprawego łoża”

Bogowie, sprzyjajcie bękartom!:

Raz czy drugi zapuściwszy się w głąb lasu, Val wygłosił ową mowę, wykrzykując ostatni wers tak, jakby ktoś rzeczywiście mógł go usłyszeć i pospieszyć z pomocą.

Szekspirowski Edmund może i był czarnym charakterem, ale Val mimo wszystko czuł do niego sympatię!

Tak się zaczytał, że nie usłyszał skrzypnięcia otwieranych drzwi. Aż podskoczył i omal nie upuścił tomu, gdy odezwał się jakiś męski głos.

- Lubi pan Szekspira, panie Astori?

Val miał ochotę pokłonić się w pas i odpowiedzieć:

„A ino, wielmożny panie! To ci był chłop z tego starego Willa, co? Aż żal bierze, że nijak się w tym nie mogę połapać...” Uwaga hrabiego wydawała się niewinna, ale Val pewien był, że zaskoczyło go, iż jego bękart w ogóle potrafi czytać! Oparł się jednak pokusie i odłożył tylko książkę na stojący pod ścianą stolik, zanim spojrzął ojcu w twarz.

Podobieństwo między Charlieni a hrabią od razu rzucało się w oczy; włosy ojca, acz przyprószone nieco siwizną, miały identyczną barwę jak u syna: ciemnozłotą. Niebieskie oczy hrabiego były odrobinę jaśniejsze od oczu Charliego, ale w pierwszej chwili Valowi aż się serce ścisnęło w nagłym, zdumiewającym poczuciu osamotnienia... Jakże rad musi być ojciec z syna będącego tak wiernym jego odbiciem! Potem dopiero dostrzegł

pewne różnice. Spojrzenie hrabiego było chłodne i skryte, podczas gdy w oczach Charliego odbijała się cała jego dusza. Hrabia Faringdon miał twarz pociągłą, suchą, a jego nos... Val odruchowo dotknął własnego. Zawsze sądził, że całkiem wdał się w matkę: kędzierzawe ciemne włosy, szare oczy, śniada cera. Ale nos miał orli tak samo jak mężczyzna, który stał naprzeciw niego.

- No właśnie: nos Faringdonów - odezwał się hrabia. - Gdybym żywił jakieś wątpliwości, rozwiałyby się na jego widok - ciągnął z kostycznym humorem. - Charlie odziedziczył po mnie oczy i włosy, ale rysy twarzy, z nosem włącznie, ma po matce. Podczas gdy ty... - Hrabia zawahał się na sekundę.

- Ty masz oczy, włosy i cerę Sarah... no i mój dziób.

Jakże gładko przeszło mu przez gardło imię matki Vala! W jego głosie nie było zażenowania. Stwierdził oczywisty fakt najspokojniej w świecie! Val wyobrażał sobie to spotkanie setki razy. Był zdecydowany stawić ojcu czoło. Gdyby wyraził się pogardliwie o jego matce, skoczyłby ku niemu i tłuki bez litości. Rzuciłby w twarz hrabiego oskarżenie jak Szekspirowski Edmund. Wyzwałby ojca na pojedynek!

Jednak we wszystkich tych fantazjach hrabia był otyłym, zdegenerowanym arystokratą, kimś zupełnie różnym od tego wytwornego mężczyzny, który wpatrywał się w niego z dziwną ciekawością.

— A więc nie wypiera się pan swego ojcostwa, hrabio? — odezwał się w końcu Val.

— Czemuż miałbym się go wypierać?

- A jednak nigdy nie starał się pan mnie poznać. - Val robił co mógł, by głos jego brzmiał równie beznamytnie jak głos ojca.

- Doszliśmy wspólnie z twoją matką do wniosku, że lepiej, bym trzymał się z dala od was obojga - odparł z rezerwą hrabia.

Val chciał krzyknąć: „Dla kogo to miało być lepiej?!”, ale opanował się i milczał. Po chwili ojciec... Nie! Nigdy nie nazwie go tym mianem! Po chwili hrabia mówił dalej:

- Chanie przejął się ogromnie śmiercią matki. Odkąd zaś przypadkiem dowiedział się o twoim istnieniu, nie dawał mi spokoju. Chanie ma serce pełne miłości — zauważył z przelotnym, jakby przepaszającym uśmiechem. - Pomyślałem, że lepiej, byście się spotkali, skoro i tak już wie o twoim istnieniu.

- To nie pan mu o mnie powiedział?

— Nie — przyznał cicho hrabia. — Ale kiedy już tu jesteś, postarajmy się to jak najlepiej wykorzystać, dobrze?

Val nie miał pojęcia, jaka byłaby jego odpowiedź i czy w ogóle coś by odpowiedział.

Może ruszyłby prosto do wyjścia, a potem pieszo odbył całą drogę do Westbourne?

Jednak właśnie w tej chwili wszedł do biblioteki Chanie.

— Przepraszam za spóźnienie, ojczec.. Val... - Usiłował grać rolę zblazowanego światowca, ale oczy błyszczały mu radością i zaciekawieniem jak ślepek szczeniaka.

— Właśnie zwieramy znajomość, Charlesie — wyjaśnił hrabia. — Pytałem przed chwilą Valentine'a, czy bardzo lubi Szekspira.

- Naprawdę go lubisz, Val? Mnie on strasznie nudzi! - wyznał z grymasem zniecierpliwienia Chanie. Val musiał się uśmiechnąć.

— A ja go, niestety, naprawdę lubię. Przynajmniej te sztuki, które udało mi się dotąd przeczytać.

— No widzisz, ojczy! zawołał Chanie.

- Charles! Uzgodniłiśmy przecież, że nie będziemy teraz tym dyskutować.

Ta wymiana zdań była tak szybka, że Val prawie jej nie zauważył. Nie miał zresztą pojęcia, o co chodzi, więc nie zaprzętał sobie tym głowy.

— Napijesz się sherry, Valentirie?

Ponieważ hrabia już mu nalewał, Val pojął, że pytanie było retoryczne, i wyciągnął rękę, modląc się w duchu, by kieliszkowi nic się nie stało.

A ty, Charles?

- Naprawdę mogę?

- Sądzę, że okazja tego wymaga. W końcu niecodziennie odnajduje się brata — odparł sucho hrabia.

Gdy wszystkie kieliszki były już pełne, Chanie uniósł swój i spoglądając nieśmiało na brata, powiedział uroczystym szeptem:

- Witaj w domu, Val!

Hrabia zrobił wielkie oczy, ale również uniósł kieliszek. Val wypił sherry i zdumiał się: Jak po takim słodkim, mocnym trunku może pozostać w ustach tyle goryczy?

Charles Faringdon myślał, że ten wieczór nigdy się nie skończy. Dzięki Bogu za Charliego! mówił sobie potem

duchu, wyglądając przez okno swojej sypialni. Dzięki temu chłopcu rozmowa jakoś się toczyła, zasypywał brata pytaniami na temat kowalskich narzędzi i podkuwania koni.

Vala nieraz śmieszyły pytania Charliego i wówczas ojciec miał wrażenie, że serce zaraz mu pęknie: w oczach chłopaka lśnił uśmiech Sarah... jego oczy były oczami Sarah.

Sarah miała słuszość, gdy kazała mu odejść. Rozum Charlesa podpowiadał mu, że tak być powinno. Nim się spotkali, został już przecież zaręczony z Helen. To małżeństwo planowali od lat obaj ojcowie. On sam zresztą ogromnie lubił Helen. Jednak jedyną kobietą, którą kochał namiętnie, całym sercem, była Sarah Aston.

Ożeniłby się z nią, gdyby się tylko na to zgodziła, poświęciłby wszystko bez żalu: majątek, tytuł hrabiowski, dobre imię, własne i jej... Ale Sarah nie chciała o tym słyszeć.

— Nic dobrego by z tego nie wyszło, Charlesie - stwierdziła. - Jestem przecież tylko córką farmera.

- Ale twemu ojcu doskonale się powiodło - protestował. - I zadbał o twoje wykształcenie. Jesteś prawdziwą damą, o wiele większą damą niż niektóre pannice z wyższych sfer, zapewniam cię.

— Tak, ojciec wysłał mnie na pensję i zostałam na niej tak długo, jak tylko zdołałam... ale nie mogłam znieść tego poczucia, że jestem tam obca, Charlesie. Zupełnie się nie nadawałam do tamtego otoczenia. Podobnie byłoby w Faringdori czy w Londynie.

Obawiam się, że z czasem zacząłbyś się mnie wstydzić i pożałowałbyś swojej decyzji.

- Nigdy!

- Nie będę powodem twojego zerwania z rodziną, Charlesie. Ani się nie przyczynię do upokorzenia i rozpaczki tamtej dziewczyny.

- Chyba mnie nie kochasz, Sarah!

— Kocham cię, mój miły, i zawsze cię będę kochała. Ale wyjść za ciebie nie mogę.

- Wobec tego urządzę ci dom, Sarah! Dwa domy: tu i w Londynie. Jeśli nie chcesz za mnie wyjść, to trudno, ale nadal będziemy kochankami.

— Nie, Charlesie, nie będę „tą trzecią”! — odparła gniewnie. - Zniszczyłbyś w ten sposób swoje małżeństwo.

— Większość małżeństw tak właśnie wygląda.

- Może w twoim świecie, nie w moim. - Przez chwilę milczała, a potem dodała z dziwnym drżeniem w głosie: Będziesz jednak musiał, Charlesie, znaleźć mi jakieś miejsce, gdzie mogłabym wychować nasze dziecko.

— O Boże! Sarah, teraz już musisz wyjść za mnie! - wy- krzyknął, chwytając ją tak mocno za ramiona, że zostały na

nich ślady palców. Potrząsnął nią, próbując w ten sposób przywieść do opamiętania.

- Niczego nie muszę! - odparła, jej oczy ciskały gromy. To był jeden z powodów, dla których tak ją kochał: nie czuła dla niego za grosz respektu! Nie imponowała jej ani jego pozycja, ani majątek. Ta córka farmera nic sobie z nich nie robiła, w przeciwieństwie do wielu panien polujących na męża podczas balów i przyjęć w Londynie. Sarah Aston kochała go bezinteresownie. Ceniła też własną godność. Nie było w tej dziewczynie za grosz fałszywej skromności; kierowała się poczuciem realizmu, choćby ją to nie wiadomo ile kosztowało.

Po dwóch równie bolesnych scenach zdołała go jakoś przekonać. Charles wysłał więc swego sekretarza, ten zaś wyszukał odpowiednią siedzibę, z dala od Faringdon i od rodzinnej miejscowości Sarah, gdzie mogła zamieszkać jako młoda wdowa, pani Aston, bez obawy, że ktoś ją rozpozna.

Mimo swych obietnic Charles, gnany namiętnością i rozpaczą, spróbował po raz ostatni zmienić decyzję Sarah. Odwiedził ją przebrany w zniszczone ubranie, by nikt nie domyślił się, kim jest. Za miesiąc jego ukochana miała urodzić dziecko. Wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle, kiedy z trudem wstała z kolan: zaskoczył ją przy pracy w ogrodzie.

- Charles! O, mój miły, jak bardzo pragnęłam, żebyś przyjechał! — zawołała, nie mogąc ukryć radości na jego widok.

Chodził z nią po ogrodzie, trzymając ją za rękę i zerkając nieśmiało na jej imponujący brzuszek.

- Chcesz się przekonać, jak twoje dziecko kopie? - spytała i przyłożyła jego rękę do swego boku. Roześmiała się, ujrawszy zdumioną minę Charlesa. — On... a może ona... nie potrafi usiedzieć spokojnie!

— Najdroższa, błagam: wróc razem ze mną! — zaklinał, wiedząc, że nic nie wskóra, ale nie mogąc się powstrzymać.

— Dobrze wiesz, mój miły, że musi zostać tak, jak jest. To najlepsze rozwiązanie.

- Jak poślubienie kobiety, której nigdy nie pokocham, może być najlepszym rozwiązaniem?!

- Przecież bardzo lubisz Helen. Z czasem ją pokochasz, ale tylko wówczas, gdy będziemy daleko od siebie.

— Jakaś ty uparta, Sarah!

- Muszę być uparta dla dobra nas obojga.

Podeszli znów do różanych krzewów. Sarah pochyliła się i wyjęła z koszyka jeden z zerwanych kwiatów.

- To dla ciebie, Charlesie. Róża zawsze była symbolem miłości. Ilekroć na nią spojrzysz, pomyśl o tym, że zawsze cię Kocham i będę kochała. Przecież wyrzekam się ciebie wyłącznie z miłości!

- Tyle sobie robię z takiej miłości! - zawołał w nagłym porywie gniewu i ogołociwszy różę z płatków, rzucił ją pod nogi Sarah. Wzdrygnęła się, jakby ją spoliczkował, ale spokojnie powiedziała mu „do widzenia” i odeszła powoli w stronę domu. Patrzył za oddalającą się kobietą ze świadomością, że już nigdy jej nie ujrzy. Potem wyciągnął rękę i zerwał na wpół rozwinięty kwiat, rad, że kolec zranił go boleśnie w kciuk. Schował różę do kieszeni i odjechał, pozostawiając za sobą Sarah i wszystko, co nadawało jego życiu sens.

Sarah miała słuszną: z czasem pokochał Helen, choć uświadomił to sobie dopiero wówczas, gdy urodził się Charlie. Jednak miłość do żony była czymś zgoła innym od tego, co czuł w stosunku do Sarah, miłości swego życia, swojej „szkarłatnej róży”. Helen stała się miłą towarzyszką codzienności, a z czasem integralną częścią jego życia. Gdy zmarła, Charles był zrozpaczony; jedyną pociechą stał się syn, tak podobny do matki. Charles nie pragnął wcale, by Charlie odnalazł brata. Miał nadzieję, że Val okaże się nieokrzesanym prostakiem. Charlie pojmie, że popełnił omyłkę, i nie zaprosi go do Faringdon. Albo sam Val nie zechce tu przybyć.

A jednak tu był i wyglądał zupełnie jak jego matka. Brakowało mu nieco oglady, ale hrabia Faringdon nie wątpił, że Sarah byłaby z niego dumna i szczęśliwa, że ojciec i syn w końcu się spotkali. Z pewnością też pragnęłaby, żeby Charles wyrwał Vala ze szponów Burtona. Robinson zasięgnął języka; z miejscowych plotek wynikało niezbicie, że kowal był tyranem i brutalem.

Valentine przeżył niewątpliwie trudne lata i bez względu na to, jakim chłopcem był w chwili śmierci matki (a hrabia Faringdon mógłby przysiąc, że jej syn musiał być dzieckiem o gorącym sercu), teraz tłamsił w sobie wszystkie uczucia. W kontaktach z ojcem okazywał pozorny szacunek, ale hrabia był pewny, że chłopak nim pogardza. I trudno się dziwić! Według niego hrabia przed wielu laty porzucił i matkę, i jego, Zapewniając im jedynie pewne wsparcie finansowe. Może kiedyś Charles zdoła dotrzeć na tyle do syna, by wysłuchał jego wersji wydarzeń... Teraz jednak hrabia był pewien, że przy pierwszej próbie wyjaśnienia sprawy Valentine wysłałby go do wszystkich diabłów. Ojciec uśmiechnął się: Val odziedziczył po matce również jej przeklętą dumę!

Przyzwyczajanie się do nowych warunków trwało cały tydzień, w końcu jednak Val odprężył się, a nawet pobyt w Faringdon zaczął sprawiać mu przyjemność. Charliemu nie sposób było się oprzeć: rozpierał go entuzjazm, musiał koniecznie pokazać bratu wszystkie swe ulubione zakątki.

Valowi sprawiały przyjemność wspólne przejażdżki, wędrowniki i wyprawy na ryby. Od ósmego roku życia nieustannie pracował i jakże miło było teraz budzić się co rano ze świadomością, że nie jest popychadłem George'a Burtona i że może robić, co mu się

podoba, i dziś, i jutro... Trudno mu będzie się od tego odzwyczaić, ale postanowił na razie O tym nie myśleć.

Val zorientował się, że naprawdę może robić co chce. Chanie tak był rad z tego, że ma przy sobie brata, tak mu zależało na tym, by Val czuł się w Faringdon jak w domu, że codziennie witał go pytaniem:

- Co będziemy robili dziś rano, Val?

Z początku Val odpowiadał grzecznie:

Co tylko sobie życzysz, Chanie.

Po kilku dniach zaczął jednak dawać do zrozumienia, co mu odpowiada, a co nie. Jedna wyprawa do wsi wystarczyła mu w zupełności: zbyt dobrze się orientował, że wszyscy się na niego gapią i plotkują o nim. Każdy doskonale wiedział, że Val jest bękartem hrabiego. Uznał, że nie będzie się tu narażał na takie same zniewagi jak w Westbourne. Za to bardzo polubił łowienie ryb w rzece i w stawie zwanym Paprotnikiem i często się dopraszał tej rozrywki.

Pewnego popołudnia w drugim tygodniu pobytu Vala w Faringdon wracali z Charliem do dworu. Każdy z braci niósł w koszyku złowione pstrągi: starszy trzy, młodszy dwa. Hrabia i Robinson obserwowali ich z okna biblioteki. Charlie dał bratu kuksańca i oznajmił:

— Jutro wrócę z czterema, przekonasz się, Val!

Val wyciągnął rękę i zmierzwił bratu czuprynę.

— Założę się, że nie! Jak wygram, to pojeżdżę sobie na twoim Cieniu, co... milordzie? - dodał kpiącym tonem.

— Nie waż się „milordować”, Val! — odparł Chanie ze śmiechem. Ani dosiadać mego ulubionego wierzchowca!

- Panie hrabio, pański syn niewątpliwie polubił swego brata - zauważył Robinson.

— Którego z moich synów masz na myśli, Robinson?

Robinson chrząknął, wyraźnie speszony.

Hrabia uśmiechnął się.

- Wiem, wiem: Chanie jest szczęśliwy po raz pierwszy od śmierci matki, a Valentine wyraźnie lubi przebywać w jego towarzystwie. Chyba już czas zająć się projektem Charliego. Przyślij do mnie chłopców, jak tylko się umyją Robinson.

Val nie tylko lubił przebywać w towarzystwie Charliego. Jego przyrodni brat był bardzo miły, o tym wiedział od samego początku. Teraz jednak, gdy wizyta miała się już ku końcowi, przekonał się, że jego uczucia do Charliego są znacznie silniejsze niż zwykłe lubienie. Serdeczność, którą Chanie okazywał bratu z taką naturalnością, pozwoliła mu wśliznąć się do tego zakątka serca Vala, który pozostawał od dawna szczelnie zamknięty. Valentine pojął, że będzie mu ogromnie brakowało młodszego brata. Będzie mu także brakowało Faringdon i przyrody charakterystycznej dla hrabstwa Deyon. Bóg wie czemu, tutejsze pola, drzewa i wrzosowiska stały mu się dziwnie bliskie. Ale z pewnością nie będzie mu brakowało hrabiego! Ojciec nigdy nie okazał mu choćby cienia uczucia. Zresztą Val wcale sobie tego nie życzył!) Nawet nie próbował wyjaśnić, czemu tak podle postąpił z jego matką. (Oczywiście Val nie spodziewał się, że to uczyni!) A poza tym żadne usprawiedliwienia niczego by nie zmieniły. Wchodząc do biblioteki, Val przywdział zwykłą maskę pozornego szacunku, spod której wyczierała pogarda.

Chanie już tu był i Val rzucił bratu przelotny uśmiech.

— Wejdz, Valentine, i siadaj — powiedział hrabia. — Musimy z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym. Nieprawdaż, Charlesie?

Twarz Charliego dosłownie rozbliła.

- Więc mu to zaproponujesz, papo?

- Zaproponuj mu sam - odparł hrabia z zachęcającym uśmiechem.

— Przez kilka lat miałem prywatnego nauczyciela, Val...

— Wiem, opowiadałeś mi o panu Cordellu. Jest teraz na wakacjach, prawda?

- Rzetelnie sobie na nie zasłużył - dorzucił hrabia.

— Zdaniem ojca najwyższy czas, żebym poszedł do szkoły, Val.

Val skinął głową, nie pojmując, co to ma z nim wspólnego.

- Ale mu powiedziałem, że nie chcę opuścić Faringdon. A przynajmniej nie sam!

Chciałbym... - Chanie zwrócił się do ojca, oczekując potwierdzenia; hrabia skinął głową. -

Chcielibyśmy, żebyś pojechał tam razem ze mną.

Val był zbyt zaskoczony, by utrzymać maskę obojętności.

— Zwariowałeś, Charlie, czy co?! Jestem kowalskim czeladnikiem! I choćbym chciał, majster nie zwolniłby mnie z terminu!

— Ojciec cię wykupi.

Val obejrzał się na ojca z najwyższym zdumieniem.

- Czemuż miałby pan to robić, panie hrabio?

- Charles powinien znaleźć się w gronie rówieśników, Valentine. Jego matka chciała odłożyć to na później, a po jej śmierci ja sam zwlekałem z decyzją. Gdybyś mu jednak towarzyszył, nie czułby się tak samotny.

- George Burton nie zwolni mnie przed czasem z terminu - odparł stanowczo Val.

— O, sądzę, że da się przekonać — zapewnił hrabia z ironicznym uśmiechem.

— Zgódź się, Val! — błagał Charlie.

Val nie zwracał na niego uwagi; wpatrywał się w ojca.

- Czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę sam na sam, panie hrabio? — spytał oficjalnym tonem.

- Oczywiście. Charles, bądź tak dobry przejdź do salonu. Papo...

- Charles.

- Słucham, ojciec. - Chanie wyszedł, rzuciwszy bratu jeszcze jedno błagalne spojrzenie.

— O cóż idzie, Valentine?

- Dlaczego podjął pan taką decyzję, panie hrabio? Po tylu latach?

- Ponieważ Charles bardzo się do ciebie przywiązał. I ponieważ sądzę, że twoja matka cieszyłaby się, że masz okazję skorzystać z przywilejów należnych ci z racji pochodzenia.

— Przywileje z racji mego pochodzenia! Niezły żart, panie hrabio! Jestem po prostu hrabskim bękartem. Nieślubnym bachorem, którym obdarzył pan córkę farmera! I proszę mi nie opowiadać o tym, z czego moja matka by się cieszyła, a z czego nie! Co pan może o tym wiedzieć? Przecież ją pan porzucił! - Cały powstrzymywany dotąd gniew zapłonął w sercu Vala i zanim się spostrzegł, wykrzyczał go ojcu.

Może i jesteś bękartem, Valentine — odparł chłodno hrabia — ale jesteś hrabskim bękartem, jak sam to określiłeś. A twoja matka przywiązywała wielką wagę do wykształcenia.

— Jakoś przez te wszystkie lata niezbyt to pana hrabiego obchodziło!

Trzymałem się od was z daleka ta wyraźne życzenie twojej matki. Od samego początku zdecydowała, że w razie jej śmierci opiekę nad tobą ma przejąć jej siostra. Nie miałem pojęcia, że twoja ciotka całkowicie różni się charakterem od Sarah. Pieniądze na twoje utrzymanie przekazywałem za pośrednictwem swego adwokata. Dopiero po tym, jak Charles cię odnalazł, dowiedziałem się, jakim człowiekiem jest George Burton.

— Nie wierzę, panie hrabio! — odparł gwałtownie Val.

Wierz sobie w co chcesz. Teraz jednak daję ci szansę zdobycia wykształcenia i uwolnienia się od jarzma wyrobnika.

— I cóż mi przyjdzie z wykształcenia? Zostanę najbardziej czytany kowalem w Deyon?

- Jeżeli sobie tego życzysz... Pozwól jednak, że podsunę ci dwie inne możliwości: studia prawnicze lub stanowisko zarządcy moich dóbr - odparł hrabia z cierpkim humorem.

Val zamilkł na dłuższą chwilę; hrabia cierpliwie czekał, aż chłopak rozważy jego propozycje.

Iść do szkoły? Wyzwolić się od George'a Burtona? Móc decydować o własnym życiu? Nie rozstawać się z Charliem? Jak można odrzucić podobną szansę?! Ale czy mógłby przyjąć taki dar od człowieka, który przyznał się do niego dopiero po piętnastu latach?!

- To trudna decyzja - wykrztusił w końcu Val.

- Pojmuję to. - Hrabia Faringdon go rzeczywiście rozumiał: chłopak był dumny i nie chciał zaciągać długu wdzięczności wobec człowieka, który według niego skrzywdził okrutnie jego matkę. - Ale byłoby to z wielkim pożytkiem dla Charlesa...

Gdyby hrabia napomknął coś na temat matki lub o swej wysokiej pozycji społecznej, Val odmówiłby zdecydowanie. Ale chodziło o Charliego... jakże mógł nie odwdzięczyć się choćby w ten sposób jednemu człowiekowi, który od śmierci matki okazał mu trochę serca?

— Zrobię to dla Charliego - oświadczył Val i wstał. — Proszę jednak nie spodziewać się ode mnie wdzięczności, panie hrabio.

- Chyba nie liczyłem na twoją wdzięczność — odparł hrabia Faringdon. - Cóż, wobec tego wyślemy Robinsona, żeby cię wykupił z terminu.

- Chciałbym mu towarzyszyć, panie hrabio. Pragnę pożegnać się z ciotką i podziękować jej. Nie było jej łatwo przez te wszystkie lata. Starła się jakoś złagodzić mój los, choć była zawsze lojalna wobec męża.

- Bardzo dobrze. Przygotuj się do podróży. Wyjedziecie jutro.

Val doszedł do wniosku, że wyraz gęby George'a Burtona w momencie, gdy Robinson poinformował go o zamiarach hrabiego, wynagrodził mu sowicie wszystkie lata, zatrute przez tego tyrana. W Burtonie równocześnie doszły do głosu oburzenie, chciwość i służalczość. Ostatecznie przyjął trzecią ofertę Robinsona, nie uświadamiając sobie, że otrzymałby więcej, gdyby się dłużej opierał.

- To powinno wynagrodzić panu z nawiązką utratę terminatora, a następnego znajdzie pan bez trudu - stwierdził Robinson, podając Burtonowi weksel hrabiego.

- Pewno, ale będę musiał go uczyć wszystkiego od początku - burknął kowal.
— Chcesz coś stąd zabrać, Valentine? - spytał Robinson Vala cieplejszym tonem niż kiedykolwiek przedtem.
- Tak
- Wobec tego weź swoje rzeczy, a ja wracam do oberży. Spotkamy się tam. Chciałbym wyjechać stąd za pół godziny.
Val odwrócił się plecami do George'a Burtona i jego kuźni; pomaszerował w stronę domu. Zabrał swoje książki i dwie koszule, pozostawiając tylko polatane zgrzebne portki i stare buciorzy. Nie dorobiłem się wiele przez te siedem lat, pomyślał ze smutkiem. Ciotka była w kuchni, odstawiła właśnie dzieżę z ciałem, żeby wyrosło. Zdumiała się, ujrawszy w drzwiach siostrzeńca.
— To ty, yal? Myślałam, że pobędziesz tam jeszcze kilka dni. Czy wizyta nie była udana?
- Wróciłem tylko po swoje rzeczy - odparł łagodnie Val. Ciotka spojrzała na niego. Marszczyła czoło, nie pojmując, o co chodzi.
- Hrabia chce mnie posłać do szkoły.
- A George?
- Hrabia dobrze mu zapłacił za zwolnienie mnie o rok wcześniej z terminu - uspokoił ją Val.
Ciotka przycisnęła rękę do serca, jakby chciała je uspokoić.
- Och, Valentine! Twoja matka właśnie tego by sobie życzyła! Nieraz serce mi się krajało, że nie mogę ci zapewnić lepszego życia...
Robiłaś co mogłaś, ciociu Martho — odparł Val. — Zresztą nie było tak źle, odkąd nabrałem trochę siły.
Oboje wiedzieli, że nie chodziło o siłę potrzebną do uniesienia młota, ale o powstrzymanie George'a od ciągłego bicia.
- Zawsze próbowałam go ułagodzić - tłumaczyła się ciotka, ubolewając nad swą bezsilnością.
- Wiem, ale on rozumie tylko wtedy, jak mu ktoś przyłoży
— odparł Val i uśmiechnął się do ciotki. — Uściskaj mnie, ciociu, i życz mi szczęścia. Bóg wie, że bardzo mi się ono przyda!
Martha długo tuliła siostrzeńca. Kiedy wreszcie wypuściła go z objęć, otarła oczy fartuchem.
- Nie zapomnij, Val, że jesteś synem Sarah Aston. To była dobra, dzielna kobieta i nigdy nie powinieneś wstydzić się matki!
Policzki Marthy zarumieniły się i przez chwilę Val znowu widział jej podobieństwo do siostry, które objawiało się od czasu do czasu. Jeszcze raz objął ją i przytulił, tym razem jego oczy napełniły się łzami.
— Napiszę do ciebie, ciociu Martho - obiecał.
- Wiem, że dotrzymasz słowa, Val. Niech cię Bóg prowadzi.
Przez te wszystkie lata, gdy marzył o wyrwaniu się na wolność i o ucieczce, Valowi ani razu nie przyszło do głowy, że będzie mu trudno rozstać się z kuźnią. Ale teraz, zmierzając w stronę oberży, zdał sobie sprawę, że opuszcza miejsce, które było jego domem po śmierci matki, i jedyne jej krewnych.

Musiał przyznać, że w terminie u George'a Burtona niejednego się nauczył. Po pierwsze — jak przetrwać mimo okrutnego znęcania się majstra, a to nie byle co! Po drugie - jak unieszkodliwić tyrana. Po trzecie zaś poznał rzemiosło, które poprawiło jego kondycję fizyczną i z którego zawsze będzie mógł wyżyć w razie potrzeby. W pewnym sensie czuję nawet wdzięczność do George'a! pomyślał Val z uśmiechem i ruszył na spotkanie Robinsona i nowego życia, które się właśnie rozpoczynało.

Queen's Hall był czymś w rodzaju zminiaturyzowanego Eton lub Harrow*, tu także kształcili się synowie arystokratów, by w przyszłości godnie władać narodem.

Albo doprowadzić go do ruiny, dodawał cynicznie w myśli Val po miesiącu pobytu w Queen's Hall. Jadąc tu, nie miał pojęcia, jacy okażą się ci legalni potomkowie hrabiów i markizów, z pewnością jednak nie spodziewał się, że to takie podłe dranie! Z nielicznymi wyjątkami była to złośliwa, wredna hałastra, przypominająca najgorsze męty z Westbourne. Potrafili wyniuchać każdą słabostkę kolegów i zerować na niej. Uczniowie starszych klas znęcali się nad majuchami tylko dlatego, że byli mniejsi i słabsi od nich. Val widywał Charliego niemal wyłącznie podczas posiłków, a w dodatku brat siedział o trzy stoły dalej. Zdarzały się od czasu do czasu przelotne spotkania na korytarzu i rzucony mu wówczas przez Charliego uśmiech podtrzymywał Vala na duchu przez kilka dni. No i mieli co niedziela godzinę czy dwie dla siebie po nabożeństwie w szkolnej kaplicy.

Charliemu widać to wystarczało; p upływie pierwszych tygodni chłopiec otrząsnął się z tęsknoty za domem i rzucił się w wir nauki i gier sportowych. Val spostrzegł, że jego brat cieszy się ogromną popularnością i ma cechy urodzonego przywódcy.

Valowi nie wiodło się równie dobrze. Cóż, Chanie przybył do szkoły z niewielkim tylko opóźnieniem ale rówieśnicy Valentine'a przebywali w Queen's Hall od siedmiu lat.

Doskonale znali tutejsze zwyczaje, tryb szkolnych zajęć, przede wszystkim kolegów.

Wrodzona inteligencja Vala i żądza wiedzy pomogły mu nadrobić większość zaległości. O łacinie jednak nie miał bladego pojęcia. Uczestniczył więc w zajęciach klasy wstępnej, siedząc na malutkim krzeselku razem z siedmiolatkami i zagłuszając swym barytonem ich piskliwe dyszkanty, powtarzał wraz z nimi: amo, amas, aman... W końcu miał już dość tej upokarzającej farsy i udał się do dyrektora szkoły. Postanowił go przekonać, że znajomość łaciny nie jest niezbędna dla przyszłego rządcy - a wszystko wskazywało że to właśnie czeka Vala. Dyrektora nie trzeba było długo przekonywać; pobyt Vala w szkole był dla niego tylko interesującym eksperymentem... i dodatkowym źródłem dochodów.

— Nieraz już się zdarzało, że trafiał do nas nieślubny syn tego lub owego... Nigdy jednak nie mieliśmy w Queen's Hall takiego osiłka! — stwierdził dyrektor po wyjściu Vala.

Wszystko zapewne jakoś by się w końcu ułożyło, gdyby nie wicehrabia Lucas Stanton. Ten arogancki arystokratyczny młokos, należący do szkolnej starszyny, od początku zabawiał się rzucaniem pod adresem Vala obelżywych uwag; czynił to jednak tak cicho, że słyszał je tylko jeden czy drugi z koleżków Stanton, no i oczywiście sam Val. Ten zaś zmuszał się do ignorowania zaczepek, wiedząc, że każda reakcja z jego strony sprawi tylko satysfakcję Stantonowi, który usiłował go poniżyć.

Kiedyś jednak Val natknął się w toalecie na Stanton, któ34

ty wykręcał z całej siły ramię chudziutkiego ośmiolatka. Chciał zmusić dzieciaka, by wylizał mu buty do czysta. Prawdę mówiąc, chłopak ma szczęście, pomyślał Val; dobrze wiedział, że Stanton potrafi zmuszać do lizania nie tylko swoich butów. Val dostrzegł jednak ból i strach w oczach malca, wrzasnął więc na Stanton, żeby go puścił.

- Jakim prawem wydajesz mi rozkazy, Aston? - spytał szyderczo Stanton, jeszcze silniej wykręcając ramię swej ofiary. Val szybko schwycił wicehrabiego za drugą rękę i wyjął mu ramię do tyłu. Stanton wrzasnął z bólu, a Val gestem wskazał malcowi drzwi.

Splakany chłopak rzucił wybawcy spojrzenie pełne podziwu i wdzięczności - i czmychnął. Stanton próbował się wyszarpnąć, ale Val okazał się silniejszy.

- No i co, Stanton? Jak to smakuje? - spytał, wykręcając mu ramię jeszcze mocniej.

Potem nagle go puścił. Wicehrabia zachwiał się i omal nie upadł. - Ty nędzna parodio dżentelmena! — powiedział z niesmakiem Val. — Jeśli jeszcze raz cię przyłapię na maltretowaniu jakiegoś dzieciaka, zmuszę cię, żebyś sam sobie wylizał buty do glancu! Stanton nigdy nie był mu życzliwy, teraz jednak Val miał w nim prawdziwego wroga. Zniewagi stały się znacznie częstsze i nie wygłaszał ich już szeptem, ale głośno i najczęściej przy wszystkich. Val nadal starał się je ignorować, wiedząc, że musi milczeć albo bić się ze Stantonem. Wszelkie bójkę zaś były surowo wzbronione. Za to znęcanie się nad dziećmi nie jest sprzeczne z regulaminem! myślał gniewnie Val.

Pewnego dżdżystego piątku, pod koniec dłużącego się, deszczowego tygodnia, miara się przebrała. Wszyscy uczniowie byli spięci, zbyt długie zamknięcie w szkolnych murach rozstroiło im nerwy. Zgromadzili się wokół stołów zastawionych do podwieczorku, żarłocznie pochłaniając biszkopty i bułeczki, poszturchując się i grzechocząc filiżankami. Gdy Val wszedł, Stanton odezwał się z drugiego końca sali tak, że wszyscy mogli go usłyszeć:

- Otóż i bękart Faringdona! A wiecie, z kim go spłodził? Z francowatą kurwą za dwa grosze!

Wszystkie dotychczasowe obelgi - a Val zniósł ich w milczeniu bardzo wiele — dotyczyły jego samego. Teraz Stanton po raz pierwszy ubliżył jego matce. Val przepchnął się przez ciżbę chłopców, którzy stali z rozdziawionymi gębami.

- Coś ty powiedział? - spytał cicho, lecz groźnie.

— Powiedziałem, Aston, że twoja matka to francowata kurwa za dwa grosze.

— Więc się nie przesłyszałem. — Val jednym ruchem wytrącił Stantonowi filiżankę z rąk. Zapanowała nagle cisza; słychać było tylko brzęk tłukącej się porcelany.

- Wyjdźmy na dwór, Stanton.

Wicehrabia wyrzwał przez okno.

— Jakoś nie mam ochoty, Aston.

Val błyskawicznie schwycił wroga za gardło. Szarpnął za fular, zaciskając go wokół jego szyi.

— Powiadam ci, Stanton, że wyjdiesz! Czyżbyś się mnie bał?

- Kto by się bał takiego chama? - zdołał wykrztusić Stantori.

- No to spotkamy się za kuchnią - oświadczył Val, wykręcił się na pięcie i wyszedł z sali. Udał, że nie dostrzega ręki Charliego na swym ramieniu i nie słyszy błagalnego szeptu brata:

— Nie zwracaj na niego uwagi, Val! Wyleją cię, jak się wdasz w bójkę!

Jadalnia opustoszała w jednej chwili. Pół szkoły wyległo na dwór, druga połowa tłoczyła się u okien.

Val ściągnął koszulę i stał na deszczu, który smagał go po piersi i ramionach; był tak wściekły, że nie czuł ani zimna, ani wilgoci. Stanton wyszedł także, zdarł z siebie kurtkę i rzucił się na Vala, który upadł w błoto. Gdy się podnosił, Stanton wymierzył mu kolejny cios w brodę. Wszystkim chłopcom wyrwał się zdławiony jęk: to zupełnie nie przypominało szlachetnej sztuki boksu, której uczono w słynnej szkole Jacksona! Val podniósł się i potarł brodę.

- Nie stosujesz czystych chwytów, co, Stanton?

- Jak się biję z brudnym bękartem, to nie! - odparł szyderczo wicehrabia.

Val zaatakował tak błyskawicznie, że całkowicie zaskoczył przeciwnika. Podciął Stantonowi nogi, a ten zwałił się na kolana. Wówczas Val rękoma złączonymi tak, jakby trzymał w nich kowalski młot, trzasnął go z boku w twarz. Stanton runął nosem w błoto. Val popatrzył na przeciwnika.

- Tam, skąd pochodzę, nie kopie się leżącego, więc lepiej wstawaj!

Stanton zerwał się i rąbnął go w prawe oko.

Val miał rozciętą brew i krew zalewała mu oczy, gdy padał, zauważył więc but Stantona dopiero wówczas, gdy było już za późno na unik. Padł cios i Valentine od razu zrozumiał, że ma złamany nos. Przeciwnik schwycił go za włosy i uniósłszy głowę Vala do góry, wycodził:

- Przyznasz teraz, Aston, że twoja matka to francowata kurwa?

Zamierzył się, by trzasnąć go w twarz, ale ręka Vala błyskawicznie wtargnęła między uda przeciwnika i szarpnęła z całej siły. Stanton aż się zwinął z bólu i właśnie w tej chwili rozległ się czyjś głos:

— Stanton, co tu się dzieje, u diabła?

- Nic takiego, Wimborne - sapnął Stanton, próbując się wyprostować. — Ot, taka sobie zabawa.

James Lambert, markiz Wimborne, popatrzył na milczących widzów, potem na leżącego Vala.

— Znieważanie czyjejś matki nie wydaje mi się specjalnie zabawne, Stanton — stwierdził, spoglądając na kolegę z niesmakiem. - A twoje metody walki przypominają mi najciemniejsze zaułki Seyen Dials, zamieszkiwanego przez najgorsze męty. A teraz wszyscy wynoście się stąd, zanim się dyrek połapie! Henry, pomóż mi podnieść Astona. Markiz i jego przyjaciel pomogli Valowi wstać. Kiedy starał się ich odsunąć i utrzymać o własnych siłach, James powiedział z uśmiechem pełnym zrozumienia:

- Uspokój się, Aston. Zaprowadzimy cię do mego pokoju, żebyś się trochę oporządził przed kolacją. - I Val pozwolił się tam zaprowadzić.

Był to ostatni rok pobytu markiza Wimborne w Queen's Hall. Należał do najbardziej lubianych - i przez kolegów, i przez profesorów - wychowanków tej szkoły. Chłopiec, który zostawał fagiern* Wimborne'a nie czuł się jego niewolnikiem, ale podopiecznym. Markiz

korzystał co prawda z usług swych młodszych kolegów, ale potrafił także pocieszyć splakanych z tęsknoty za domem, dodać odwagi nieśmiałym i poskromić rozrabiaków. Val, który był o dwie klasy niżej od Wimborrie'a, wiele o nim słyszał i znał go z widzenia. Markiz nawet uśmiechnął się kiedyś do niego, ale Val nigdy nie przypuszczał, że Wimborne wda się z nim w pogawędkę, a już z pewnością nie liczył na to, że się za nim ujmie!

— Obserwowałem cię, Aston - . powiedział markiz, ścierając wilgotnym ręcznikiem krew z twarzy Vala. Stanton prowokował cię od wielu tygodni, a ty zawsze umiałeś się opanować. To zresztą najlepsza taktyka wobec takich zadziornych bysiów - dodał z serdecznym uśmiechem. - Co sprawiło, że tym razem nie wytrzymałeś?

- Od dawna przywykłem do obelg pod moim adresem, milordzie — odparł Val — ale tym razem znieważył pamięć mojej matki.

— Tak też przypuszczałem - mruknął markiz i przesunął lekko palcem po nosie Vala. — Obawiam się, że jest złamany. Będziesz miał w przyszłości jeszcze bardziej drapieżny wygląd, Aston! - zażartował, widząc, że Val się skrzywił. — I staniesz się dzięki temu jeszcze atrakcyjniejszy dla dam - dodał.

— Wątpię, czy jakaś dama kiedykolwiek się mną zainteresuje, milordzie — odparł Val, siłąc się na uśmiech.

- Bzdura! One uwielbiają dzikich wojowników! Henry, podaj mi czystą koszulę z bieliźniarki, dobrze?

Val zaczął protestować, ale markiz uciszył go s-uchem ręki.

— Chcesz, żeby cię wylali, Aston?

- Nie.

— Tak mi się zdawało. Wieść głosi, że całkiem nieźle sobie radzisz... może z wyjątkiem łaciny?

Val podniósł głowę, spodziewając się jakiejś zniewagi, ale w oczach Wimborne'a ujrzał tylko przyjazne rozbawienie. Uśmiechnął się więc szeroko.

- Przyznam, że czułem się jak wielka żaba między kijankami, milordzie.

— Cóż za trafna metafora, przyjacielu! — roześmiał się markiz z uznaniem. - Widziałem cię kiedyś z kolanami powyżej uszu!

Teraz śmiali się obaj, a Val wyraźnie się odprężył. Zdał sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy od wielu tygodni nie musi mieć się na baczności.

- Słuchaj, stary, dobrze wiem, że Stanton to bydlę - powiedział markiz poważnym tonem.

- Nieraz miałem na oku najmłodszych, żeby mu nie wchodzili w drogę... jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Val skinął głową. Dobrze wiedział, co się wokół niego dzieje. Niektórzy spośród dorastających chłopców próbowali uwolnić się od napięcia przez masturbację, inni pocieszali się nawzajem w swej samotności. Niektórzy rzeczywiście czuli miłość czy pożądanie do osobników własnej płci. Val dowiedział się o istnieniu tego rodzaju mężczyzn jeszcze w Westbourne: tacy dwaj mieszkali w sąsiednim miasteczku. Nie bardzo pojmował, co ich łączyło; nie wiedział też, co on sam czuje, słysząc o czymś takim... Był pewien tylko jednego: dostawał szału, gdy słyszał, że starsi uczniowie

zmuszają do tego siłą malców z niższych klas. To było ohydztwo, zbrodnia! Z najwyższym trudem Val przyjął do wiadomości, że na podobne sprawy przymyka się tu oczy. Ucieszył się teraz ogromnie, że jego nowy przyjaciel odnosi się do tych praktyk z takim samym wstrętem jak on.

- Coś niecoś już wiem o tobie, Aston - ciągnął dalej markiz. - Jestem pewien, że chcesz tu pozostać, ze względu na Charliego i dla własnego dobra.

Val skinął głową.

— No to nie zwracaj uwagi na tego bękarta!

Val wzdrygnął się, słysząc to słowo. Był to odruch niezależny od jego woli. Markiz udał, że tego nie dostrzega.

— A teraz popatrzmy, jak się prezentujesz! Co ty na to, Henry?

- No cóż... niech powie, że wpadł z rozpędu na drzwi.

- Wolałbym inny wykręt niż ten kawał z siwą brodą - odparł markiz z ironicznym uśmiechem - ale chyba będzie musiał wystarczyć. Jak myślicie, co powie dyrek, kiedy Stanton wlezie zgięty w pół, tuląc poszkodowane jaja? - dodał, unosząc pytająco brew. Henry i markiz ryknęli śmiechem, a po sekundzie zawtórował im także Val. Po raz pierwszy od przybycia do Queen's Hall miał wrażenie, że znalazł się wśród kolegów. Val był pewny, że profesorowie wiedzieli doskonale, co się wydarzyło, ale ponieważ nikt (a już z pewnością żaden z zapaśników) nie poleciał do nich z językiem, nie wyciągnięto wobec uczestników bójki żadnych konsekwencji, obserwowano ich tylko bacznie przez kilka tygodni. W najbliższą niedzielę Chanie poinformował brata, że sprawił ogromną uciechę chłopcom z niższych klas, zwłaszcza że ucierpiały genitalia Stantona.

- On cię chyba nigdy... hm... nie napastował, co? - spytał Val, zdjęty nagłym lękiem o brata. - Rozumiesz, o czym mówię, Charlie? — dodał, nie mając ochoty precyzować sprawy.

- Niechby tylko spróbował! Kopnąłbym go aż miło tam, gdzieś ty go szarpnął!

Na Boże Narodzenie obaj chłopcy wrócili do Faringdon i wszystko potoczyło się tym samym trybem co w lecie. Val był grzeczny w stosunku do ojca, ale odzywał się tylko wtedy, gdy hrabia go o coś pytał, i trzymał się wyraźnie na dystans. Charles Faringdon zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek znajdzie wspólny język ze starszym synem. Wszystko wskazywało na to, że łączy ich jedynie miłość do Charliego.

Val wykradł się kilkakrotnie do wioski i skłonił kowala, by pozwolił mu popracować w kuźni. Ofiarował Chanemu na Gwiazdkę dwie własnoręcznie wykonane podpórki na książki z kutego żelaza. Był wręcz zakłopotany radością i zdumieniem, które ujrzął w oczach braciszka, gdy otworzył ciężki pakunek.

— One są fantastyczne, Val!

— Rzeczywiście - przytaknął hrabia, podziwiając mistrzowską robotę- Zadumał się przez chwilę. Jakie to dziwne, że jego syn jest kowalem!

- George nie był może aniołem, ale fachu mnie nauczył! - burknął Vat.

Jednym z prezentów od Charliego było ilustrowane wydanie *Metamorfoz Owidiusza*.

- Pomyślałem, że może to ci się bardziej spodoba niż podręcznik gramatyki!

- Wątpię, czy kiedykolwiek poznam jacinę na tyle, by należycie docenić twój dar - odparł Val, kartkując książkę. - Nie zdołałem się przebić nawet przez koniugacje... Ale bardzo ci dziękuję, Charlie!

Po trzech tygodniach spędzonych w Faringdon powrót do spartańskich warunków życia w Queen's Hall nie był łatwy. Szkoła była wielka i niedostatecznie ogrzewana; połowa chłopców stale pokaszliwała i pociągała nosem. Pewnej niedzieli, gdy przeziębiony Charlie musiał zostać w łóżku, Val postanowił zwiedzić okolicę. Była to przyjemna, długa przechadzka; w drodze powrotnej, o jakąś milę od szkoły, spotkał markiza Wimborne.

- Mam wrażenie, Aston, że odbyłeś porządny marsz - odezwał się z uśmiechem starszy kolega.

— Mam wrażenie, że pan też, milordzie.

- Proszę, mów mi „James”

- A ty do mnie „Val”

- Jak spędziłeś ferie, Val? Pewnie w Faringdon?

- Bardzo przyjemnie, milor... Jamesie. Prawdę mówiąc, były zdumiewająco udane: aż się nie chciało wracać do szkoły.

- To twoje pierwsze ferie, prawda? Czy dobrze się dogadujecie z ojcem?

- Hrabia potrafi być bardzo miły - odparł z przymusem Val. Nie uszło uwagi Jamesa, że Val tytułuje ojca „hrabią”, ale postanowił tego nie komentować.

- Z ojcami nieraz bywają kłopoty! Mój nalega, żebym się bogato ożenił i podreperował rodzinne finanse. O, nie zaraz po ukończeniu szkoły! - dodał w odpowiedzi na zdumione spojrzenie Vala. - Chciałby jednak za rok czy dwa uroczyście świętować moje zaręczyny. Wybrał mi nawet odpowiednią pannę: z zaprzyjaźnionej rodziny, z okazałym posagiem i tak dalej.

- Ale jej nie kochasz?

- Nawet ją dosyć lubię. Nie spotkałem jednak nigdy kobiety, z którą naprawdę chciałbym się ożenić. - W głosie Jamesa zabrzmiała nuta smutku.

Zdumiało to Vala: jakież zmartwienia mógł mieć ten wybraniec losu?

Widziałem cię kiedyś w bibliotece, jak zakuwałeś gramatykę. Po co? Miałem wrażenie, że pożegnałeś się z łaciną na dobre - zmienił temat markiz.

- Chanie podarował mi na Gwiazdkę Owidiusza, ale to dla mnie za trudne.

- Chętnie ci w tym pomogę. Wpadnij do mnie wieczorem: napijemy się czekolady i zobaczymy, co się da zrobić.

Val bardzo rzadko doświadczał w życiu ludzkiej życzliwości i nigdy nie miał prawdziwego przyjaciela, toteż nie od

razu zbliżyli się z Jamesem. Z czasem jednak zaczęli odbywać wspólne spacerunki po wrzosowisku - raz w tygodniu, bez względu na pogodę. Potem popijali razem gorącą herbatę lub czekoladę i zagryzali tym, co udało im się zwędzić ze stołu nakrytego do podwieczorku. Val oczywiście nie zaliczał się do kręgu najbliższych druhów markiza, był przecież o dwie klasy niżej od niego. Łączyła ich jednak szczerza przyjaźń, choć Val zupełnie nie mógł zrozumieć, czemu ktoś stojący tak wysoko na drabinie społecznej jak

James chciał się zadawać z takim pariasem jak on. Sam pokochał starszego kolegę prawie tak jak Charliego, choć żadnemu z nich nie umiałby okazać swej miłości. W marcu, ku radości wszystkich chłopców z Queen's Hall, do najbliższego miasteczka zawitał regiment werbunkowy. Przemowy sierżanta wygłaszane przed lokalną karczmą zachwycały zwłaszcza młodszych chłopców.

- Biedaczyska! - zauważył pewnego dnia James, gdy przyglądali się nowo zaciężnym podpisującym listę. - Będą ty!ko „mięsem armatnim”

Val widywał już werbowników w Westbourne.

- Ale przynajmniej nie zdechną z pustym żołądkiem. Większość tych, co się zgłaszają, to biedni wyrobnicy albo bezdomni nędzarze, wiesz?

- No i ci, którym grozi deportacja do kolonii w Ameryce. A co ty byś powiedział na wojskową karierę, Val? Pewien jestem, że hrabia kupiłby ci patent oficerski, gdybyś tego zapragnął.

- Hrabia uważa, zdaje się, że mam tylko dwie drogi: studia prawnicze albo zarządzanie jego majątkiem. Z moją znajomością łaciny lepiej chyba będzie, jak zostanę rządcą. Prawda, Jamesie?

Ponieważ bójka z Valem nie przyniosła mu nic prócz wstydu, a w dodatku James wziął Astona pod swoje skizydła, Lucas Stanton przycichł i ograniczył się do wygłaszania od czasu do czasu szeptem obelg pod adresem Vala, który udawał, że ich nie słyszy. Choć nie zżył się jeszcze całkiem z Queen's Hall, ze zdumieniem stwierdził, że wiosenny semestr jest całkiem udany i myślał z przyjemnością o powrocie do szkoły w przyszłym roku.

Potem jednak przyłapał Lucasa Stantona z Marcusem Towle, dziewięciolatkiem o buzi aniołka. Przechodzili właśnie z Charliem w pewne niedzielne popołudnie koło stajni i usłyszeli głośny płacz.

— Zmykaj stąd, Chanie — powiedział Val — a ja zobaczę, co tu się dzieje.

- Pójdę z tobą! protestował młodszy brat.

- Nie ma mowy. I nie spóźnij się do kaplicy na wieczorne nabożeństwo!

Z jednego z boksów na tyłach stajni, zapinając spodnie, wynurzył się Lucas Stanton. Zdziwił się na widok Vala, ale łypnął tylko chytrze okiem i uśmiechnął się, przechodząc obok niego.

- Jak sobie chcesz ulżyć, Aston, to szczeniak jest do twojej dyspozycji.

Marcus siedział skulony w najdalszym kącie boksu i szlochał rozdierająco, zasłaniając sobie buzię rękami. Val przyklęknął obok dziecka i położył mu łagodnie rękę na ramieniu.

— Co się stało, Marcus? Chłopczyk cofnął się, wprost przywarł do ściany.

- Nie musisz się mnie bać - zapewnił go Val. - Czy Stan- ton zrobił ci coś złego?

- Zmusił mnie... - Chłopiec otarł usta grzbietem ręki. - Wepchnął mi to do ust... - Marcus odwrócił głowę i zwymiotował w słomę.

Val niezręcznie klepał go po plecach.

— Nie chciałem! — rozplakał się znów chłopiec, gdy minęły torsje. — Naprawdę nie chciałem! Znam chłopców, którym by się to podobało, ale mnie nie!

— Już dobrze, Marcus. Wierzę ci.

— Prześladował mnie przez całą wiosnę, ale zawsze udawało mi się jakoś wymknąć...
Dopiero dziś...

— Możesz wstać? Nie zrobił ci... hm... Nie skrzywdził cię
w żaden inny sposób?

Chłopiec podniósł się i spojrzał na Vala, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Najwidoczniej nie miał pojęcia, że mogło wydarzyć się coś więcej. Val poklepał go jeszcze raz po ramieniu.

- No to w porządku. Może powiesz waszemu prefektowi*, że się źle czujesz i spędzisz noc w infirmerii?

Chłopiec zadrżał.

- Naprawdę źle się czuję. Chyba to zrobię.

Val dogonił wicehrabiego przed samą kaplicą.

- Stanton! - zawołał.

Tamten obejrzał się tylko przez ramię, szepnął swoim kompanom coś, co ich wyraźnie rozbawiło, i poszedł dalej.

- Czyżbyś się mnie bał, Stanton? - zawołał ponownie Val.

Stantoni zatrzymał się.

— Bać się ciebie? Też coś! O co ci chodzi, Aston? Czyżby Marcus nie okazał się taki miłutki jak sądziłeś?

Val miał wrażenie, że furia go rozsadzi. Gdy tylko Stanton się odwrócił, runął na niego z siłą tarana kruszącego mury i zwałił go z nóg. Tym razem nie było żadnej walki. Val przyciskał całym ciałem swego wroga, usiłując wgnieść mu twarz ziemię. Dwóch nauczycieli z trudem oderwało go od niego.

- Aston, wracaj do swego pokoju i pozostań tam, póki nie zostaniesz wezwany. Co ze Stantonem?

- Pobity do nieprzytomności, panie profesorze - oznajmił jeden z kompanów Lucasa.

Gdy Vala wezwano przed oblicze dyrektora, wciąż jeszcze drżał.

- Lucas Stanton stracił dwa zęby i ma prawdopodobnie wstrząs mózgu. Co skłoniło cię do podobnej napaści, Aston?

On... on... - Val nie potrafił znaleźć właściwych słów. - On zmusił Marcusa... On go wykorzystał, panie dyrektorze - wykrztusił wreszcie.

- Cóż jeszcze?

Val nie wierzył własnym uszom.

- Cóż jeszcze, panie dyrektorze?!

- Czy masz jeszcze coś na swoje usprawiedliwienie?

- Marcus to dziewięcioletnie dziecko. Lucas Stanton je zbezczeszczył. — Val nareszcie znalazł właściwe słowo!

Dyrektor spuścił wzrok na blat biurka.

- Tak, podobne wypadki zdarzają się od czasu do czasu. Tylu chłopców żyjących obok siebie! Młodych ludzi ponosi niekiedy temperament. To jeszcze nie powód, by kogoś zatłuc prawie na śmierć.

- Młodych ludzi ponosi temperament?! - Wściekłość Vala, która nieco przygasia, teraz znów wybuchnęła z całą siłą. - W środowisku, z którego się wywodzę, młodzi ludzie tak się nie zachowują. Gdyby ktoś zrobił coś podobnego, wygnano by go z miasta z wielkim hukiem!

Jestem pewien, że nawet wyrobnicy miewają zmysłowe popędy, Aston - powiedział dyrektor pogardliwym tonem.

— Odczuwanie zmysłowych popędów i stosowanie przemocy wobec dzieci to dwie całkiem różne rzeczy!

— Może to nie jest w porządku, Aston, ale takie rzeczy się czasem zdarzają.

- A pan dyrektor chowa głowę w piasek? Żeby przypadkiem nie zobaczyć małego Marcusa, jak kuli się na podłodze w stajni i wyrzuca sobie wnętrzności?

- Z czasem zapomni o tym. Dzieci łatwo zapominają. - Przez chwilę obaj milczeli, potem dyrektor westchnął. — Będę cię musiał wywalić, Aston. Doprawdy żałuję, bo mimo twojej... hm... dość osobliwej przeszłości całkiem nieźle zaadaptowałeś się do nowych warunków. Tego jednak nie mogę puścić płazem.

Val popatrzył na niego z pogardą.

— Niech się pan nie kłopotczy, panie dyrektorze. Jutro ra46 no już mnie tu nie będzie. Wcale nie mam ochoty adaptować się do takich „nowych warunków”.

Na końcu korytarza stał James. Czekał na niego.

- Wywalił mnie. Ale i tak bym tu nie został — stwierdził Val.

— Co się właściwie stało? — spytał cicho Wimborne.

- Znalazłem małego Marcusa w stajni. Rzygał tym, co Stanton kazał mu połknąć - wyjaśnił szorstko Val.

- O Boże — szepnął James.

- No właśnie. I poinformowano mnie, że zdarza się tu od czasu do czasu takie gwałcenie niewiniątek - dodał Val z gorzką ironią.

— Większość dzieciaków wie, że Stantonowi trzeba schodzić z drogi.

- Nie chcę pochopnie potępiać tych, którzy po prostu inaczej zostali stworzeni... - powiedział Val — ale nie mogę pojąć takiej perwersji!

- Lucas Stanton wcale nie ma takich wrodzonych skłonności - zauważył cicho James.

Val spojrział na niego z najwyższym zdumieniem.

- On gotów byłby kopulować choćby z owcą - dodał James z gorzkim uśmiechem. - Poza tym sprawia mu przyjemność znęcanie się nad słabszymi. Współczuję kobiecie, z którą się kiedyś ożeni.

- Stosowanie przemocy wobec bezbronnych to przecież najstraszliwsza perwersja, Jamesie!

- Być może, Val, ale nikt jej aż tak nie potępia. Przynajmniej w świecie dżentelmenów - dodał z sarkazmem..

— Wobec tego rad jestem, że do nich nie należę!

- A jednak należysz do nas, Val, bardziej niż przypuszczasz. Co powiesz ojcu?

- Prawdę. - odparł zwięźle Val. — Albo nic. Jeszcze się nie zdecydowałem, co zrobię.

- Cóż możesz zrobić innego, niż wrócić do domu, do Faringdon?

- Wrócić do domu, do Faringdon? - rozmyślał Val, pakując książki. Przecież tego właśnie nie mógł zrobić! Chanie pozostanie nadal w Queen's Hall, a hrabia z pewnością nie życzyłby sobie jego obecności. Dom... Gdzie właściwie jest jego dom? Chyba od śmierci matki nigdy nie miał prawdziwego domu, pełnego miłości i ciepła. Hrabia i Chanie kochali się nawzajem. Ale jego, niechcianego bękarta, sprowadzono do Faringdon tylko po to, by spełnić zachciankę Charliego.

Nie mógł i nie chciał nazwać swym domem mieszkania Burtonów, choć ciotka pewnie by sobie tego życzyła. Lepiej więc nie myśleć o domach, tylko o tym, jak zarobić na życie. Może gdyby wrócił, George Burton przyjąłby go za wspólnika? W cuda wierzysz, durniu?! No a gdyby przewędrował całe Deyon, może znalazłoby się dla niego miejsce jakiejś kuźni? E tam! Każdy kowal ma pewnie własnego ucznia! A może założyć kuźnię? Mógłby z tego całkiem nieźle żyć... Tak, ale na początek potrzeba trochę gotówki, a on nie ma ani grosza. Gdyby tak poprosić hrabiego? Val roześmiał się na całe gardło: Nie może, nie zamierza prosić o nic człowieka, który tak długo nie chciał go znać!

Val siedział na skraju łóżka. Spakował się, ale nie miał pojęcia, dokąd iść. Objął głowę rękami i po chwili zaczęła mu w niej brzęczeć tęskna melodyjka... Matka nuciła mu ją dzieciństwie. Dlaczego przypominała mu się właśnie teraz? I nagle uświadomił sobie, że tydzień temu w miasteczku śpiewał ją jeden z towarzyszy sierżanta werbunkowego.

Melodia była ta sama, tylko słowa inne:

Na mym bębnie stos grosiwa - Chodźcie z nami: król was wzywa!

Nie pamiętał zwrotek, ale refren dobrze wbił mu się

w głowę:

Gdy rozkaże mu król Jerzy, Żołnierz cały świat przemierzy...

Mężczyzna śpiewał głębokim barytonem, ludzie na wsi lubili taki donośny głos.

Prześpiewał tylko trzy zwrotki, ale końcowe nuty nie opadały w dół, tylko biegły wzwyż, jakby zapowiadając, że to jeszcze nie wszystko: trzeba będzie zaśpiewać jeszcze jedną zwrotkę, przebyć jeszcze jedno morze, stoczyć jeszcze jedną bitwę, nim piosenka ostatecznie dobiegnie końca.

I nagle Val wiedział już, co ma robić: zostanie żołnierzem. Pójdzie w ślady ojca - bohatera z dziecińczych marzeń. Wstąpi do wojska, jak planował, będąc małym chłopcem. A hrabia Faringdon niech sobie idzie do diabła!

Hen, za morzem, za górami,

I we Flandrii, i w Hiszpanii...

Rozdział I

1

Lizbona, 1810

Elsbeth Gordon przejrzała się w wielkim międzyokiennym lustrze i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „zrobiłam, co mogłam!” Dobrze wiedziała, że w sukni sprzed dwóch lat furory nie zrobi. Żony i córki portugalskich oficerów i dyplomatów zaćmia ją bez trudu swymi toaletami z atłasu, jedwabiu i Czarnej koronki. A kilka Angielek, które będą na przyjęciu, przyjechało dopiero co z kraju z kuframi pełnymi najmodniejszych kreacji. Poza tym przy każdej z nich - wszystko jedno, w co się ubiorę - będę wyglądała jak grochowa tyka! pomyślała Elsbeth z uśmiechem, uginając lekko kolana, by lepiej

obejrzeć w lustrze fryzurę. Przyglądała kilka loczków, które wymknęły się z wężła spiętego srebrną szpilką.

Znowu wzruszyła ramionami na widok swego odbicia i powtórzyła na głos słowa ojca, którymi ją niezmiennie witał: „Moja malutka dziewczuszka to prawdziwa radość dla starych oczu!” Potem dodała z filuternym błyskiem w oczach:

Liczy się dobre serce, a nie piękna buzia!” To było znów jedno z ulubionych powiedzonek matki. Nie zapominaj, moja panno, powiedziała sobie Elspeth, że wszyscy przybyli tu na urodziny Marii, a nie po to, żeby się gapić na ciebie! Może twoja suknia nie jest zbyt szykowna, ale dwa lata temu uszyto ją według najświeższej mody! A jak ją włożysz, oczy masz prawie zielone!

Pokrzepiona tą myślą Elspeth narzuciła na ramiona cieniutki szal z białej wełny i zeszła na dół do swych gospodarzy.

Elspeth Gordon, córka majora Iana Gordona i jego żony Margaret, mogła się nie obawiać, że zabraknie jej partnerów do wieczornych tańców. Przybyła do Portugalii przed rokiem, kiedy wyrwała się wreszcie - po dwóch strasznie nudnych (jej zdaniem) latach - z pensji dla dobrze urodzonych panien, prowadzonej przez niejaką panią Page. Rodzice zaproponowali córce po ukończeniu szkoły zwyczajowy londyński sezon, ale Elspeth kategorycznie odmówiła.

- Po tych wszystkich latach spędzonych w Indiach zupełnie się nie nadaję do takich wytwornych rozrywek! Marzę tylko o tym, by znowu być z wami!

Gdyby Elspeth była drobniutkim, ślicznym kobieciątkiem, rodzice energiczniej namawialiby ją na londyński sezon, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli ich córka prócz dowcipu i siły charakteru posiadałaby jeszcze urodę, z pewnością wkrótce zawarłaby małżeństwo jeśli nie świetne, to przynajmniej szczęśliwe. Po drugie, nagłe pojawienie się takiej miniaturowej Wenus w obozie zdemoralizowałoby całą armię... Albo, jak dodawała matka, armia zdemoralizowałaby panienkę!

Ale Elspeth daleko było do kruchej piękności i może właśnie dlatego cieszyła się ogromną sympatią młodych oficerów. Z wyjątkiem owych dwóch lat zmarnowanych na pensji, całe życie spędziła w otoczeniu wojskowych. Jej matka zaraz po ślubie oświadczyła swemu Ianowi (który był wówczas porucznikiem), że nie ma najmniejszego zamiaru zapłakiwać się samotnie w domu, rozdarła między nadzieją na krótki urlop męża a strachem, że przyjdzie list zawiadamiający o jego śmierci.

Postanowiła towarzyszyć mężowi. Rodzina Margaret Gordon sprzeciwiała się jej decyzji, podobnie jak nie chciała zaakceptować jej małżeńskich planów: ona, wnuczka hrabiego, zamierzała poślubić syna jakiegoś tam szkockiego klechy! Margaret jednak nie zważała na te protesty i uparła się towarzyszyć mężowi wszędzie, gdziekolwiek rzuci go żołnierski los. I nigdy nie pożałowała swojej decyzji.

Elspeth było przykro, że matka tym razem nie towarzyszy jej do Lizbony. Major Gordon jednakże podniósł się właśnie po ciężkim ataku febry, nierzadko występującej w okolicach, przez które przepływała Gwadiana, i pani Gordon była przeświadczona, że jeśli choć na chwilę spuści męża z oczu, choroba powróci. Tak więc Elspeth schodziła teraz po schodach hrabiowskiej rezydencji samiuteńka, rozglądając się w poszukiwaniu znajomych twarzy.

Hrabia de Sousa zadbał o to, by jego syn poprowadził pannę Gordon do stołu; Elspeth uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy młodzieniec podał jej ramię. Z ulgą i satysfakcją przekonała się, że przy stole wyznaczono jej miejsce koło porucznika Morrisona. Tocząc z nim miłą pogawędkę, zastanawiała się, czy ktoś w końcu zajmie wolne krzesło po jej prawej stronie, czy też gość, dla którego było ono przeznaczone, wymówił się w ostatniej chwili?

Podano właśnie pierwsze danie, gdy Elspeth dostrzegła jakieś zamieszanie przy drzwiach; majordomus hrabiego pojawił się w jadalni i szepnął coś swemu chlebobdawcy.

- Natychmiast wprowadź go tutaj! - odparł hrabia.

- Najmocniej przepraszam, panie hrabio, pani hrabino... Zostałem nieoczekiwanie zatrzymany. Próbowałem wyjaśnić majordomowi, że nie chcę zakłócać państwu obiadu!

- Cóż za pomysł! Josć, wskaż panu kapitanowi... panu markizowi jego miejsce obok panny Gordon - poleciała hrabina.

Twarz Jamesa rozjaśniła się, gdy usłyszał, przy kim ma usiąść. Powitał Elspeth serdecznym uśmiechem.

— Jamie! Cóż za urocza niespodzianka! Jak się cieszę, że cię widzę! Pewnie dopiero co przyjechałeś z Anglii? Co słychać u Maddie?

- Nadal jest w siódmym niebie, Elspeth; mówi tylko o swym pierwszym londyńskim sezonie.

— Jej ostatni list tryskał wprost entuzjazmem — odparła panna Gordon z szerokim uśmiechem. - Maddie jest taka słodka i urocza, że z pewnością ów wymarzony debiut spełni jej wszelkie oczekiwania. Pisała mi także o ciężkich obowiązkach, jakie spadły na twoje barki, Jamesie, w związku ze śmiercią waszego ojca - dodała już poważniejszym tonem. — Jest ci ogromnie wdzięczna, że w tej sytuacji zadbałeś o jej pierwszy sezon!

— A ja jestem wdzięczny mojej siostrzyczce za zrozumienie, jakie okazała, gdy zeszej wiosny musieliśmy całą sprawę odłożyć o rok. Teraz Maddie martwi się już tylko tym, że nie będzie dzielić z tobą uroków londyńskiego sezonu.

- Zdecydowanie Wolę życie obozowe od stołecznych rozrywek, dobrze o tym wiesz, Jamesie. Mam jednak nadzieję

- jeśli tutejsza sytuacja na to pozwoli - wziąć udział w pierwszym balu wydanym na cześć Maddie. Powiedz, co cię sprowadza do Portugalii? Myślałam, że ugrzęzłeś na dobre w Whitehall”.

- Zaproponowano mi miejsce w sztabie Wellingtona.

— Wspaniale!

- Ogromnie się ucieszyłem. Zwłaszcza że dzięki temu uwolnię się od takiego zwierzchnika jak Townsend.

- Doskonale cię rozumiem! Papa też nie ma zbyt wysokiej opinii o pułkowniku - odparła Elspeth poważnym tonem, ale z podejrzanym błyskiem w oku.

Oboje roześmiali się na wspomnienie zgoła niecenzuralnych uwag ojca Elspeth na temat owego oficera. Major przejechał się po wszystkich przodkach Townsenda, przeklinał jego głupotę i pyszałkowatość, groził, że go kiedyś zabije, i podawał w wątpliwość męskie walory pana pułkownika.

- Czy mogę liczyć na taniec z tobą po obiedzie, Elspeth? - spytał James, zanim z grzeczności zaczął rozmowę ze swoją drugą sąsiadką.

— Oczywiście!

Elspeth była ulubienicą zarówno brytyjskich, jak portugalskich oficerów, toteż przesiadła tylko jeden taniec, i to w towarzystwa porucznika Morrisona, który niedawno został ranny w nogę. Wszystkim młodzieńcom bardzo odpowiadało naturalne zachowanie Elspeth i jej poczucie humoru. Tańcząc z panną Gordon, mieli wrażenie, że znajdują się w towarzystwie siostry albo dziewczyny znanej im od dzieciństwa - było to jak powiew świeżego powietrza po nazbyt upajającej woni egzotycznych kwiatów: portugalskich piękności z najlepszych domów.

Gdy minęło początkowe skrępowanie, Elspeth jak zawsze bawiła się wyśmienicie; przez cały wieczór jednak czekała na taniec z Jamesem Lambertem. Do brata swojej najmilszej towarzyszki z pensji pani Page czuła więcej sympatii niż do innych zaprzyjaźnionych oficerów.

Jakże miła jest serdeczna zażyłość, która łączy mnie i Jamesa! myślała Elspeth, gdy weszli w taneczny krąg. Nie- raz już tańczyli ze sobą, ale nigdy jeszcze nie był to walc. Może ten śmiały kontynentalny taniec sprawi, że ich wzajemna przyjaźń wzbogaci się o jakiś nowy element? Gdy jednak wirowali w rytm walca, czuła, że obejmujące ją serdecznie ramię jest jak zawsze ramieniem brata. Bliskość ich ciał nie wykrzesła żadnej nowej iskry.

Elspeth przyznała się w duchu do pewnego rozczarowania. Przyjaźniła się z Jamesem od dwóch lat, równie długo jak z Maddie, i od czasu do czasu zadawała sobie pytanie, czy łączące ich niewymuszone koleżeństwo przerodzi się kiedyś w głębsze uczucie.

Jednak mimo iż James był jednym

najprzystojniejszych mężczyzn, jakich знаła, nie czuła nic oprócz tych przelotnych iskerek zainteresowania. Może gdyby zachowywał się wobec niej inaczej, poczułaby do niego coś więcej? Albo odwrotnie: gdyby ona zaczęła go kokietować, w sercu Jamesa coś by się zbudziło?

Widziała jednak jasno, że choć niewątpliwie lubili przebywać w swym towarzystwie, w ich sympatii nie było zmysłowych podtekstów. Szkoda wielka, że jeden z najbardziej uroczych mężczyzn to tylko przyjaciel! Elspeth natychmiast skarciła się w duchu: „tylko przyjaciel”?! Dobry przyjaciel — bez względu na płć — to przecież bezcenny skarb! Jednakże Elspeth od czasu do czasu tęskniła za czymś więcej, co najwidoczniej nie było jej pisane.

Nie po raz pierwszy tego dnia Val przeklinał kamieniste, wąskie górskie ścieżki we wszystkich znanych sobie językach: po angielsku, hiszpańsku i portugalsku; jego koń potykał się, raz omal nie runął ze zbocza. Trzeba było znowu zsiąść, by wierzchowiec mógł stąpać nieco pewniej.

- Wiem, że to nie twoja wina - powiedział Val do konia, owijając sobie cugle wokół prawego ramienia i przekładając karabin do lewej.

W dole znajdowała się szersza droga, ale Val ze względu na dokumenty, które miał przy sobie, uznał korzystanie z niej za zbyt ryzykowne. Kiedy usłyszał, że nadjeżdża tamtędy jakiś powóz, skrył się za skalnym występem.

Był to prywatny powozik, co Vala bardzo zdziwiło; zaskoczył go też nagły atak grupki bandytów, którzy zjechali pędem z przeciwległego zbocza i uderzyli na woźnicę i eskortującego powóz żołnierza, którzy nie przeczuwali grożącego niebezpieczeństwa. Val nie był w stanie stwierdzić, czy woźnica był jego rodakiem, czy też Portugalczykiem. Jakież to jednak ma znaczenie? pomyślał z goryczą. I tak niczego by nie wskórał, gdyby skoczył mu na ratunek — sam jeden przeciw pięciu bandytom! Odwrócił się już... i wtedy usłyszał krzyk kobiety.

Nie ulegało wątpliwości, że żołnierz padł od razu. Z woźnicą było zapewne tak samo, choć Valowi wydawało się, że poruszył się raz czy drugi. Kobieta jednak żyła - na razie. Może dojść do tego, że będzie oczekiwać śmierci z rąk napastników jak wybawienia. Chyba że... chyba że on sam włączy się do akcji! No cóż... Wobec tego za kilka minut zginiemy oboje, pomyślał z ironicznym uśmiechem, ja od kuli któregoś z bandziorów, ona od mojej... żeby nie musiała znieść czegoś znacznie gorszego. Wyszarpnął pistolet zza pasa i z okrzykiem, który odbił się echem od skalnych zboczy, położył trupem jednego z bandytów. Nabijając ponownie broń, dostrzegł, że kobieta, która zwisała dotąd bezwładnie, ugryzła w rękę wlokącego ją draba i zdołała mu się wyrwać. Napastnik już miał wrzasnąć ze zdumienia i bólu, ale nie zdążył: jego głowa rozprysła się w kawałki. Ależ ta kobieta jest zwinna jak kot! pomyślał Val z podziwem i zgrozą. Wyciągnęła temu draniowi pistolet i rozwalila mu łeb! Rany boskie! Stała teraz bezradnie z nieprzydatną już bronią w ręku. Val postrzelił w ramię jednego z trzech pozostałych opryszków i ześliznął się po stoku aż do drogi. Z trudem utrzymywał się na nogach, robiąc nieustanne uniki, by któraś z kul go nie trafiła.

Zbiry nie spodziewały się, że zaatakuje ich samotny mężczyzna, a Val w pełni wykorzystał ich zaskoczenie. Trzasnął kolbą jednego, gdy próbował nabić ponownie broń. Pozostali jeszcze dwaj: jeden z nich skoczył do kobiety, usiłując zawlec ją z powrotem do powozu, drugi zamierzał widocznie powozić. Val jednak nie omylił się: woźnica żył jeszcze

i pchnął nożem zbliżającego się zbira. Zginęli równocześnie:

bandyta z gardłem przeszytym nożem, woźnica od strzału, który padł, gdy stygnąca dłoń wroga zacisnęła się kurczowo na spuście. Val, błogosławiąc w duchu bohaterskiego woźnicę, rzucił się na jedynego łotra, który pozostał z całej piątki.

Nie miał już naboju i nie mógł użyć broni, zaatakował go więc gołymi rękami. Trzasnął bandziora z całej siły

nerki, ten puścił swą ofiarę i odwrócił się do atakującego, a wówczas Val kolaniem rąbnął go w pachwinę. Kiedy zaś zbir padał, szybkim kopniakiem złamał mu kark.

Stał przez chwilę oszołomiony i bez tchu, zdumiony tym, że żyje. Potem usłyszał, jak ocalona kobieta wymiotuje. Mój Boże, gdyby nie jej szybki refleks, byłoby już po nich! Począł, aż torsje się skończą, i podszedł do niej. Zamierzała właśnie wytrzeć usta spódnicą. Wetknął jej do ręki chustkę.

- Proszę. Nie jest zbyt czysta, ale mimo wszystko w lepszym stanie niż pani suknia. Kobieta spojrzała nań błędnym wzrokiem, jakby nie miała pojęcia, skąd się tu wziął. Potem opadła na Ziemię i oparła się plecami o powóz. Ujrzawszy tuż przed sobą

martwego bandytę, jęknęła cicho. Podniosła oczy na Vala i powiedziała głosem, w którym wdzięczność mieszała się z przerażeniem:

- Złamał mu pan kark... - Jej spojrzenie pobiegło ku bandycie, którego zastrzeliła sama.

— I ja zabiłam człowieka —
szepnęła.

Val odebrał jej chustkę.

- Ma pani trochę wody?

Kobieta popatrzyła nieprzytomnym wzrokiem.

- Może manierkę?

Z trudem skinęła głową, ale była w szoku i nie mogła wskazać jej nawet gestem. Val po chwili znalazł naczynie. Przytknął je kobiecie do ust i powiedział:

— Proszę się napić. — Wypiła trochę, potem on ugasił pragnienie. Nieco wody wylał na chusteczkę i mruknąwszy:

„Pani pozwoli”, zaczął delikatnie ocierać twarz nieznanym. Dopiero wówczas, gdy szmatka zabarwiła się na czerwono, kobieta pojęła, czemu to zrobił, i popatrzyła na swoje ubranie. Kiedy się przekonała, że zarówno peleryna, jak suknia są zbryzgane krwią, znów zebrało jej się na wymioty.

- Proszę głęboko oddychać, niech się pani postara nie zrzucić tej wody — powiedział łagodnie Val. Zbladła straszliwie i Val obawiał się, że zaraz zemdleje; przykucnął obok niej i zmusił, by pochyliła się z głową między kolanami. Delikatnie, okrężnymi ruchami masował jej plecy. Kiedy zaczęła oddychać bardziej miarowo, pomógł jej się wyprostować. Kobieta popatrzyła nań z wdzięcznością. Miała orzechowe oczy. Valowi przemknęła przez głowę myśl, że nigdy jeszcze nie napotkał tak otwartego, szczerego spojrzenia.

- Jest pan brytyjskim oficerem? — spytała.

- Porucznik Valentine Aston, do usług. Przedtem służyłem jedenastym pułku piechoty, ale od niedawna służę u kaptana Granta. Jestem jednym z jego oficerów zwiadowczych.

- Teraz pojmuję, skąd się pan tu wziął zupełnie sam.

- Czy wolno mi zapytać, z kim mam przyjemność? - spytał Val z leciutką ironią, tonem salonowej konwersacji.

Zaczerwieniła się.

- Nazywam się Elspeth Gordon, panie poruczniku. Jestem córką majora Iana Gordona.

- Nie miałem jeszcze zaszczytu poznać osobiście pani ojca, panno Gordon, wiem jednak, że to ogólnie szanowany oficer.

—Jeden z najlepszych ludzi Wellingtona! - odparła z dumą.

- Zamierzała pani zapewne odwiedzić ojca?

- Ależ skąd, wracam po prostu do domu z Lizbony. Od małego podążam wraz z matką za głosem werbla - dorzuciła z uśmiechem.

Powóz zakolebał się, a konie spłoszyły nieco. Nagle Val uświadomił sobie, gdzie się znajdują: zbyt daleko zarówno od Lizbony, jak od obozu Wellingtona, by liczyć na jakąkolwiek pomoc, a w każdej chwili mogła ich zaatakować inna grupa bandytów.

- Musimy stąd uciekać, panno Gordon - powiedział Val, podnosząc się i wyciągnął rękę do swej towarzyszki. Gdy ją uchwyciła, pomógł jej wstać.

- Dobrze pani jeździ konno?

Bardzo dobrze - odparła bez wahania.

- Dam pani mego wierzchowca, a sam dosiędę jednego z zaprzężnych - oświadczył Val. - Jeżeli musi pani koniecznie zabrać coś z powozu, proszę to zrobić, ale obawiam się, że całego bagażu nie możemy wziąć ze sobą.

Elspeth spojrzała znowu na swoją suknię.

— Ja... ja bardzo bym chciała zmienić suknię, panie poruczniku. Potrafię przebrać się szybko - dodała, widząc, że Val

otwiera już usta, by zaprotestować. — O ile pan zechce mi pomóc... - Zrzuciła już pelerynę i zbliżyła się do Vala, który stał bez ruchu. - Mógłby pan to rozpiąć? - spytała nieśmiało.

Starął się udawać, że jest to po prostu jedna z kobiet, którym przez wszystkie te lata pomagał zdjąć suknie. Zdarza ły się wśród nich także eleganckie damy, wiedział więc, jak się rozpina wytworną kreację. Ale chyba nigdy jeszcze nie rozbierałem takiej gidii! pomyślał z przelotnym uśmiechem. Głowa dziewczyny znajdowała się na wysokości jego brody.

- Dziękuję, panie poruczniku. - Panna Gordon, przytrzymując z godnością stanik sukni, weszła do powozu i wyciągnęła z torby zapasowy strój podróży.

Val musiał przyznać, że istotnie szybko się uwinęła. Pomógł zapiąć suknię z lekkiej wiśniowej wełenki i zarzucił pelerynę na ramiona dziewczyny. Uśmiechnęła się do niego.

- Jestem bardzo wdzięczna za pańską wyrozumiałość, poruczniku. Nie wytrzymałabym ani minuty dłużej w tamtej sukni — dodała i zadrżała mimo woli.

Dopiero gdy Elspeth znalazła się w siodle i gdy wjechali na wąską ścieżkę, biegnącą równolegle do głównej drogi, uświadomiła sobie w pełni sytuację i zaczęła dostrzegać otoczenie. Wszystko wydarzyło się tak szybko: huknęły strzały, jacyś ludzie otoczyli powóz, wywlekli ją z niego. Czują palce jednego z bandytów, wpijające się boleśnie w jej ramię, a potem śmierzący czosnkiem oddech, gdy zbir pochylił się ku niej, cmoknął w policzek wilgotnymi wargami i wybełkotał, że czeka ją dużo miłych niespodzianek. Szok, trwoga i poczucie bezradności obezwładniły ją. Kiedy jednak usłyszała kolejny strzał i dostrzegła, jak pada jeden z bandytów, nie namyślając się ugryzła w rękę trzymającą ją lotra i uwolniła się, wrywając mu jednocześnie pistolet z za pasa. Z całą ostrością wróciło teraz wspomnienie tamtych chwil, wszystkich dźwięków i zapachów i Elspeth zaczęła znów dygotać. Zmusiła się do głębokich, miarowych oddechów i skoncentrowała uwagę na koniu, który z trudem i powoli kroczył po nierównej kamienistej ścieżce.

Porucznik Aston, jakby czytał w myślach Elspeth, odwrócił się ku niej i spytał:

- Czy miała już pani kiedyś broń w ręku, panno Gordon?

- Mój ojciec zadbał o to, bym nauczyła się obchodzić z pistoletem i karabinem, zanim jeszcze skończyłam trzynaście lat, panie poruczniku. Ale nigdy dotąd nie strzelałam do człowieka - dodała drżącym głosem.

- Cóż, ten był pierwszy. Zabicie pierwszego wroga jest najtrudniejsze — powiedział Val beznamiętnie.

- Mam nadzieję, że mój pierwszy będzie zarazem ostatnim - odrzekła szczerze nieco pewniejszym głosem. - Ale dzięki za pociechę, panie poruczniku - dorzuciła, uśmiechając się. - Mam wrażenie, że powtarzał pan już nieraz tę złotą myśl, prawda?

Val zaczerwienił się.

— No... raczej tak. Nie miałem pojęcia, że brzmi to jak wyuczona lekcja.

Czy naprawdę potem jest łatwiej, poruczniku?

— Nigdy nie sprawiało mi to przyjemności, jeśli o to pani pyta. Ale można się z tym oswoić. Przyznam, że miałem szczęście: niezbyt często musiałem walczyć wręcz.

- Ja chyba nigdy bym do tego nie przywykła... - odparła Elspeth i wstrząsnęła się.

- No to całe szczęście, panno Gordon, że nie jest pani żołnierzem. Ale tym dzisiaj strzałem uratowała pani życie nam obojgu. Gdyby nie pani i nie woźnica, leżelibyśmy już martwi.

- Jeśli pan sądził, że sprawa jest beznadziejna, po cóż pan ich atakował?

— Nie mogłem przecież stać i przyglądać się, jak oni panią... napastują, panno Gordon! Miałem zamiar zastrzelić panią, nim by do tego doszło.

Elspeth zbladła.

— Chciał pan mnie zastrzelić?

— Albo dać pani pistolet, żeby sama to pani zrobiła - odparł Val rzeczowym tonem. -

Proszę mi wierzyć, śmierć była znacznie lepsza od tego, co oni zamierzali z panią zrobić. A zresztą potem i tak by panią zabili - dodał bez ogródek.

- Tak czy owak, nietypowe metody wychowawcze pani ojca wyszły na dobre nam obojgu! Słońce prawie już zaszło i gdy koń Elspeth znów się poślizgnął na nierównych kamieniach, spojrzała tęsknie na widoczną w dole drogę.

- Nie moglibyśmy pojechać tamtędy, panie poruczniku? Jest już prawie ciemno.

Val zatrzymał konia i zwrócił się twarzą ku dziewczynie.

- Niczego bym bardziej nie pragnął. Mam jednak przy sobie ważne dokumenty i nie mogę pozwolić, by wpadły w obce ręce. Być może w pobliżu kręcą się jacyś inni bandyci.

Gdyby się pojawili, lepiej, by nas nie dostrzegli.

Elspeth westchnęła.

- Będziemy zatem jechać przez całą noc, panie poruczniku? Chciałbym oddalić się jak najbardziej od tego miejsca,

póki jeszcze widać cokolwiek. Wytrzyma pani?

- Wytrzymam - odparła Elspeth pewnym głosem.

- Kochana dziewczynka! - powiedział bez zastanowienia Val i zaraz zaczął mamrotać jakieś przeprosiny.

Elspeth miała ochotę roześmiać się, ale powiedziała tylko:

- Po tym wszystkim, cośmy wspólnie przeszli, nie będziemy się chyba bawić w konwenanse?

Podczas dalszej drogi Elspeth przyjrzała się uważniej jadącemu przed nią mężczyźnie.

Był nieco więcej niż średniego wzrostu, miał imponujące bary i muskularne uda.

Doskonale jeździł konno, tworzył naturalną całość ze swym wierzchowcem, który

wędrował krętą ścieżką to w górę, to w dół. Co jakiś czas porucznik zmieniał pozycję, opierając się ręką o koński zad. Elspeth, obserwując go, uprzytomniła sobie, że jeśli sama tak zeszywniała i zmęczyła się, to jej towarzysz z pewnością jeszcze bardziej: ona przynajmniej siedziała w siodle!

Spróbowała także zmienić nieco pozycję i zdała sobie sprawę, jak boleśnie otarła sobie nogi. Była przyzwyczajona do jazdy po męsku, ale pod rozciętą spódnicą nosiła w takim wypadku spodnie.

Teraz peleryna zakrywała przyzwoicie jej podkasaną suknię, ale nie stanowiła żadnej osłony od raniącego jej ciało twardego siodła, a bawełniane pończochy nie chroniły nóg, ocierających się nieustannie o szorstkie rzemienie strzemion. Może jednak porucznikowi jest wygodniej niż mnie? pomyślała Elspeth i znów zmieniła pozycję.

Noc była coraz głębsza, a księżyc jeszcze nie wzeszedł. Wtedy właśnie usłyszeli daleki tętent kopyt końskich i pobrzękiwanie uprzęży. Nim Elspeth zdążyła zebrać myśli, porucznik zeskoczył z konia i pomógł jej zsiąść.

Może to nasi albo Portugalczycy szepnęła.

- Może. Ale na wszelki wypadek lepiej, by nie dostrzegli naszych koni. Proszę się stąd nie ruszać! — powiedział Val, popychając swą towarzyszkę za wielki głaz.

Elspeth skuliła się za kamieniem; jeźdźcy byli coraz bliżej. Po chwili Val powrócił i przykucnął obok dziewczyny. Konni nadciągali, do uszu Elspeth i Vala dolatywały już pojedyncze słowa w języku portugalskim. Elspeth wydała ni to westchnienie, ni to jęk. - Może to nasi sojusznicy? — szepnęła z nadzieją.

— Wątpię. Lepiej tu dłużej nie czekać. Zobaczyli już pewnie powóz i wiedzą, że ktoś jest w pobliżu. Jadać powoli, bo rozglądają się, szukając nas. Musimy znaleźć jakąś kryjówkę, nim wzejdzie księżyc.

To wspinając się na czworakach, to pełzając na brzuchu oddalili się od ścieżki i pieli się w górę po skalnym zboczu. Co chwila jakiś obluzowany kamień osuwał się po stoku. Za każdym razem Elspeth zamierała bez ruchu, póki Val nie pociągnął jej znów za sobą. W pewnej chwili usłyszała westchnienie ulgi. I nagle Val zniknął jej z oczu. W przerażeniu przyłgnęła do skalnego zbocza. Czyżby osunął się z urwiska, którego nie dostrzegła? Co pocznie teraz bez niego?! I nagle znów się pojawił, wyciągając do niej rękę.

- Szybko!

Spieszyła się jak mogła i po chwili znalazła się u wejścia do niewielkiej jaskini... Nie, to określenie było na wyrost! Dotarli do szczeliny skalnej, zamaskowanej kilkoma mizernymi krzewami - istny cud na tej jałowej, kamiennej pustyni.

- Trochę ciasno, ale to nie najgorsza kryjówka - szepnął Val, pomagając Elspeth wejść do środka. - Proszę uważać na głowę!

O wyprostowaniu się nie było mowy. Prawdę mówiąc, z trudem zdołali usiąść i wyciągnąć nogi.

- Obawiam się, że to niezbyt luksusowy apartament, panno Gordon - zauważył ironicznie Val.

Dobrze, że ma poczucie humoru! pomyślała Elspeth, siadając. Ich ramiona zetknęły się. Natychmiast przesunęła się w prawo, ale z boku sklepienie było tak nisko, że musiała schylić głowę.

- Chyba na samym środku jest najwygodniej - zauważył yał, gdy zorientował się, że jego towarzysza nerwowo szuka miejsca.

Elspeth skinęła potakująco głową i poczuła się głupio: przecież po ciemku nie mógł tego zobaczyć!

Usłyszała rżenie, nie wiedziała jednak, czy to ktośś z ich wierzchowców, czy koń bandytów. Głosy Portugalczyków rozlegały się coraz bliżej. Uświadomiwszy sobie, że napastnicy wpinają się po stoku, wstrzymała oddech.

— Może pani spokojnie oddychać, panno Gordon: nie usłyszą tego — szepnął jej Val do ucha. Elspeth odetchnęła z trudem, starając się nie zważać na szaleńczy rytm własnego serca. Wa

liło w piersi jak werbel podczas parady, a wrogowie, sądząc z odgłosów, znajdowali się na ścieżce tuż pod nimi. Jakże by mogli nie dosłyszeć jej serca, skoro do niej docierało każde ich stąpienie? Bezwiednie jęknęła cichutko ze strachu i wówczas poczuła na swej ręce mocny, uspokajający uścisk. Porucznik przysunął się bliżej; ich ramiona znowu się stykały.

Strach nie opuścił całkiem Elspeth, ale czuła, że przepływa w jej ciało siła i ciepło z ręki i potężnych ramion towarzysza. Lęk nieco osłabł. Wszedł księżyc i mogła teraz dostrzec cienie skał i zarys krzewów.

Dobry Boże, nie pozwól, by nas tu znaleźli! Spraw. bym wróciła do domu! powtarzała w myślach Elspeth, gdy siedzieli tak przycupnięci. Miała wrażenie, że upłynęło wiele godzin.

Potem zorientowała się, że w rzeczywistości trwało to najwyżej trzydzieści minut. Głosy bandytów oddalały się coraz bardziej i w Elspeth zbudziła się nadzieja: może odjechali? Nagła ulga i chłód otaczających ją kamieni sprawiły, że zaczęła dygotać i nie była w stanie opanować drżenia.

- Co się stało, panno Gordon? - spytał szeptem Val.

- Nnnic, tttylko mi zzzimno - odparła, szcękając zębami. - Nnnnie mmmogę ppprzestttać!

— Proszę się oprzeć o mnie plecami — powiedział Val i rozsuniwszy nogi, usadowił Elspeth między nimi tak, że opierała się teraz nie o skalną ścianę, ale o jego pierś. W tej chwili względy przyzwoitości nie miały dla niej znaczenia. Pojęła to, gdy yał objął ją ramionami i mocno przytulił do siebie. Również jego nogi otoczyły ją ciasno, ze wszystkich stron ogrzewało ją ciepło jego ciała.

- To nie tylko zimno, ale i reakcja po szoku - mruknął uspokajająco.

- Czy oni już sobie poszli?

— Chyba tak, ale zawsze lepiej się upewnić. Niech pani zamknie oczy i spróbuje zasnąć, panno Gordon.

Z początku Elspeth nie była w stanie się odprężyć. Nigdy w życiu nie znajdowała się tak blisko mężczyzny wyczuwała najłżejsze drgnienie klatki piersiowej, najmniejsze poruszenie porucznika. Była dosłownie wklonowana w niego plecami i czuła, że dotykają tej... nienazywalnej części męskiego ciała. Jednak było jej coraz cieplej, drżenie uspokajało się, a powieki stawały się coraz cięższe. Nie zdając sobie z tego sprawy, przytuliła się do yała, odprężyła całkowicie i w końcu usnęła.

Rozdział II

Val rad był, że ostre krawędzie skalne wrzynały mu się w plecy; odwracało to częściowo jego uwagę od doznań związanych z niezwykłą bliskością panny Gordon. Jej udało się jakoś odprężyć i zasnąć, ale Val był pewien, że on tej nocy oka nie zmruży! Panna Elspeth Gordon mogła być wysoka i szczupła, ale w niczym nie przypominała szkieletu: nie brakło jej miękkich, ciepłych okrągłości, a Val zapoznał się z bliska z każdą z nich. Nocne czuwanie było dla niego zarówno bolesne, jak cudowne, gdyż sztywniał z zimna, a zarazem doświadczał rozkoszy kobiecej bliskości. Dopiero gdy weszło słońce i jego promienie zaczęły przenikać do ich kryjówki, Val uświadomił sobie wszelkie konsekwencje tej nocy, którą spędzili sam na sam. Gdyby na jego miejscu znalazł się jakiś inny oficer, bez trudu mógłby ocalić reputację panny, prosząc ją o rękę. On, Val, idąc za głosem honoru, postąpi oczywiście tak samo, wątpliwe jednak, by major Gordon zgodził się na takiego zięcia, a jego córce przypadł do gustu taki oblubieniec! Vala przytłoczyło znów dobrze znane poczucie upokorzenia. Gdy panna Gordon poruszyła się i ocknęła, powiedział jej „dzień dobry” szorstkim tonem.

- O, już się rozwidniło! - zawołała Elspeth. - Niewiarygodne: przespałam całą noc. - Uświadomiwszy sobie, gdzie ją przespała, zerwała się nagle.

- Ostrożnie, panno Gordon - szepnął Val... iw tejże chwili dziewczyna wyrznęła głową w sklepienie i krzyknęła.

Opadłszy na kolana, szepnęła:

- Bardzo przepraszam... mój Boże, co będzie, jeśli mnie usłyszeli?

- Dawno się już stąd wynieśli, panno Gordon - zapewnił ją Val. - Nie spałem przez całą noc. Panował tu idealny spokój.

Elspeth spojrzała na niego z sympatią i wdzięcznością. Val kuśtykał po niewielkiej jaskini, próbując rozprostować zeszywniałe kości.

- Spędziłam więc noc znacznie lepiej niż pan, poruczniku. Dziękuję, że czuwał pan nade mną.

Val skinął tylko głową i przeciągnąwszy się parokrotnie, oznajmił:

- Sprawdzę, czy zabrali nam konie, panno Gordon. Pani, korzystając z mej nieobecności, może załatwić różne... hm... osobiste sprawy.

Elspeth strasznie chciało się siusiu i gdy tylko Val zniknął jej z oczu, przykucnęła za krzaczkiem. Jej towarzysz zostawił

wylotu jaskini manierkę, więc Elspeth powróciwszy, wzięła naczynie do ręki i potrząsnęła nim. Manierka była w trzech czwartych pusta, Elspeth musiały więc starczyć dwa łyki. Najpierw przepłukała usta, potem odrobinką wody spróbowała oszukać dręczące ją pragnienie. Gdy Val powrócił, krążyła wokół ich kryjówki, rozprostowując zeszywniałe nogi.

- Zabrali tamtego drugiego konia, ale z moim wałachem im się nie powiodło - oznajmił Val. — I znalazłem ścieżkę, którą znacznie łatwiej dotrzemy do szerszej drogi.

- Dzięki Ci, Boże! - powiedziała Elspeth z uśmiechem ulgi. — Już się bałam, że przyjdzie mi spędzić tu resztę życia. Nigdy bym się nie odważyła zejść tak, jak wdrapaliśmy się tutaj!

Gdy dotarli do ścieżki, Val gwizdnął z cicha. Elspeth usłyszała stukot końskich kopyt.

- Bardzo się pan zaprzyjaźnił ze swym wierzchowcem. To prawdziwy sukces dla piechura! — zażartowała.

- Tak, moi koledzy z dawnego regimentu powtarzają mi ciągle, że teraz z pewnością nie dotrzymałbym im kroku. Ale zwiadowcy dobry koń jest niezbędny. Dzięki Cezarowi nieraz wyszedłem z całym tył... hus... nieraz ocalił mi życie.

Val pogrzebał w jukach i wydobył niekształtne zawiniątko.

— Ten chleb i ser nie są pierwszej świeżości, panno Gordon — mruknął, usprawiedliwiając się — ale zawsze trochę

nas pokrzepią. — Z tymi słowy rozpakował paczuszkę i podsunął dziewczynie część żywności. Ser był równie wyschnięty jak chleb, ale jakoś przełknęli jedno i drugie, popijając resztką wody z manierki. Potem Val wyciągnął rękę. - W drogę! Podsadzę panią na Cezara.

- Przede wszystkim pan powinien na nim jechać! - protestowała.

- Na tej ścieżce nie ujedzie daleko z podwójnym obciążeniem, panno Gordon. Kiedy dotrzemy do bitej drogi i wszystko będzie w porządku, wsiądę i ja.

Zachowuje się dziś całkiem inaczej! myślała Elspeth, obserwując idącego przodem Vala.

Wczoraj miała wrażenie, że są przyjaciółmi, a w każdym razie dobrymi kompanami.

Wspólne przeżycia bardzo ich zbliżyły i choć właściwie nic nie wiedziała o swym towarzyszu, wydawało jej się, że zna porucznika Astona lepiej niż wielu mężczyzn, z którymi stykała się od lat. Kiedy człowiek stanie oko w oko ze śmiercią, nie liczą się konwenanse, dumiała Elspeth. Tak właśnie było tej nocy, którą spędzili przytuleni do siebie w górskiej szczelinie. A teraz? Może porucznik czuje się po prostu zażenowany? Postanowiła, że spróbuje przełamać rezerwę swego towarzysza.

- Jak pan trafił do grupy współpracowników kapitana Granta, panie poruczniku?

- Służyłem przez kilka lat pod jego komendą w jedenastym pułku piechoty, panno Gordon. W stopniu sierżanta - dodał z pewnym przymusem.

— Jak to? Jest pan przecież porucznikiem! — bez zastanowienia wykrzyknęła zdumiona Elspeth. - Musiał pan dokonywać cudów bohaterstwa, jeśli spotkał pana taki awans! - dodała pośpiesznie.

— Ojciec kupił mi patent oficerski, zjawiłem się więc tutaj już w stopniu porucznika. Kiedy kapitan Grant objął stanowisko dowódcy wywiadu w sztabie Wellingtona, zażyczył sobie, by mnie do niego przydzielono.

- Rozumiem - powiedziała Elspeth pogodnie.

W gruncie rzeczy nie rozumiała niczego. Kupno patentu oficerskiego to kosztowna sprawa, ojciec porucznika Astona musiał być więc co najmniej zamożnym kupcem albo nawet zaliczać się do szlachty. Czemu więc nie zroził tego od razu i jego syn zaczynał służbę od szeregowca? Chyba że mieli ze sobą na pieńku... Sądząc z tonu porucznika i

zwięzłości jego wypowiedzi, nie zdoła od niego więcej wyciągnąć, choćby wypytywała z nie wiedzieć jaką życzliwością! Elspeth skierowała więc rozmowę na inny temat.

- Zdążyłam już poznać kapitana Granta, panie poruczniku, i nietrudno pojąć, czemu wybór Wellingtona padł właśnie na niego. Jest nie tylko doświadczonym oficerem i mówi biegle po hiszpańsku i portugalsku, ale odznacza się także niezwykłym urokiem osobistym.

- Jest również wyjątkowo odważny. To, że mnie wezwał, było dla mnie ogromnym wyróżnieniem.

Porucznik mówił tak oficjalnym tonem, że Elspeth pojęła jasno: nie ma mowy o przyjacielskiej pogawędce! Przez dłuższy czas, nim znaleźli się w pobliżu szerszej drogi, posuwali się w milczeniu. Dotarli nad niewielki strumień, zasilający górskie jezioro. W tym miejscu dróżka, którą dotąd jechali, kończyła się. Val zatrzymał konia i pomógł Elspeth zsiąść.

- Może zatrzymamy się tu na chwilę, panno Gordon? Cezar jest bardzo spragniony, przynajmniej, że i ja też.

Elspeth zaczerpnęła wody w dłoń i napiła się. Jezioro było dość głębokie, i choć słońce ogrzewało jego powierzchnię, woda okazała się chłodna i orzeźwiająca. Elspeth obmyła twarz i szyję i odsunęła się, by Val i jego rumak mogli także ugasić pragnienie.

Jak się pani czuje, panno Gordon?

— Strasznie mi się chciało pić, panie poruczniku. No i jestem taka brudna i zakurzona, że z najwyższym trudem powstrzymuję się od kąpieli w tym jezioro! Ale poza tym miewam się doskonale, nie licząc otartej skóry. Przywykłam jeździć konno w nieco innym stroju - dodała z krzywym uśmiechem.

- Sądzę, że od obozu dzieli nas jeszcze kilka godzin drogi.

- No cóż, jakoś to zniosę. Będę przez cały czas marzyć o długiej, gorącej kąpieli w miedzianej wannie mego papy! - rzuciła Elspeth lekkim tonem.

- Ach, tak... Wobec tego lepiej ruszajmy w drogę - rzucił pośpiesznie Val; Elspeth zaczerwieniła się: że też zebrało się jej na intymne zwierzenia!

- Teraz, po lepszej drodze, pan chyba również pojedzie konno?

- Chciałem właśnie zaproponować, by pani usiadła po damsku z tyłu za mną - odparł Val.

— Będzie pani nieco wygodniej.

- Ale czułabym się wówczas mniej pewnie - powiedziała Elspeth, marszcząc brwi. - Muszę przyznać, że bardzo rzadko jeżdżę po damsku. Wolałabym usiąść za panem po męsku, jeśli nie sprawi to panu różnicy.

Val wskoczył na konia i pochylając się, chwycił Elspeth za rękę. Kiedy włożyła stopę w strzemień, podciągnął ją do góry.

- Proszę objąć mnie w pasie, kiedy tylko pani zechce, panno Gordon - zaproponował sztywnym tonem.

— Bardzo panu dziękuję, poruczniku.

Początkowo Elspeth udawało się utrzymać równowagę, jednak jazda okrakiem na końskim zadzie, acz dziewczyna nie ocierała sobie skóry o twarde siodło, była dość niebezpieczna. Gdy więc Val puścił konia klusem, Elspeth, chcąc nie chcąc, musiała

objąć porucznika rękami w pasie. Przez pierwsze dwie godziny jechali na przemian to wolniej, to szybciej. Kiedy jednak Cezar był już wyraźnie zmęczony, Val ograniczył się do stępa. Elspeth odprężyła się i skutek był taki, że wkrótce się zdrzemnęła, oparłszy głowę o plecy swego towarzysza.

Val zorientował się od razu, że dziewczyna usnęła, kiedy oparła się o niego, a uścisk jej ramion zelżał. Przerzucił cugle do lewej ręki, prawym zaś podtrzymał Elspeth. Tak wjechali do obozu. Gdy Val informował wartownika, kim jest, poczuł, że panna Gordon się budzi.

Którędy do namiotu majora Gordona?

- Pan major ma kwaterę we wsi. Musi pan porucznik przejechać przez obóz, a potem skręcić w prawo.

- Dobrze się pani czuje, panno Gordon?

- Doskonale, panie poruczniku. Wstyd mi tylko, że zasnęłam.

- Nie ma się czego wstydzic. To naturalna reakcja po przejściach ostatniej doby

— Pan wycierpiał tyle samo, a przecież nawet nie zmruzył oka! Musi pan być straszliwie zmęczony!

Kiedy dotarli do niewielkiego domku z kamienia, który zajmowali Gordonowie, Val zsiadł i wyciągnął ramiona, by zdjąć Elspeth z siodła. Właśnie ześlizgiwała się na ziemię, gdy z domu wybiegła wysoka, siwowłosa kobieta.

— Elspeth!

— Pannie nic się nie stało, łaskawa pani.

- Wszystko w porządku, mam!

Oboje odezwali się równocześnie. Potem pani Gordon chwyciła córkę w ramiona.

— Kochanie, tak się martwiliśmy o ciebie! Powinnaś była wrócić najpóźniej o północy.

Ojciec szaleje z niepokoju. Powtarzałam mu bez końca, że musiała pęknać oś w powozie czy wydarzyło się coś w tym rodzaju... ale sama wiesz, jaki bywa papa, gdy idzie o ciebie!

Elspeth wysunęła się z matczynych objęć i roześmiała nieco histerycznie.

- Tak, wiem. Ale oto porucznik Aston, mam. Tylko dzięki niemu wracam do was cała i zdrowa.

- Jakże mam panu dziękować, poruczniku? - powiedziała pani Gordon, wyciągając rękę do Vala. — Widzę, że jest pan strasznie zmęczony, ale czy mogę pana prosić o jeszcze jedną przysługę?

— Oczywiście, łaskawa pani.

- Czy zechciałby pan powiadomić mojego męża? Zbiera właśnie ochotników i chce z nimi wyruszyć na poszukiwanie Elspeth. Potem proszę wrócić do nas i opowiedzieć wszystkim! Chodźmy do domu, kochanie.

Val natknął się na majora Gordona, gdy ten wychodził namiotu Wellingtona.

— Panie majorze...

Ojciec Elspeth prawie nie spojrział na niego.

- Nie teraz, poruczniku.

- Chodzi o pańską córkę, panie majorze.

Major zatrzymał się natychmiast.

- O moją córkę? Czy pan coś o niej wie? Jest pan jednym z nowych oficerów Colquhouna, prawda?

- Panna Gordon dotarła szczęśliwie do domu. Przed chwilą tam ją zostawiłem.

- Bogu niech będą dzięki! - Major biegł już na swą kwaterę; Val spoglądał za nim zaskoczony. Nagle starszy oficer odwrócił się, wołając niecierpliwie: — Proszę ze mną, poruczniku! Opowie mi pan po drodze, co się stało. Czy był to jakiś wypadek? Gdzie się pan natknął na nich?

Zasypywał Vala pytaniami, nie pozwalając mu dojść do słowa.

Byli już bardzo blisko kamiennego domku, gdy Val chwycił majora za ramię.

- Panie majorze, musimy koniecznie zamienić kilka słów.

Gordon odwrócił się wreszcie i po raz pierwszy przyjrzał się Valowi.

— Kim pan właściwie jest? — spytał cicho.

- Porucznik Valentine Aston, panie majorze - odparł Val, stając na baczność. -

Oddelegowany pod rozkazy kapitana Granta.

- Czy to był wypadek, poruczniku? Oś im pękła?

- Nie, panie majorze. Na powóz panny Gordon napadli bandyci.

- A jaka była pańska rola w tym wydarzeniu?

— Wracalem właśnie z misji zwiadowczej, zleconej mi przez kapitana Granta.

Zobaczyłem ze szczytu skały atak tych zbirów.

- Oni nie..., nie skrzywdzili chyba Elspeth, poruczniku? -

spytał major zdławionym głosem.

- Nie, panie majorze. Zdażyli tylko wywlec ją z powozu, zanim zacząłem do nich strzelać.

- A więc Elspeth zawdzięcza panu życie?

- Prawdę rzekłszy, panie majorze, nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie panna Gordon. I jej woźnica - dodał Val. - Bandytów było pięciu i mówiąc szczerze, kiedy ich zaatakowałem, nie miałem większej nadziei na powodzenie. Chciałem tylko dotrzeć do pańskiej córki, zanim ją... rozumie pan, co zamierzałem uczynić.

Major skinął głową.

- Ale gdy panna Gordon wykradła pistolet jednemu z bandytów i zastrzeliła go, a woźnica śmiertelnie zranił drugiego, szanse się wyrównały. Powiedzmy więc, że nawzajem ocaliliśmy sobie życie - podsumował Val z uśmiechem.

- Gdyby nie postanowił pan ratować Elspeth nawet za cenę własnego życia, byłoby już po niej - odparł major. - Będę panu wdzięczny do grobowej deski, poruczniku Aston. I może pan być pewny: kapitan Grant dowie się o wszystkim. - Gordon wyciągnął do przodu obję ręce. - Niech pan spojrzy, jaki jestem roztrzęsiony. - Rzeczywiście, drżenie rąk było wyraźnie widoczne, choć zaczęło słabnąć i wreszcie ustąpiło. - Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się nic podobnego, nawet przed bitwą... ale moja malutka dziewczuszka jest mi bardzo droga.

Val był tak wyczerpany, że zapomniał o dobrych manierach. Mimo współczucia dla majora omal nie ryknął śmiechem, gdy Gordon nazwał córkę „malutką dziewczuszką”.

Zdołał się jednak opanować, a wesołość opuściła go do końca, kiedy major zaprosił go na szklaneczkę whisky.

- Coś mi się zdaje, że to ci się bardzo przyda, mój chłopcze!

Val popatrzył na swe zakrwawione spodnie i pokryte kurzem buty.

- Nie mogę się dziś pokazać w przyzwoitym towarzystwie, panie majorze. Potem zaś będę musiał porozmawiać z panem w pewnej ważnej sprawie.

— Jeśli nie chcesz dziś się ze mną napić, przyjdź do nas jutro. Widzę, że ledwie trzymasz się na nogach, drogi chłopcze - odparł major. Chwył Vala za rękę i potrząsnął nią. — Zdobyłeś moją dozgonną wdzięczność, nie zapomnij o tym!

Val był półprzytomny ze zmęczenia, musiał jednak zameldować się natychmiast u kapitana Granta i przekazać mu zdobyte informacje.

— Miałem nadzieję wrócić wcześniej, panie kapitanie, ale zaszło coś nieprzewidzianego...

— Słyszałem, poruczniku, że wróciliście razem z panną Gordon.

Val zaczął opowiadać, ale Grant popatrzył nań z zagadkowym uśmiechem.

- Od trzydziestu sześciu godzin nie zmrużyłeś oka, Aston. Najwyższa pora przespać się. Jutro masz wolne. A tej historii wysłucham kiedy indziej.

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję.

Val zrzucił brudny mundur, wczuł się pod cienki wojskowy koc i natychmiast zasnął.

Otworzył na chwilę oczy następnego dnia rano, gdy na dźwięk pobudki cały obóz podrywał się do życia. Val przewrócił się na drugi bok i spał dalej. Koło południa zbudziła go krzątająca ordynansa:

przyniósł wiadro z gorącą wodą i kawałek mydła.

- Kapitan Grant był zdania, że to się panu porucznikowi przyda.

Val przetarł ręką oczy.

- Wniosłem też pańskie juki i przygotowałem czysty mundur.

Val roześmiał się od ucha do ucha.

- Co za luksusowa obsługa, kapralu! Czy hołubicie tak wszystkich oficerów zwiadowczych?

- Nie, panie poruczniku - uśmiechnął się porozumiewawczo kapral. - Ale tym razem kapitan Grant uznał to za niezbędne.

- Daj mu Boże zdrowie! - mruknął Val, szorując się. - Choć uczynił to pewnie w obronie własnej: wolał nie stykać się z kimś, kto wygląda i cuchnie tak jak ja! — Val zeszkrobywał właśnie z brody resztki Czarnej szczeciny, gdy przed namiotem rozległ się czyjś głos.

- Już pan wstał, poruczniku? - Kiedy Val poznał głos majora Gordona, zaciął się w brodę.

— Niech to szlag! — mruknął. - Popaprzę sobie czystą bluzę! - Szybko wytarił twarz i przylepił strzęp bibułki do skaleczenia na brodzie. - Będę gotów za chwilę, panie

majorze! - Pospiesznie wciągnął kurtkę mundurową, obserwując z niepokojem cień majora, który poruszał się w rytm jego niecierpliwych kroków.

Gdy Valentine był już całkiem gotów, uchylił wejście do namiotu.

- Miło mi pana widzieć, panie majorze. Zamierzałem odwiedzić pana dziś rano... - Val spojrział na słońce i poprawił się: - ...dziś po południu. Może pan major pozwoli do środka?

— Nie, nie, chłopcze. Lepiej przejdźmy się trochę. Chciałbym usłyszeć o wszystkim, co się wydarzyło, a Elspeth nie ma ochoty o tym mówić.

- Niewątpliwie są to dla niej bardzo przykre wspomnienia. — Val pokrótce opisał majorowi przebieg wydarzeń, następnie odpowiedział na wszystkie pytania Gordona.

- Raz jeszcze dziękuję, panie poruczniku, za ocalenie życia mojej córce - rzeki major. - Poinformowałem już kapitana Granta o pańskim szlachetnym postępku.

Oddalili się nieco od obozu i Val wskazał rozłożysty stary dąb.

- Może byśmy usiedli na chwilę w cieniu, panie majorze?

Im bliżej byli drzewa, tym bardziej Val się denerwował, toteż gdy tylko major przysiadł na wielkim kamieniu, młodzieniec rzucił od razu:

— Zdaje sobie pan sprawę, panie majorze, że pańska córka i ja spędziliśmy noc w... hm... sytuacji zmuszającej nas do pewnego zbliżenia.

- Powiedziała mi, że udało się wam znaleźć jakąś jaskinię.

- Jestem pewien, że przyszedł pan do mnie, chcąc przekonać się, czy zachowam się jak dżentelmen, panie majorze. Pańska córka spędziła noc w moich ramionach i tym samym jest skompromitowana. Gdybym był kimś innym..., gdyby moja sytuacja przedstawiała się inaczej..., bez wahania poprosiłbym o jej rękę.

Major Gordon popatrzył na Vala ze zdumieniem.

- Widzi pan, panie majorze, choć być może postępuję jak dżentelmen i z racji swego stopnia mam prawo do tego tytułu, w gruncie rzeczy jednak nie zasługuję na to określenie.

- Rozumiem. Popęłnił pan w przeszłości jakiś naganny czyn?

— Nie, panie majorze.

- W takim razie nie pojmuję pana, poruczniku. Moja córka zapewnia, że pańskie zachowanie wobec niej było nad wyraz szlachetne.

- Jestem bękartem, panie majorze - odparł szorstko Val. — Moim ojcem jest hrabia Faringdon, a matka była córką farmera.

- Rozumiem - powiedział major, podnosząc się.

— Tak więc znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia — dodał nieco spokojniej Val.

- Może by tak było, gdybym chciał zmusić pana do ożenku z Elspeth. Albo gdyby ona sama tego oczekiwała - dodał major z nieco ironicznym uśmiechem.

- Nie pojmuję, panie majorze... Przecież w takich okolicznościach panna ma pełne prawo wymagać, bym się jej oświadczył!

— W jakich znów okolicznościach?! Ocaliłeś jej życie, głupku! Nie pozwoliłeś, by zamarzyła na śmierć na górskim stoku. Przywiozłeś ją szczęśliwie do domu i niech cię Bóg za to błogosławi!

- Ale panna z dobrej rodziny...

- Nie jesteśmy na Berkeley Square, Aston! Czyżbyś tego sam nie zauważył? - burknął major, machnięciem ręki wskazując otoczenie. - W dodatku znaleźliśmy się w samym centrum działań wojennych, a wy nie mieliście innego wyjścia. A zresztą - dorzucił major ze śmiechem - moją małą dziewczuszkę wychowało twarde obozowe życie. Nawet by jej nie przyszło do głowy, że należy złożyć taką ofiarę na ołtarzu konwenansów!

- To by nie była żadna ofiara - zaprotestował Val.

- Może nie dla pana, poruczniku. Myślałem o Elspeth. Usiłowaliśmy ją namówić, by zamieszkała w Londynie u

dziny matki i zajęła należną pozycję w wielkim świecie. Odmówiła kategorycznie. Więc czemu miałyby teraz rezygnować z wolności, by dostosować się do reguł takiego życia, które świadomie odrzuciła? — Major popatrzył na Vala i rzekł: — Pewnie zamartwiałeś się tym od wczoraj, co? Podziwiam twoje poczucie honoru i twą szczerość. Co się zaś tyczy urodzenia..., no cóż, przecież ty nie jesteś za nie odpowiedzialny! A to, że wybór kapitana Granta padł właśnie na ciebie, świadczy dobitnie, że jesteś wiele wart! — Major klepnął Vala po ramieniu i dodał: - Idziemy, chłopcze. Pani Gordon nie może się ciebie doczekać. Moja malutka tak samo.

Val poczuł tak wielką ulgę, że nie był w stanie powstrzymać uśmiechu, usłyszawszy to określenie. Major roześmiał się głośno.

— Wiem, wiem, że wyrosła jak topola! Ale dla swego taty będzie zawsze malutką dziewczuszką.

Kiedy dotarli na kwaterę Gordonów, otworzył im ordynans majora. Panią Gordon i Elspeth zastali przy herbacie.

- Porucznik Aston! - wykrzyknęła majorowa z radosnym uśmiechem. - Już myślałam, że Ian nie zdołał pana namówić na filiżankę herbaty!

- Odbiliśmy z porucznikiem ważną rozmowę w cztery oczy, moja droga. Ciebie to dotyczyło, mała! - dodał. - Pan porucznik poprosił o twoją rękę, jak mu nakazywał honor dżentelmena, ale ja w twoim imieniu odmówiłem. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe? - dodał z filuternym błyskiem w oku.

- Jesteś niepoprawny, łanie! - strofowała go żona.

- Wiem, wiem,.. Ale przyszło mi potem do głowy, że Elspeth może wolałaby sama zabrać głos w tej sprawie.

Val oniemiał i zrobił się czerwony jak burak, rychło jednak przekonał się z ulgą, że panny Gordon szczerze słowa ojca nie wprawiły w zakłopotanie. Podziękowała Valowi skinieniem głowy i powiedziała z całym spokojem:

- Doceniam pańską delikatność, panie poruczniku. Nie sądzę jednak, by warto było zaprzętać sobie głowę tą sprawą, znajdowaliśmy się przecież w sytuacji przymusowej. Mój ojciec z pewnością wyjaśnił panu, iż nie zważam na konwenanse, zwłaszcza gdy są równie głupie jak ten! Proszę, niech pan siada i przestanie się zadręczać.

Val rzucił jej spojrzenie pełne ulgi, podziwu i wdzięczności. Panna Gordon rozładowała napiętą atmosferę rzeczowym podejściem do sprawy. Val był jej bardzo wdzięczny, gdy taktownie pokierowała rozmową, nie wspominając już o jego szlachetnym geście.

Niestety, trudno było rozmawiać, nie nawiązując do postępuku Vala. Pani Gordon podniosła do ust filiżankę i znowu ją odstawiła, zwracając się do gościa:

- Panie poruczniku, nie jestem w stanie wziąć nic do ust, póki nie podziękuję z całego serca za pański bohaterski czyn!

- Każdy żołnierz na moim miejscu postąpiłby tak samo, łaskawa pani.

— O ile wjem, gotów był pan poświęcić życie, byle ocalić Elspeth od strasznego losu, panie poruczniku.

Val pojął, że swą siłę i spokój Elspeth odziedziczyła po matce.

- Gdyby doszło do najgorszego, łaskawa pani, zadbałbym o to, by miała lekką śmierć - zapewnił z powagą. - Ale sprawy potoczyły się inaczej, głównie dzięki szybkiemu refleksowi pani córki. - Spojrzał na Elspeth i lekkim ukłonem wyraził swe uznanie.

- Mój mąż dawno temu zadbał, by każda z nas umiała obchodzić się z bronią palną — wyjaśniła pani Gordon.

- Cóż, należy tylko błogosławić jego dalekowzroczność!

- Zdaje się, że od niedawna jest pan jednym ze zwiadowców kapitana Granta?

- Istotnie, łaskawa pani. Kapitan Grant był moim dowódcą na Karaibach; kiedy dowiedział się, że otrzymałem patent oficerski, wciągnął mnie do swej grupy zwiadowczej.

- Niełatwo będzie dorównać takiemu dowódcy jak kapitan, prawda, panie poruczniku?

Val uśmiechnął się.

— Wiele słyszałem o jego zasługach i całkowicie się zgadzam ze zdaniem łaskawej pani. Byłbym szczęśliwy, gdybym dokonał połowy tego, co on.

- No pewnie, nie każdy potrafi przedrzeć się na tyły nieprzyjaciela i wrócić stamtąd ze stadem bydła, wystarczającym na wykarmienie całej armii! — wtrącił major Gordon.

Po prawie godzinnej rozmowie, w której poruszano najrozmaitsze tematy - od strategicznych planów Wellingtona do przeżyć Vala na Karaibach - gość podniósł się.

- Nadużyłem państwa gościnności, łaskawa pani - rzekł, zwracając się do majorowej.

— Ależ skąd! Pańska wizyta sprawiła nam wielką radość, panie poruczniku. Mam nadzieję, że niebawem znów nas pan odwiedzi. Często zapraszamy oficerów na obiad; z przyjemnością ujrzymy pana przy naszym stole, gdy tylko będzie pan dysponował czasem.

— Dzięki, łaskawa pani.

- To wspaniały chłopak, Elspeth - powiedział ojciec po odejściu Vala. - Szkoda, że uniemożliwiłem ci skorzystanie z jego oferty - dodał z szelmowskim uśmiechem.

- Jak mogłeś postawić chłopca w tak głupim położeniu, lanie! — strofowała majora żona.

— Całe szczęście że ty, kochanie, uratowałaś sytuację.

— Porucznik trzymał się wczoraj wyraźnie na dystans. Rada jestem, że powodem tego były jego rozterki matrymonialne, a nie jakaś niezręczność z mojej strony — odparła lekkim tonem Elspeth. - Ulżyło mi, kiedy przy herbacie trochę się odprężył.

— Na pewno się nie mylisz, Ianie? On rzeczywiście zaczynał od szeregowca? - dopytywała się pani Gordon.

- Tak, moja droga. W jedenastym pułku piechoty służył w stopniu sierżanta pod komendą Colquhouna.

- Mnie również o tym powiedział, papo. Pomyślałam wówczas, że to bardzo dziwne, iż ojciec nie kupił mu od razu patentu oficerskiego. Musiały istnieć między nimi jakieś nieporozumienia...

- Porucznik nie mówił mi wiele o swoim ojcu; dowiedziałem się tylko, że jest nim hrabia Faringdon i że nie ożenił się z jego matką. Właśnie dlatego chłopak zachowywał taki dystans wobec ciebie, Elspeth. Sądził, że przez niego znalazłaś się w sytuacji bez wyjścia: jeśli za niego nie wyjdiesz, będziesz skompromitowana. Jeśli wyjdiesz, także nie unikniesz hańby, bo zostaniesz żoną bękarta.

Elspeth zamarła z rozwartymi szeroko ustami.

— Hrabia Faringdon jest jego ojcem, Ianie? Wobec tego wicehrabia Holme to przyrodni brat Astona!

— Słyszałam, papo, że regiment Charłiego zjawi się tu w ciągu miesiąca - powiedziała w zamyśleniu Elspeth. - Ciekawe, czy oni w ogóle się znają? A jeśli tak, to czy się nawzajem lubią?

- Któż by nie lubił wicehrabiego?

Elspeth uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście, wszyscy przepadają za Charłiem. - Dodała jednak w duchu: Może z wyjątkiem nieślubnego starszego brata...

Rozdział III

Vał odbył długi spacer wokół obozu i gdy poczuł się zmęczony, postanowił darować sobie kolację w oficerskim kasynie i położyć się jak najwcześniej do łóżka, by w pełni odzyskać formę przed porannym spotkaniem z kapitanem Grantem.

Obudził się przed świtem i z zamkniętymi oczyma leżał jeszcze przez chwilę na swym polowym łóżku, przetrawiając w myślach wydarzenia ostatnich kilku dni. Jako doświadczony żołnierz przeżył już tak wiele, że starcie z bandytami zacierało się powoli w jego pamięci. Prześladowało go natomiast wspomnienie nocy, podczas której tulił w objęciach Elspeth Gordon; dotyk jej rąk obejmujących go w pasie, a potem ciężar jej ciała, gdy w końcu zasnęła wsparta o niego. Najbardziej wzruszało go zaufanie, z jakim dziewczyna oddała się pod jego opiekę. Vał poczuł nagły przyływ pożądania i jęknął z cicha. Nie może sobie pozwolić na podobne marzenia o kobiecie, która z pewnością nie była mu pisana! Wstając z łóżka, przekonywał sam siebie, że przelotny pociąg jest zjawiskiem całkiem naturalnym: sytuacja zmusiła ich przecież do poufałości, które normalnych okolicznościach byłyby nie do pomyślenia.

Vała dziwiło jednak własne pożądanie; bo choć szczerze podziwiał pannę Gordon za jej odwagę i humor, nie była zupełnie w jego guście. Wolał drobne kobietki, które budziły w nim uczucia opiekuńcze. Ona zaś była według niego zbyt wysoka i szczupła... A jednak dobrze pamiętał, jaka wydała mu się uległa, kiedy zasnęła w jego ramionach... Nic

dobrego nie wyniknie z takich wspominków, pomyślał z ironią. Jesteś żołnierzem i możesz liczyć najwyżej na obozowe dziwki! Przynajmniej raz yał nie narzekał na poranny chłód, myjąc się w lodowatej wodzie:

Val sądził, że jego rozmowa z kapitanem Grantem odbędzie się bez świadków, ale gdy stanął się w namiocie swego dowódcy, skierowano go do Wellingtona, gdzie zastał kilku innych oficerów.

- Panowie — powiedział Grant nie zdążyliście chyba zapoznać się z porucznikiem Astonem, który jest u nas od niedawna, a w dodatku przez ostatnich kilka tygodni wykonywał z mego rozkazu pewne zadanie poza obozem. A zatem: porucznik Aston, porucznik Lucas Stanton, porucznik George Trowbridge i markiz Wimborne.

Val osłupiał, tamci również.

— Co się wam stało, panowie?

Markiz wysunął się naprzód z ręką wyciągniętą do Vala.

- Ależ nic, panie kapitanie. Co za niezwykły zbieg okoliczności! Porucznik Aston to nasz dawny kolega szkolny. Nie myślę się chyba... to przecież ty, Val? - zagadnął go z uśmiechem.

— Tak, to ja, milordzie.

- No to cóż... witaj w Portugalii, kolego!

- A pan co na to, poruczniku Stanton? - Granta zdziwiła rezerwa okazana Valowi przez wicehrabiego.

— No tak... James ma rację. Przez krótki czas uczyliśmy się w tej samej szkole. To dopiero niespodzianka! — dodał gładko i skinął niedbale ręką Valowi.

- Wobec tego pora kończyć to powitanie. Przejdźmy do ważniejszych spraw. Za chwilę zjawi się książę Wellington, chciałem jednak, żeby panowie dowiedzieli się o tym od razu:

porucznik Aston będzie odpowiedzialny wyłącznie przede mną; zajmie się rozpoznawaniem wszelkich działań przeciwnika na terenie stąd do Santarc'm. Masscna* okopał się tam widać na dobre i na razie nie ma problemów z aprowizacją. Książę Wellington jest jednak zdania, że Francuzi muszą wkrótce podjąć decyzję: albo frontalny atak na linie naszych umocnień, albo ostateczny odwrót do Hiszpanii. W takiej sytuacji każda uzyskana informacja jest na wagę złota.

Kiedy książę Wellington zapoznał pokrótce oficerów z bieżącą sytuacją, polecił odejść wszystkim z wyjątkiem kapitana Granta. Opuszczając namiot naczelnego wodza, Val spostrzegł, że Stanton ruszył przodem w towarzystwie dwóch innych oficerów. Zerkali na niego ukradkiem i Val był pewny, że Stanton zniweczył ostatecznie jego szanse na normalne stosunki z resztą „rodziny” WeHirigtona. I tak już uchodził za odmienca, gdyż służył poprzednio jako prosty żołnierz w piechocie. Teraz Stan- ton bez wątpienia rozpapie, że Aston jest bękartem.

— Dawno się nie widzieliśmy, Val — odezwał się James, gdy znaleźli się przed namiotem.

— Dokładnie dwanaście lat, milordzie.

- Jesteśmy przecież na „ty” — poprawił go markiz z uśmiechem. - Czyżbyś już zapomniał?

Val po sekundzie wahania uśmiechnął się również.

- Ogromnie się ucieszyłem dziś rano na twój widok, Val.

- Byłem zdumiony, żeś mnie sobie przypomniał!

- Takiego kolegi się nie zapomina! Będę pamiętał do śmierci to straszliwe lanie, jakie spuściłeś Stantonowi!

— Obawiam się, że on także je pamięta — odparł Val.

— Nie zwracaj na niego uwagi! Charakter mu się nie poprawił z wiekiem, ale nie sądzę, żeby ci bruździł. Zresztą, pracując dla Colquhouna, będziesz przeważnie przebywał poza obozem. Może wpadniesz do mojego namiotu na herbatę? Chciałbym się dowiedzieć, co porabiałeś przez te wszystkie lata!

Po raz pierwszy, odkąd Val został porucznikiem, któryś z oficerów potraktował go po przyjacielsku. Zaproszenie markiza wzruszyło Astona do głębi, choć twarz nawet mu nie drgnęła i odparł jedynie:

- Dzięki, Jamesie. Z przyjemnością.

Wyposażenie namiotu markiza nie było tak spartańskie jak Vala. Wimborne nie pławił się w luksusach, ale utrzymywanie lokaja było niewątpliwie zbytkiem w warunkach frontowych, a właśnie wokół nich krzątał się lokaj Jamesa.

- Wypijmy za dawne czasy! - zaproponował James, wznosząc cynowy kubek.

- Wolę wypić zdrowie dawnych kolegów. - Val łyknął herbaty i westchnął z satysfakcją. — Prawdziwa gratka! A w dodatku zdarza mi się po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni. Wczoraj piłem herbatę u Gordonów - dodał.

- W całym obozie krążą opowieści o twym bohaterskim czynie. Musisz zapoznać mnie ze wszystkimi szczegółami!

- powiedział James. - Najpierw jednak opowiedz, gdzieś się podziewał po opuszczeniu Queen”s Hall. Z pewnością wiesz, że Charlie był zrozpaczony.

— Nie mógłbym tam zostać, Jamesie, nawet dla Charliego.

- Doskonale cię rozumiem. Wiem, jak to ciężko czuć się kimś obcym.

Val spojrział na niego z niedowierzaniem i James natychmiast się poprawił:

- Źle się wyraziłem... Skąd mógłbym o tym wiedzieć?

- Nie chodziło mi tylko o to. Do roli pariasa zdążyłem już przywyknąć. Najbardziej zabolęło mnie, jak potraktowali... a raczej jak zlekceważyli..., występki Stantona. — Val zawahał się na sekundę, a potem się uśmiechnął. — Pamiętasz może, że akurat w miasteczku zatrzymał się regiment werbunkowy? Zaciągnąłem się jeszcze tego samego wieczora.

— I przez te wszystkie lata służyłeś w wojsku?

- Tak, w jedenastym pułku piechoty z hrabstwa Deyon. Dosłużyłem się stopnia sierżanta, zanim otrzymałem patent oficerski. Rzecz jasna, że w armii byłem takim samym dziwolągiem jak w Queen”s Hall: zbyt prosty dla oficerów, a dla szeregowców zanadto uczony; lata spędzone w terminie u George”a But-ona wyszły mi jednak na dobre. Nigdy nie przypuszczałem, że będę kiedyś wdzięczny temu bydlakowi, ale przez kilka

pierwszych lat w woju naprawdę go błogosławiłem! Po czulej opiece George'a żaden sierżant nie mógł mnie złamać.

- Czy twój ojciec... hm... czy hrabia wiedział, co się z tobą stało?

— Napisałem mu, że porzucilem szkołę i zaciągnąłem się do wojska. Postarałem się jednak, by mój list dotarł do niego z północy, żeby nie mógł mnie odszukać. Nie miałem zresztą złudzeń, by hrabia miał na to ochotę... chyba żeby Charlie nalegał.

- A co z Charliem? - spytał łagodnie markiz.

Utrzymywałem z nim kontakt przez te wszystkie lata, ile to było możliwe. Raz się nawet spotkaliśmy w Londynie, zanim odpłynąłem na Karaiby. Chciałem się z nim pożegnać... na wszelki wypadek.

Val zamknął na chwilę, wspominając ostatnie spotkanie z bratem. Wiedział wówczas, że Chanie po dwóch se-

strach w Oksfordzie prowadzi światowe życie podczas londyńskiego sezonu. On sam także znalazł się w Londynie i dano mu trzydzieści sześć godzin wolnego przed odpłynięciem statku, który miał przetransportować ich regiment do Indii Zachodnich.

Val włożył najlepszy mundur i udał się do londyńskiej rezydencji Faringdonów na St. James Street. Zastanawiał się, czy nie wejść kuchennymi drzwiami, ale pomyślał sobie: Co, u diabła, jestem jego przyrodnim bratem i służę królowi i ojczyźnie! Podszedł więc do frontowych drzwi Faringdon House i energicznie zastukał.

Baynes go oczywiście nie poznał. Val musiał zdjąć czako i dwa razy powtórzyć swoje nazwisko, nim kamienną twarz majordoma rozjaśnił przelotny uśmiech.

— Wicehrabia Holme je właśnie śniadanie, ale jestem pewien, że zechce się z panem spotkać. Proszę wejść.

— Nie, nie! Lepiej mu nie przeszkadzać! — Cholera, w wojsku zapomniał ze szczętem, jak późno wstawało to bractwo wyższych sfer!

Proszę chwilkę zaczekać.

Val odwrócił się i zaczął przyglądać się jakiejś pannie, która w towarzystwie służącej przechodziła właśnie przez ulicę, gdy usłyszał za sobą czyjeś kroki.

- Powiedz mu tylko „do widzenia” ode mnie, Baynes - dodał, odwracając się.

Przed nim stał Charlie w szlafroku.

- Lepiej sam mi to powiedz! Ależ ty masz tupet, Val: zjawiasz się z jakimś głupim „do widzenia”, a przez te wszystkie lata ani razu nie wpadłeś z choćby jednym „dzień dobry”!

Trwało dobrą chwilę, nim Val oswoił się z nową sytuacją

- przyrodni braciszek był teraz wyższy od niego co najmniej o trzy cale, a głos miał równie niski jak jego ojciec i starszy brat! Kiedy się ostatnio widzieli, Charlie był uczniakiem i przechodził właśnie mutację. Ten nowy Chanie, modnie uczesany „na Brutusa” i paradyjący w jedwabnym szlafroku, w niczym nie przypominał dawnego. Val odruchowo cofnął się.

- O, nie, nic z tego! Nie uciekniesz mi! Wejdz do środka, proszę cię, Val! - zaklinał go Chanie.

- Czy twój ojciec...

— Czy nasz ojciec jest w domu? Nie wrócił jeszcze z Faringdon, możesz spokojnie wejść! - odparł Chanie z gorzkim uśmiechem.

- Nie mam zbyt wiele czasu - poinformował go Val, sia dając na krześle.

Chanie kazał podać drugie nakrycie dla brata, potem spojrzął na własny czubaty talerz, roześmiał się i odsunął go od siebie.

- Tak jestem podniecony, Val, że nic bym nie przelknął! Fantastycznie wyglądasz w mundurze! Ale dlaczego uparteś się zaczynać od samego dołu? Przecież ojciec kupiłby ci patent oficerski, jestem tego pewien!

— Pewnie, jeśli byś go o to poprosił, Charlie.

- Nie: jeśli byś ty go o to poprosił!

- Nie mogłem tego zrobić. Przecież wyjaśniłem ci wszystko w listach.

— Ach, jak ja na nie czekałem, Val! Ale listy to marna pociecha, kiedy człowiek tęskni za bratem.

Mimo pozorów światowca Charlie nie zmienił się nic a nic! Ten sam młodszy braciszek z niebieskimi oczyma pełnymi miłości, serdeczności, troski...

— Ja też za tobą tęskniłem, Chanie — powiedział Val z trudem. Podobne deklaracje nigdy mu nie przychodziły łatwo.

- Więc co ma znaczyć ta „pożegnalna” wizyta?

- Jedenasty pułk skierowano na Karaiby. Odpływamy pojutrze.

- Ach, tak...

- Pomyślałem... że jak już jestem w Londynie... to na wszelki wypadek... a nuż coś się zdarzy...

- Ile masz wolnego?

- Do jutra wieczór, przed zaokrętowaniem.

- No to spędzimy razem dziś i jutro!

Następnego dnia wcześniej rano udali się na konną przejażdżkę po parku.

- O Boże! Bolał mnie wszystkie gnaty! - jęknął Val, gdy wracali do domu. - Taki już los piechura: nie siedziałem na koniu od lat.

- Wobec tego po południu pospacerujemy po parku zamiast jeździć. To powinno cię odprężyć.

Zjawili się w parku w chwili, gdy roilo się tam od powozów i kabrioletów. Val zauważył, że Charlie jest w eleganckim towarzystwie równie lubiany jak w Queen's Hall; co chwila jakiś jeździec lub właściciel szykownego ekwipażu zatrzymywał się na krótką pogawędkę. Chanie nieodmiennie przedstawiał Valentine'a słowami „mój starszy brat”. Vala ogromnie bawiły zaskoczone miny znajomych usiłujących pojąć, jakim cudem Charlie, mając starszego brata, może być wicehrabią?!

Wieczorem Charlie chciał go wyciągnąć do teatru, gdyż Ryszardzie III grał słynny Kean.

- Już go widziałem i jest fantastyczny, mówię ci! Z pewnością będziesz nim zachwycony!

— Muszę stawić się w porcie skoro świt, Charlie. Nie mogę się wylegiwać do Bóg wie której jak różni lalusie! — odparł Val z łobuzerskim uśmieszkiem.

- No to spędzimy spokojny wieczór w domu.

Wieczór był zdaniem Vala aż za spokojny. Charlie próbował paplać o tym i owym, ale potem zamilkł na dobre. W końcu popatrzył na brata i powiedział ze smutkiem:

- Szkoda, że odpływasz jutro, Val. Miniecie się z ojcem dosłownie o jeden dzień.

— Pewien jestem, że hrabia się rym nie zmartwi.

- To nieprawda, Val! Chciałbym, żebyś w to uwierzył! Ojciec stale mnie pyta, czy nie miałem od ciebie wiadomości. I z pewnością kupi ci patent... Chcesz, żebym go o to poprosił?

— Ani się waż!

Charlie jednak oczywiście poprosił w końcu ojca. Val omal nie odmówił przyjęcia patentu. Ostatecznie przyjął go pod wpływem listu od brata, który użył naprawdę rozsądnych argumentów i... własnej ambicji, która zaczęła dochodzić w nim do głosu. Na Karaibach Val służył pod komendą wspianego dowódcy, Colquhouna Granta. Wellington powierzył mu jednak misję stworzenia wywiadu. Następca Granta, syn jakiegoś baroneta, nie miał żadnego doświadczenia wojskowego i w ogóle nie znalazł się na niczym. Val był już wówczas od trzech lat sierżantem i zaczął orientować się, że potrafi zarówno kierować ludźmi, jak podejmować trafne decyzje. Żołnierze wykonywali jego rozkazy bez oporu, często z zapalem. Jako porucznik miałby prawo podejmowania samodzielnych decyzji. Mógłby nawet awansować wyżej, gdyby wojna trwała dostatecznie długo...

Wobec tego postanowił przyjąć patent. I pożałował tego natychmiast, gdy po raz pierwszy zjawił się w kasynie. Z czasem sytuacja bynajmniej się nie poprawiła. Bogu dzięki, że został oficerem zwiadowczym Colquhouna: ten rodzaj służby stawiał co prawda dalszy awans pod znakiem zapytania, ale uwalniał go od upokarzających kontaktów z innymi oficerami, którzy nieustannie dawali mu do zrozumienia, że nie jest jednym z nich.

- A co sądzisz o panie Gordon? - spytał James, przerywając rozmyślenia Vala.

— O panie Gordon?

— Tak, o panie Elspeth Gordon, której ocaliłeś życie.

— Prawdę mówiąc, Jamesie, to wcale nie takie pewne, kto kogo ocalił. Tych bandziorów było pięciu i rzucając się na nich, chciałem ocalić dziewczynę od gwałtu, nie od śmierci. Dzięki Bogu, ojciec nauczył ją strzelać z pistoletu. No i jej woźnica tuż przed śmiercią zabił jednego z tych łajdaków. Szkoda, że nie zdążyłem mu podziękować - dodał Val z żalem.

- Słyszałem, że major Gordon szalał z niepokoju, kiedy powóz córki nie wrócił o północy. Zdobyłeś przyjaciela do grobowej deski, a kogoś takiego jak Ian Gordon warto mieć po swojej stronie!

- Jak myślisz, czy reputacja panny Gordon bardzo na tym ucierpi?

Jej reputacja?

- Spędziliśmy noc sam na sam, w bardzo ciasnym pomieszczeniu - mówił z wahaniem Val. - Prawdę mówiąc, poprosiłem majora o jej rękę, ale musiałem, rzecz jasna, wyjaśnić mu, z kim ma do czynienia.

- Rzecz jasna! - powtórzył ironicznie James. - Honor oficerski kazał ci od razu z tym wyskoczyć, co?

- I tak dowiedzieliby się o tym raz-dwa; Stanton by się to postarał - odparł z przymusem Val.

- Nie pozbyłeś się jeszcze swoich głupich kompleksów, co?

Val chciał już zaprotestować, ale James ciągnął dalej łagodniejszym tonem:

- Rozumiem cię, Val, naprawdę, mimo że w to nie wierzysz. I podziwiam hart, z jakim znosisz swą sytuację... Ale musisz wreszcie pojąć, że nieślubne pochodzenie nie jest twoją najważniejszą cechą!

- Może bym łatwiej to pojął, James je, gdyby wszyscy wokół nie byli przekonani, że jest

- Nie sądzę, by twoje nieślubne pochodzenie znaczyło wiele dla lana Gordona, jego żony i córki w porównaniu z tym, że jesteś człowiekiem honoru i dobrym oficerem. Majorowa może sobie być wnuczką hrabiego, ale życie Gordonów od tak dawna związane jest z wojskiem, że zalety bojowe cenią ponad wszystko. A Elspeth kpi sobie z opinii „śmieranki towarzyskiej”! Byłbym rad, gdyby moja siostra Maddie przypominała ją pod tym względem.

— To ty masz siostrę, Jamesie?

Markiz uśmiechnął się.

— Tak, Madeline Jane, ale wszyscy nazywamy ją Maddie. Były z Elspeth na jednej pensji. Maddie to kochana dziewczuszka i nawet dość rozsądna, ale teraz nie potrafi myśleć, mówić ani pisać o niczym prócz czekającego ją na wiosnę debiutu w wielkim świecie.

— Masz jej to za złe?

- Ależ skąd! Jakże inaczej znalazłaby sobie odpowiedniego męża? Tylko, widzisz, mój ojciec nie miał głowy do interesów... - dodał James z gorzkim sarkazmem - ani do zarządzania rodzimym majątkiem. Doprowadzenie rodzinnych finansów do jakiego takiego stanu zajęło mi mnóstwo czasu.

- Bardzo ci współczuję, Jamesie...

- Dzięki Bogu, udało mi się wykrobać sumkę niezbędną na ten upragniony sezon Maddie! - westchnął James i po chwili mówił dalej: Nie martw się reputacją Elspeth, Val! Podczas wojny takie głupstwa się nie liczą. Przyznam ci się, że nieraz wolę tutejsze problemy od wymagań londyńskiego towarzystwa, które spodziewa się po mnie Bóg wie czego!

Rozdział IV

Elspeth wyruszyła na poranną przejażdżkę. Markiz Wimborne trafnie określił jej stosunek do konwenansów. Pod rozciętą spódnicą miała skórzane bryczesy, mogła dzięki temu jeździć po męsku, nie wywołując zgorszenia. Czuła się o wiele bezpieczniej i swobodniej, jeżdżąc okrakiem po nierównych portugalskich ścieżkach, gdzie wystarczył jeden obłuzowany kamień, by „klapnąć na dupę”, jak to wytwornie określała Mags Casey. Elspeth uśmiechnęła się na wspomnienie pani Casey, jednej z obozowych praczek. Lubiła ją z wielu powodów, między innymi dlatego, że Mags górowała nad nią wzrostem. No,

może „górowała” to lekka przesada - przyznała uczciwie Elspeth - ale co za przyjemność mieć do czynienia z kobietą wyższą od siebie! Pani Casey zasługiwała w całej pełni na określenie „dragona w spódnicy”; Elspeth potwornie się bała, że i do niej przyłgnie to przezwisko. Mags była potężnie zbudowana, co ogromnie przydawało się w jej pracy, a wyprane przez nią rzeczy wracały tak czyściutkie, jakby pani Casey mogła korzystać z Bóg wie jakiego sprzętu! Tymczasem sama taszczyła wodę ze strumienia, rąbała drwa na opał i wykręcała każdą sztukę w ręku, bo jej niewielka wyżymaczka ciągle się psuła. Elspeth uśmiechnęła się jeszcze szerzej na myśl o Mags i jej... no cóż, chyba można by nazwać sierżanta Talimana „wielbicielem pani Casey”; z całą pewnością był jej „przyszłym”, nawet jeśli sam jeszcze nie wiedział o czekającym go szczęściu. Mags była zdecydowana wydać się za niego. Will Tallman był od niej niższy o dobre sześć cali i miał drobniejsze kości. Wyobraziwszy sobie tę parę w czułym objęciu, Elspeth zastanawiała się, czy sierżant Taliman nie czuje się czasem przytłoczony kształtami swojej bogdanki? Na samą myśl o ich pieszczotach powróciło wspomnienie nocy, gdy spała w ramionach porucznika Astona. Mimo że noc była wówczas zimna, Elspeth czuła ciepło, promieniujące z ciała Vala i spowodowane jej własną reakcją na jego bliskość. Elspeth niejednokrotnie czuła pociąg do takiego czy innego mężczyzny. Kiedyś nawet sobie wmówiła, że jest zakochana w niewiarygodnie wprost przystojnym poruczniku z regimentu jej ojca. Miała wówczas piętnaście lat i serce omal jej nie pękło, gdy porucznik oznajmił, że zaręczył się z pewną młodą damą przebywającą w Anglii. Biedny podłotek musiał nawet podziwiać miniaturę owej wybranki, którą narzeczony chwalił się podczas obiadu u państwa Gordonów! Elspeth wkrótce wstała od stołu, wymawiając się bólem głowy, i rzuciwszy się na łóżko, załała się łzami.

Podczas pobytu na pensji godzinami dyskutowały z Maddie o przymiotach idealnego wielbiciela, a w listach, które do siebie pisywały, można było znaleźć wzmianki o takim czy innym lordzie albo poruczniku, dla których ich serca zaczynały szybciej bić.

Jednakże bliższy kontakt fizyczny obu panien z płcią przeciwną ograniczał się do tańca oraz - w przypadku Elspeih - do „zaślinionego całusa” (jak to określiła), którym obdarzył ją pewien podchmielony oficerek.

Elspeth przypomniała sobie, jaką poczuła ulgę, gdy porucznik Aston przygarnął ją do siebie, i jakie nawiedziły ją wówczas uczucia, rozkoszne a zarazem troszkę niepokojące. Gdyby przydarzyło im się coś podobnego w Anglii, byłaby skompromitowana i zmuszona do poślubienia porucznika. Elspeth poczuła, że się rumieni na samą myśl o takiej możliwości.

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej, gdy spostrzegła, że jeździec, który znacznie ją wyprzedzał, teraz zaś zawrócił i zbliża się ku niej, to porucznik Aston we własnej osobie. Wolalaby uniknąć tego spotkania, gdyż rozmowa z porucznikiem po takich rozmyślaniach na jego temat wydała się jej próbą ponad siły... Elspeth była jednak nieodrodną córką swoich rodziców i mężnie stawiała czoło wyzwaniu.

- Dzień dobry, panie poruczniku! Widzę, że i pan, i Cezar wróciliście już całkiem do formy

- odezwała się pogodnie, gdy Val zatrzymał się przed nią.

- Istotnie, łaskawa pani - odparł sztywno.

- Wraca pan do obozu, panie poruczniku? Może dotrzyma mi pan towarzystwa?

Jechali przez chwilę w niezręcznym milczeniu. Elspeth zerknęła raz czy drugi na swego towarzysza. Trzymał się na koniu równie swobodnie jak przedtem, ale w czystym mundurze wyglądał zgoła inaczej! Elspeth zdała sobie sprawę, że w pamięć wryły jej się przede wszystkim siła i ciepło, bijące z całej jego postaci, i że w gruncie rzeczy wcale mu się nie przyjrzała. Teraz, obserwując Astona z profilu, dostrzegła mocną opaleniznę i drobne zmarszczki wywołane ostrym słońcem. Przypomniała sobie, że spędził kilka lat na Karaibach. Włosy miał ciemne, kędzierzawe, nieco zbyt długie - upodobniały go do Cygana. Nos porucznika nie dorównał nochalowi Wellingtona, za to miał pośrodku niewielkie zgrubienie; Elspeth domyśliła się, że to ślad dawnego złamania.

Poczuwszy na sobie wzrok dziewczyny, poucznik odwrócił się do Elspeth, a jej przebiegło przez głowę: Mój Boże, gdyby nie te szare oczy, wyglądałby groźnie! Oczy jednak rzeczywiście łagodziły wyraz jego twarzy.

- Zupełnie pan nie przypomina Charliego, poruczniku! Aż dziw, że jesteście braćmi! - Gdy Elspeth wypowiedziała tę myśl na głos, od razu ujrzała rumieniec na twarzy Astona. Natychmiast sama pokraśniała ze wstydu, ale nie mogła już odwołać swoich słów. - O Boże! Jestem nieodrodną córką mojego ojca, panie poruczniku! Zawsze mówię bez ogródek to, co myślę! Proszę mi wybaczyć, jeśli pana uraziłam... ale papa powiedział mi o pańskim pokrewieństwie z wicehrabią Holme.

- Czy powiedział pani również, dlaczego wspomniałem mu o swoim pochodzeniu? Elspeth doszła do wniosku, że tamta noc w jaskini musiała być tylko snem: porucznik mówił tak sztywno i oficjalnie, jakby nie miał w sobie ani odrobiny ciepła.

- Owszem. Pańska troska o moje dobro i pańska szczerość wywarły na nim wielkie wrażenie. Na mnie też. Proszę, niech mi pan wybaczy, poruczniku, że poruszyłam temat najwidoczniej bolesny dla pana.

Val zatrzymał konia i odwróciwszy się, spojrzał jej prosto w oczy. Choć na jego twarzy nadal malowała się surowość, ton głosu był nieco łagodniejszy.

- Niedawno ktoś mi powiedział, że jestem przewrażliwiony na punkcie swego nieprawego pochodzenia, panno Gordon. Chyba miał rację. Pani także się nie omyliła — dodał z przelotnym uśmiechem. — Chanie i ja jesteśmy całkiem odmienni, zarówno z powierzchowności, jak z charakteru.

- Wicehrabia Holme jest tak cudownie otwarty i serdeczny! — odparła Elspeth i zmieszala się. — O Boże... wcale nie to chciałam powiedzieć...

- Oczywiście, że to, panno Gordon. Chanie łatwo zdobywa sobie przyjaciół. Wszyscy go kochają i on kocha wszystkich - stwierdził Val rzeczowym tonem. - Jestem szczęśliwy, że mam takiego brata. Zawdzięczam bardzo wiele jego dobroci, choćby mój oficerski patent - dodał.

Elspeth zauważyła, że pod pozornym spokojem Vala kryje się jakiś smutek. Czyżby porucznik Aston uważał, że sam nie jest zdolny wzbudzić w nikim uczucia? Albo odwzajemnić je? Jeśli tak się sprawy miały, czy powodem tego było nieprawe pochodzenie? Niech się dzieje co chce:

brnijmy dalej! powiedziała sobie Elspeth.

- Ojciec wpoił we mnie przekonanie, że ludzi należy cenić za to, co sobą reprezentują, a nie za ich pochodzenie. Zdobył pan zaufanie kapitana Granta, a to nie byle co,

poruczniku! Moi rodzice darzą pana prawdziwym szacunkiem. I ja również - dodała miękko. - Nie zdążyłam jeszcze podziękować za pańską zaszczytną propozycję, ale mój ojciec powiedział panu szczerą prawdę: gdyby on panu nie odmówił, zrobiłabym to sama. Uważam, że małżeństwo zawarte wyłącznie dla zadowolenia opinii publicznej nie może być szczęśliwe. Mam nadzieję, że mimo tej odmowy będzie pan częstym gościem w naszym domu - powiedziała z uśmiechem, starając się osłabić panujące między nimi napięcie. — Łudziłam się, że wspólne przeżycia uczynią z nas przyjaciół - zakończyła z wyraźnym żalem.

Ta właśnie nutka szczerego żalu przebiła pancerz sztucznej obojętności Vala. Zdał sobie sprawę, że choć Elspeth Gordon była nieustraszoną dziewczyną, stawiającą czoło niebezpieczeństwu równie śmiało jak jej matka, mógł jednak zranić jej uczucia.

Rzeczywiście, przez krótki czas byli przyjaciółmi. Po co się tego wypierać?

Jak zawsze, Valowi trudno było zdobyć się na serdeczne słowa. Czuł, że brzmi to sztucznie i niezręcznie, gdy powiedział:

- Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała mnie pani uważać za swego przyjaciela, panno Gordon. I bardzo chętnie złożę państwu od czasu do czasu wizytę, gdy tylko obowiązki mi na to pozwolą. - Pomyślał przy tym: Jak to dobrze, że już prawie dojechaliśmy do obozu! Nie mam pojęcia, co mógłbym jej jeszcze powiedzieć! Pożegnał pannę gestem ręki i odjechał.

Elspeth przez chwilę patrzyła za nim. Potem zsiadła z konia i poprowadziła go w odwrotnym kierunku. Nie czuli się swobodnie w swoim towarzystwie, ale tego należało się spodziewać! Musiała przecież wspomnieć o tych jego oświadczeniach. Niemądrze byłoby zostawiać jakieś niedomówienia, które z pewnością jeszcze bardziej by ich krępowały.

Niepotrzebnie się jednak wyrwała z uwagami na temat jego pochodzenia... Ale, u diaska, przecież i to stałoby jak mur między nimi! Miała nadzieję, że Valentine Aston przyjmie zaproszenie na obiad, gdyż chciała go bliżej poznać. Człowiek, który zaczynał służbę od szeregowca, który przyznawał, że jest bardzo przywiązany do brata, ale ani razu nie wspominał o swym ojcu, ogromnie ją intrygował! I pociągał, przyznała w duchu Elspeth.

Rozdział V

Sierżant Will Tallman z 11. pułku piechoty siedział przed swym niewielkim namiotem z ponurą miną i klnąc po cichu, ale z całego serca, usiłował przyszyć urwany guzik od munduru.

- Rany boskie! - wrzasnął, dziabnąwszy się po raz trzeci w kciuk. Potrafił przecież w ciągu minuty trzykrotnie załadować muszkiet i oddać trzy strzały. Czemuż więc, do jasnej cholery, nie może przyszyć guzikaka bez rozlewu krwi?!

Siedział, ssąc poszkodowany kciuk, już miał cisnąć w pierony tę cholerną igłę, gdy stanął przed nim Valentine Aston.

Myślałem, że pani Cascy trooszczy się o ciebie jak należy, Will! - zażartował Val, siadając obok dawnego towarzysza broni.

- Jasne, że mnie obszywa! Zapinałaby mi nawet co rano guziki od munduru, gdybym jej na to pozwolił, panie poruczniku! Właśnie dlatego sam się wziąłem za igłę. Jak nie będę uważał, gotowa za mnie oddychać!

Ludzie gadają, że jak nie będziesz uważał, zawlecze cię do ołtarza.

Will spojrzął na Vala spode łba; potem roześmiał się.

— Nieraz mnie już baby chciały złapać, ale żadnej się nie udało!

- Ale nie miałeś przedtem do czynienia z taką potężną babą jak Mags!

Will splonął po korzonki nieco już przerzedzonych rudych włosów.

- To, co trzeba, i ja mam duże! - oświadczył z wielką godnością, po czym mrugnął do Vala. Ten ryknął śmiechem.

- Przyniosłem trochę herbaty, Will. Może ją zaparzysz, to sobie popijemy?

- Dzięki, panie poruczniku! Chętnie się czymś zajmę, byle się nie kaleczyć tym draństwem!

- Podaj mi kurtkę, to cię wyręcę.

Val zawiązywał właśnie supełek, gdy koło namiotu poj wili się Lucas Stanton i George Trowbridge.

- Widzę, że ciągnie cię do dawnych koleżków, Aston! Czyżbyś się bawił w szwaczkę?

- Mam zręczne ręce, Stanton - odparł chłodno Val. - Potrafię obchodzić się z igłą, kowalskim młotem, szpadą i pi stoletem.

Wyglądało na to, że Stanton podejmie zawołane wyzwanie Vala, ale Trowbridge odciągnął kompana i poszli dalej.

- Kim był ten cholerny idiota, panie poruczniku?

— Wicehrabia Stanton. Wiele temu spotkaliśmy się w pewnej szkole... i miałem nadzieję, że drania nigdy więcej nie zobaczę.

- Herbatka gotowa, panie poruczniku. Z cukrem, jak pan lubi.

— Skąd wytrzasnąłeś cukier, Will?

- Mags ma swoje chody.

— I nie żałuje ci słodczy, co?

- Tak jest, panie poruczniku, trochę słodczy zawsze w życiu się przyda. Tylko nie lubię, jak mnie baby osaczają, jasne? Żołnierz nie powinien się Żenić! I chciałbym wiedzieć, czemu Mags tak się pali do tego, żeby owdowieć po raz czwarty!

— Po raz czwarty?! Więc by] rzeczywiście jakiś pan Casey?

- A jakże, szeregowiec z Irlandzkiego Zwiadu Konnego. A jej drugi zginął pod Corunną. A jeszcze przedtem wyszła za sierżanta werbunkowego. Zmiotła go febra w Sussex.

- No to pani Casey wędruje z wojskiem już dobrych parę lat, co, Will?

- Tak jest. Byłby z niej lepszy generał niż z Erskine”a - odparł Will z uśmiechem.

- Każdy byłby lepszy od tego zapijaczzonego durnia, niech go szlag!

Obaj skinęli zgodnie głowami i zajęli się herbatą, odsyłając do wszystkich diabłów jednego z oficerów sztabowych Wellingtona, którego sam głównodowodzący chętnie by zobaczył w piekielnym towarzystwie.

- Słyszałem, że przysłużył się pan Gordonom, panie poruczniku.

— Miałem trochę szczęścia, a panna Gordon szybki refleks, i tyle.

- Z tego co wiem, z majorówny porządna dziewczucha. Ani ona, ani jej matka nie zadzierają nosa i każda pogada czy to z szeregowcem, czy z podoficerem, czy z ich żonami. No i obje są stale przy majorze, a nie tylko wpadają z wizytką, jak to niektóre panie oficerowe. — Will popił herbaty i powiedział cicho: - Naszym chłopakom brakuje pana, panie poruczniku. Mnie zresztą też - dodał z przelotnym uśmiechem.

— Dziękuję, Will. Mnie także was brak. Czasem się zastanawiam, czy dobrze zrobiłem, przyjmując ten cholerny patent.

- Jasne, że pan porucznik dobrze zrobił! Jakem tylko na pana rzucił okiem, od razu wiedziałem: to materiał na oficera!

— Jakiś na mnie pierwszy raz rzucił okiem, Will, byłem całkiem zielonym rekrutem i umiałem tylko dwie rzeczy czytać i wymachiwać kowalskim młotem, a to się na wiele w wojsku nie przyda!

- E tam: krzepa i trochę książkowej wiedzy to nie najgorsza kombinacja!

- Chyba masz rację - przyznał z szerokim uśmiechem Val. - Nigdy bym nie przeżył musztry z sierżantem Hawkirisem, gdybym przez kilka lat nie pracował dla podobnego bydlaka. A jakbym był niepiśmienny, nie zostałbym oficerem zwiadu !

— I strasznie prędko otrząsał się pan z francuskim i hiszpańskim. Gada pan po ichniemu jak sam kapitan Grant!

- Wcale nie mówię dobrze po francusku, Will! Gdzie mi tam do Granta! Na szczęście nie muszę mówić; wystarczy, że czytam w tym języku. Z hiszpańskim i portugalskim idzie mi znacznie lepiej, Bogu dzięki. Ale dość tego gadania o mnie, Will! Jak ci się podoba komenderowanie ludźmi, kiedy wreszcie zostałeś sierżantem?

Przeważnie całkiem mi się to podoba. Długo się nacze kałem.

- Wobec tego z mojego patentu wynikło coś dobrego: twój awans!

- Daj Boże zdrowie hrabiemu Faringdonowi! - zażartował Will, unosząc kubek z herbatą jak do toastu.

- Raczej wypijmy zdrowie wicehrabiego Holme, Will!

- Jak sobie pan porucznik życzy. - Will zamilki na chwilę. — Ale czasami sierżantowanie to nie taka znów frajda. Musiałem skazać na chłostę jednego z moich ludzi.

- Co przeskrobał? - spytał Val ze współczuciem w głosie.

- Podwędził chłopu kurczaka.

— No to ma cholerne szczęście, że go nie powiesili. Dobrze wiesz, jak stary Nochal zapatruje się na podobne sprawy!

- Powiedziałem temu głupolowi, że nie złożę na niego raportu, ale dostanie dwieście kijów, żeby się oduczył kraść. Nigdy nie mogłem patrzeć, jak kogoś biją, a tu w dodatku z mego rozkazu... — Will westchnął.

— Wiem, co czujesz, Will. Doskonale pamiętam, jak sam po raz pierwszy kazałem dać komuś baty. Bolało mnie każde uderzenie. Ale my też kiedyś oberwaliśmy po dwieście, Will, i jakoś to przeżyliśmy. Ten chłopak też przeżyje... przynajmniej do następnej bitwy.

- Tak jest, panie poruczniku. Chyba ma pan rację.

- Gotowe! - oznajmił Val, który, wypiwszy herbatę, wziął się z powrotem za igłę. - Wszystkie guziki siedzą teraz mocno. Masz u mnie dług wdzięczności, Will. Ocaliłem cię od Mags Casey... choć nie wiem, na jak długo!

- Serdeczne dzięki, panie poruczniku! Niech pan znów niebawem zajrzy!

- Zajrzę, Will, zajrzę, choćby po to, żeby się przekonać, czy cię jeszcze nie złapała! Przechodząc wzdłuż rzędu namiotów, Val odniósł wrażenie, że świerzbą go stare blizny na plecach, choć to oczywiście niemożliwe. Zal mu było tego żołnierza, choć - jak tłumaczył Willowi — chłopak miał rzeczywiście szczęście, że skończyło się na chłości. On sam był w armii zaledwie od pół roku, kiedy ukarano go w ten sposób. 11. pułk piechoty stacjonował wtedy w hrabstwie Kent. Było upalne lato, jakiego nie pamiętano w tamtych stronach od lat. A musztrowano ich bez końca do szeregu, czwórkami, znów do szeregu.. Sierżant był najgorszym draniem, jakiego ziemia nosiła. Val nie spotkał podobnego ani przedtem, ani potem. W porównaniu z sierżantem Hawkinsem George Burton wydawał się aniołem! Tamten bydlak potrafił skazać na pięćdziesiąt kijów za nie dopięty kołnierzyk lub brak guzika. Teraz Vai przypominał sobie ów dzień, jakby to było wczoraj.

- Czemu nam w ogóle każą chodzić w tych psich obrózkach?! - buntował się, bo przed chwilą był świadkiem trzeciej w tym tygodniu chłosty. Żołnierze leżeli na polowych łóżkach i nie mogli zasnąć z powodu gorąca. Vala piekła nieznośnie szyja, otarta od kołnierza.

- Hawkins to wredny bydlak.

— Jego to rajcuje, wiesz? Największą ma radochę, jak ktoś zemdleje podczas marszu w tym upale! I nic tylko każe nam dreptać w kółko, jakby się bawił ołowianymi żołnierzykami, cholera jasna!

— Musztra nie jest taka głupia, Val. Im szybciej uda się sformować szyk, tym więcej chłopca przeżyje.

- Akurat! Zapuścimy korzonki w tym Kencie na amen! - marudził Val. - Zgłosiłem się do woja, bo mnie gnało w obce kraje Żołnierz cały świat przemierzy..." No i co z tego wyszło, cholera!

— Zawsze się dziwiłem, czemu taki chłopak jak ty się zacinał

Val zamilkł na chwilę. Nikomu dotąd nie opowiadał o sobie, ale z jego sposobu bycia i z mowy łatwo dawało się poznać, że wywodzi się z wyższych sfer niż przeciętny rekrut. Z tego właśnie powodu stroniła od niego większość kolegów; nawet nie dlatego, żeby go nie lubili... ot, po prostu: nie był jednym z nich. Jedynie Willa Tailmana nie zraziło wykształcenie Vala. Ale Will był przyjacielem całego świata. Uśmiechał się do wszystkich i z wszystkimi podżartowywał, nawet z oficerami. Starszy o dziesięć lat od Vala, wziął go pod swoje skrzydła. Val uznał, że powinien powiedzieć mu prawdę. Chyba zresztą chciał się wreszcie komuś zwierzyć...

- Przez sześć lat terminowałem u kowala, Will, więc specjalnie niczym się od was nie różnię. Z wyjątkiem ojca - dodał gorzko.

— A kim jest twój stary, Val? Markizem czy księciem? - zażartował Will.

- To Charles Valentine hrabia Faringdon - odparł bezbarwnym tonem Val.

Will gwizdnął.

— Żartowałem, chłopie... Nie bujasz?

- Jestem tylko bękartem jasnie pana, Will. Ani mu w głowie było ożenić się z moją matką. Odszukał mnie mój przyrodni brat i zeszły rok spędziłem razem z nim w prywatnej szkole. Sporo się tam nauczyłem: na przykład tego, że czasem ciężiej żyć w takiej instytucji niż w wojsku... No i dałem nogę.

— Nie lepiej było wrócić do kowalstwa niż zaciągać się do woja?

— Pewnie bym musiał iść jeszcze raz do terminu, Will. A sierżant werbunkowy obiecywał, jakie to nas czekają przygody...

— Jeszcze je poczujesz na własnej skórze, chłopie! Sprawdziło się co do joty, i to wcześniej niż przypuszczał. Następnego dnia szeregowiec Gillingham, chory na suchoty rekrut, zemdlął, stojąc na baczność w południowym upale po wielogodzinnej musztrze. Val już miał złamać szyk i ruszyć mu na pomoc, ale Will go przytrzymał.

— Nie szalej, stary! I tak nic nie poradzisz.

Kiedy jednak sierżant Hawkins zaczął kopać leżącego, wrzeszcząc: „Wstawaj, leniwy bękarcie!”, Val nie mógł się już opanować. Podbiegł do Gillinghama i przyklękawszy, zaczął rozpinać mu kołnierz.

— Do jasnej cholery! Co ty wyrabiasz, Aston?! — ryknął sierżant.

- On nie może oddychać.

- On nie może oddychać, panie sierżancie!

— Tak jest, panie sierżancie — wymamrotał Val.

— Wstawaj, Aston!

- Już prawie odpiąłem, panie sierżancie.

— Wstawać, do ciężkiej cholery! Kapral Baker! Zabrać Astona i wlepić mu dwieście batów!

Val z trudem się hamował, by nie rzucić się na sierżanta i nie udusić go, gdy nagle rozległ się pogodny głos Willa:

— Panie sierżancie, mogę iść razem z chłopakiem? Tylko tak, dla towarzystwa. - Zazwyczaj uśmiechnięta twarz i żartobliwy ton Willa ratowały go z każdej opresji.

- Jak sobie życzysz, Tailman! A za odzywianie się bez pytania ty też oberwiesz dwieście. Dla towarzystwa - dodał Hawkins, przedrzeźniając devoński akcent Willa.

Gdy było już po wszystkim (choć mieli wrażenie, że koszmar nigdy się nie skończy i że zatłuką ich na śmierć), Val i Will powlekli się do koszar, gdzie czekał na nich kapral Gillen.

- Jazda na tyły, chłopaki - polecił im Irlandczyk. - Mam dla was lekarstwo: pomoże wam przeżyć tę noc.

Chlusnął im na plecy kilkoma wiadrami wody, a potem wylał na rany ćwiartkę rumu. Val ugryzł się w rękę, żeby nie wrzasnąć, tak strasznie piekło.

— To was uchroni od zakażenia. A tu macie drugie tyle do wewnątrz, to was zmorzy sen.

- Niech ci Bozia da zdrowie, Gillen - szepnął Will. - Porządny z ciebie chłop, chociaż Irlandczyk!

Val nigdy więcej nie otrzymał chłosty. Bogu dzięki! Wątpił, czy zdołałby po raz drugi znieść coś podobnego. Przywyki do brutalnych metod sierżanta, gdy zaś szeregowiec Gillingham zmarł miesiąc później, Val odczuł raczej ulgę niż żal. Chłopak i tak nie pociągnąłby do zimy.

Był w hrabstwie Kent niecały rok; potem regiment skierowano do Belgii, a jeszcze później na Karaiby. Val bez żalu rozstał się z Anglią. Właśnie na Karaibach zetknął się z młodym oficerem, Colquhounem Grantem, i przekonał się, że nie wszyscy dowódcy są sadystycznymi brutalami jak sierżant Hawkins. Niektórzy z nich traktowali poważnie swe obowiązki i naprawdę dbali o dobro podległych im ludzi. Za takim oficerem żołnierz gotów był iść choćby do piekła.

Val przebiegł myślą ostatnie dwanaście lat i ogarnęło go zdumienie. Zdawało się, że to przeznaczenie zdecydowało o tym, by wstąpił do 11. pułku piechoty, znalazł się na Martynice i poduczył francuskiego, a potem na Maderze zapoznał się z portugalskim i hiszpańskim. I że zwrócił na siebie uwagę Colquhouna Granta, który, dowiedziawszy się o zdolnościach Vala, rozmawiał z nim przy każdej sposobności w obcych językach. Oczywiście Val posługiwał się nimi o wiele słabiej niż kapitan, który nie tylko mówił płynnie, ale znał nawet wiele dialektów.

Niedługo po tym, jak Val zgodził się przyjąć patent oficerski, skierowano go do Portugalii. Dzięki temu już za miesiąc miał spotkać się z Charliem! Val nie był zbyt pobożny, ale pomyślał, że może naprawdę istnieje jakiś dobry Bóg, który znów pozwoli mu cieszyć się towarzystwem brata.

Z drugiej jednak strony, tylko złośliwy los mógł sprawić, że w jego życie weszła Elspeth Gordon! Podczas porannej przejażdżki wprawiała go w zakłopotanie i zmusiła do rozmowy o sprawach, z którymi się zawsze krył. A jednak uczyniła to z taką szczerością i dobrocią... I musiał przyznać, że postąpiła słusznie, bo gdyby nie wyjaśnili sobie wszystkiego, z każdym dniem byłoby im trudniej rozmawiać.

Choć może byłoby lepiej, gdyby wciąż istniała dzieląca ich bariera? zastanawiał się Val, czując znowu dawne blizny na plecach. Jakże by mógł ktoś taki jak on, kto zaczynał od szeregowca, ktoś naznaczony od urodzenia nieścieralnym piętnem hańby, przyjaźnić się z wnuczką hrabiego, córką oficera ze sztabu Wellingtona? Przyjmie jedno czy drugie zaproszenie na obiad do Gordonów — z czystej grzeczności — ale postara się trzymać z dala od panny! Szczęściem, przeważnie będzie przebywał poza obozem, na rekonesansie.

Rozdział VI

Większą część następnego tygodnia Val spędził poza obozem, gdyż Colquhoun Grant i jego ludzie prowadzili nieustanną obserwację Francuzów stacjonujących w Santarm. Masscna stał tam ze swą armią od miesiąca i nic nie wskazywało na to, by szykował się do ataku. Wellington niczym lis zaszył się w jamie, czyli za linią Torres Vedras, na nierównym terenie, któremu angielskie wojska inżynieryjne nadały całkiem odmienny kształt. Generał postanowił za wszelką cenę utrzymać się w Portugalii i nie oddać jej

Francuzom, choć zdaniem wigów było to niewykonalne*. Tak więc obie przyczajone armie czekały: Brytyjczycy za linią swoich umocnień, Massena w odległości trzydziestu mil od nich.

Val, leżąc na brzuchu na skalnym występie, skąd roztaczał się widok na obóz przeciwnika, zadawał sobie pytanie, jak długo Francuzi zdołają wytrwać na swoich pozycjach przy braku pożywienia. Portugalczycy - przez całe wieki zmuszani do cofania się pod naporem Hiszpanów - wypracowali do perfekcji strategię pozostawiania wrogowi ogołoconej ze wszystkiego ziemi. Teraz także rozkazy Wellingtona dotyczące terenów wokół Torres Verdas spotkały się ze zrozumieniem ich mieszkańców i były ściśle wypełniane. Okolice Santarm miały Francuzom nieco więcej do zaoferowania, ale nie mogło im to starczyć na długo. A jednak Massena ani myślał ruszyć się stamtąd. Raporty składane przez Vala przełożonemu stały się w ostatnich tygodniach nużąco jednostajne; Val miał wrażenie, że nie wywiązuje się należycie ze swych obowiązków. Składając ostatni meldunek, zaczął się nawet usprawiedliwiać.

- Bardzo przepraszam, panie kapitanie, ale nic się nie zmieniło - powiedział.

- Nie bardzo wiem, za co te przeprosiny, poruczniku - odparł Grant z uśmiechem. - Nie żądałem przegonienia Francuzów, tylko obserwowania ich.

— Tak jest, panie kapitanie.

- Proszę siadać, poruczniku.

— Dziękuję, panie kapitanie.

Grant westchnął, zapoznawszy się ze zwięzłym, ale rzeczowym raportem Vala.

- Obawiam się, że Massena okopał się tam na dobre. Ale z dwojga złego lepsze to od frontального ataku. Podejrzewam jednak, że nasz przeciwnik wie znacznie więcej o tym, co się teraz dzieje w Anglii, niż byśmy chcieli. Więcej, niż mogło zwykłą drogą dotrzeć do Francuzów...

- Co pan przez to rozumie, panie kapitanie?

- Nasz obecny rząd popiera księcia Wellingtona i jego zamiar utrzymania Portugalii. Jednak z racji choroby króla... jeśli w wyniku ustanowienia regencji Perceyal* będzie musiał ustąpić, do władzy dojdą wigowie. Odwołają oczywiście

Wellingtona, a Massena pogoni nas aż do morza! - Grant, który prawie leżał w fotelu, nagle pochylił się do przodu. -

Jestem przekonany, że ktoś z naszego Ministerstwa Wojny przekazuje tajne informacje na temat obecnej sytuacji politycznej w Anglii komuś, kto przebywa tutaj, a ten z kolei donosi o tym Francuzom!

- Sądzi pan kapitan, że ktoś z nas dopuściłby się zdrady?

- Takie przypadki się zdarzają, poruczniku - rzekł Grant z goryczą. - Należy więc mieć oczy i uszy szeroko otwarte i obserwować, czy nie zdarzy się coś podejrzanego. Dobrze wiem, Aston, że przyjąłeś propozycję współpracy ze mną tym chętniej, że możesz dzięki temu unikać bywania w ka synie. Teraz jednak sytuacja wymaga, byś jak najwięcej czasu przebywał w gronie kolegów-oficerów. Słyszałem, że

Gordonowie pragną widywać cię u siebie.

- No... tak... panie kapitanie.

Proszę traktować to jak część obowiązków służbowych, poruczniku. Nie powinny być zbyt uciążliwe: umożliwią częstsze spotkania z panną Gordon - dodał kapitan z wesołym błyskiem w oku.

— Tak jest, panie kapitanie.

- Zanim jednak będziesz mógł docenić kulinarne talenty pani Gordon, czeka cię, poruczniku, jeszcze jedno zadanie poza obozem - powiedział Grant niemal przepraszająco.

- Mam wrócić pod Santarém?

- Nie. Chcę, byś zawarł znajomość z Julianem Sanchezem. Nie tylko jestem przekonany, że utrzymamy się w Portugalii, ale wierzę, że najdalej za rok dotrzemy i do Hiszpanii. Chcę, byś mi pomagał w utrzymywaniu stałych kontaktów z guerrilleros, to znaczy z hiszpańskimi partyzantami. A więc jutro w drogę, poruczniku. A po powrocie obiad u Gordonów! To rozkaz.

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Dotarcie do warownego obozu guerrilleros zajęło Valowi aż dwa dni. Sanchez, który zaczął swą walkę z garstką ludzi, miał teraz przeszło trzystu podkomendnych, równie sprawnych i karnych jak żołnierze któregośkolwiek z brytyjskich regimentów. Tak przynajmniej mówiono, choć Valowi ich wygląd wydał się nieco osobliwy; kurtki, bluzy i spodnie jakoś nie pasowały do siebie, poza tym ludzie Sancheza nosili barwne szarfy i szerokoskrzydłe chłopskie kapelusze. Vala zatrzymało dwóch wartowników. Kiedy przekonał ich, że jest naprawdę tym, za kogo się podaje, zaprowadzono go do namiotu Sancheza.

- Buenos días, panie poruczniku.

- Buenos días, señor Sanchez.

— Sjen tase. Proszę siadać...

- Gracias.

Val usiadł, a Sanchez zaczął przerzucać papiery na sztabowym biurku. Niemal w tej samej chwili Valentine usłyszał za sobą jakieś kroki - do namiotu ktoś wszedł. Na ustach starego guerrillero pojawił się uśmiech.

- O, już wrócił, Juan? Masz dla mnie coś nowego?

- Si Julianie. Pero, quien es este? Co to za jeden?

Nowo przybyły stał teraz obok krzesła Vala i spoglądał na niego podejrzliwie.

- Przedstawiam ci porucznika Astona, Jack. To nowy oficer zwiadowczy Colquhouna - odparł Sanchez.

Twarz przybysza rozjaśniła się uśmiechem; wyciągnął rękę do Vala.

- Miło mi pana poznać, poruczniku.

Val zrobił zdziwioną minę. Ten wysoki, smukły, ciemnoskóry mężczyzna w pstrym stroju guerillero mówił doskonałą angielszczyzną!

- Pozwoli pan, poruczniku: oto kapitan Jack Belden - oznajmił Sanchez.

Val zerwał się z takim impetem, że omal nie wyrócił krzesła, i stanął na baczność.

- Przestań trzaskać kopytami, chłopie! — powiedział Belden z wesołym błyskiem w brązowych oczach. - Rad jestem, żeś się zjawił, bo mam tu kilka przesylek, które przydadzą

się kapitanowi Grantowi — oznajmił, wyciągając z kieszeni kurtki jakieś papiery i rzucając je na biurko.

Sanchez otworzył wszystkie trzy pakiety i pospiesznie zapoznał się z ich treścią.

Coś ciekawego, Julianie?

- W dwóch informacje już nam znane, za to w trzecim dokładny rysopis jednego ze szpiegów Masscny - odparł Sanchez z drapieżnym uśmiechem.

- No to pewnie niewiele zdoła - rzekł wesoło kapitan. - Zaraz zrobią odpisy, a pan porucznik odwiezie oryginały kapitanowi Grantowi. Ależ mnie suszy! Wpadnie pan do mnie na kieliszek wina, poruczniku?

- Będę zaszczycony, panie kapitanie.

Namiot Beldena znajdował się bardzo blisko miejsca postoju Sancheza. Gdy weszli do środka, kapitan gestem wskazał Valowi krzesło.

- Mam trochę tutejszego wina, poruczniku. Daleko mu do naszego piwa, ale nieźle gasi pragnienie. Zwłaszcza jeśli dodać trochę soku z cytrusów.

Val ostrożnie skosztował trunku, po czym z przyjemnością wypił duży łyk. Nie przepadał za alkoholem, ale słodkie wino, zmieszane z odrobiną cytrynowego i pomarańczowego soku, smakowało wybornie.

- Wolę zachować trzeźwą głowę - rzucił jednak, gdy kapitan chciał mu znów nalać do pełna.

- Wspaniale orzeźwia po całym dniu spędzonym w siodzie, co?

Val czuł, jak zmęczenie ustępuje z jego ciała; odprężył się i zadał pytanie, które nasunęło mu się już w chwili, gdy zobaczył Beldena.

— Jak to się stało, że angielski oficer trafił do obozu guerilleros? Mówi pan po hiszpańsku jak rodowity Hiszpan... panie kapitanie! - dodał z leciutkim opóźnieniem.

- Pan także musi dobrze znać ten język, inaczej Colquhoun nigdy by tu pana nie wysłał!

- No cóż... mówię dość płynnie, ale nie mogę wyzbyć się

cudzoziemskiego akcentu. U pana nie ma go ani śladu, panie kapitanie.

- Mój dziadek poślubił córkę hiszpańskiego granda, panie poruczniku. A babcia już o to zadbała, żeby jej dzieci i wnuczeta poznały mowę jej ojców. To jeden z powodów, dla których Wellington wysłał do Hiszpanii właśnie mnie. Drugim powodem jest moja powierzchowność: z powodzeniem mogę uchodzić za tubylca. Przyznam, że po raz pierwszy cudzoziemski wygląd okazał się dla mnie korzystny... O ile można uznać za korzystne przyłączenie się do guerilleros! - dodał żartobliwie.

— Może nie dla pana osobiście, panie kapitanie, ale dla nas wszystkich na pewno.

- Rzeczywiście, dopomagam w utrzymywaniu kontaktów ze sprzymierzeńcami. A teraz niech mi pan powie, co porabia Massna?

- Nic, panie kapitanie. Wygląda na to, że zamierza spędzić pod Santarém zimę.

— Założę się, że czeka, aż padnie gabinet Perceyala. Czy kapitan Grant nadal podejrzewa, że ktoś przekazuje Francuzom informacje?

— Jest o tym przekonany.

— Nie będzie łatwo wykurzyć tego drania, jeśli ma dobre plecy. Tym przeklętym wigom... dobrze ich znam, bo przypadkiem do nich należę, poruczniku - powiedział wicehrabia Belden z szerokim uśmiechem — nie mieści się we łbach, że Wellington potrafi nie tylko utrzymać Portugalię, ale nawet wkroczyć do Hiszpanii! Jeśli dojdą do władzy, los Europy będzie przesądzony. A co pan myśli, poruczniku, o naszej sytuacji politycznej?

- Nie mam na ten temat wyrobionego zdania - odparł sztywno Val. — Przez ostatnich dwanaście lat służyłem w wojsku jako prosty żołnierz i znacznie bardziej interesowała mnie fachowość moich dowódców niż racje polityków.

- A więc zaczynał pan od samego dołu? Zdumiewające, że nie przejawia pan republikańskich sympatii!

- Jestem przeciwnikiem wszelkich form tyranii, panie kapitanie, a Bonaparte niewątpliwie jest tyranem. Według mnie ktoś, kto ogłosił się cesarzem, nie jest prawdziwym przyjacielem ludu... bez względu na to, pod jakimi sztandarami wspiął się na szczyt.

- Całkowicie się z panem zgadzam, poruczniku, obawiam się jednak, że wielu przedstawicieli mojej klasy pragnie klęski Napoleona wyłącznie ze strachu przed ideami republikańskimi, które mogłyby przeniknąć do Anglii. Bogu dzięki, że Wellington to żołnierz, nie polityk!

— Służę w armii księcia Wellingtona od niedawna, panie kapitanie. Jak pan sądzi, czy on jest w stanie pokonać Napoleona?

- Jeśli go ktoś w ogóle pokona, to tylko stary Nochal! - odparł Belden z uśmiechem. - Gdybym w to nie wierzył, nie byłoby mnie tutaj. Chyba nikt z nas jeszcze nie wie, na co go stać... Do tej pory pozostawał przeważnie w defensywie. Przyjdzie jednak chwila, kiedy uderzy na wroga, i wtedy cały świat się przekona, co to za człowiek! I do czego zdolni są Hiszpanie, kiedy walczą o odzyskanie ojczystej ziemi! - Belden odetchnął głęboko. - Lubię czasami gadać zbyt długo i kwieście, poruczniku - powiedział już innym tonem; w jego oczach żar uniesienia ustąpił miejsca pogodnej życzliwości. - Myślę, że dokumenty dla pana powinny być już gotowe. Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie kapitana Granta.

- Uczynię to z pewnością. Dziękuję za wyborne wino, panie kapitanie.

- Na zdrowie, poruczniku! - Belden wydobył zegarek z kieszeni. - Mam tylko kwadrans na przebranie się przed spotkaniem z uroczą senioritą - dodał z szelmowskim błyskiem w oku.

- Życzę udanego wieczoru, panie kapitanie! Umieściwszy pakiety w skrytce pod kulą siodła, Val dosiadł konia i ruszył w drogę. W nocy, kiedy otulony płaszczem siedział wpatrzony w gasnący żar ogniska, powrócił myślami do spotkania z kapitanem

Beldenem. Bez wątpienia, kapitana naprawdę obchodził los ojczystego kraju jego kuchni?

babki. A jego cygański koloryt i zadumane spojrzenie w połączeniu z żywością usposobienia z pewnością podbijały serca dam. Val uśmiechnął się szeroko. Nic dziwnego, że jakaś czarująca seniorita czeka na Beldena z utęsknieniem!

Val dotarł do obozu po południu następnego dnia. Przekazawszy papiery kapitanowi Grantowi, udał się do własnego namiotu. Rzucił się właśnie na polowe łóżko, gdy posłyszał, że ktoś go woła.

- Panie poruczniku!

Val jęknął i siadł na łóżku.

- Kto tam?

- Szeregowiec Ryan, panie poruczniku, z listem od pani Gordon.

— Możecie wejść, Ryan!

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie poruczniku - powiedział żołnierz, wręczając Valowi liścik na welinowym papierze.

- Dziękuję, Ryan. Możecie odejść.

Żołnierz nadal stał bez ruchu. Val spojrzał na niego surowo.

- Bardzo przepraszam, panie poruczniku, ale kazali mi zaczekać na odpowiedź.

Było to zaproszenie na dzisiejszy obiad.

- Cholera jasna! — mruknął Val, macając zarost na brodzie.

- Znaczy się, pan porucznik nie przyjdzie?

- Znaczy się, Ryan, muszę się raz-dwa wziąć do golenia. Powtórzcie pani Gordon, że czuję się zaszczycony i stawię się punktualnie o szóstej.

- Tak jest, panie poruczniku.

Val opadł na łóżko. O Boże, ależ był zmordowany po trudach ostatnich kilku dni! Marzył jedynie o łóżku... a tu trzeba się wziąć w garść, wyelegantować, a potem brać udział towarzyskiej konwersacji! Gdyby nie wyraźny rozkaz kapitana Granta, wymówiłby się od tego obiadu... Chociaż, kto wie? Przecież idzie tam nie tylko z obowiązku, będzie miał okazję znów spotkać się z panną Gordon.

Rodzina Gordonów miała szczęście: zakwaterowano ją w niewielkim białym domku w pobliskiej wsi. Godzinę później Val zmierzał tam wymyty, ogolony i przebrany w czysty mundur. Po drodze zastanawiał się, kto też będzie na obiedzie i czy uda mu się wywęszyć coś, co naprowadzi go na trop drania, przekazującego tajne informacje Francuzom.

Drzwi otworzył mu przepasany fartuchem Ryan. Był ordynansem majora i w razie potrzeby pomagał w gospodarstwie.

- Proszę wejść, panie poruczniku. Jest pan pierwszy.

Psiakrew! Val znał na tyle zwyczaje obowiązujące w wytwornym towarzystwie, że wiedział, iż nie wypada przychodzić z wizytą zbyt wcześnie... ale ciotka Martha tak od małego wdrożyła go do punktualności, że weszło mu to w krew i nie potrafił zmienić nawyków. Usiadł na niewielkiej ławeczce przed kominkiem i tak go zafascynowały zielone i błękitne płomienie, że nie zauważył, iż ktoś wszedł do pokoju.

- Dobry wieczór, panie poruczniku!

Val zerwał się, wywracając ławeczkę i wymyślając sobie w duchu od durniów.

- Dobry wieczór, panno Gordon. - Gdyby nie to, że panna dobrze już wiedziała, jaki z niego dżentelmen, z pewnością pomyślałaby teraz, że nie tylko przyszedł za wcześnie, ale zachowuje się jak ostatni niezgraba!

Elspeth zajęła miejsce naprzeciw niego.

- Proszę siadać, panie poruczniku - powiedziała i Val uświadomił sobie, że stoi jak głupi, obracając czako w rękach.

- Palimy dziś w kominku jabłoniowym drewnem.

- Jabłoniowym?

— Dlatego właśnie płomienie są takie zielone — wyjaśniła.

— Ach, tak? Rzeczywiście.

Mama zaraz zejdzie, a ojciec powinien lada chwila wrócić.

— Przyszedłem za wcześnie. Bardzo przepraszam.

- Nic podobnego, panie poruczniku, zjawił się pan w samą porę. Co tam, Ryan?

- Przepraszam, panienko... czy mogłaby pani zajrzeć do - Proszę podać panu porucznikowi sherry, Ryan. Pobyt Portugalii ma jedną dobrą stronę - powiedziała z uśmiechem. - Łatwo tu o dobrą sherry i porto. Nie pogniewa się pan, jeśli go na chwilę opuszczę?

- Ależ skąd, łaskawa pani!

Sherry było istotnie wyśmienite. Valowi zaczęła właśnie wracać pewność siebie, gdy przed frontowymi drzwiami rozległy się jakieś głosy.

- Czy mógłby pan wprowadzić do salonu następnych gości, panie poruczniku? - spytała Elspeth, wysuwając głowę zza kuchennych drzwi. - Mamy tu trochę kłopotów!

Val otworzył drzwi wejściowe. Na progu stali Lucas Stanton i George Trowbridge.

- Byłem pewny, że to dom Gordonów - odezwał się wicehrabia — ale się chyba omyliłem, George, bo jakaś hołota otwiera mi drzwi!

Val nadal trzymał w ręku kieliszek sherry; miał ogromną ochotę chlusnąć Stantonowi w gębę resztką wina. Opanował się z największym wysiłkiem i wyjaśnił zimno:

- Panna Gordon prosiła mnie, bym w jej imieniu powitał następnych gości, panowie.

Obaj oficerowie spojrzeli na niego z niesmakiem i wytarłszy buty, weszli do salonu.

- Przyniosę panom sherry - pospieszenie zaofiarował się Val, rad, że może wymknąć się z pokoju. Modlił się, żeby któreś z gospodarzy zjawiło się w salonie, zanim wróci z winem.

- Proszę się nie fatygować, panie poruczniku! Patrick zanieśe tamtym panom sherry - oświadczyła Elspeth, gdy Val zajrzał do kuchni. - I tak już musiał pan bawić się odźwiernego! Zjawię się za minutkę.

Valentine wrócił więc do pokoju z pustymi rękami.

- Ordynans majora zaraz przyniesie panom sherry - rzekł do stojących przed kominkiem oficerów.

Stanton ledwie raczył na niego spojrzeć. Na szczęście w tej właśnie chwili wszedł major Gordon, a tuż za nim James.

- Z pewnością wszyscy dobrze się znacie, chłopcy - powiedział major serdecznie, zacierając ręce i energicznie przytupując. — Robi się cholernie zimno! Nie dziwię się, że chcesz być jak najbliżej ognia, Stanton. A gdzież to Elspeth i Peggy?

— Tutaj jestem, Ianie — odparła pani Gordon, która właśnie wyszła z sypialni na tyłach domu. Wsunęła rękę pod ramię męża i zbliżyła się wraz z nim do kominka. - Wybaczcie, drodzy panowie. Popołudniowe zakupy zajęły mi więcej czasu niż zwykle. Wróciłam do domu tuż przed pańskim przybyciem, poruczniku Aston - dodała, uśmiechając się serdecznie do Vala. - Gdzież się zawieruszył Ryan z sherry?

— Jestem, psze pani.

- Dziękuję, Ryan. Przyślij tu do nas pannę Elspeth.

— Tak jest, psze pani.

Elspeth weszła do salonu, poprawiając włosy, a wtedy jej ojciec stwierdził:

— No, to jesteśmy w komplecie. Pora wznieść toast. Jaki proponujesz, Jamesie?

- Za zdrowie księcia Wellingtona i za wolność Portugalii.

- Trudno o lepszy!

Wypili po kieliszku sherry i zaraz przeszli do sąsiedniego pokoju na obiad. Ucieszyło to Vala, przy stole przynajmniej wiedział, co robić z rękami, a wroga postawa Staritona i Trowbridge'a mniej się rzucała w oczy.

Przy pierwszym daniu nie rozmawiano dużo. Sprzątając talerze, Ryan chlapnął niechcący resztką zupy na suknię Elspeth.

- Irlandzka świnia! - warknął George. — Proszę mi pozwolić, panno Gordon... - I zmoczywszy serwetkę wodą ze swego kieliszka, zaczął niezgrabnie wycierać suknię majorówny.

- Dziękuję, panie poruczniku - powiedziała chłodno Elspeth. - Nie przejmuj się tak, Patricku - uspokoiła ordynansa, który stał przerażony, jękając jakieś przeprosiny. — Nie będzie nawet śladu!

- Nie rozumiem, jak zdołamy wygrać tę wojnę, skoro prawie połowa armii to te cholerne irlandzkie brudasy!

- Nie radziłbym wyskoczyć z czymś podobnym w obecności Alexa Wallace'a — odezwał się podejrzenie łagodnym tonem James. - Jego Irlandzki Zwiad Konny sprawdził się w niejednej bitwie!

- Bić może się potrafią, za to mówić po angielsku ani żąb. Ledwie rozumieją komendy - szydził Trowbridge.

- Słyszałem, poruczniku Aston, że wrócił pan właśnie z wizyty u guerilleros. - Major Gordon dyplomatycznie zmienił temat rozmowy. - Cóż pan o nich sądzi?

- Pułkownik Sanchez wywarł na mnie wielkie wrażenie, panie majorze.

— Doprawdy? Więc jesteście jednej myśli z księciem Wellingtonem. Nieraz widywałem ich obu w jak najlepszej komitywie pod Freneidą.

- Nie natknąłeś się przypadkiem na Jacka Beldena? — spytał Vala James.

Val zamilki na chwilę, a potem odparł:

- Nie spotkałem tam nikogo, kto by wyglądał na Anglika, Jamesie.

- Cóż za rozważna odpowiedź! - mruknął James.

- W porządku, poruczniku - uspokoił Vala major Gordon. - Wszyscy tu wiemy, że Belden jest u Sancheza.

Val uśmiechnął się.

— Istotnie, spotkałem tam dżentelmena imieniem Juan, który z równą swobodą posługiwał się językiem angielskim, jak hiszpańskim.

- To właśnie Jack. Wygląda jak hiszpański don, robi melancholijne miny, ale czarować potrafi jak nikt!

- Przewali go w Londynie Asem Kier; prawda, panie majorze? - dorzucił George.

- Istotnie. W kartach wiecie mu się równie dobrze jak w miłości! — odparł major i roześmiał się z uznaniem.

— Wątpię, czy młode panny, których serca zdobył do swojej kolekcji, były tym równie ubawione, ojcze - skarciła go Elspeth.

- A ty skąd o tym wiesz, mała?

— O, jego fama dotarła nawet na naszą pensję, papo - odparła z błyszczącymi oczami. - Starsza siostra Poity Ewing należała do tych biedaczek, z których uczuciami Belden igrał. Kiedy zajął się jakąś inną dziewczyną, była zrozpaczona. A na panu jakie zrobił wrażenie, poruczniku?

- Muszę przyznać, że całkiem mnie oczarował, panno Gordon - odparł Val i uśmiechnął się szeroko.

— Doprawdy, to prawdziwa uczta, łaskawa pani - zwrócił się James do majorowej, by zmienić temat.

- Dzięki za uznanie, Jamesie. Przy pomocy Ryana i jego żony jakoś sobie radzimy, prawda, lanie?

- Pewnie... A ponieważ jesteśmy w samym sercu Portugalii, udało mi się zdobyć naprawdę wyśmienite porto. Może przejdziemy do salonu, moi panowie? - zaproponował major.

— Ostrzegam cię, że Elspeth i ja zaraz się do was przyłączymy! - zagroziła żartobliwie jego żona.

Porto okazało się tak wyborne, jak utrzymywał gospodarz; pełne żołądki, bijące z kominka ciepło oraz wino sprawiły, że atmosfera w salonie była teraz o wiele mniej napięta niż na początku. Val, który walczył z ogarniającą go sennością, raczej się przysłuchiwał rozmowie, niż brał w niej udział. Poruszano wiele tematów - od wyższości armii portugalskiej nad hiszpańską - po niezwykłą zdolność Francuzów do obywania się bez żywności.

— No, nie całkiem — stwierdził w pewnej chwili James. — Grabią ją i rabują, gdzie tylko mogą.

- Naszym ludziom też wiodłoby się lepiej, gdyby mogli pójść w ich ślady — narzekał George Trowbridge. - Decyzje księcia Wellingtona bywają czasem nierozsądne, zwłaszcza że dostawy z kraju zawsze się opóźniają, a jak już coś nam dowiozą, to zawsze mniej niż trzeba! Co by szkodziło, gdyby nasi chłopcy podwędzili czasem kurczaka?

- Jesteśmy tu, by wyzwolić tych ludzi, a nie żeby okradać ich z resztek żywności - wtrącił się do rozmowy Val.

— Ja tam nie przyjechałem tu wyzwalać tych parszywych, cuchnących czosnkiem papistów, tego możesz być pewien, Aston! Jestem tu, by zagrozić cholernym jakobinom drogę do Anglii!

- Brawo, George! - poparł go Stanton. - Tylko w takim cywilizowanym kraju jak nasz każdy zna swoje miejsce.

- Moim zdaniem, podejście Wellingtona do całej sprawy jest bardzo praktyczne - wtrącił gładko major Gordon. - Chcąc utrzymać Francuzów z dala od Anglii, musimy pozyskać sprzymierzeńców. Wątpliwe, by chcieli wspierać tych, którzy gwałcą ich kobiety, a dzieciom odejmują resztę chleba od ust, prawda? Słyszałem, George, że dostałeś właśnie list od siostry. I cóż tam słyhać na naszej cywilizowanej wyspie?

Rząd Perceyala trzyma się ledwo-ledwo, panie majorze, sądząc z tego, co mi pisze siostra. Prawdę mówiąc, wspomniała o tym dopiero w postscriptum - dodał ze śmiechem.

- Cała reszta to najświeższe ploteczki: kto z kim sypia i tak dalej. W zeszłym miesiącu wybuchł podobno prawdziwy skandal!

- Czyżby ktoś zwał z drugą szwagierką Nochala? - spytał szyderczo Stanton.

Wszyscy na chwilę zamilkli, zażenowani wspomnieniem bardzo przykrego dla naczelnego wodza sprawy: jego szwagierka skompromitowała rodzinę swym skandalicznym zachowaniem i uniemożliwiła Wellingtonowi wykorzystanie na Półwyspie Iberyjskim talentów wybitnie uzdolnionego oficera.

- Nie, siostra pisze, że policja w końcu urządziła obławę na bywalców jednej z tych najohydniejszych nor na Vere Street. Nikogo, niestety, nie przyłapano na gorącym uczynku... te cioty potrafią się dobrze maskować!

- Szkoda, że nie można ich wszystkich wcielić do marynarki, co, George? Tam się wiesz za takie sprawy!

- Na lądzie też za to wieszają - zauważył spokojnie James.

— Rzeczywiście! Ale jak taki pedał obraca się w najwyższych sferach, trudno go capnąć, co, James?

- Istotnie. Niektórzy z nich są nawet żonaci - odparł Wimborne z nutką sarkazmu. - Ale otóż i nasze damy! Lepiej zmieńmy temat rozmowy, George.

Val, który przy każdym oddechu musiał powstrzymywać rozpaczliwe ziewanie, pożegnał się dość wcześnie. Włókł się do obozu noga za nogą, półprzytomny ze zmęczenia i oszołomiony winem. Doszedłszy do swego namiotu, rzucił się na polowe łóżko, nie rozbierając się. Zdjął tylko buty, choć ściąganie ich trwało nieznośnie długo. Próbował przypomnieć sobie dokładnie, o czym rozmawiano tego wieczora, ale żołnierze bez względu na stopień rozpowiadali przeważnie o akcjach bojowych i dalszych planach Francuzów, zbyt surowym regulaminie, narzuconym armii przez Wellingtona, o najnowszych wiadomościach z Anglii. George i Lucas przemawiali tonem najzagorzalszych torysów, co wydawało się zupełnie naturalne, choć mogło też stanowić znakomitą przykrywkę dla jakichś machinacji. James odgrywał rolę mediatora; spokojny charakter pozwalał mu zachować opanowanie podczas najzagorzalszej dyskusji. Major Gordon był raczej milczący. Ale podejrzewanie majora by- loby szczytem absurdu! Val zdążył jeszcze pomyśleć, że będzie musiał wziąć udział w niejednym obiedzie, nim zdobędzie jakieś przydatne informacje — i zasnął.

Rozdział VII

Margaret Casey obchodziła namioty „swoich” oficerów, zabierając z nich brudną bieliznę. Bardzo lubiła tę część swych obowiązków; oglądanie brudnej bielizny pozwalało dowiedzieć się o jej użytkownikach co najmniej tyle samo, co najdłuższe plotki. Pewnie dlatego ludzie wymyślili to powiedzonko o „praniu brudnej bielizny”, uznała Mags, ściągając pościel z łóżka porucznika Trowbridge’a. Zauważywszy na prześcieradle wiele mówiące plamy, uśmiechnęła się szeroko. Wyglądało na to, że porucznik potrafi sam sobie ulżyć! Nie znosiła serdecznie Trowbridge’a i sprawiało jej satysfakcję, że zna jego skryte grzeszki.

Jego przyjaciel, Stanton, był praczce równie niemily. Ma zawsze na łbie tyle pomadowego smaru, że można by naoliwić wszystkie koła w tych cholernych skrzypiących wozach! pomyślała Mags i parsknęła śmiechem. Hałasu, jaki robiły zaprzężone w woły portugalskie wozy, sam diabeł by nie uciszył!

W odróżnieniu od tamtych dwóch kapitan James Lambert, czyli markiz Wimborne, należał do ulubieńców pani Casey. Z satysfakcją wymieniała jego szumne tytuły. A poza tym nigdy nie musiała sama ściągać brudnej pościeli z łóżka ani zbierać koszul z podłogi. Nie, wszystko czekało na nią porządnie poskładane i zawinięte w prześcieradło... z wyhaftowanym

nogramem! To jest dopiero pan z panów! podsumowała Mags. Pani Casey nie miała dotąd okazji pogadać z porucznikiem Astonem w sprawie prania. Kiedy jednak zbliżyła się do jego namiotu, ujrzała poruszający się wewnątrz cień. Przystanęła więc — a nuż uda jej się ubić interes?

- Panie poruczniku! - wrzasnęła u wejścia.

— Kto tam?

- To ja, Mags Casey... dobra znajoma sierżanta Tailmana! (Udało ci się, Mags: nikt by tego delikatniej nie określił! powiedziała sobie w duchu).

- Proszę wejść, pani Casey. Czym mogę służyć? Mags musiała schylić się przy wejściu tak samo jak przeciętny żołnierz: była tego samego wzrostu.

- Przyszło mi do głowy, że może znalazłoby się u pana porucznika coś do przeprania? - Spojrzała znacząco na zmiętą pościel.

- Chyba tak, pani Casey - odparł Val i uśmiechnął się z całego serca.

Boże święty! Trzymaj się, Mags! nakazała sobie praczka, czując miły dreszczyk niepokoju. Nie taki znów wysoki, choć wyższy od Willa... ale barczysty i wąski w biodrach. I te jasne, szare oczy, chociaż taki śniady!

Val właśnie się mył; miał rozpiętą koszulę i Mags zobaczyła wyraźnie, że włoski na piersi porucznika były równie kędzierzawe jak jego czupryna. Mężczyzna powinien być owłosiony, pomyślała. Szkoda, że Will ma na piersi tylko kilka kosmyków... Za to nie brak mu innych zalet! pocieszyła się jejmość Casey. Ale co tu ukrywać: na widok porucznika Astona aż serce jej rosło!

- Biorę po dwa pensy od koszuli i cztery od prześcieradła Będzie pan miał wszystko z powrotem po tygodniu, jak nowe! Mogę też prasować panu porucznikowi koszule, po pensie od sztuki — dodała - bo jest pan dowódcą mego Willa i w ogóle...

— Już nim nie jestem, pni Casey. Przenieśli mnie z jedenastego pułku piechoty gdzie indziej.

- Pod komendę kapitana Granta, co? To jest dopiero oficer! Chciałabym go opierać, ale prawie wszyscy moi panowie to porucznicy - dodała ze smutnym uśmiechem. - Kapitanom i majorom pierze Maude Parrish. Z wyjątkiem majora Gordona; tego znów opiera żona Ryana.

— Will mówił mi, że towarzyszy pani naszej armii od lat.

- No pewnie, panie poruczniku! Mój pierwszy był oficerem werbunkowym. Zmarło mu się na febrę, jeszcze w Anglii. Drugiego męża straciłam podczas odwrotu spod Coranny.

- A pan Casey?

— Szeregowca Caseya zatłukli w pijackiej burdzie - odparła z powagą. - Każdy z nich ożenił się ze mną jak należy, niech pan sobie nie myśli, panie poruczniku!

- Ależ oczywiście, pani Casey.

— Żadne tam „oczywiście”, panie poruczniku! Na palcach można policzyć te z żołnierskich „żon”, które naprawdę stanęły przed ołtarzem. Oboje dobrze o tym wiemy! Ale ja zawsze byłam porządną kobietą... do niedawna - dodała smutnie.

- Przecież pani jest nadal godną szacunku osobą, pani Casey!

- Ci, co leżą już w grobie, byli naprawdę moimi mężami... Ale sierżant Will Tallman żyje... i to jak! — Mags mrugnęła znacząco. - A do ołtarza nam nie bliżej niż przy pierwszym spotkaniu. Will powiada, że nigdy się nie żenił i ani mu to w głowie. Sam słyszałem, jak mówił coś podobnego – przyznał Val, z trudem zachowując powagę.

- Z pewnością wielu innych nie miałyby podobnych oporów... jest pani uroczą kobietą, pani Casey!

- Ale widzi pan, panie poruczniku... ja kocham Willa!

- Cóż, może jeszcze zmienić zdanie.

- Święte słowa, panie poruczniku! No więc, jeśli pan pozwoli, będę raz w tygodniu zabierać z pańskiego namiotu brudną bieliznę... Ale odbierze ją pan sam, kiedy już będzie gotowa: wtedy, jak coś się pogniecie albo ubrudzi po drodze, nie będzie na mnie! I wszyscy moi oficerowie płacą gotówką przy odbiorze. Mam nadzieję, że to panu dogadza, panie poruczniku, bo nie odstąpię od tego nawet dla przyjaciół Willa!

- Zupełnie zrozumiałe.

- No to ściągnę pościel z łóżka. Jakby były jakieś brudne koszule, panie poruczniku, niech pan je dołoży do tłumoczka.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, pani Casey — powiedział Val, gdy Mags zbierała się do wyjścia. — Sądzę, że to miły początek korzystnej dla nas obojga znajomości. Wyszła już z namiotu, gdy ją dogonił.

- Pani Casey... - zaczął.

- Co tam, panie poruczniku?

- Sama pani zabiera bieliznę z oficerskich namiotów?

— Tak jest poręczniej, bo wy przecie macie ciągle to musztrę, to co innego... Nikt mnie jeszcze nie posądził o kradzież, panie poruczniku - dodała z pewną urazą.

- Co też pani mówi! Nawet by mi nie przyszło do głowy coś podobnego. Kim są inni pani klienci?

- No, między innymi porucznik Trowbridge i porucznik Stanton... I kapitan markiz Wimborne - dodała z dumą.

- Imponujący rejestr! - zauważył uprzejmie Val.

- A teraz jeszcze dojdzie do tego pan, panie poruczniku! Oficera zwiadu każda mi pozazdrości!

— Dzięki za dobre słowo, pani Casey, ale niech się tak pani nie cieszy: będzie ze mną tylko wiele kłopotu. Niedużo bielizny, ale za to brudna jak diabli!

— Chciał mnie pan jeszcze o coś spytać, panie poruczniku?

- Nie, nie, pani Casey. Serdeczne dzięki... i niech się pani poszczęści z Willem!

A jednak chciał cię o coś spytać, Mags! mówiła sobie w duchu, maszerując z tiumokiem na ramieniu. Ciekawe, o co?

Val z uśmiechem przyglądał się, jak pani Casey kroczy lekko wzdłuż szeregu namiotów mimo swego brzemia. Silna kobieta i chyba niegłupia! Miała też swobodny dostęp do wielu oficerskich namiotów... a to w tej chwili najbardziej Vala interesowało. Sam znał ją co prawda bardzo mało, za to Will doskonale. Val przyrzekł sobie spędzić trochę więcej czasu w ich towarzystwie. Może Mags Casey okaże się pomocna w jego śledztwie?

Następnego ranka Val wyruszył konno. Rad był, że zabrał grubą wełnianą pelerynę, listopad za pasem, robiło się coraz chłodniej. Cezar dobrze już znał górskie ścieżki i przez pierwszą część drogi do Santarcm Val mógł się odprężyć, zdając się całkowicie na konia. Niebo było ołowianoszare i w powietrzu wisiała wigotna mgiełka, niechybnie zaraz zacznie padać śnieg. Val miał nadzieję, że zima nie pospieszy się z nadto. Trudno będzie pokonywać te urwiste ścieżki, pokryte na dodatek warstwą lodu.

Jechał pod wiatr i czuł, jak pierzchną mu wargi i skóra na twarzy. Przez chwilę pozazdrościł żołnierzom, którzy zostali w obozie - . podczas musztry przynajmniej człowiek nie zmarznie! Val nie przepadał za alkoholem, ale teraz chętnie siedziałby przed kominkiem u Gordonów, popijając wyborne porto majora.

Przypomniał sobie ostatni spędzony tam wieczór. Słyszał pogardliwy głos George'a. A zatem jaśnie pan Trowbridge nie walczy o wolność Portugalii i Hiszpanii, ale chce ocalić Anglię... nawet nie od Napoleona, „korsykańskiego potwora”, ale od jakobinów, zagrażających jego arystokratycznym przywilejom! Cóż, pewnie większość torysów myśli podobnie. Nie ma co z nimi gadać o wolności, równości i braterstwie — hasłach, które głosiła francuska rewolucja. A jednak wielu oficerów Wellingtona miało poglądy zbliżone do wigów, zaliczał się do nich chyba i major Gordon. Wigowie walczyli po to, by wybawić Europę od tyranii. Val parsknął śmiechem.

- Zdumiewające, prawda, Cezarze? - rzekł do konia, który zastrzygł uszami. - Napoleon zaczynał jako rewolucjonista, a w końcu ogłosił się cesarzem! Nie królem, uważasz! Francja mu nie wystarcza: upari się władać całą Europą! A jaką rolę ja odgrywam w tej farsie? Ciekawe pytanie, przyjacielu!

Pytanie było istotnie ciekawe i Val zadawał je sobie niejednokrotnie w ciągu ostatnich dwunastu lat. Gdzie było jego miejsce? No, rzecz jasna, w jednym szeregu z towarzyszami broni. Z przodu sierżant, z tyłu porucznik... Stał mocno na ubitej ziemi placu musztry. Miał dużo szczęścia, bo zszedł na własnych nogach także z krwawego pola bitwy pod Talayerą.

Nie wstąpił do wojska z patriotycznych pobudek. Zaciągnął się, bo nie miał innego wyboru. I większość jego kamratów, cholera, postąpiła tak samo! No, kilku pewnie zwabiły idealistyczne mrzonki i czar munduru... Ale była ich zaledwie garstka, a w dodatku czar zaraz prysł i zostało tylko zrywanie się o świcie, kopanie latryn i nieustanna musztra. Trzon armii stanowili ludzie tacy jak Val: ci, którzy Zaciągnęli się z konieczności. Mieli do wyboru włóczęgę i żebraczy chleb albo wojsko. Deportację albo wojsko. Został zawodowym żołnierzem, bo zyskał dzięki temu namiastkę domu i wyraźny cel działania. Mimo monotonii dni spędzonych w hrabstwie Kent nie było to najgorsze życie. A w dodatku, choć trzęsła nim febra i rzygał na morzu, zwiedził kraje, o których mu się nawet nie śniło.

Val znowu zaśmiał się w głos. Nie śniło mu się? Akurat! Jako mały chłopiec marzył we śnie i na jawie o czymś takim, bawiąc się otrzymanymi od matki ołowianymi żołnierzkami.

No i wstępuje teraz w ślady swego ojca - bohatera z dziecinnych marzeń! Walczy o przywileje dla takich, jak jego prawdziwy ojciec czy Lucas Stanton. Doprawdy, jeśli Bóg rzeczywiście patrzy na to wszystko z góry, musi się nieźle bawić, kiedy tacy jak Val Aston nadstawiają tyłka w Portugalii, broniąc porządku społecznego, który wyrzuca ich poza nawias reszty narodu!

Ale przecież nie tylko o to chodziło! Val poznał zawód żołnierza chyba jeszcze lepiej niż rzemiosło kowala. Nigdy w życiu nie przeżył takiej satysfakcji jak w dniu, gdy otrzymał dystynkcje sierżanta. Musiał podporządkować się rozkazom wielu durniów, ale służyć pod komendą kogoś takiego jak Colquhoun Grant było prawdziwym przywilejem. Przez ostatnie pięć lat nauczył się znacznie więcej niż na jakimś tam uniwersytecie! Zrozumiał, że być dobrym żołnierzem to wielka sztuka, i doskonalenie się w niej dawało mu wiele satysfakcji. Otrzymanie stopnia oficerskiego nappełniło go zarazem radością i goryczą, ale służbę w zwiazie polubił naprawdę, choć trudno zaliczyć ją do łatwych. Pokochał też Portugalię i podziwiał bohaterstwo jej mieszkańców. Może więc walczył po prostu za nich i za ich wolność? Walczył, by pokonać tyrana. Walczył za Colquhouna Granta i księcia Wellingtona.

- A to są chyba wystarczająco dobre powody, mój koniku, prawda?

Obóz Massny wyglądał tak jak zawsze. Val nie zaobserwował żadnych ruchów wojsk.

Wszystko rzeczywiście wskazywało na to, że Francuzi zamierzają spędzić tu zimę.

Umocnienia Wellingtona widocznie ich zaskoczyły i pojęli, że to wcale niełatwy orzech do zgryzienia. Ale jeśli wigowie dojdą do władzy, genialnego wodza wkrótce tu nie będzie.

Val doszedł do wniosku, że Massna widocznie na to liczy i dlatego postanowił przetrwać, choćby jego ludzie mieli zdychać z głodu.

Był to niewątpliwy pat: Wellington bezpieczny za linią umocnień, ale omal nie wysadzony z siodła przez własnych rodaków; Massna pozbawiony zaopatrzenia, ale pełen nadziei na wycofanie się Brytyjczyków po uchwaleniu w Anglii regencji. Wszystko wisiało na cieniutkiej nitce... A Massina z pewnością nie upierałby się przy pozostaniu za wszelką cenę na zajmowanych obecnie pozycjach, gdyby nie otrzymywał najświeższych informacji o sytuacji politycznej Anglii od kogoś dobrze poinformowanego.

Rozdział VIII

Val zatrzymał się na wschód od Santarém. Solidnie zmarł w nocy, ale nie odważył się rozniecić ognia, choćby najmniejszego. Otulił się peleryną i nad ranem zasnął. Obudził go zimny dotyk metalu: ktoś przystawił mu do policzka lufę pistoletu.

- Proszę usiąść, tylko powoli, monsieur.

Val otworzył oczy i ujrzał stojącego nad nim francuskiego żołnierza. Cholera, widać rozstawili warty o wiele dalej, niż przypuszczał! Kiedy jednak usiadł i przyjrzał się Francuzowi, zrozumiał, że to nie wartownik, ale oficer łącznikowy.

- Proszę rozchylić pelerynę, monsieur.

Val odrzucił poły na plecy.

— A więc jest pan oficerem! Marszałek z pewnością nie kazałby pana wiązać, wystarczy parol. Szkoda tylko, że muszę pana do niego odprowadzić. Przez to opóźni się moja misja.

A więc zamierza opuścić obóz! pomyślał Val. Pewnie chce się przedostać do Francji! Pochylił głowę, jakby uznając własną porażkę; ucisk lufy pistoletu na jego policzku zelżał.

— Niech się pan tak nie przejmuje, monsieur. Nawet najlepszym czasem powinie się noga.

Val zerknął w górę. Pistolet znajdował się w tej chwili w odległości co najmniej sześciu cali od jego twarzy, a Francuz, który przykucnął przy nim, właśnie się podnosił. Val bez namysłu uderzył ramieniem w but przeciwnika.

Gdy Francuz upadł, Val błyskawicznie schylił się po pistolet, chwytając przeciwnika za przegub. Wróg okazał się jednak równie szybki i w tej samej chwili zaatakował go od tyłu. Val poczuł, że ręce wroga zaciskają się na jego gardle, i pojął, że z szamotaniny nie wyniknie nic dobrego. Cofnął nieco podbródek, co zmniejszyło ucisk na tchawicę.

Wiedział jednak, że jeśli nie zostanie uduszony, to prawdopodobnie kula go nie minie.

Francuz usiłował wygiąć mu rękę do tyłu. Val opierał się ze wszystkich sił, czuł jednak, że długo nie wytrzyma. W końcu Val, przyklękawszy, zdołał przerzucić sobie Francuza przez ramię. Potem natychmiast podniósł pistolet, który tamtemu wypadł z ręki.

— A więc marszałek wysłał pana z jakąś misją, monsieur?

Francuz spojrzał na Vala z kamienną twarzą.

— Klękaj, człowieku, i rozpinaj mundur!

Francuz, ociągając się, rozpiął mundurową kurtkę. W podszewce widoczne było niewielkie wybrzuszenie.

— Zdejmij kurtkę i rzuć mi ją!

Nie spuszczając oczu z wroga, Val wziął do rąk jego kurtkę. Posłyszał wyraźny szelest papieru.

- Marszałek wysłał cię w pojedynek? Musisz być niezły, jeśli twój dowódca sądził, że wywiniesz się guerilleros.

- Patrol może łatwiej zwrócić uwagę - odparł z zimną krwią Francuz.

- Ach, tak? - Val odciągnął kurek pistoletu.

Jestem oficerem tak samo jak pan. Proszę o tym nie zapominać, monsieur. Daję parol, że nie ucieknę.

- Najpierw daj mi, mon capitaine, prawdziwe listy! - odparł Val z wyraźnym sarkazmem.
- Zapewniam, że dokumenty zaszyte w kurtce są jak najbardziej prawdziwe!
- Zbyttno się rzucają w oczy! Wstawaj, kapitanie, obejrzymy pańskiego konia. Idę tuż za panem, ostrzegam! - Dotarłszy do swego wierzchowca, Francuz uniósł rękę, by uderzyć konia po zadzie i zmusić do ucieczki.

— Nic z tego! — oświadczył Val i trzasnął przeciwnika pistoletem w skroń. - To cię na chwilę uspokoi, żabojadzie!

W jukach nie było nic prócz żywności, ale Val się nie spodziewał, że coś w nich znajdzie. Zaczął dokładnie obmacywać siodło w poszukiwaniu podejrzanych wypukłości albo szwów. W końcu wsunął rękę pod kulę siodła i odkrył przemyślny schowek.

- Voik! - zawołał z uśmiechem satysfakcji, wydobywając cienki pakiet. - Zaopiekuję się tym, monsieur Je capitaine.

Val wyjął zza pasa nóż i zdjawszy szary koc, zrolowany i przytroczony z tyłu do siodła, pociął go na cienkie pasy. Nim Francuz odzyskał przytomność, miał już skrępowane ręce i nogi.

- Jestem oficerem i dżentelmenem — zaprotestował. — Zapewniam, że nie złamię danego słowa i nie będę próbował uciec.

- Nie chcę pana obrazić, kapitanie, ale nie mogę pozwolić, by poruszał się pan swobodnie w pobliżu naszego obozu.

- Wobec tego cofam swą obietnicę! - odparł gniewnie Francuz. — Jeśli nie szanuje pan mego oficerskiego słowa, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by się panu wymknąć.

Będzie pan miał ze mną prawdziwe piekło, poruczniku!

Cholera jasna! pomyślał Val. Ten żabojad ma rację! Może mi zatruć całą drogę powrotną! Muszę chyba uwierzyć bydlakowi na słowo.

- A da mi pan słowo honoru, jak pana rozwiążę, kapitanie?

- Ma pan moje oficerskie słowo, panie poruczniku.

- Niech będzie. Ale pojedzie pan przodem. A za próbę ucieczki kula w łeb! Zrozumiano? Oui, monsieur.

Zanim dotarli do obozu, zapadł już wieczór. Val udał się wraz z jeńcem do namiotu kapitana Granta, ale go tam nie zastał.

— Pan kapitan został zaproszony na obiad do księcia Wellingtona - wyjaśnił ordynans Granta.

- Psiakrew! — mruknął Val. Pewnie lepiej byłoby poczekać... Ale Grant wyraźnie mu polecił skontaktować się z nim niezwłocznie, jeśli uzyska jakieś ważne informacje. Val nie wiedział, czy zdobyte dokumenty były rzeczywiście ważne, ale lepiej być nadgorliwym niż opieszałym.

- Proszę za mną, kapitanie — rzekł. - Zawrze pan znajomość z księciem Wellingtonem! Val spotkał się z Wellingtonem tylko raz czy dwa, całkiem przelotnie. A teraz będzie musiał przeszkodzić w generalskim obiedzie!

— Mam nadzieję, że pański pakiet okaże się tego wart, kapitanie - mruknął Val, zmierzając do siedziby Wellingtona, który zajmował dom podobny do kwatery Gordonów. Drzwi otworzył adiutant generała.

- Książę Wellington je teraz obiad, poruczniku - oznajmił.
- Proszę przekazać jego książęcej mości moje najuniżeńsze przeprosiny, ale muszę niezwłocznie pomówić z kapitanem Grantem.

- Chwileczkę.

Na szczęście, gdy po minucie drzwi znów się otwały, ukazał się w nich Colquhoun Grant.

- Jakież nowiny, poruczniku? - spytał z przyjaznym uśmiechem.

- Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, panie kapitanie, ale...

- Ale czynisz to na moje wyraźne polecenie, Aston! Nie ma za co przepraszać. Co my tu mamy?

— Je suis capi raine Moreau — przedstawił się Francuz, nim Val zdążył odpowiedzieć.

— Zamierzał przedostać się do Francji, panie kapitanie. Znalazłem przy nim dwa listy - zameldował Val, wyciągając z kieszeni munduru dokumenty.

— Aż dwa?

Jeden zaszyty w podszewce munduru, drugi ukryty w łęku siodła.

- Słyszałem już o tych waszych siodłach na specjalny obstalunek, panie kapitanie.

Chętnie jutro sam mu się przyjrzę. Dał pan parol?

- Oui.

— Kapralu Painter! — zawołał Grant. W drzwiach pojawił się ordynans Wellingtona.

- Zaprowadźcie kapitana Moreau do namiotu. Tego za moim.

— Tak jest, panie kapitanie.

— A teraz proszę wejść, poruczniku. Generał zaprasza na obiad w naszej kompanii.

- Ależ, panie kapitanie, to niemożliwe — wzdragał się Vat. — Jestem brudny, nie mogę tak zasiaść przy generalskim stole!

- Książę Wellington nie zgorszy się tym z pewnością, poruczniku.

Val wytarł buty i otrzepał mundur, nim wszedł do domu. Czuł, jak od milego, lecz zbyt raptownego zetknięcia z żarem kominka zaczyna go piec spękana skóra na twarzy i rękach.

- Prosimy bliżej, poruczniku!

Przy stole zebrało się niewielkie grono osób: „roczlina” Wellingtona nie ucztowała dziś w komplecie. Major Gordon był jednak obecny i Val poczuł ulgę, ujrzawszy przyjazną twarz.

- Wasza książęca mość raczy wybaczyć, że przeszkodziłem w obiedzie.

- Bzdura! Rozkazy kapitana Granta są ważniejsze niż moja zupa. I cóż nam przywiózł ten młodzieniec, Colquhounie?

— Kilka informacji niezbyt wielkiej wagi. Nie ma tu nic, o czym byśmy już nie wiedzieli - odparł Grant, podsuwając Wellingtonowi pierwszy pakiet.

Val upadł całkiem na duchu. Tyle wysiłku na nic! Cóż, takie przypadki często się zdarzają w pracy zwiadowcy. Dobrze o tym wiedział. Zwykle więcej niż połowa przechwyconych wiadomości nie zawierała żadnych rewelacji. Ale przeszkodzić staremu Nochalowi w obiedzie dla byle głupstwa!

- Za to przesyłka ukryta w siodle jest na wagę złota - kontynuował Grant, uśmiechając się ciepło do Vala. — Zdaje się potwierdzać wszelkie nasze podejrzenia co do informatora, dostarczającego Francuzom poufnych wiadomości o sytuacji politycznej w Anglii. Te dokumenty miały dotrzeć do własnych rąk Bonapartego. Masscna zapewnia go, że pańska armia niewątpliwie cofnie się w głąb Portugalii i trzeba będzie już tylko zaczekać na upadek obecnego gabinetu.

— Co rzeczywiście może się zdarzyć w każdej chwili, wasza książęca mość — wtrącił major Gordon — o ile zostanie ustanowiona regencja. Wszyscy wiemy, jak książę Walii faworyzuje Wigów.

- Masscna kończy zapewnieniami, że cały naród francuski darzy pełnym zaufaniem swego przywódcę.

- Chciałbym być równie pewien zaufania ze strony naszego rządu, majorze - zauważył Wellington z gorzką ironią. - Ufają jednak słowom nieboszczyka o wiele bardziej niż moim. Biedny John Moore za życia nie był dla nich : takim autorytetem, nieprawdaż, Grant? Ciągłe im powtarzam, że nie dam Francuzom Portugalii... ale muszę przyznać - dodał z westchnieniem - że sądziłem, iż głód wcześniej zmusi ich do odwrotu.

— Masscna trzyma się tylko dlatego, że ten nasz sprzedawczyk podsyca w nim nadzieję.

— No cóż, całkiem nam tu zacisznie za Torres Vedras — oświadczył Wellington.

Spokojnie kroił plaster wieprzowiny na drobne kawałki i zjadał powoli, delektując się każdym kęsem. - A jeśli w końcu wypadnie nam stąd odejść, to zrobimy to jawnie, frontowymi drzwiami. Nie będziemy wymykać się przez kuchnię. - Pociągnął wina i obejrzał się na Colquhouna Granta. - Znajdziesz tego, kto szpieguje na rzecz Francuzów, prawda?

- Oczywiście, wasza książęca mość.

Val był niezmiernie rad, że kapitan nie dodał: „Zlecilem to zadanie porucznikowi Astonowi”; musiałby się wówczas tłumaczyć, czemu do tej pory nie zdobył na ten temat żadnych istotnych informacji.

— Proszę mi powiedzieć coś więcej o tym francuskim oficerze, poruczniku! Jak zamierzał się przedostać na drugi kraniec Hiszpanii?

- Miał w jukach cywilne ubranie, wasza książęca mość. Zdaje się, że chciał wędrować w przebraniu hiszpańskiego wieśniaka. Całe szczęście, że był w mundurze, kiedyśmy się spotkali.

- Jest pan zachrypnięty, poruczniku. Mam nadzieję, że to nie początek jakiejś choroby? Wino powinno temu zaradzić

- dodał Wellington, wskazując Valowi nietknięty kieliszek, stojący obok jego nakrycia.

Val odruchowo uniósł rękę do gardła.

Nie jestem chory, wasza książęca mość... A chrypię, bo ten Francuz usiłował mnie udusić.

- Co słyszę, poruczniku? Pozwolił się pan zaskoczyć? Val zaczerwienił się. Wellington zadał pytanie żartobliwym tonem, ale Aston wyczuł w jego głosie niezadowolenie.

- Usnąłem nad ranem, wasza książęca mość. Nie miałem jednak przy sobie nic, co mogłoby się przydać Francuzom, gdyby dostali mnie w swoje łapy.

- Oddycham z ulgą! Cóż, należą się chyba panu gratulacje, poruczniku. Nie każdy potrafiłby tak błyskawicznie z pokonanego niedorajdy przekształcić się w pogromcę!
— Dziękuję, wasza książęca mość - odparł Val, choć miał ochotę dodać: „Słyszałem już miłsze komplementy!”

Potem podziękował za cygara i Porto i i usprawiedliwiając się zmęczeniem, poprosił, by pozwolono mu się odmeldować. Po jego wyjściu Wellington rzekł do majora Gordona:

- A więc to ten młody człowiek uratował Elspeth! Widać rzeczywiście dzielny z niego chłopak. No i szczęście wyraźnie mu sprzyja. Inaczej siedziałby teraz u żabojadów w Santarcm - dodał z uśmiechem.

- Porucznik Aston to jeden z moich najlepszych ludzi — odezwał się Grant. - Prawdę mówiąc, to jemu właśnie powierzyłem zadanie odszukania zdrajcy.

— Jesteś pewien, że ten zabijaka nadaje się do takich subtelnych zadań?

- Absolutnie pewien. Jego powierzchowność łatwo może wprowadzić kogoś w błąd, ale Aston ma nie tylko muskuły, ale i rozum!

- Kogoś mi ten chłopak przypomina... - Zastanawiał się Wellington, mimo woli dotykając nosa. Colquhoun pochylił głowę, by skryć uśmiech. - Ma dziób prawie tak potężny jak ja. Niewielu znam Anglików, o których można by to powiedzieć - dodał z figlarnym błyskiem w oku. - Jednym z nich jest Charles Faringdon...

- Porucznik Aston jest jego synem, wasza książęca mość.

- Doprawdy? Charles uznał go przynajmniej?

- Porucznik nie ma zwyczaju zwierzać się ze swych osobistych spraw, ale z tego co wiem, to przede wszystkim on nie życzy sobie żadnych kontaktów z ojcem. A raczej było tak do niedawna. Oficerski patent kupił mu właśnie hrabia.

- Od ilu lat ten chłopak jest w wojsku?

— Od dwunastu.

- Chcesz powiedzieć, że dotąd służył jako prosty żołnierz?!

Colquhoun zerknął na lana Gordona i uniósł znacząco brew. Stosunek Wellingtona do własnej armii był zdumiewającym połączeniem osobistej pogardy dla służących niej „prościuchów” i najwyższej troski o ich bezpieczeństwo. Wellington nie bratał się z szeregowcami, ale jako naczelny dowódca nie posyłał ich na pewną śmierć w bitwach, których los był z góry przesądzony. Powiedział kiedyś: „To jedyne wojsko, jakie mamy, więc musimy o nie dbać!”

Żołnierze wiedzą o tym, więc ufają mu i gotowi są pójść za nim wszędzie, myślał Colquhoun. Ostentacyjną serdecznością można podbić ich serca, ale gdy idzie o życie, wolą polegać na poczuciu odpowiedzialności Wellingtona, beznamietnym, ale niezłomnym.

Rozdział IX

Do rana wieść o wzięciu do niewoli francuskiego oficera rozeszła się po całym obozie. Elspeth dowiedziała się o tym od ojca podczas śniadania. Zdumiał ją dreszcz niepokoju, który poczuła, słuchając opowieści papy. Uświadomiła sobie, jak łatwo porucznik Aston

sam mógł stać się jeńcem Francuzów. Każdy oficer zwiadu naraża się codziennie na takie niebezpieczeństwo, tłumaczyła sobie Elspeth. Ale porucznik Aston był przyjacielem rodziny, nic więc dziwnego, że jego los szczególnie ją obchodził!

Kiedy jednak spotkała porucznika tego samego dnia po południu, wracając z obozu do domu, poczuła ogromną ulgę: oto stoi przed ni cały i zdrowy! Natychmiast skarciła się w duchu za taką reakcję. Porucznik Aston z pewnością potrafi zadbać o siebie! I skąd u niej to przeczulenie na jego punkcie?!

- Dzień dobry, panno Gordon - powitał ją uprzejmie.

- Dzień dobry, panie poruczniku. Słyszałam już od ojca, że przeżył pan następną niebezpieczną przygodę i znów wyszedł z niej jak bohater. — Elspeth starała się mówić lekkim tonem.

- No, nie całkiem tak było - odparł sucho Val. - Francuz zaatakował mnie zniemacka i miałem choler... Bardzo przepraszam: miałem wielkie szczęście, że udało mi się wziąć nad nim górę.

- Ojciec wspominał, że dokumenty, które pan przejął, okazały się bardzo cenne.

- Istotnie - odrzekł Val. - Wolałbym jednak, panno Gordon, żeby o nich głośno nie plotkowano - dodał z naciskiem.

— Zapewniam pana, że mój ojciec od lat dzieli się w zaufaniu z moją matką i ze mną ważnymi informacjami i że, jak dotąd, nie wynikły z tego żadne plotki, głośne ani ciche. Żegnam, panie poruczniku.

- Proszę zaczekać, panno Gordon! - zawołał Val, chwytając dziewczynę za ramię. - Doprawdy, nie chciałem insy fluować...

- Chciał pan czy nie, ale pan to zrobił.

Val cofnął rękę i przegarnął palcami czuprynę.

- Chyba rzeczywiście tak było... - przyznał. - Ale nie zamierzałem pani obrazić, jedynie ostrzec..., proszę mi wierzyć. Wiem, że nie jest pani niemądrą papłą... ale w mojej służbie najważniejsze jest dochowanie tajemnicy. Przepraszam panią najmocniej!

Elspeth wzięła głęboki oddech. Zazwyczaj nie obrażała

się o byle co, ale w towarzystwie porucznika Astona bywała dziwnie niezrównowazona.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny, panie poruczniku - odparła chłodno.

- Czy przyjmie pani również moje towarzystwo i pozwoli odprowadzić się do wsi?

- Owszem, bardzo panu dziękuję - odrzekła z uśmiechem.

Przez kilka minut szli obok siebie w milczeniu. Pierwsza odezwała się Elspeth:

- Bardzo się ochłodziło, panie poruczniku. Wyobrażam sobie, że w górach musi być przeraźliwie zimno.

Val uśmiechnął się niezbyt wesoło.

- Najgorzej bywa z rękami i twarzą, panno Gordon. Nie pozbędę się pewnie odmrożeń do końca zimy.

- Myśli pan, że zabawimy tu aż tak długo?

— Wygląda na to, że Massćna ani myśli się ruszyć, panno Gordon.

- Wyobrażam sobie, że taka nie kończąca się beczyność bardzo źle wpływa na morale armii, ale rada jestem, że nie muszę lękać się o życie ojca.

- Z pewnością niełatwo było przez te wszystkie lata pani i jej matce żyć w nieustannym sąsiedztwie śmierci i niebezpieczeństwa - rzekł Val z wyraźnym współczuciem.

- Byłoby nam o wiele ciężiej, gdybyśmy musiały czekać beczynn timer w domu, panie poruczniku. Dowiadywać się o stoczonych bitwach po upływie wielu dni, czekać na ogłoszenie list poległych... Nie, moja matka dawno temu doszła do wniosku, że warto narazić się na wszelkie trudy, żeby być blisko ojca i spędzać z nim każdą wolną chwilę. — Czy pani pójdzie w jej ślady, jeśli zostanie żoną żołnierza?

- Oczywiście! Ale mało prawdopodobne, bym w moim wieku złapała jeszcze męża. - Elspeth powiedziała to żartobliwie, jednak Val dosłyszał w jej głosie nutę smutku.

- Taka pani tego pewna? Jest pani uroczą kobietą, panno Gordon, i z pewnością dała pani kosza wielu innym konkurentom oprócz mnie! - odparł równie lekkim tonem.

— Bardzo pan uprzejmy, panie poruczniku, ale od razu widać, że nie bywa pan zbyt często w wielkim świecie. Takie gidie jak ja nie są tam doprawdy w modzie!

- Dobrze pani wie, panno Gordon, że w ogóle nie obracam się w wielkim świecie — powiedział sztywno Val.

Elspeth przystanęła i położyła mu rękę na ramieniu.

- Tym razem ja najmocniej przepraszam, panie poruczniku! Byłam tak zaprzężnięta własnymi zmartwieniami, że nie pomyślałam o pańskich. To doprawdy nie miał być żaden przytyk! Usiłowałam po prostu nadrabiać miną, żartując z czegoś, co w gruncie rzeczy sprawia mi ból. Choć powinnam już przez te wszystkie lata pogodzić się z losem.

Zresztą, zawsze wiedziałam, że dziewczyna, która wychowała się w obozie wojskowym, ma niewielkie szanse zamążpójścia. Nigdy bym jednak nie zamieniła mego życia na salonową egzystencję!

- Wcale nie uważam, że pani jest zbyt wysoka. Daleko pani przecież do Mags Casey - rzucił Val z łobuzerskim uśmiechem.

Elspeth zaczęła śmiać się jak szalona, a Val jej zawtórował. Kiedy się wreszcie opanowała, popatrzyła na niego i zauważyła:

- No, panie poruczniku, jeśli to ma być próbka pańskiej galanterii wobec dam, to wcale się nie dziwię, że chodzi pan luzem! - Uświadomiwszy sobie, co palnęła, Elspeth poczerwieniała i zaczęła mamrotać jakieś przeprosiny. Val stał tylko i uśmiechał się od ucha do ucha, obserwując jej zmieszanie.

- Czekaj pan, z czym się jeszcze wyrwę, panie poruczniku?

- Istotnie, byłem ciekaw, co jeszcze od pani usłyszę, panno Gordon. Miała pani zresztą całkowitą słuszość. Raczej się nie zadaję z żadnymi... hm... babami.

Elspeth zachichotała.

- Nie zadaje się pan z żadnymi... hm... babami? Co za subtelne określenie, panie poruczniku! - droczyła się z nim.

- Panno Gordon, nie powinienem prowadzić takiej rozmowy z dobrze wychowaną panną.

- Owszem... Rozumie pan już chyba, czemu się nie nadaję do eleganckiego towarzystwa? Bo rozmawiam ze wszystkimi

kimi całkiem nie tak, jak powinna konwersować panienka z wyższych sfer! Pewnie dlatego, że wychowałam się wśród żołnierzy. Jesteśmy na koleżeńskim stopie i mówimy

ze sobą o wszystkim... Na wytwornych balach coś takiego nie mogłoby się zdarzyć, zapewniam pana!

Byli w połowie drogi do Wsi; W tym miejscu dróżka opadała w dół.

- Może byśmy usiedli, panno Gordon, i odsapnęli troszkę? - zaproponował Val, wskazując wielki głaz w pobliżu ścieżki.

Żadne z nich nie było zaspane, choć do tej pory szli pod górę. Elspeth dobrze o tym wiedziała, siadając obok porucznika. Była rada z pretekstu do przedłużenia rozmowy. Czuła, że wreszcie jej się udało przełamać rezerwę swego towarzysza i że oboje czują się ze sobą swobodnie. Kamień był ciepły, nagrany popołudniowym słońcem, które stało jeszcze wysoko na niebie. Nie musieli się spieszyć.

- Myślę, że byłaby wielka szkoda, gdyby spędziła pani życie w samotności, panno Gordon - rzekł cicho Val, przerywając milczenie. Elspeth nagle uświadomiła sobie, że siedzą bardzo blisko siebie, ich uda lekko się stykały. - Byłby skończonym głupcem ten, kto nie doceniłby pani odwagi, honoru i uczciwości.

Elspeth poczuła, że ogarnia ją fala gorąca. To nie mógł być żar popołudniowego słońca!

- Dzięki za mile słowa, panie poruczniku - powiedziała miękko. - Sądzę, że równie głupia byłaby kobieta, która nie dostrzegłaby tych samych zalet u pana - dodała.

- Co tam! Mnie sądzone żołnierskie życie i żołnierska śmierć — odparł lekkim tonem.

- To nie wyklucza chyba posiadania żony i dzieci, panie poruczniku?

Oboje równocześnie zwrócili się twarzami ku sobie.

— Oczywiście że nie, ale nie sądzą, by mnie był pisany taki los. Pani jednak byłaby idealną żoną dla żołnierza, panno Gordon. Czy któryś z pani przyjaciół żołnierzy wspominał kiedyś, że ma pani..., prześliczne usta?

Elspeth potrząsnęła głową. Val ujął dziewczynę leciutko pod brodę i spojrzał jej w twarz.

- Stworzone do pocałunków... - Dotknął ostrożnie kciukiem kącika jej ust, a potem musnął palcem policzek dziewczyny.

Czy on zamierza mi udowodnić, że mam usta stworzo

do pocałunków? zastanawiała się Elspeth. I czy mu na to pozwolę? Pewnie, że tak!

pomyślała, czując, że ogarnia ją jakieś nieznanne... a jednak dziwnie znane uczucie.

Jednak w tym właśnie momencie, gdy pochylili się ku sobie, usłyszeli czyjeś kroki i odsunęli się.

Val zerwał się na równe nogi.

— Ktoś tu idzie, panno Gordon. A, szeregowiec Ryan! Może lepiej on odprowadzi panią do domu?

Elspeth nie pozostawało nic innego, jak skinąć głową i wymamrotać:

- Ależ oczywiście, panie poruczniku... I tak zabrałam panu zbyt wiele czasu. Do widzenia.

- Do widzenia, panno Gordon.

Chciał ją pocałować czy nie chciał? Może po prostu litował się nad nią? Skorzystał z pierwszej okazji, żeby się od niej uwolnić, więc z pewnością ani myślał jej całować! Może wyglądało na to, że ona się doprasza o pocałunek? Czy dlatego właśnie pożegnał ją z taką kamienną twarzą? Elspeth zaczerwieniła się po uszy na wspomnienie ich rozmowy. Była znowu zbyt szczerą! Może porucznik pomyślał, że

panna tak śmiała w słowach okaże się równie śmiała w pieszczotach? Ale czuli się razem tak miło i swobodnie... a potem ten jeszcze miłszy niepokój. Może zresztą tylko jej wydawało się to takie miłe? Nie miała pojęcia, co czuł wówczas porucznik, i pewnie nigdy tego się nie dowie!

Przyptyw gwałtownego pożądania zaskoczył Vala tak samo, jak napaść francuskiego oficera. Siedział przecież spokojnie obok panny Gordon, ciesząc się ich niewinną, przyjacielską rozmową, nie uświadamiając sobie nawet, że Elspeth udało się sforsować jego bariery ochronne... I nagle spojrzał jej prosto w twarz. Słońce oświetlało od tyłu brunatne włosy dziewczyny, rozpalając w nich rudawe iskry. Wargi miała rozchylone i Val uświadomił sobie nagle, jak pełne, soczyste i kuszące są jej usta. Przekonywał sam siebie, że mówiąc o „stworzonych do pocałunku” ustach Elspeth chciał tylko podnieść dziewczynę na duchu... Gdyby jednak Patrick Ryan nie poj wił się właśnie w tej chwili na ścieżce, Val z pewnością udo-
wodniłby pannie, że jej usta rzeczywiście stworzone są do pocałunków... a to mogło mieć katastrofalne następstwa.

A jednak byłoby to z pewnością cudowne... pomyślał Val i westchnął. I całkiem różne od wszystkich dotychczasowych pocałunków. Jakie to uczucie całować dziewczynę, która nie miała pod tym względem doświadczenia? Której, być może, nikt jeszcze nie całował? Prawdę mówiąc, i Val się tak znów wiele nie nacałował w życiu. Dziwki od razu biorą się do rzeczy. Jemu zresztą też szkoda było czasu na całowanie kobiet, które brał do łóżka. A jednak jakaż to mogła być niezwykła przyjemność: delikatne zapoznanie się z ustami panny Gordon... Tylko że podobna sytuacja nie powinna się już nigdy powtórzyć! Bogu dzięki, nie będą pewnie mieli okazji do takiego sam na sam. A jutro czeka go kolejna wyprawa!

Rozdział X

Regiment lekkiej kawalerii przybył do obozu dwa dni później. Charles Faringdon, wicehrabia Holme, nie mógł się powstrzymać - wbrew regulaminowi - od strzelania oczyma na boki: chciał jak najprędzej zobaczyć Vala! Brata jednak nie było nigdzie w zasięgu wzroku; dopiero kilka godzin później, rozlokowawszy swoich ludzi, Charlie mógł udać się do namiotu kapitana Granta i spytać o brata.

- Dzień dobry, panie kapitanie.

- Dzień dobry, wicehrabio. Witamy w Portugalii! - Colquhoun po wielu latach stałych kontaktów z Astonem znalazł już z grubsza historię jego życia i wiedział, że to stojącemu teraz przed nim młodzieńcowi Val zawdzięczał swój patent oficerski.

- Czy mógłby mi pan pomóc, panie kapitanie? Szukam porucznika Astona.

- Proszę siadać, wicehrabio. Chciałbym podziękować, przecież to panu zawdzięczam tak zdolnego oficera zwiadowcę!

Chanie uśmiechnął się do Granta z całego serca.

- Od lat próbowałem skłonić Vala do przyjęcia tego patentu, panie kapitanie. W końcu przekonał go chyba mój argument, że byłoby w najwyższym stopniu niestosowne, gdyby

starszy brat był podkomendnym młodszego... Wydaje mi się jednak, że od pewnego czasu Val sam chciał awansować. Czy jest teraz w obozie?

— Bardzo mi przykro, ale nie ma go i wróci najwcześniej jutro wieczorem. Gdy tylko zamelduje się u mnie po powrocie, powiadomię go o pańskim przybyciu.

- Dziękuję, panie kapitanie.

Charlie mu zrobiło się markotno, że trzeba będzie czekać do jutra, ale po sześciu latach rozłąki wytrzyma jeszcze ten jeden dzień! Ostatnio widział się z bratem tuż przed jego odjazdem na Karaiby. Sześć lat wyczekiwania na listy i ciągłych obaw, że brat został ranny albo dopadła go jakaś tropikalna gorączka... Teraz oczywiście będzie się zamartwiał, czy Val wróci z kolejnego rekonesansu, czy nie zostanie wzięty do niewoli albo zabity. Ale przynajmniej będą się ze sobą widywać! Twarzą w twarz.

Charlie wracał na swą nową kwaterę, gdy usłyszał, że ktoś go woła. Był to George Trowbridge, dawny kolega z Queen's Hall, starszy o kilka lat. Nigdy się ze sobą nie przyjaźnili, ale Chanie ucieszył się widokiem znajomej twarzy.

— Miło mi cię widzieć, George! Przyjechałem dopiero dziś i jeszcze się nie pozbierałem.

- Po raz pierwszy cię wysłali za granicę, co?

Ano tak. Otrzymałem patent w ubiegłym roku i dotychczas stacjonowałem w Sussex.

- Zjawileś się w dobrej porze, Faringdon! Wygląda na to, że tu przezimujemy, a owalkach nie będzie mowy aż do wiosny. Zimno i nudno jak diabli, ale mogło być o wiele gorzej! Jeśli chodzi o damulki, to nie ma bardzo w czym wybierać, ale zawsze kilka się tu płacze. Nochal i jego „rodzina” nie dopuszczają wprawdzie do swej kompanii byle poruczników... ale major Gordon i jego żona są bardzo gościnni dla nas, biednych sierotek. Pewien jestem, że zaproszą cię na obiad.

- Major Ian Gordon?

— Znacie się?

- Zawarłem znajomość z majorem i jego rodziną kilka lat temu, gdy spędzali urlop w Londynie. Gordon był razem z Wellingtonem w Indiach, prawda?

- Może i był. Wiem, że spędził z żoną i córką wiele lat na Wschodzie.

- Czy panna Gordon jest również w Portugalii?

- Ta dziewczyna od lat towarzyszy wojsku! Całkiem miła, przyjemnie z nią pogadać, ale zupełnie nie w moim guście: za wysoka i brzydula. Muszę jednak przyznać, że człowiek od razu ma wrażenie, jakby ją znał od dziecka. Patrz, Fanningdon, idzie Lucas Stanton. Przypominasz go sobie?

Charlie odwrócił się we wskazanym kierunku i uśmiechnął się, choć wolałby splunąć.

- Prawdziwy zjazd koleżeński, co? — powiedział Lucas, klepiąc Charliego po ramieniu. - ty, George i James... prawda, jest jeszcze Aston, choć ten popasał w Queen's Hall zbyt krótko, żeby się do nas zaliczać.., albo żeby sam nauczył się liczyć! - dodał Stanton szyderczym tonem.

Chanie bardzo rzadko darzył kogoś niechęcią, ale do Stanton'a niewątpliwie ją czuł! Było to zresztą zbyt słabe określenie. Pomyślał, że zima będzie cięższa, niż przypuszczał, jeśli przyjdzie mu często widywać się z tym typkiem. Ciekawe, jak też Val to znosi?

- Och! Bardzo mi przykro. — W głosie Lucasa brzmiał wyraźny fałsz. - Aston to twój przyrodni brat, prawda? Jak mogłem o tym zapomnieć! Najmocniej cię przepraszam.

Chanie był pewien, że Stanton miał bardzo dobrą pamięć, ale udał, że bierze jego przeprosiny za dobrą monetę.

- Zresztą Aston radzi tu sobie nadspodziewanie dobrze, prawda, George?

George, który zawsze odznaczał się raczej brakiem charakteru niż wrodzoną podłością, próbował teraz złagodzić pogardliwe uwagi Stanton.

— Kapitan Grant bardzo sobie ceni twego... hm... twego brata, Charlesie.

— Miło mi to słyszeć, ale specjalnie się temu nie dziwię — odparł Charlie. - Na mnie już pora, muszę zagospodarować się na kwaterze. Bardzo się cieszę na obiad u Gordonów. Nic dziwnego, że Val był rad, kiedy go odwołano do zadań specjalnych! Nie musi stale się stykać z kimś takim jak Lucas Stanton, myślał Chanie, wracając do swego namiotu. Następnego ranka Charlie wziął udział w odprawie wraz ze wszystkimi oficerami. Po jej zakończeniu podszedł do niego major Gordon.

— Witaj na pierwszej linii frontu, Charlie!

- Dzięki, panie majorze. Jak miło ujrzeć znajomą twarz!

- Zapraszamy z żoną od czasu do czasu kilku młodych oficerów na obiad. Zechcesz nas odwiedzić dziś wieczorem?

-Jestem bardzo wdzięczny za zaproszenie, panie majorze.

- Mamy nadzieję, że także twój... hn-i... twój brat zdąży wrócić na czas i przyłączy się do nas.

— I ja mam taką nadzieję, panie majorze. Chanie z uśmiechem patrzył za odchodzącym Gordonem. Zabawne! Nikt nie potrafił normalnie mówić o Valu i łączącym ich pokrewieństwie — zupełnie jakby to była jakaś wstydliva sprawa! Spotykał się z taką postawą od lat, więc jeśli dawniej starał się tego nie zauważać, to i teraz nie będzie się tym, do cholery, przejmował!

Charlie prowadził właśnie musztrę ze swymi ludźmi, kiedy dostrzegł w dali samotnego jeźdźca zjeżdżającego po górskim stoku. Miał nadzieję, że to Val, a gdy jeździec podjechał bliżej, przekonał się, że tak było w istocie. Człowiek i koń wydawali się równie wyczerpani. Chanie, który miał właśnie dać swym żołnierzom rozkaz do pozorowanego ataku, zastygl ze wzniesionym ramieniem. Dopiero rzenie jego własnego konia uświadomiło mu, że wszyscy czekają na komendę. Machnął ręką i wrzasnął: „Naprzód!” Szczęście omal go nie rozsadziło. Tak bardzo stęsknił się za bratem przez te dwanaście lat... To prawda, że z sobą korespondowali i że nawet spędzili razem cudowne dwa dni w Londynie... Kiedy jednak jeszcze jako dzieciak wyruszył na poszukiwanie brata, wyobrażał sobie przyszłość całkiem inaczej. Miał nadzieję, że wszyscy: ojciec, Val i on, stworzą prawdziwą normalną rodzinę.

Cóż, był wtedy bardzo młody i pewnie bardzo głupi, jeśli wierzył w coś takiego. Teraz dorósł i zdawał sobie sprawę, jak skomplikowana jest ich sytuacja. Ale przynajmniej będą znowu razem... Nie dopuści, by przekłęta duma Vala jeszcze raz ich rozdzieliła!

Charlie skrócił musztrę, ostrzegając na zakończenie swych żołnierzów, by nie byli zbyt zapalczywi. „Trzeba zachować umiar, choć to niełatwe”, tłumaczył im. „Idąc do ataku, należy włożyć w to wszystkie siły, ale nie wolno zapędzić się zbyt daleko na teren wroga”.

Powierzył swego konia jednemu z kaprali i pospieszył do siebie, żeby się przebrać. Miał być na obiedzie u Gordonów, Val również. Chciał poczekać na brata w jego własnym namiocie, kiedy już Val wróci po złożeniu meldunku Grantowi.

Chanie szedł wzdłuż szeregu namiotów, gdy dostrzegł Vala, który właśnie wchodził do siebie.

— Val!

Brat odwrócił się i wtedy Charlie zrozumiał, że ma przed sobą już nie młodzieńca, ale mężczyznę. Żołnierza. Twarz

Val miał ogorzałą, nie licząc czerwonych plam od lodowatego wiatru, szalejącego w górach Portugalii. Od ucha aż do szczęki biegła cienka szrama. Był szczuplejszy, niż Chanie pamiętał. Tylko oczy pozostały te same: przejrzyste i szare.

— Nie poznajesz mnie, Val? — spytał Chanie ze swym zniewalającym nieśmiałym uśmiechem.

— Charlie? Wiedziałem, że się niedługo zjawisz! Czy to twój regiment odbywał ćwiczenia z musztry, kiedy wracałem do obozu?

- A jakże. Pod moją komendą.

- Pod twoją komendą! - powtórzył Val z uśmiechem wyrażającym zdumienie. — Więc mój mały braciszek całkiem już wyrósł i dowodzi regimentem kawalerii? - Val zrobił krok do przodu i wyciągnął obie ręce. Charlie pochwycił je i przez chwilę patrzyli na siebie. Charlie poczuł, że oczy mu wilgotnieją. Do diabła! Nie pozwoli, by Val zobaczył, jak się maże! Przyciągnął brata do siebie i wałnął go w plecy. Kiedy po chwili przestali się ścisnąć, Charlie zdumiał się i wzruszył: oczy starszego brata lśniły od łez.

- Jak dawno cię nie widziałem, Charlie! Chyba bym cię nie poznał w tym mundurze... Znowu urosłeś, co najmniej o cal! Możesz z powodzeniem patrzeć na mnie z góry... Pewnie masz buty na obcasach, co? — przekomarzał się Val.

- Nic podobnego! Wdałem się w rodzinę matki, to straszne dryblasy! Zresztą nie jestem od ciebie o wiele wyższy, najwyżej jeden, dwa cale...

- Co najmniej trzy, milordzie! - odparł Val tonem uniżonego pochlebcy.

— Nie waż się „milordować”, Valentine! I czyja to wina, że się tak długo nie widzieliśmy, co? - spytał z uśmiechem Chanie. Potem jednak, z iskrą prawdziwego gniewu w oczach, cofnął się i rzucił ostro: — Niech cię diabli, Val! Tak mi ciebie brakowało! Czemuś uciekł, na litość boską?!

— Mnie także brakowało ciebie, Charlie — odparł miękko Val. — Wiesz przecież, czemu uciekłem. Nie miałem innego wyboru.

142

— Właśnie, że miałeś, do cholery! Mogłeś zostać w szkole...

— Raczej nie.

- Niech ci będzie. Ale mogłeś poprosić ojca, żeby cię odesłał do Yorkshire! Chyba zarządzanie majątkiem ziemskim byłoby lżejsze niż żołnierska poniewierka?

- Nie zaczynajmy tego od nowa, Charlie! Moje życie ciągu ostatnich dwunastu lat nie było takie najgorsze — rzekł Val. — Nauczyłem się znacznie więcej, niż wbiliby mi do głowy w Queen's Hall. No i, z wyjątkiem tego patentu, do wszystkiego doszedłem sam.

— O Boże, wcale się nie chcę z tobą kłócić, Val! Taki jestem szczęśliwy, że cię widzę!

— A ja ciebie, mój mały braciszku. Choć nie jesteś już taki mały... i całkiem nieźle się prezentujesz! Za to ja przedstawiam sobą obraz nędzy i rozpacz. - Val uśmiechnął się żałośnie, spojrzął na swój wygnieciony mundur i brudne buty. - Wejdźmy do środka. Pogadamy, a ja się przez ten czas wyszoruję.

- Już się przebrałem na obiadu Gordonów - oznajmił Charue, przysiadłszy na brzegu łóżka. — A ty wybierzesz się do nich?

Val uniósł głowę znad miednicy.

- Nawet nie wiem, czy się mnie spodziewają... - Zerknął stronę niewielkiego stolika, który służył mu za biurko. - Chyba jednak tak... Podaj mi ten liścik, Charlie! - Otworzył i przeczytał. — Zaproсили mnie rzeczywiście, ale tym razem się wymówię - powiedział, spoglądając zdesperowanym wzrokiem na swoje spodnie. - Chyba żebym znalazł jakiś czysty mundur...

- Wybierz się do nich, Val! Nie musimy zostać tam długo... ja od tylu dni cieszyłem się na to, że będziemy znowu razem!

- Dobrze już, dobrze. Jak zasną przy stole, szturchniesz mnie łokciem, co?

Rozdział XI

Pół godziny później zierali już do wsi. Chanie ukradkiem spoglądał na brata. Val przebrał się w czysty mundur i jego cygańska uroda biła w oczy. Szerokie bary i muskularne uda sprawiały, że wyglądał potężnie; Chanie czuł, że on sam nie będzie nigdy taki postawny. No, ale Val przesłużył ostatnie dwanaście lat w piechocie! Zresztą, i na mnie mundur nie wisi, choć jestem o wiele szczuplejszy, pocieszał się Chanie. Kiedy mijali po drodze dwie miejscowe dziewczyny, Chanie skinął im głową i uśmiechnął się. Czuł, że spoglądają za nimi, a kiedy się obejrzał, dostrzegł ich pełne podziwu spojrzenia.

- Założę się, Chanie, że obje będą dziś śniły o pięknym angielskim poruczniku! - zażartował Val, idąc za wzrokiem brata.

- Jeśli będą o kims śniły, to z pewnością o tobie!

- O mnie? Nawet mnie nie zauważyły przy takim złotym chłopcu! Włosy ci błyszczą tak samo jak epolety, Charlie!

Val mówił całkiem szczerze. Jego braciszek wyrósł na młodzieńca o klasycznej urodzie i niemal pod każdym względem przypominał ojca. Tylko nos i wzrost miał po matce. Co za ironia losu: ja, bękart, odziedziczyłem najbardziej charakterystyczny z rysów hrabiego! pomyślał Val z uśmiechem.

No, nie tylko nos, ale także dumę i rezerwę Faringdonów, dodał w myśli, przyglądając się powitaniu Charliego z Gordonami. Brat nie utracił z wiekiem tej cechy, która tak ujęła Vala od pierwszej chwili: nadal był serdeczny i otwarty... z pewnością i te zalety odziedziczył po matce.

Chanie przywitał się z gospodarzami, a zaraz potem podszedł do niego James Lambert.

- Jak miło znów cię zobaczyć, Charlie! – powiedział półgłosem.

— James! Jakże się cieszę, że tu jesteś! — odparł Charlie, ściskając mu serdecznie rękę.

— Żebyś wiedział, Val! Ten chłopak złamał serce mojej siostrze i zwił do wojska! - żartował James.

- Nie słuchaj go! Zatańczyłem z tą małą tylko dwa razy.

Doskonale o tym wiesz, Jamesie!

- Ale poprowadziłeś ją do stołu przy kolacji.

- Tak, i zanudziłem biedną dziewczynę na śmierć!

- Zrobiłeś na niej wielkie wrażenie, mój drogi.

• - Nadepnałem jej na nogę w tańcu co najmniej trzy razy. Pewnie dlatego tak dobrze mnie zapamiętała!

- A już brzmiały mi w uszach wasze weselne dzwony... - powiedział James z udanym rozczerowaniem.

- Niech się pan nie zapiera, panie poruczniku! Maddie w liście do mnie też wspominała przystojnego wicehrabiego, który poprowadził ją do kolacji - odezwała się Elspeth z uśmiechem.

- Czy napisała również, że oprócz tego, że zraniłem jej nogę..., nogę, nie serce, wylałem jej także poncz na suknię?

- Chyba coś wspomniała o tym w postscriptum, milor dzie - przyznała Elspeth.

— To było dawno temu - usprawiedliwił się Charlie - za nim zdażyłem nabrać towarzyskiej ogłady!

Wszyscy się roześmiali, a Elspeth wskazała gestem stół.

— Może siądziemy do obiadu?

- Nie zaczekamy na Trowbnidge'a i Stantoną? - spytał James.

- Elspeth uznała, że będzie nam dziś milej w mniejszym gronie, zważywszy że porucznik Aston dopiero co spotkał się z bratem — wyjaśniła pani Gordon.

- Jestem ogromnie wdzięczny, że pani o tym pomyślała, panno Gordon - powiedział cicho Val.

- Drobnostka, panie poruczniku. Siadaj koło mnie, Jamie. A pan, wicehrabio, po drugiej stronie..., żeby móc swobodnie gawędzić z bratem.

Vala wzruszyła prostota, z jaką Elspeth mówiła o ich pokrewieństwie. Był też szczerze rad, że uniknie spotkania ze Stantonem. Czuł się tak zmęczony, że bardzo trudno byłoby mu utrzymać nerwy na wodzy, gdyby Lucas znów sobie pozwolił na jakieś docinki.

- Powiedz, Chanie, jak przedstawiała się sytuacja w kraju, kiedyś odjeżdżał? — spytał major.

- We wszystkich klubach zakładano się, panie majorze, czy księżę Walii dochowa wierności wigom, jeżeli zostanie regentem.

- Chyba kiedy nim zostanie, prawda? Myślę, że regencja jest nieuchronna, zważywszy... hm... na stan umysłu króla.

- I ja tak sądzę, panie majorze.

— Jeśli wigowie przejmą władzę, cała strategia Wellingtona pójdzie na marne - ciągnął dalej major. - Ciężko o tym myśleć staremu wojakowi, który zawsze uważał, że mu z

wigami po drodze... - W głosie Gordona coraz wyraźniej odzywał się rdzenny szkocki akcent.

- Ale republikaninem chyba pan nie jest, panie majorze?

— Nie, nie, Chanie! Nie wierzę, by reformy wprowadzane mieczem mogły długo się ostać. Popatrz na Francję:

w końcu wymienili tylko króla na cesarza!

- Trzeba jednak przyznać, że Napoleon utrzymał w mocy większość reform prawnych, zrodzonych z rewolucji - wtrącił James.

— Ale uważa, że sam stoi ponad prawem, i szarogęsi się w całej Europie! — zaprotestował Val. — Własnego brata osadził na hiszpańskim tronie!

— Nie aprobuję metod Napoleona, Val, dlatego właśnie znalazłem się tutaj. Przyznasz jednak, że na reformy, które Józef Bonaparte wprowadza w Hiszpanii, dawno już należało się zdecydować. A monarchia Burbonów z pewnością daleka była od ideału - dodał sucho. - Co ty na to, Charlie?

— Przyjechałem tu, bo sądzę, że jeśli Napoleon zagarnie Hiszpanię i Portugalię, to zaraz potem ruszy na Anglię. Przyznam, że dalej nie sięgam wyobraźnią. Nigdy nie uważałem się za torysa, ale ponieważ oni popierają Wellingtona, mam nadzieję, że król cudem ozdrowieje i nie będzie regencji!

- A ja uważam, że to, do czegoście wy, mężczyźni, doprowadzili, to prawdziwy skandal: sami stworzyliście taki system, który wziął was w kleszcze, i nie macie teraz innych możliwości prócz wyboru między wigiem a torysem! - odezwała się Elspeth. — I ci, i tamci mają trochę racji. Gdybym to ja miała prawo głosu, to bym wybrała rząd ponadpartyjny, złożony ze zwolenników reform... ale takich, którzy nie pozwoliliby nikomu przemocą realizować hasła o wolności, równości i braterstwie! — mówiła z przejęciem. James uniósł swój kieliszek i pochyliwszy się ku Elspeth, dotknął nim jej kieliszka.

- Brawo, panno Gordon! Może w przyszłości kobiety uzyskają prawo głosu... i ujrzymy całkiem nowy świat?

Policzki Elspeth zarumieniły się, a pasemka włosów wymknęły się z upięcia, jakby i one pragnęły wolności. Val miał wrażenie, że zapał rozświetla dziewczynę od wewnątrz i promieniuje z niej. Pomyślał z uznaniem, że panna Gordon jest nie tylko oryginalna, ale i zdolna do silnych uczuć.

- Może przejdziemy do salonu, Ianie? - zaproponowała pani Gordon.

Val rad był z tego, że głos gospodyni wyrwał go z rozmarzenia. Patrząc na Elspeth, nie mógł opanować budzącego się w nim pożądania.

- Zgoda, jeśli podniesiesz nas na duchu swoją muzyką, Peggy - odparł jej mąż. - Moja żona pięknie gra na fortepianie, ale od lat nie ma do niego dostępu, prawda, Peggy? No i z konieczności nauczyła się grać na innych, bardziej przenośnych instrumentach - dodał z dumą, gdy pani Gordon wróciła z niewielką gitarą.

- Na jakich tam „przenośnych”? To strunowe instrumenty, Ianie. A nasz Ryan po mistrzowsku gra na akordeonie... Przyłączysz się później do naszego muzykowania, Patricku?

- spytała ordynansa, który podawał im porto.

- No pewnie, z miłą chęcią, psze pani.

Majorowa wzięła parę akordów i zaczął się koncert. Najpierw zagrała kilka tęsknych portugalskich melodii, potem hiszpańskiego walca.

Val od dzieciństwa lubił muzykę; jego matka miała fortepian i często na nim grywała. Potem jednak w życiu Valentine'a zabrakło miejsca na muzykę. Zastąpiły ją śpiewki, które ryczał, wracając z karczmy, podchmielony George Burton, kolędy śpiewane przez dzieciaki ze wsi, kościelne pieśni podczas nabożeństw, no i - odkąd wstąpił do wojska - marsze i piosenki żołnierskie. Teraz pod wpływem dobrego wina i dźwięków gitary Val jakby odtajał: szczelnie od lat zamknięte drzwi do krainy wspomnień zaczęły się uchylać.

- Ogromnie lubię hiszpańską muzykę - wyznała pani Gordon - choć jest przeważnie taka smętna...

- Zagraj nam którąś z pieśni Bobby'ego Burnsa*, Peggy!

Majorowa uśmiechnęła się do męża.

- Oto coś, co pasuje do naszej dyskusji podczas obiadu, lanie!

Major Gordon miał piękny baryton.

Widać, że rodzina Gordonów często razem muzykuje, pomyślał Val, gdy i Elspeth przyłączyła się do śpiewu.

A właśnie rak, a właśnie tak!

To już nadchodzi, właśnie rak!

Ze wszyscy ludzie poprzez świat

Zostaną braćmi, właśnie rak!"

— Jeszcze raz, łaskawa pani..., zaśpiewajmy to wszyscy! — prosił Charlie, obejmując ramieniem Vala.

— Nigdy dotąd nie słyszałem tej pieśni, panie majorze — odezwał się James, gdy zamilkły ostatnie nuty. - No pewnie... Wy, Anglicy, znacie tylko miłosne śpiewki Bobby'ego... choć ich także warto posłuchać!

Pani Gordon znów uderzyła w struny gitary i skinęła na Elspeth, a ta głębokim altem zaczęła śpiewać „Pocałunek miłości”.

Może byłoby nam lepiej

Bez miłości naszej ślepej?...

Bez spotkania, bez rozstania...

Bez udręki miłowania?...

Val nie zdołał zatrzasnąć rozwierających się wrót przeszłości. Nim zdał sobie z tego sprawę, poczuł się dzieckiem w domku swej matki. Leżał w łóżku, słuchając, jak śpiewa tę właśnie pieśń... Nie mógł zasnąć, więc po cichutku zszedł ze schodów; chciał poprosić mamę o ciepłe mleko... Nagle w środku zwrotki przestała śpiewać. Przycupnął na najniższym stopniu schodów.

Wiedział, że mama płacze. Po cichutku, ale tak, jakby serce jej pękało. „Myślałam, że potrafię to znieść! Że ten ostatni pocałunek wystarczy mi na resztę życia...”, szeptała, dusząc się łzami.

Płacze z powodu tatusia! pomyślał mały Val i po cichutku wrócił do łóżka. Widział czasem łzy w oczach matki, gdy mówiła o ojcu... Nigdy jednak nie zdawał sobie sprawy

z ogromu jej bólu. Teraz dorosły Val już wiedział, że to zdrada hrabiego Faringdona złamała jej serce.

Na to wspomnienie oczy Vala zaszkliły się łzami. Dobry Boże! Wszyscy mnie wezmą za mazgaja! pomyślał i szybko otarł oczy.

Na szczęście pani Gordon zaczęła grać inną, pogodniejszą pieśń: „Zieleni się sitowie...” Gdy przyszła pora na refren, Val mógł już przyłączyć się do chóru. Potem pani Gordon popatrzyła na męża i spytała:

— Może nam jeszcze coś zaśpiewasz, lanie?

Major wstał i wsparty o gzyms kominka, patrząc prosto w oczy żonie, zaśpiewał: „Miłość ma jest szkarłatną różą...”

Jakie to uczucie kochać kobietę aż tak mocno? zastanawiał się Val, nie spuszczać oczu z majora i jego żony. On sam spędził niejedną słodką godzinę w damskim towarzystwie, ale czy można nawet porównywać te przekomarzanki i zmysłowe igraszki z uczuciem, które łączyło tych dwoje? Choć Peggy Gordon miała już siwe pasma we włosach i zmarszczki na twarzy, bez wątpienia dla swego męża była nadal dopiero co rozkwitłą różą, a ich miłość, mocna i bujna, przypominała różany krzew z matczynego ogrodu...

Do diabła! Dość już tych wspomnień o matce! Wreszcie i Valowi udało się zatrzaskać drzwi do najtajniejszych zakątków serca.

- Stanowicie państwo idealną parę, zarówno w muzyce, jak w życiu — odezwał się James, przerywając ciszę, która zapadła, gdy umilkły ostatnie dźwięki muzyki.

- Najszczęśliwszy dzień mojego życia to ten, w którym spotkałem Peggy - odparł major z szerokim uśmiechem.

- Serce Szkota to zdumiewające połączenie kontrastów, panie majorze - zauważył Charlie. — Wiem, jak zażarcie potrafia walczyć regimenty szkockich górali... A jednocześnie pieśni waszych ziomeków trafiają prosto do serca.

- Nic dziwnego, chłopcze: nie jesteśmy podobni do was, zimnych Anglików! I walczymy, i kochamy na zabój!

- Znowu zaczynasz, lanie? - skarciła męża pani Gordon. - Obrażasz naszych gości!

— No cóż, biedacy są, jacy są, i inni nie będą — odparł major z szelmowskim błyskiem w oku. - Chyba nawet lepiej, że z Wellingtona taki zimny, rozważny Anglik...

Wszystkich rozśmieszyła ta niby to niechętna pochwała wodza, dla którego w rzeczywistości major Gordon żywił najgłębszy podziw.

- Zawołamy Patricka, mamó?

Pani Gordon spojrzała na Vala, który zakrywał ręką usta, tłumiąc ziewanie.

- Myślę, że porucznik Aston ma już dość muzykowania. Posłuchamy Patricka kiedy indziej.

Val zaczął się pospiesznie usprawiedliwiać.

- Ależ nie, proszę koniecznie sprowadzić Ryana, łaskawa pani. To tylko porto trochę mnie zmorzyło...

- Chyba raczej długie godziny jazdy po górskich ścieżkach, panie poruczniku. Powiedzmy sobie lepiej: „dobranoc”. - Pani majorowa mówiła to z takim serdecznym zrozumieniem, że Val nie czuł się wcale zażenowany.

Gdy wszyscy trzej wracali razem do obozu, Charlie stwierdził:

- To był naprawdę uroczy wieczór! Zazdroszczę Gordonom - dodał z nutą żalu - to taka kochająca się rodzina.

- Tak - zgodził się James. - I zdumiewa mnie zawsze, że nikt nie miał dotąd tyle rozumu, by zakochać się w Elspeth.

- Miłość nie ma nic wspólnego z rozumem! - odparował Charlie, uśmiechając się od ucha do ucha. - Gdyby ludzie zakochiwali się tylko wtedy, gdy rozsądek im to nakazuje... ludzkość dawno by wymarła!

James roześmiał się, ale Val miał wrażenie, że usłyszał głosie przyjaciela nutkę smutku, gdy ten powiedział:

- Chyba masz rację, Charlie. No to dobrej nocy! - dodał, gdyż zbliżyli się właśnie do jego namiotu.

Przed namiotem Vala Charlie zatrzymał się niepewnie.

— Czytałem oczywiście Burnsa, ale nigdy jeszcze nie słyszałem tej pieśni „Człowiek to człowiek”...

— To pieśń w sam raz dla ciebie, Charlie. Jesteś taki, jak jej bohater: dobry i uczciwy, choć trudno powiedzieć, że ci „blasku brak!” - odparł Val z uśmiechem, parafrazując utwór. — I każdego potrafisz kochać takim, jaki jest... Przecież właśnie tak mnie pokochałeś... i nigdy ci tego nie zapomnę. Rad jestem, Charlie, że „jesteśmy braćmi, właśnie tak”... — dodał, kładąc mu rękę na ramieniu. — I ja też, Val. Ja też!

Mimo iż zmęczony do ostatnich granic - a może właśnie dlatego? - Val nie zdołał od razu zasnąć. Leżał na polowym łóżku, a w głowie dźwięczały mu pieśni Burnsa. Czemu właśnie ta muzyka poruszyła najczulsze struny jego serca? Val uśmiechnął się: jakie to trafne określenie! Zupełnie jakby struny fortepianu, skrzypiec czy gitary współbrzmiały ze strunami serca, wydobywając z jego głębi emocje, których nic innego nie mogło zbudzić. O, warkot bębna przyspieszał rytm krwi, a cholerne szkockie kobzy budziły w człowieku dziki szal bitewny... ale muzyka słyszana dzisiejszego wieczoru sprawiła, że ocknęły się w nim uczucia uspione od lat...

Robert Burns wierzył, że ludzie są równi bez względu na ich pozycję w świecie. Nie - wierzył, że wszyscy ludzie są braćmi. Gordonowie, Charlie i James także w to chyba wierzyli... Dlaczego więc on, Val, ani rusz nie może w to uwierzyć?

Wiedział, że pod pewnymi względami nie ustępuje innym. Przekonało go o tym dwanaście lat żołnierki. Nie uważał, by taki czy inny stopień wojskowy lub jego brak miał większe znaczenie. Nie zazdrościł też Charliemu tytułu wicehrabiego ani tego, że zostanie kiedyś hrabią. Jeśli w ogóle zazdrościł Charliemu czegoś, to chyba tylko ojca... Tylko że, do cholery, wcale nie zależało mu na takim ojcu jak hrabia Faringdon! Do diabła, wszystko mu się już plątało z tego zmęczenia... Chyba zazdrościł Charliemu, że miał oboje rodziców. Związanych nierozzerwalnym węzłem. Dotrzymujących sobie (prawdopodobnie!) wierności. A co jemu się dostało? Aż śmiech bierze, doprawdy: ten sam ojciec, ale za to z całą pewnością niewierny.

No cóż, miłość — jak twierdzili Charlie i James — nie ma nic wspólnego z logiką. Ciekawe, jak to jest z Jamesem? Czy ta nuta smutku w jego głosie świadczy o tym, że pokochał kogoś, kogo „nierozsądnie” było pokochać? Val zdążył jeszcze pomyśleć, że Elspeth Gordon zasługuje na to, by wkrótce ktoś ją docenił i pokochał... Potem myśli całkiem mu się splątały i zasnął.

Rozdział XII

Pani Casey wiedziała o przyjeździe nowych oficerów i postarała się zawrzeć z nimi znajomość przy najbliższej sposobności. Następnego dnia po południu tkwiła już pod namiotem Charliego, czekając, aż wróci po zakończeniu służby.

— Dzień dobry, milordzie. Nazywam się Mags Casey.

- Ach, tak? Czego pani sobie życzy, pani Casey? - Charlie speszył się nieco na widok kobiety dorównującej mu wzrostem.

— Chciałam pana serdecznie powitać w Portugalii, panie poruczniku.

- No... jestem pani bardzo wdzięczny - odparł Charlie, zastanawiając się, jakie to „serdeczne powitanie” miała na myśli. Czyżby obozowe dziwki zaczęły już tak otwarcie uprawiać swoje rzemiosło?

- Pomyślałam, że może przyda się panu porucznikowi praczka?

A więc o to chodziło! Chanie odetchnął z ulgą. Nie chciał urazić niczyich uczuć, ale na samą myśl o pójściu do łóżka z tą olbrzymką... Całe szczęście, że będzie mógł skorzystać z całkiem innych usług pani Casey!

— Istotnie, a nikogo jeszcze nie znalazłem... Zebrało mi się już sporo brudnych koszul od przyjazdu do Portugalii.

- Tak sobie właśnie pomyślałam, milordzie. No więc, jeśli o mnie chodzi... - I Mags przedstawiła bardzo rzeczowo zasady, na których prowadziła swój interes.

- Całkiem mi to odpowiada, pani Casey - rzekł Chanie. - Mogę dać brudne koszule już dziś. A pościel też pani pierze?

— Ma się rozumieć, milordzie! A jakby pan chciał Spraw. dzić, czy wszystko ze mną w porządku, to wystarczy zapytać porucznika Astona. Na pewno za mną poręczy.

- A więc pierze pani również bieliznę mego brata! — zauważył Chanie, wpychając koszule do powłoczki.

- Porucznik Aston to pański brat? Całkiem do pana niepodobny, milordzie!

- To mój brat przyrodni, pani Casey. Wdał się w swoją matkę. Z wyjątkiem nosa - dodał Chanie z uśmiechem.

Mags uśmiechnęła się szeroko i wzięła od niego bieliznę.

- Będzie gotowa za kilka dni, milordzie. A gdyby jakaś inna baba zawracała panu porucznikowi głowę, to wystar czy powiedzieć, że wszystko, co trzeba, robi dla pana Mags Casey. Ma się rozumieć, w sensie prania! — dodała z szerokim uśmiechem i mrugnęła do niego.

- No tak... oczywiście... bardzo pani dziękuję - wybąkał Chanie i poczerwieniał jak burak. Późnym wieczorem Mags, rozbierając się przed wejściem do łóżka Willa Talimana, opowiedziała mu o swoim odkryciu.

A jeśli porucznik Aston jest przyrodnim bratem wicehrabiego Holme, to musi być bękartem jego tatusia, hrabiego! I pomyśleć, że przez dwanaście lat służył w wojsku jako prosty żołnierz! - dodała ze zdumieniem.

- Porucznik nie lubi, żeby o tym mówić, Mags - ostrzegł ją Will.

— Więc ty o tym wiedziałeś? I niceś mi nie powiedział!

- To nie mój sekret i nie mam prawa o tym paplać. No, teraz, jak przyjechał jego brat, to już nie będzie taki znowu sekret... ale mimo wszystko lepiej o tym nie gadać.

Nie zapinając guzików przy nocnej koszuli, pani Casey wsunęła się pod koc.

- Ależ ci stopy zmarzły, Will! Całe nogi masz zimne - przekomarzała się, sunąc ręką po jego udzie. - A tu co znowu mamy? Bryłę lodu?

- Wystarczy dotyk twojej łapki, żeby odtajała - odparł Will i westchnął z satysfakcją, poddając się pieścizocie.

- To była dla mnie prawdziwa niespodzianka, znaleźć coś takiego u całkiem niedużego chłopca!

— Nie jestem znów taki mały. To z ciebie jest wielgachna baba, Mags!

- A co? Może nie lubisz dużych bab?

— Dobrze wiesz, że lubię, Mags. Jeszcze jak! — zapewnił ją Will, przewrócił na plecy i zadarił jej koszulę. Jego ręce zaczęły ugniatać pośladki Mags, a ona uniosła nogi, by go nimi objąć.

- Tylko przy takiej babie jak ty dobrze się czuję. Inną bałbym się skrzywdzić, bo wiesz, jakiego mam wielkiego!

Mags żartobliwie pocinęła go za ucho.

— Przestań się tak puszyć, Will! Zupełnie jak kogut!

- A masz ochotę na swego koguta, Mags?

— O, tak, Will! Tak! — jęknęła radośnie.

Leżeli jedno przy drugim, bardzo z siebie zadowoleni. Will obejmował Mags, a ona opierała mu głowę na ramieniu. To właśnie najbardziej ją w nim ujęło, że potrafił być taki czuły potem... Inny od razu by zaczął chrapać! A zdarzali się podobno i tacy, co po wszystkim wyganiali kobietę do jej namiotu!

— Jesteś wspaniała, Mags — pomrukiwał Will, głaszcząc ją po głowie.

— Jak jestem taka wspaniała i tak ci potrafię dogodzić, to może byś się ze mną ożenił, co?

- Mags, nie zaczynaj z tym od nowa! Ja się nie nadaję do żeniaczki. Mówiłem ci to od samego początku i nie zmieniałem zdania. Żołnierze nie powinni się żenić - dodał. - Gdyby wszyscy postępowali jak ja, nie byłoby tylu wdów.

- Myślisz, że mniej bym po tobie płakała, Will, gdyby cię zabili, a nie zdążylibyśmy wziąć ślubu?

- Pewnie, że nie, Mags - odparł pojednawczo. - Ale i tak wychodzi na moje: jeśli to niczego nie zmieni, to po co się zaraz żenić? Śpij już, kobieto!

- Na dziś starczy — mruknęła Mags Casey - ale jutro znowu o tym usłyszysz, panie Tailman!

- O, tego jestem pewny! - odparł z ciężkim westchnieniem Will.

Gdy zasnęła, leżał jeszcze jakiś czas, rozmyślając. Mags Casey nie była, rzecz jasna, pierwszą kobietą, z którą się zadawał, odkąd zaciągnął się do wojska, ale kto wie, czy nie będzie ostatnią? Will cierpliwie znosił docinki kolegów, którzy mu współczuli, że razem musi być im niewygodnie! Jego samego dysproporcja w ich wzroście raczej pociągała. Przedtem zawsze wybierał sobie drobne kobietki, ale od pierwszej chwili, gdy ujrzał Mags, jak mieszkała w kociołku pełnym oficerskich koszul i przekomarzała się z innymi praczkami, poczuł do niej miętę. Teraz wystarczyło, żeby weszła do jego namiotu, a już był gotów do akcji! Chętnie spędzałby z nią wszystkie noce... I większość dnia, a jakże, gdyby tylko mógł! Ale dawno temu dał sobie słowo, że się nie ożeni, póki będzie w wojsku. Mógł co noc spać z tą samą babą... ale gdyby to miała być żona... Cóż, byłoby tylko więcej strachu i nerwów przed każdą bitwą... A poza tym chciał czuć się wolny. Ilekroć próbował to wytłumaczyć Mags, zawsze się pokłócili.

— Po prostu nie chcę się wiązać, Mags! — klarował jej. — Ani zamartwiać się o żonę, idąc do boju.

- Chcesz być wolny, żeby sobie odmienić, co? I kto cię tak korci? Może ta Lucy Brown, co zawsze wierci tyłkiem na twój widok?!

— Żadna inna mnie nie korci, Mags. Chcę mieć ciebie w łóżku każdziutkiej nocy. Ale dobrze wiedzieć, że mógłbym sobie zmienić, gdybym chciał!

- Nie zginiesz od tych żabojadów, Will! Sama cię zatłukę, jak zadasz się z inną babą! - Mags powiedziała to z taką pasją, że Will od razu jej uwierzył.

Mimo tych pogroźek chyba jednak padnie z ręki żabojadów. Zupełnie go nie ciągnęło do innych bab. Mags pasowała mu jak żadna! Byle nie upierała się zostać panią Tailman. Przez kilka następnych tygodni było ciepłej, ale padał ciągle deszcz. Drogi rozmyło, namioty przemokły na wylot

i bez przerwy z nich kapąło. W całym obozie nikt nie miał ani jednej suchej — a tym bardziej czystej — części garderoby.

Val wolał mróz ze śniegiem od lodowatego deszczu, który sieki go nieustannie podczas konnych wypraw w górzystym terenie. Sytuacja Francuzów była równie podła, a nawet gorsza, bo mieli znacznie mniej żywności.

Prawdę mówiąc, w armii brytyjskiej więcej się piło, niż jadło, ale Val nie dziwił się żołnierzom, że starali się rozgrzać. Jednak skutkiem tego kłótnie wybuchały niemal co godzina, a przynajmniej dwa razy na dzień dochodziło do rękoczynów. No i winnym trzeba było wymierzać chłostę.

- Do Bożego Narodzenia już tylko dwa tygodnie, poruczniku! Jeśli ten cholerny deszcz nie przestanie padać, na święta wszyscy popłyną jak kaczkę do domu - mówił kapitan Grant. - Chyba bym już wolał, żeby te przeklęte żabojady wreszcie nas zaatakowały. Przynajmniej nasi ludzie mieliby coś do roboty!

- Może poprawi się panu humor, panie kapitanie, jak powiem, że i u Francuzów mnożą się bójki i kary - odparł Val z nieco ironicznym uśmiechem.

Co gorsza, zachowanie naszych ludzi tylko utwierdza Wellingtona w przekonaniu, że każdy brytyjski żołnierz to pijus i zabijaka.

- Może by coś im obiecać w nagrodę za dobre sprawowanie?

- Co takiego? Suche ubrania? Słoneczną pogodę? Ciasto z rodzynekami na świąteczny stół?

- Przy odrobinie szczęścia pogoda się odmieni i do Bożego Narodzenia wszystko wyschnie. Może by tak książę Wellington urządził gwiazdkowe przyjęcie? Albo nawet bal?

- Bal dla szeregowców?!

- Bal dla oficerów i miejscowych dygnitarzy. A muzyka i świąteczna wyżerka dla prostych żołnierzy. Gdybyśmy zabrali się do tego od razu, chyba by się udało zdobyć kilka kurczaków... Kto wie, może nawet prosię? Sądzę, że z aprowizacją poszłoby mi lepiej niż z tropieniem naszego szpiega, panie kapitanie — dodał Val.

— Więc nadal brak rezultatów?

- Kimkolwiek on jest, sprytu mu nie brak. Wiemy tylko, że to jakiś oficer. Przypuszczam, że to ktoś o poglądach zbliżonych do wigów. Jest ich jednak sporo... a w dodatku żaden jakoś mi nie wygląda na zdrajcę. - Val urwał. — Wolałbym, oczywiście, gdyby to był ktoś w rodzaju Lucasa Stantona, z gębą pełną torysowskich frazesów!

- To byłaby nawet niezła przykrywka! - zauważył kapitan Grant.

- Rzeczywiście - odparł po zastanowieniu Val. - Myślałem nawet o tym, by wziąć sobie pomocnika - dodał z uśmiechem.

- Kogóż to?

- Pani Casey pierze bieliznę wielu oficerom. Ma stały dostęp do ich namiotów. Waham się jednak, czy wolno mi narażać tę kobietę na niebezpieczeństwo?

- Mam podobne obiekcje, poruczniku. Skorzystamy z pomocy pani Casey tylko w ostateczności.

Rozdział XIII

Nietrudno było uzyskać zgodę księcia Wellingtona na zorganizowanie świątecznego balu w miasteczku Mafra; generał orientował się, że skutkiem złej pogody nawet wśród oficerów bardzo pogorszyły się nastroje.

— A prości żołnierze? Jakie atrakcje proponujesz dla nich, Colquhounie?

- Podwójną rację rumu na Boże Narodzenie.

Wellington parsknął pogardliwie:

- Tylko tego im trzeba!

— Możemy nieco zmniejszyć racje w przedświątecznych tygodniach. Pogodzą się z tym, jeżeli im obiecamy świąteczną ucztę. Można by również zorganizować zawody strzeleckie z nagrodami... Coś, na co mogliby czekać i co zaprzętałoby ich uwagę, wasza książęca mość.

- A co im podamy podczas tej uczyty?!

- Mogę wysłać po żywność kilku moich zwiadowców. Może porucznik Aston wyruszyłby znowu w góry? Guerilheros znakomicie radzą sobie z zaopatrzeniem. Nie sądzę, by Francuzi wypuszczali się poza swój obóz przy takiej pogodzie - dodał uspokajającym tonem.

- Cóż, jeśli ktoś potrafi zdobyć tu dla nas jakąś żywność, to chyba tylko ty, Grant! — powiedział Wellington i skinął głową na znak aprobaty.

Dziewięć dni przed Bożym Narodzeniem deszcz ustał, po południu temperatura spadła poniżej zera. Przez noc ziemia zamarzła i tam, gdzie dotąd grzęzło się po kostki w błocie, teraz stąpano po twardym, choć nierównym gruncie. Oblodzone ściany namiotów zeszytwniały, a kałuże pokryły się cienką, srebrzystą warstwą lodu.

Val wyruszył wczesnym rankiem. Kiedy odwrócił się i obejrzał na obóz, musiał się uśmiechnąć - wszystko lśniło

zimowym słońcu: oblodzone namioty i gałęzie nielicznych drzew. Skrzył się nawet lód na zamarzniętych kole-
mach i kałużach.

- Taki widok wystarczy, żeby wprawić człowieka w świąteczny nastrój! — zwierzył się Val Cezarowi, gdy wjechali

góry. - Miejmy nadzieję, że poszczęści się nam również ze znalezieniem żywności!

Kiedy Val dotarł do „warowni” Sancheza, pierwszym człowiekiem, na którego się natknął, był Jack Belden.

- Obawiam się, że przebył pan taki szmat drogi na darmo, poruczniku - oznajmił kapitan.

- W taką pogodę Francuzi nie wychylali nawet nosa z obozu. Nie przechwyciliśmy żadnych wiadomości.

— Przybywam w znacznie ważniejszej misji, co mi tam jakaś francuska korespondencja!

- oświadczył dramatycznym tonem Val.

- Czyżby?

- Wysłano mnie do was, panowie, z zaproszeniem na bal w dzień Bożego Narodzenia mówił dalej Val z szerokim uśmiechem.

—Bal?

- Książę Wellington uznał, że taka świąteczna uroczystość pozwoli naszym ludziom zapomnieć o udrękach portugalskiej zimy. Żołnierze gorzej znoszą przymusową bezczynność niż codzienne dwudziestomilowe marsze.

- Bal, mówi pan? A z kim będziemy tańczyć? Sami ze sobą? - spytał Belden z cierpkim uśmiechem.

- Zjawi się spora gromadka szacownych miejscowych dam, no i żony naszych oficerów.

- W takim razie możecie liczyć na mnie i na pułkownika Sancheza.

- Doskonale! Ale mam jeszcze jedno zadanie do wykonania, panie kapitanie: muszę zdobyć prowiant na świąteczny obiad dla naszych żołnierzy.

- No, to będzie pan miał ciężki orzech do zgryzienia, poruczniku!

- Kapitan Grant z kilkoma moimi kolegami również wyruszyli na poszukiwanie żywności. Mam wrażenie, że spodziewają się czegoś w rodzaju cudownego rozmnożenia chlebów i ryb... niczym w Biblii! Jeśli jednak każdy z nas coś przywiezie, a i żołnierze wydobędą jakieś tam, choćby mizerne, zapasy, to w połączeniu z podwójną racją rumu uda się sklecić coś w rodzaju świątecznej uczyty

- Mamy zapasik kartofli, poruczniku. Możemy wam trochę ofiarować. No i są, oczywiście, prosięta — dodał z wesołym błyskiem w oku.

— Prosięta?! Pieczone prosię nadawałoby się idealnie! — wykrzyknął Val.

- Wątpię, czy wycyganę dla pana więcej niż jedno, bo nasz kucharz planuje cały miot przerobić na kielbasy. A je-

śli już mowa o kielbasach, to znajdzie się dla pana jedno czy drugie pęto, żebyście mieli czym okrasić te kartofle!

Prosięta mieszkały w chlewiku za niewielkim, wałącym się już domem, królestwem kucharza. Val przysłuchiwał się dyskusji Jacka z tą ważną osobistością, jednak wicehrabia mówił tak prędko i targował się tak zawzięcie, że Val kilkakrotnie gubił wątek.

- Kucharz mówi, że może pan sobie wziąć najmniejszego — wyjaśnił Jack, kiedy kucharz dramatycznie wyrzucił ręce ku niebu i wycofał się do swego domku.

Łatwiej powiedzieć, niż wykonać! pomyślał Val, gdy obaj z Beldenem ganiali za prosiakiem po całym chlewiku. W końcu wicehrabia dopadł zwierzaka i schwycił za tylne nogi.

- Należy mi się za to dobry kawał mięsa od szynki! - rzucił stanowczo Jack Belden, spojrzawszy na swój brudny mundur. - Będę musiał ograniczyć się do rozkoszy stołu, bo któraż dama zatańczy z takim oberwańcem?!

Po południu Val opuścił obóz Sancheza, uwożąc w jukach dobre piętnaście funtów ziemniaków i tuzin kielbas, a ponadto kwiczące prosię. Księżyc był już prawie w pełni, toteż bez trudu mógł odnaleźć drogę i jechał aż do północy. Dopiero wówczas zatrzymał się na nocleg.

- No chodź, prosiaczku! - powiedział czule i wyjąwszy stworzenie z juków, uwiązał je u jakiegoś krzaka. Potem owinał się kocem, oparł o skałę i przymknął oczy. Już zasypiał, kiedy prosię zaczęło koncert.

Val słyszał wyraźnie, jak zwierzak miota się we wszystkie strony, ale postanowił nie zwracać na niego uwagi. Zmęczy się, to da spokój. Ale żalosne kwiczenie nie ustawało.

- Cholerne bydlę! Jeszcze nam kogoś ściągniesz na kark tymi wrzaskami! - Val podszedł do krzaka; prosię natychmiast przytuliło się do jego nóg. - Trzeba ci towarzystwa, co? Tęsknisz pewnie za mamą i rodzeństwem! - Val odwiązał sznurek i podprowadził prosię do miejsca, gdzie zamierzał spędzić noc. - Dobrze już, dobrze! Jeśli będziesz cicho, możesz spać koło mnie, podły warchlaku!

Prosięciu nie odpowiadało jednak spanie na kocu. Uniosło go ryjkiem i wgramoliło się pod spód; sapnąwszy z zadowolenia, położyło się tuż przy Valu.

— Jesteś świnia, nie pies! - zwrócił mu ostro uwagę porucznik. Ale prosiaczek tylko chrząknął i jeszcze mocniej się do niego przytulił. Val bezradnie westchnął i pogodził się z losem.

Następnego ranka obudził go mokry, szorstki języczek, liżący go po twarzy.

- Pfuj! Wynoś się, cholerna świni, bo ci od razu poderżnę gardło!

Zwierzątko przekrzywiło łebek i spojrzalo na Vala tak bystrym wzrokiem, że musiał się roześmiać.

Nie było łatwo wsadzić kwiczące stworzenie na powrót do worka przy siodle, ale w końcu Val zdołał tego dokonać i po kilku minutach piski ucichły. Miarowy chód konia ukołysał widocznie prosię, które siedziało już cicho aż do samego obozu.

Val wyładował kartofle i kielbasy i zaniósł je do namiotu kapitana Granta.

- Zastalem pana kapitana? - spytał ordynansa.

- Tak jest, panie poruczniku. Proszę wejść.

- Witamy z podróży, poruczniku! Słyszę, że wyprawa się powiodła i są jakieś zapasy?

— Ziemniaki i kielbasa, panie kapitanie, a w dodatku prosię.

- Przywiozłeś ubitego prosiaka? Trzeba natychmiast oddać go kucharzowi! - polecił Grant.

- Wcale nie ubitego... choć mało brakowało, a sam bym toto zaszlachtował zeszłej nocy!

Prosię jest żywe, i to jeszcze jak!

- Żywe prosię? Duże?

- Najmniejsze z całego miotu.

- Udało nam się zdobyć rostbef na książęcy stół, poruczniku... Ale młodziutkie pieczone prosię... to przysmak w sam

raz dla oficerów. Proszę je zanieść do domu majora Gordona, poruczniku.

— Tak jest, panie kapitanie!

Dotarłszy do domu Gordonów, Val uwiązał konia i wyjął prosię z juków. Zamierzał oddać je od razu ordynansowi, ale gdy drzwi się otwały, Val z kwiczącym prosiakiem w objęciach stanął oko w oko z panną Elspeth Gordon. Niezręcznie jedną ręką ściągnął czako i uklonił się majorównie. Stworzenie natychmiast skorzystało z okazji, wyrwało mu się i wbiegło do domu.

— Wracaj natychmiast, cholerne bydlę! - ryknął Val i skoczył za prosiakiem, potracając Elspeth, która ze zdumieniem i coraz większym rozbawieniem obserwowała, jak zazwyczaj opanowany i pełen godności porucznik Aston, padłszy na czworaki, usiłuje wydobyć uciekiniera spod kanapy.

— Niech cię szlag! — warknął Val, wsuwając jak najgłębiej ramię i starając się pochwycić zwinne zwierzę. Potem zmienił ton. - No chodź tu, świnko, świneczko... - przemawiał czule.

- Może jak je przepłoszę, pobiegnie do pana - powiedziała Elspeth zdławionym głosem; czyniła bohaterskie wysiłki, żeby się nie roześmiać. Uklękła przy kanapie z drugiej strony i zaczęła lekko poszturchiwać zwierzątko, które w końcu postanowiło schronić się u znanego mu już opiekuna. Gdy tylko wysunęło ryjek spod kanapy, Val chwycił je, zerwał się i wstał. Prosię wierciło się w jego objęciach i zaczęło lizać go po twarzy.

- Czy mógłbym pomówić z szeregowcem Ryanem, panno Gordon? — spytał Val z taką godnością, na jaką pozwalało mu położenie.

- Oczywiście, panie poruczniku. Czy to prosię jest dla niego?

- To choler... Bardzo przepraszam, panno Gordon. Ta świnka jest przeznaczona na świąteczny obiad dla pani rodziny.

- Ach, tak? Zaraz zawołam Ryana. - Elspeth pobiegła do kuchni najszybciej jak tylko mogła, a po drodze aż popłakała się ze śmiechu, który dotąd tak bohatercko powstrzymywała.

— Nic się pani nie stało? — zaniepokoił się Ryan.

— Nie, nie, Patricku — odezwała się w końcu, ocierając łzy. — Chodzi o porucznika Astona. Jest w salonie i potrzebuje twojej pomocy.

Kiedy Ryan ujrzał porucznika trzymającego w ramionach tulące się do niego prosię, nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Hm... panna Gordon powiedziała, że pan porucznik ma coś do mnie?

- Zabierzcie to bydłę, Ryan! - warknął z obrzydzeniem Val, wciskając ordynansowi prosiaka. - To na świąteczny obiad.

- Tak jest, panie poruczniku. Mam wrażenie, że bardzo się do pana porucznika przywiązał - dodał, gdyż prosię usiłowało za wszelką cenę wrócić do Vala.

- Jego uczucia nie są odwzajemnione! Możecie być tego pewni, Ryan - odparł Val, spojrzawszy na swój mundur, przy którym brakowało kilku guzików, oderwanych ostrymi kopytkami wierzgającego prosięcia. Aston próbował właśnie obciągnąć kurtkę, gdy zjawiła się znów Elspeth.

- Serdeczne dzięki za wspaniały dodatek do świątecznej uczy, panie poruczniku. Spodziewam się, że i panu będzie smakowała pieczona wieprzowinka! Mam wrażenie, że pan i prosię bardzo zaprzyjaźniliście się ze sobą podczas podróży - dodała z iskierkami śmiechu w oczach.

- Zapewniam panią, panno Gordon, że nie mogę się doczekać chwili, gdy ujrzę to stworzenie na półmisku!

- Biedna świnka... - mruknęła Elspeth.

- Biedna świnka?! Jasna cho... Widzi pani, co to bydłę zrobiło z moim mundurem!

- Widzę, że stracił pan kilka guzików, panie poruczniku - odparła ze współczuciem Elspeth. - Proszę zostawić mi mundurową kurtkę, a z prawdziwą przyjemnością przyszyję nowe. Będę szczęśliwa, mogąc choć w małym stopniu wynagrodzić panu straty, poniesione podczas wykonywania tej niezwykle trudnej misji!

Ton majorówny był pełen słodyczy i podziwu, ale Val od razu się zorientował, że dziewczyna z trudem powstrzymuje śmiech.

- Widzę, że pani sobie ze mnie kpi, panno Gordon! Ale ta misja była istotnie niebezpieczna: ten zas... to zwierzę swymi wrzaskami omal nie ściągnęło mi na łeb Francuzów albo bandytów. Było je słycać w odległości co najmniej dwudziestu mil!

— I jak pan temu zaradził? — spytała Elspeth z powagą.

Val zawahał się.

- Pozwoliłem tej przekłętej świni spać obok mnie - przyznał i zaczerwienił się jak burak. - Mam nadzieję, że zatrzyma pani tę informację dla siebie, panno Gordon.

— Oczywiście, panie poruczniku - zapewniła Elspeth, ale w oczach mignęło jej rozbawienie.

— Dziękuję pani. No, pora wracać na kwaterę i poszukać guzików!

- Więc odrzuca pan moją ofertę, panie poruczniku?

- Jestem pani ogromnie wdzięczny, panno Gordon, ale całkiem nieźle sobie radzę z igłą i nitką. Może mi pani wierzyć.

Wychodząc, Val spotkał Ryana wynurzającego się z zą węgła.

- Wsadziłem prosię do chlewika, panie poruczniku, ale kwiczy jak szalone. Tęskni widać za panem porucznikiem.

- Może sobie tęsknić do końca świata - odparł Val. - W jego wypadku nie będzie to znów tak długo trwało!

Rozdział XIV

Dwa dni później, tuż przed świtem, coś nagle obudziło Vala. Uświadomił sobie, że ktoś próbuje dostać się do wnętrza jego namiotu. Chwycił leżący pod łóżkiem pistolet i czekał, aż intruz odchyli kłapę. U dołu ukazała się niewielka szpara. Wpadł przez nią blask wczesnego poranka... a potern wkroczyło prosię. Zatrzymało się w pół drogi i przekrzywiło łebek, jakby chciało powiedzieć: „No i jestem! Nie cieszysz się na mój widok?”

Val zaklął siarczyście, ale to zwierzątko bynajmniej nie odstraszyło. Prosiak podszedł do łóżka, oparł się przednimi nóżkami o jego brzeg i wskoczył na pościel.

- Jesteś gorszy od rozpieszczonego szczeniaka, mój panie! - jęknął Val, zasłaniając twarz przed atakami prosięcia. — Ale muszę przyznać, że jesteś równie sprytny jak pies — dodał, uśmiechając się mimo woli. — Jakeś mnie tu znalazł?!

Prosię w odpowiedzi sapnęło z zadowoleniem, wpełzło pod koc i przytuliło się do przyjaciela.

- O, nie! Nic z tego! — zaprotestował Val, wyskakując z łóżka. - Wrócisz natychmiast do chlewika Gordonów!

Ubrał się pospiesznie; chciał opuścić obóz i znaleźć się na drodze do wsi, nim ktoś się obudzi.

- Tym razem nie będę cię nosił na rękach! - mruknął. - Nie po to przyszywałem nowe guziki! - Chwycił kawałek sznurka i zawiązał go prosięciu na szyi.

Myślał, że będzie musiał przez całą drogę wlec opierając się zwierzę, ale prosię ochoczo pomaszzerowało u jego boku. Val już miał nadzieję, że wymknie się z obozu, nie zwracając niczyjej uwagi, ale gdy mijał ostatni z oficerskich namiotów, wyszedł z niego James w nie dopiętych spodniach.

- O, to ty? Dzień dobry.

- Czy ja śnię, czy doprawdy żywe prosię stoi przede mną? - wydekłamował dramatycznym tonem James.

- A jak ci powiem, że śniesz, to mi uwierzysz i wleziesz z powrotem do namiotu?

- Nic z tego, Val - odparł James z szerokim uśmiechem. - Zew natury jest zbyt potężny! Nie ma mowy o zaśnięciu. No i zazwyczaj moje senne marzenia nie są tak prozaiczne. To pewnie główne danie naszej świątecznej uczy? - spytał i pochyliwszy się, podrapał prosię za uchem.

— Nie uchowa się do tego czasu, jeśli będzie mi włożył drogę! - warknął Val.

- Ależ, Valentine, on cię po prostu pokochał! Może zbyt wcześnie go zabrałeś od matki?

— Idź się lepiej odlać, James! I trzymaj język za zębami, dobrze?

- Nie przyjdzie mi to łatwo... Ale niech będzie: nie wspomnę nikomu o twoim wielbiciele. Val i prosię odpowiedzieli mu zgodnym chrząknięciem, James pomachał im ręką na pożegnanie.

- Zmykaj już, Val, bo się zsikam w portki ze śmiechu!

Dotarłszy do siedziby Gordonów, Val zaprowadził prosię na tyły domu i bez ceremonii wepchnął za ogrodzenie chlewika. Furtka chwiała się na zawiasach i Val zamknął ją pospiesznie, by prosiak znowu się nie wymknął.

— Ale jakież ty się stąd wydostał? — zdumiewał się Val, oglądając wejście na „świński wybieg”. Nie musiał głowić się długo, gdyż prosię niebawem podreptało do furtki, wspięło się na zadnie nóżki, wyciągnęło na całą długość i zaczęło ryjkiem trącać rygiel. Za trzecim czy czwartym razem tygiel się poddał i gdyby nie Val, który udaremnił ucieczkę, prosiak byłby znowu na wolności.

— Spryciarz z ciebie! — powiedział Val, uśmiechając się z podziwem. - Ale już ja o to zadbam, żeby się furtka nie otwierała! — Wyciągnął z kieszeni sznurek, który służył przedtem za świńską smycz, i unieruchomił furtkę. - No, teraz się stąd nie wydostaniesz! — Odwrócił się na pięcie i miał już odejść, gdy prosię zaczęło popiskiwać, a potem rozdzierająco kwiczeć.

- Niech to szlag! Obudzisz cały dom, zarazo! - Nie było innej rady: Val zawrócił, przykląkł przy ogrodzeniu i zaczął skrobać prosię za uszami.

- Jak widzę, stęsknił się pan za nim tak samo, jak on za panem, poruczniku! - rozległ się za nim czyjś rozbawiony głos.

To była panna Gordon w niebieskim flanelowym szlafroku i z wielkim kraciastym szalem na ramionach. Na nogach miała tylko podbite barankiem ranne pantofle; zanim Val zerwał się z klęczek, przed oczyma mignęły mu niezwykle zgrabne damskie kostki.

- Ten prosiak mógłby występować w cyrku! Wpakował się dziś rano do mego namiotu - stwierdził Val z niesmakiem.

— Słyszałam, że świny są bardzo inteligentne, ale do tej pory w to nie wierzyłam.

Najlepszy dowód, że nie należy sądzić nikogo z pozorów. Prawda, panie poruczniku? Ale jak on się wydostał z chlewika?

- Otworzył rygiel ryjkiem! - wyjaśnił Val i z przerażeniem uświadomił sobie, że w jego uśmiechu jest więcej dumy niż oburzenia.

Oparci o ogrodzenie przyglądali się, jak prosię ociera się łebkiem o buty Vala.

- Obiecuję, panie poruczniku, że prosiak więcej panu nie przeszkodzi. Dopilnuję, żeby Ryan dobrze zabezpieczył furtkę. A za kilka dni będzie już...

— No, tak... — Val odwrócił się pospiesznie. — Im szybciej, tym lepiej... bo mógłbym się jeszcze przywiązać do tego gów... Najmocniej przepraszam, panno Gordon.

Elspeth roześmiała się.

- Słyszałam już to słówko, panie poruczniku.

— Lepiej niech pani wraca do domu, panno Gordon. Ranek jest zimny, a pani na bosaka i w ogóle... - Dopiero wypowiedziawszy te słowa Val uświadomił sobie ich niestosowność. Nie powinien dostrzec bosych nóg majorówny, a tym bardziej mówić na ten temat!

Psiakrew, w wojsku trudno się nauczyć salonowych manier! — Jeszcze raz przepraszam, panno Gordon! Nie powinienem był wspomnieć o pani gołych nogach... - Masz ci los, znów mi się wyrwało! pomyślał Val i poczerwieniał.

- Czyżby pan jeszcze nie zauważył, że nie gorszę się byle czym, panie poruczniku? Wcale się na pana nie gniewam, proszę mi wierzyć! — odparła Elspeth z uśmiechem.

- Jestem pani bardzo wdzięczny... Lepiej już sobie pójdę.

- Miłego dnia, panie poruczniku! Nie mogę się wprost doczekać świątecznej uczyt! yal mruknął niewyraźnie: „I ja też”, ale Elspeth odniosła wrażenie, że kiedy zerknął w stronę chlewika, wizja pieczystego wcale nie wydawała mu się nęcąca.

- Mam wrażenie, prosiaczku, że porucznik polubił cię bardziej, niż chce się do tego przyznać - powiedziała, spoglądając w zadumie na stworzonko przy korycie.

Przez kilka następnych dni Val usłyszał tylko parę przycinków na temat „świńskiego przyjaciela” i wszystkie nawiązywały do ich wspólnego przybycia do obozu. Był bardzo wdzięczny Jamesowi i pannie Gordon, że nie wspomnieli nikomu o porannej wizycie prosięcia.

Praczkii jednak okazały się jak zawsze wszechwiedzące. Kiedy w przeddzień świąt yal odbierał czyste koszule od pani Casey, gęba jej się nie zamykała. Cały czas mówiła na temat prosięcia.

- Ryanowa powiada, że ani rusz nie można go utuczyć, panie poruczniku, bo zwierzę chudnie z tęsknoty za panem!

- oświadczyła, podając yalowi stos świeżo wypranych i wyprasowanych koszul.

- Jestem pewien, że jego brak apetytu nie ma nic wspólnego ze mną.

- Nie byłabym taka pewna, panie poruczniku. Przecież to pan zabrał prosiaka od matki! Kiedyś mi wuj opowiadał, jak stadko osieroconych kacząt przez całe tygodnie chodziło krok w krok za starym owczarkiem!

- No, prosiak na pewno nie będzie chodził za mną krok w krok, pani Casey. Jest dobrze zamknięty w chlewiku!

- A jutro już się będzie piekł z nadzieniem w środku - stwierdziła rzeczowo Mags. - Panu też się przyda trochę wieprzowego tłuszczu: bardzo pożywny - dodała pogodnym tonem. - Ale zawsze trochę szkoda, bo to było bardzo mądre prosię, i w ogóle...

- No tak.. Dziękuję, pani Casey. A tu są brudne prześcieradła. Mam nadzieję, że i pani przypadną do gustu świąteczne smakołyki.

- Już się ich nie możemy z Wujem doczekać. Wesółych świąt, panie poruczniku.

— Wesółych świąt, pani Casey!

Im mniej czasu pozostawało do świątecznego przyjęcia, tym mniej Val się na nie cieszył. W dzień Bożego Narodzenia obudził się z jakimś obrzydliwym uciskiem w żołądku; zastanawiaj się, co też mu zaszkodziło?

Wczesnym rankiem miało się odbyć uroczyste nabożeństwo, toteż pospiesznie się ogolił i ubrał w najlepszy mundur.

Słuchając przeznaczonego na Boże Narodzenie fragmentu Ewangelii Val widział oczyma duszy biblijne sceny: zmęczeni podróżą Józef i Maryja chronią się w stajence, bo gdzie indziej nie ma dla nich miejsca, przychodzi na świat Dzieciątko Jezus, pasterze składają Mu hołd, prosię zagląda do żłóbka... Niech to diabli! To bydlę wszędzie musi się wkręcić, nawet do rozmyślań na tematy religijne! Val jęknął.

Stojący obok James obejrzał się na niego.

— Źle się czujesz, Val? — spytał z niepokojem.

- Nic, nic... Niewielkie kłopoty z żołądkiem.

W kasynie oficerskim przygotowano uroczyste śniadanie, ale Val wyszedł stamtąd najwcześniej jak tylko mógł i ruszył do namiotu Willa Tallmana, gdzie zgodnie z wieloletnią tradycją zebrała się grupa jego dawnych towarzyszy broni.

- Idzie już! - oznajmił jeden z nich.

- Wesółych świąt, panie poruczniku! - powitał go Will. - Jużśmy myśleli, że pan porucznik w tym roku nie będzie mógł do nas wpaść.

— Byłem rad, że się mogę stamtąd urwać, Will! Ani towarzystwo, ani żarcie nie przypadły mi tam do gustu - odparł z cierpkim uśmiechem.

- Pan porucznik coś nie w sosie - zauważyła pani Casey. - Proszę kielbaski! - dodała, podsuwając mu talerz.

- Jakoś nie mam apetytu - wyznał Val. - Ale muszę jej spróbować, tak apetycznie pachnie! Skąd wytrzasnąłeś tę

kielbasę, Will? Miała w całości pójść do kotła z zupą!

- No cóż... - wyjaśniła pani Casey. - Dobrze się znamy przyszłą kwatermistrzową.

Słyszając ten tytuł, kilku mężczyzn uśmiechnęło się.

- Nie ma się z czego śmiać! — pogroziła im łyżką Mags. - Może przedtem była jego dziwką, ale od dziś rana jest jego na-rze-czo-na! I co ty na to, panie Tallman? - dorzuciła gniewnie i stuknęła Willa swym berłem w czubek głowy.

- Czy któryś z was weźmie udział w zawodach strzeleckich? - odezwał się Val, próbując zmienić temat.

Twarz Mags złagodniała; dotknęła lekko łyżką ramienia sierżanta, jakby pasowała go na rycerza.

— Will zajmie pierwsze miejsce, może nie?

- Z kolegami z naszego pułku powinienem sobie poradzić, ale potem będzie konkurencja „muszkiet przeciwko karabinowi”.

- Jakże tak można?! - zaoponował Val. - Przecież karabin ma dużo większy zasięg!

- Toteż ustawią dwie tarcze w różnej odległości, panie poruczniku - wyjaśnił szeregowiec Murphy. I będą liczyć, ile razy który strzelił w sam środek tarczy.

— Wobec tego, Will, nie racz się za bardzo kawą pani Casey! — zażartował Val; wszyscy wiedzieli, że Mags obficie zaprawia swoją kawę rumem. — Stawiam na ciebie i nie chcę przegrać miesięcznego żołądu!

Dzień był chłodny, ale na szczęście suchy. Większość żołnierzy wyległa na plac, gdzie koło południa miały się odbyć zawody strzeleckie.

Rywalizacja była zażarta, ale Will wyszedł zwycięsko z pierwszego etapu zawodów.

— Uważaj na tego karabiniera, z którym się teraz zmierzysz — ostrzegł Willa szeregowiec Doolittle. — To chluba dziewięćdziesiątego piątego pułku, David Hardin. — W głosie Doolittle'a brzmiał nabożny podziw. - Podobno kropi prosto w serce z dwustu jardów!

Z szeregu karabinierów w zielonych kurtkach wysunął się starszy, wysoki i chudy żołnierz i zajął wyznaczoną pozycję. Val klepnął Willa po ramieniu i zachęcił go:

- Pokaż, co umiesz, Will! Na pewno go pokonasz. Postaram się, panie poruczniku.

Chętnie utarłbym nosa tym karabinierom!

— Oddajecie po pięć strzałów, panowie. Oceniamy trzy najlepsze — oznajmił ksiązę Wellington, który właśnie się zjawił, by osobiście sędziować w finale. — Szeregowiec Hardin będzie strzelał pierwszy.

— Masz szczęście, Will, ostatni strzał będzie należał do ciebie — zauważył Val.

Hardin szybko przygryzł nabój, podsypał proch i nabił broń. Potem uniósł ją i oddał pierwszy strzał. Wszystko razem zajęło mu niecałe dwadzieścia sekund.

- Jeden cal w lewo od środka tarczy - oznajmił sprawdzający wyniki.

Will nie był taki szybki i miało się wrażenie, że podnosi muszkiet i celuje bardzo powoli, choć trwało to zaledwie trzydzieści sekund.

- Pół cala od środka tarczy - zawołał sprawdzający wyniki.

— Pierwsza runda dla jedenastego pułku piechoty — stwierdził ksiązę Wellington przy głośnym aplauzie piechurów.

Jednak w następnych dwóch rundach lepszy był Hardin, który od początku zawodów zachował kamienną twarz. Za dnigim razem trafił w sam środek tarczy, a za trzecim tuż obok

- O włos od środka tarczy! - oznajmiono po jego czwartym strzale.

— Trzymaj się, Will! - wrzasnął Doolittle. - Popraw jego wynik!

- O pół włosa od środka tarczy - oznajmił z szerokim uśmiechem sprawdzający wyniki zaraz po strzale Willa. — Czwarta runda dla piechoty! - potwierdził, obejrawszy dokładnie tarczę.

Val miał wrażenie, że szeregowiec Hardin tym razem przygotowywał się do strzału nieco dłużej.

- O pół włosa od środka tarczy!

Val dostrzegł, że Willowi trzęsą się ręce, kiedy podsypywał proch.

— Nieważne, wygrasz czy przegrasz, Will! Ze mną zawsze trafiasz w sam środek tarczy - szepnęła mu do ucha Mags, podkradłszy się do swego zawodnika.

Will mocno ją uściskał i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dzięki, Mags!

• Podniósł broń do ramienia i wycelował w tarczę. Potem bez pośpiechu nacisnął spust, modląc się w duchu.

- W sam środek tarczy! Medal w zawodach strzeleckich

• zdobył sierżant Will Taliman z jedenastego pułku piechoty!

Piechota wprost oszalała, a karabinierzy osłupieli. Nikt dotąd nie pokonał Davida Hardina.

— To były strzały, sierżancie! — powiedział Hardin z mięk

• kim kornwalijskim akcentem. - Może by się pan przeniósł do dziewięćdziesiątego piątego pułku, co? - dodał z szeroko uśmiechem.

- Dzięki, Hardin! Miło się zmierzyć z takim przeciwnikiem jak wy! Ale wolę trzymać się mego muszkietu.

— Pospiesz się, Will! Sam stary Nochal chce ci wręczyć medal! - poganiała Tailmana Mags i wzięwszy go pod rękę, pociągnęła w stronę wysokiej, ciemno odzianej postaci.

- Boże święty! Co ja mu powiem?! - szepnął Will.

— Nie martw się; tylko mu zaszlujesz i powiesz: „Dziękuję, wasza książęca mość!”

— A więc to jest strzelec, który pokonał Hardina! - powitał go Wellington. - Niechże wam uścisknę dłoń, sierżancie!

Will zaszlutował i wykrztusił podziękowanie.

- Podaj panu generałowi rękę! - strofowała go Mags. Will wyciągnął rękę i poczuł na niej uścisk zimnych, suchych palców. Potem Wellington odwrócił się i wziął z rąk jednego z adiutantów niewielki złoty medal na czerwono

-białej wstążce.

- Mogę wam go przypiąć?

— Nie mnie, jeśli łaska, wasza książęca mość... Przysięgłem sobie, że jak wygram, to... to go dostanie Mags... pani Casey.

— Więc to nie jest pani Tallman? - spytał sucho Wellington.

Will spłonął rumieńcem.

— No... nie, wasza książęca mość.

Wellington zwrócił się w stronę Mags.

— Pani Casey wygląda na wspaniałą kobietę, sierżancie — zauważył, przypinając medal do sukni Mags.

— No bo jest, panie generale — wyjąkał Will.

— Więc może chcieliście ofiarować jej ten medal jako dowód swoich uczciwych zamiarów względem niej?

— Coś jak pierścionek zaręczynowy, wasza książęca mość? spytała Mags, biorąc Willa za ramię i przyciągając do siebie.

- Coś w tym rodzaju - odparł Wellington z rzadkim u niego wesołym błyskiem w oku. - I co wy na to, sierżancie?
- No... wasza książęca mość... i tak bym się nie oglądał za innymi babami.
- A więc wszystko jasne: pani Casey się zaręczyła. Sierżant Taliman zdobył dziś nie tylko medal, ale i narzeczoną. Moje gratulacje.
- Tak jest, panie generale. Bardzo dziękuję, wasza książęca mość - odparł zboliałym głosem Will Tailman.
- To była paskudna sztuczka, wasza książęca mość - zauważyła pani Gordon, gdy Will i pani Casey się oddalili.
- Dobrze o tym wiem, łaskawa pani. Ale nie mogłem się oprzeć pokusie! Stanowią taką groteskową parę. Zresztą, kto wie, może wyświadczyłem sierżantowi przysługę? Pani Casey wystarczy zapewne status „narzeczonej”.
- Moje gratulacje, Will.
- Chyba kondolencje, panie poruczniku - jęknął Will. - Mags poleciała pochwalić się przed innymi babami medalem i naszym narzeczeństwem.
- Trochę mnie rozczarowałeś, Will — oświadczył Val. — Zawsze przysięgałeś, że się nie ożenisz.
- I nie mam wcale zamiaru, panie poruczniku. Tego jej nie obiecywałem! Mags może sobie mówić, co chce. A zaręczyłem się z musu, bo stary Nochal przyparł mnie do muru - dodał z niesmakiem.
- Może pani Casey zadowolili się tytułem narzeczonej.
- Nigdy nie mówiłem, że się nie zaręczę, panie poruczniku. Niech sobie będzie moja narzeczoną, jak jej na tym zależy. Mam nadzieję, że jej to wystarczy na jakiś czas i przestanie mi suszyć głowę!

Rozdział XV

Major Gordon zaprosił oficerów na drugą; im bliżej było obiadu, tym bardziej \Tal tracił apetyt.

- Jestem głodny jak wilk! - oznajmił James, gdy szli do wsi.
- A mnie męczy niestrawność - wyznał Val - Pewnie zbyt sobie popofołgowałem przy kielbasie i rumie.
- A prawda! Ucztowałeś ze swymi dawnymi kamratami? - spytał James. - Tak, to musi być to!
- A cóż by mogło być innego?!
- No, mogło by ci być przykro zobaczyć na półmisku zwierzaka, co tak się do ciebie przywiązał - rzekł współczującym tonem James. Kiedy jednak Val spojrział na przyjaciela, zauważył, że usta mu podejrzenie drżą.
- Nie bądź głupi, James! Nabawiłem się niestrawności, i tyle!
- Val miał nadzieję, że po kieliszku alkoholu poczuje się lepiej, ale nie wiedzieć czemu słodkie czerwone wino Gordonów pozostawiło niemiły posmak w jego ustach.

Kiedy pani majorowa poprosiła wszystkich do stołu, Val omal nie przeprosił i wybiegł. Jednak Stanton rzucił już pod jego adresem drwiącą uwagę i Val dobrze wiedział, że jeśli teraz wyjdzie, stanie się pośmiewiskiem całej armii. Zresztą, do cholery, jego brak apetytu nie miał nic wspólnego z główną atrakcją tego obiadu!

Vala posadzono naprzeciw Elspeth, obok Jamesa i George'a.

- Ależ panna Gordon ślicznie dziś wygląda! - zauważył George.

- Czaruj ąco — przytaknął James i uśmiechnął się do niej przez stół.

Val nie powiedział nic, ale wpatrywał się w Elspeth zachwyconym wzrokiem. Miała na sobie suknię z welenki tak cienkiej, że wydawała się wręcz powiewna; na ramionach skrzyżowała kraciasty szal w barwach klanu Gordonów. Głęboka zieleń sukni sprawiała, że w orzechowych oczach Elspeth lśniły zielonkawe iskierki. Usłyszawszy komplement George'a, panna zmieszała się i spuściła wzrok; zaraz jednak podniosła oczy i napotkała oczarowane spojrzenie Vala. Patrzyli na siebie tylko przez moment, ale Elspeth zarumieniła się, gdy uśmiechnął się do niej z podziwem.

Ordynans majora zebrał talerze po zupie i Elspeth dostrzegła wyraz twarzy Vala, zdecydowanie różny od min pozostałych biesiadników, którzy nie mogli doczekać się pieczystego.

- Jesteś dzisiaj dziwnie milkliwy, Aston - zauważył Lucas.

— Czyżbyś oplakiwał to prosię? — spytał George, trącił Vala łokciem w żebra i ryknął śmiechem.

— Ryan! — odezwała się Elspeth.

- Słucham, panienko?

- Potrzebowaliście chyba kogoś do pomocy w kuchni? - Elspeth rzuciła ordynansowi znaczące spojrzenie i wskazała mu wzrokiem siedzącego naprzeciw niej Vala.

- Ano tak, panienko. Może pan porucznik Aston pomógłby mi wyłożyć pieczyste na półmisek?

Do tego momentu Val nie umiałby określić, skąd się brało dławiące go uczucie. Wstając jednak od stołu uświadomił sobie, że sam już nie wie, która z ewentualności wydaje mu się okropniejsza: beczynne wyczekiwanie, aż ukaże się to cholerne pieczone prosię, czy pomaganie Ryanowi przy wykładaniu go z brytfanny na półmisek? Wiedział tylko jedno:

nie tknie ani kawałka tej przeklętej wieprzowiny! Zresztą może w kuchni zdoła przybrać obojętną minę i wymyślić jakiś przekonujący powód swej wstrzeźliwości?

Dotarli do kuchni i Ryan zaglądał już do piekarnika.

- Półmisek stoi tam, panie poruczniku. Bałem się, że moja stara go nie utrzyma, jak na niego wywalę oba kuraki.

Val tak się zdumiał, że omal sam nie upuścił półmiska.

— Kuraki? Przecież miało być pieczone prosię!

- Upiec tę kochaną świnkę?! — rzucił Ryan z ironią, choć nie bez nutki współczucia. - Panna Gordon i moja stara nie pozwoliłyby jej tknąć! Muszę przyznać, że sam się

przywiązałem do tego prosiaka - dodał. - Niech pan uważa, panie poruczniku, bo oba kuraki wylądują na podłodze!

Ordynans położył na półmisku drugiego kurczaka, a Val odetchnął z ulgą.

— Więc co się stało z tym prosięciem?

— Wymieniliśmy je we wsi na dwa kuraki. Chcieli mieć

jednym gospodarstwie knura... Choć długo im przyjdzie czekać, aż maluch podrośnie!

Może w końcu wyląduje w garnku, ale przynajmniej pan porucznik nie będzie musiał go jeść. Panna majorówna ma miękkie serce - mruknął z uznaniem.

Zapach szałwii i tymianku napełnił kuchnię i korytarz, a Val, wracając do jadalni, czuł, że jego apetyt rośnie.

— No i co? Pieczyste wylądowało szczęśliwie na półmisku? - zagadnął go chytrze major Gordon.

— Operacja przebiegła pomyślnie — zameldował Val i siadając na dawnym miejscu, rzucił Elspeth przez stół porozumiewawcze spojrzenie.

Kiedy półmisek ustawiono pośrodku, tu i ówdzie rozległ się jęk zawodu.

— Gdzie się podziało prosię?! — chciał koniecznie wiedzieć

George.

- Założę się, że uciekło do Astoria! - odparł mu Stanton.

- To robota Elspeth - poinformował ich major. - Obawiała się, że prosię jest za małe i że nie starczy go dla wszystkich... więc je przehandlowała na te ptaszyska.

- A jaki z nich w dodatku pyszny rosół! - wtrącił się Ryan.

- Panna majorówna ma głowę na karku!

- Panna majorówna ma złote serce - mruknął James do Vala, gdy zabrali się do drugiego dania. - Nie jestem tylko pewien, czy ulitowała się nad prosiakiem, czy nad tobą?

- Nad prosiakiem, Jamesie, nad prosiakiem - zapewnił Val z uśmiechem.

Przy stole zaległa cisza, bo pieczyste było wyśmienite, a biesiadnicy spragnieni odmiany po codziennym wikcie. Po obiedzie całe towarzystwo przeszło do salonu, gdzie czekał na gości wesoło trzaskający ogień i karafka porto.

- Bogu dzięki, że mamy jeszcze dobrą godzinę do balu; zdążą nam się ułożyć w brzuchu wszystkie pani smakolyki, pani majorowo! Zaraz po takim obiedzie nikt z nas nie potrafiłby lekko tańczyć - zażartował James.

- Może trochę muzyki, Peggy? - zaproponował major.

Prześpiewali wszystkie zwrotki najpopularniejszych kolęd.

- A teraz kolej na pana, poruczniku Aston! Z pewnością ze swych podróży po świecie przywiózł pan wiele pieśni! - nalegała pani Gordon.

- Może „Kolędę młodzianków”? - podsunął James.

- Dobrze wiesz, że nietęgo u mnie z łaciną. Hiszpański znam o wiele lepiej - odparł z uśmiechem Val. Tym razem James nie dosłyszał w głosie przyjaciela skrępowania. Coś — może radosny nastrój świąteczny - sprawiło, że Val stał się bardziej swobodny niż kiedykolwiek.

Zaśpiewał kolędę hiszpańskich górali, potem pieśń pasterską. Słuchając go, James spojrział na Elspeth Gordon. Patrzyła na Vala z uśmiechem i rozmarzeniem w oczach.

Może z tego coś będzie? zastanawiał się James i doszedł do wniosku, że byłaby z nich całkiem dobrana para. Przeciętna panna z towarzystwa nigdy nie wyszłaby za kogoś takiego jak Val... ale Elspeth Gordon i jej rodzice byli pozbawieni tego rodzaju uprzedzeń. Rzecz w tym, dumał James, spoglądając na przyjaciela, czy Val potrafi docenić zalety Elspeth, a jeśli tak, to czy uzna siebie za godnego takiej żony?

Na zakończenie uraczyli się kawą po turecku - i już była pora udać się na bal.

- Czy mogę pani towarzyszyć, panno Gordon? - spytał Val, podając Elspeth ramię.

- Będę zachwycona, panie poruczniku.

Valowi udało się tak wymanewrować, że pozostali w tyle za resztą towarzystwa.

Wówczas zwrócił się do Elspeth, mówiąc:

- Pragnę gorąco podziękować pani, panno Gordon, za jej dobroć... Jestem pewny, że nie tylko zdrowy rozsądek skłonił panią do wymienienia prosięcia na kurczaki!

- Istotnie... Muszę przyznać, że sama się do niego przywiązałam... i przyszło mi do głowy, że przykro byłoby panu jeść to biedactwo, któremu pozwolił pan spać obok siebie na kocu...

- Ma pani rację, choć wstyd mi się do tego przyznać.

- Nie ma się pan czego wstydzić, panie poruczniku. To godne podziwu, że żołnierz potrafi uznać się nad niedolą małego stworzonka mimo wszystkich okropności, z jakimi zetknął się na polu bitwy - dodała z mimowolnym dreszczem.

— Kto wie, czy nie widziała ich pani więcej ode mnie, panno Gordon. Na Karaibach było całkiem spokojnie: kilka drobnych starć, niegroźny bunt, i to wszystko. Byłem co prawda pod Talayerą... ale teraz, gdy jestem podwładnym kapitana Granta, mało prawdopodobne, bym musiał uczestniczyć w jakiejś masakrze.

- Mam nadzieję, że pan tego uniknie! - szepnęła Elspeth. - Widziałam, jak wygląda pobojuwisko nazajutrz po bitwie... - Urwała, a Val odruchowo przycisnął mocniej jej ramię. - Wiem, że ta wojna jest konieczna - odezwała się po chwili. - Musimy powstrzymać zapędy Bonapartego! Ale cena, jaką za to płacimy, czasami wydaje mi się przerażająco wysoka...

- Jestem zaskoczony, że rodzice pozwolili pani oglądać takie widoki!

- Cóż, przekonałam ich dawno temu, że jeśli mam wraz z matką towarzyszyć armii, nie powinnam zamykać oczu na prawdę o żołnierskiej doli. Zresztą nie chodziłam tam bez celu, panie poruczniku. Pomagałam identyfikować poległych i sprawdzać, czy nie ma wśród nich kogoś, w kim tli się jeszcze życie. Tym razem dreszcz przebiegł Vala.

- Cóż za okropne zadanie dla damy!

— Ale ktoś musiał je wykonać... A zresztą ja, jak pan chyba już wie, poruczniku, wcale nie jestem damą.

- Jest pani przecież wnuczką hrabiego, panno Gordon.

- Ojciec mamy był tylko młodszym synem hrabiego.

W tym właśnie momencie usłyszeli, że ktoś za nimi idzie. Val zasłonił sobą Elspeth i zawołał:

- Kto idzie?
- Hola, amigo! Witaj, przyjacielu! Porucznik Aston, nieprawdaż?
- Kapitan Belden?
- I pułkownik Sanchez. Właśnie zjedliśmy kolację w towarzystwie księcia Wellingtona i wybieramy się na bal.
- Bienyenidos, capitan. Witamy, panie kapitanie.
- Habla espariol, seorira Gordon? Mówi pani po hiszpańsku, panno Gordon?
- Un poco. Trochę. Bardzo słabo - dodała, śmiejąc się z cicha. - Może pan nas przedstawi, poruczniku...
- Najmocniej przepraszam! Panno Gordon, pozwolę sobie przedstawić kapitana Jacka Beldena i pułkownika Juliana Sancheza.
- Widywałam pana nieraz w towarzystwie księcia Wellingtona, panie pułkowniku - powiedziała Elspeth. - Czuję się zaszczycona, mogąc poznać takiego patriotę. O panu również słyszałam, panie kapitanie. Od mojej przyjaciółki Maddie Lambert - dodała.
- Zapewne nic dobrego, panno Gordon?
- Elspeth roześmiała się.
- Zgadł pan, kapitanie. Pańska zła sława wyprzedziła pana! Między innymi dowiedziałam się zresztą, że czarujący z pana gawędziarz i doskonały tancerz.
- Nie zaprzeczę - odparł Belden.
- Cała czwórka szła teraz razem i nim Val się spostrzegł, jego miejsce przy Elspeth zajął kapitan.
- Nie bez powodu nazywają go „Asern Kier”, co? - zauważył z podziwem Sanchez, spoglądając na idącą przodem parę.
- Istotnie — odparł sucho Val.
- To nic poważnego, panie poruczniku. Kapitan jest związany z pewną piękną seniorą.
- To mu jakoś nie przeszkadza w zalecankach do innych kobiet.
- No cóż, kapitan Belden to niepoprawny uwodziciel - przyznał Sanchez z szerokim uśmiechem. - Seniorita Gordon wygląda jednak na rozsądną dziewczynę; umizgi „Asa” nie zawrócą jej chyba w głowie.
- Mam nadzieję! Oczywiście, chodzi mi tylko o jej dobro dodał Val.
- Oczywiście!

Rozdział XVI

Najokazalszy dom w miasteczku należał do burmistrza; Wellington zarekwirował ten budynek na wieczorne przyjęcie. Połączone ze sobą bawialnię i jadalnię zamieniono w wielki salon, wydzielając kąt dla tych, którzy chcieliby pograć w karty. Przy kilku stolikach grano już w wista. Sala balowa w domu burmistrza nie była zbyt imponująca, ale można było w niej od biedy tańczyć nawet tańce figurowe.

Chanie czekał już na brata.

- Wesołych świąt, Val! - powitał go. - Jak to cudownie, że razem spędzamy ten dzień!

— Wesołych świąt, Chanie! - odwzajemnił mu się Val i uściskał brata z całej siły, a potem spieszenie zapytał: — Jak wypadł obiad przy generalskim stole?

— Mieliśmy rostbef — jęknął Chanie. — Tak się objadłem, że nie ma mowy o tańcu!

— Nawet z tą śliczną seniorką, co tak na ciebie zerka, kiedy jej rodzice nie patrzą? - droczył się z nim Val.

— Naprawdę? — zainteresował się Charlie i aż poczerwieniał z radości. - No, może wrócę jakoś do formy, kiedy zagrają następny kawałek. Ale jak tobie udał się obiad, Val? Słyszałem, że miało być pieczornie prosię - dodał ze współczuciem.

- Ale były w końcu pieczone kurczęta. Panna Gordon przywiązała się do prosięcia i wzdragała się przed zjedzeniem go.

— Panna Gordon, mówisz? A ty ile zamierzałeś zjeść?

— Jeśli już musisz wiedzieć, miałem zamiar wstać od stołu - wyznał Val z uśmiechem zażenowania. - Polubiłem tego malucha!

- Uważam, że panna Gordon to cudowna dziewczyna, Val! I z pewnością już się cieszy na taniec z tobą!

— Czyżbyś zamierzał nas swatać, braciszku?

- Ależ skąd! - zaprzeczył Charlie z wielkim oburzeniem. - Przyszło mi po prostu na myśl, że z pewnością chętnie oboje ze sobą zatańczycie. — Przyjrzał się parom, ustawiającym się do następnego tańca. - Ale tym razem nic z tego, Val - dodał z szerokim uśmiechem.

— Jack Belden już ją capnął. Jeszcze nie spotkałem panny, która by mu się oparła. W ubiegłym sezonie wzdychały do niego wszystkie londyńskie piękności.

- Pewien jestem, że panna Gordon ma dość rozumu, by poznać się na tym lowelasie, choćby nie wiem jak ją czarował!

- Nie wyrażaj się o nim tak pogardliwie, Val. Ta jego mroczna, hiszpańska uroda ścina kobiety z nóg... a on ma w dodatku tyle humoru i uroku! Nie mówiąc już o zabójczym stroju guerillero!

- Słyszałem, że Belden jest poważnie związany z jakąś hiszpańską damą.

- Czyżby? No, trzymaj za mnie kciuki, Val: przypuszczę szturm do rodziców mojej seniority!

Val przyglądał się, jak brat przemierza salę i uroczyście przedstawia się pannie i jej rodzicom. Po kilku minutach

wszyscy już gawędzili z ożywieniem, choć Chanie liznął tylko trochę portugalskiego, a jego rozmówcy znali angielski jeszcze mniej. Któż jednak zdołałby oprzeć się Charliemu? Promieniał wprost urokiem, całkiem odmiennym od czaru, jaki roztaczał wokół siebie Jack Belden, ale równie nieodpartym. Tymczasem Elspeth uśmiechała się do swego partnera i Vala ogarnęła nagle wściekłość. Jak Belden śmiał flirtować tak bezczelnie z panną Gordon? I czemu ona tak się do niego wdzięczyła?! Dopiero po chwili ochłonął i dotarło do niego, że Elspeth wcale się nie wdzięczy, ale zwyczajnie uśmiecha. W końcu Belden zatańczył z nią tylko raz... właśnie się skłonił i zamierzał odejść. Nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co czyni, Val ruszył w stronę panny Gordon, gawędzącej z żoną lekarza wojskowego, panią Clitheroe.

— Witam łaskawe panie.

- O, porucznik Aston! Jak miło pana widzieć - odezwała się pani Clitheroe. - Uważam, że ksiązę Wellington miał genialny pomysł! Taki bal podniesie nas wszystkich ogromnie na duchu!

Val uśmiechnął się.

- Ksiązę Wellington jest niezrównanym dowódcą i potrafi dodać animuszu swoim ludziom, czy to na polu bitwy, czy na sali balowej.

Przez chwilę gawędzili we trójkę. Potem pani Clitheroe, słysząc, że muzykanci stroją znów instrumenty, odezwała się:

- Może jestem bezwstydną, ale mam zamiar wyrwać mego małżonka z grona kompanów i zmusić go, by ze mną zatańczył. Tuszę, że pan nie sprawi zawodu panie Gordon, panie poruczniku.

- Przyparła pana do muru, nieprawdaż? - zauważyła Elspeth z przepraszającym uśmiechem.

— Ułatwiła mi tylko realizację moich planów... Czy zechce pani ze mną zatańczyć? - odrzekł Val, składając ukłon.

- Z przyjemnością, panie poruczniku - odpowiedziała Elspeth.

Taniec był bardzo żywy, a muzykanci niezwłocznie przeszli do następnego, który Val i Elspeth również przetańczyli razem. Kiedy muzyka wreszcie umilkła, spojrzeli sobie W OCZY i roześmiali się.

- Serdeczne dzięki, panno Gordon! To było doprawdy cudowne, ale muszę ze wstydem wyznać, że się zasapałem - powiedział wesoło Val.

- Ja też, panie poruczniku. O Boże, jak tu gorąco!

— Czy ma pani szal?

- Szal?! Chyba bym się w nim upiekła!

- Chciałem zaproponować, żebyśmy wyszli na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza... ale nie chcę, żeby się pani przeziębila.

- Trochę świeżego powietrza doskonale mi zrobi - zgodziła się Elspeth. — A jeśli mamy wyjść tylko na chwilę, szal nie będzie mi potrzebny.

— Jest pani tego pewna?

- Absolutnie - zapewniła Elspeth, kładąc rękę na ramieniu Vala. - Chyba się nie wydestaniemy przez frontowe drzwi: taki tam ścisk! Na szczęście jest boczne wyjście. Elspeth wsparła się na ramieniu Vala bardzo lekko, mimo to czuł wyraźnie dotyk palców dziewczyny, gdy wyprowadzał ją na dwór.

Przy domu znajdował się niewielki ogród kwiatowy; nagie o tej porze roku rośliny połyskiwały srebrem w księżycowej poświacie.

- Nie możemy stać tu zbyt długo, panno Gordon. Jest za chłodno - ostrzegł Elspeth Val.

- Wiem, wiem... ale jakże miło swobodnie odetchnąć i popatrzeć w niebo, panie poruczniku! Gwiazda betlejemska musiała być bardzo jasna, jeśli sprowadziła trzech mędrców do stajenki z tak odległych stron - szepnęła.

Val dostrzegł, że jego towarzyszka drży.

- Panno Gordon, chyba powinniśmy już wracać.

— Och, jeszcze chwilę! — prosiła. — W tę świętą noc prawie słyszę anielskie chóry...

Val pospiesznie rozpiął mundur.

- Proszę się tym otulić, panno Gordon - powiedział. Gdy narzucił Elspeth kurtkę na ramiona, ich dłonie się spotkały. Val przypuszczał, że dziewczyna natychmiast cofnie rękę, ale nie zrobiła tego. Zdumiało go, że mimo zimna jej ręka była ciepła; palce ich zetknęły się i spłotły z sobą.

- Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój...

szeptnęła Elspeth. - Czy doczekamy się wreszcie pokoju, panie poruczniku?

- Pokój obiecano „ludziom dobrej woli”, panno Gordon. Przynajmniej tak głosili aniołowie. Sądzę, że pokój spłynie na ziemię wówczas, gdy ludzie nie będą się nazwzajem krzywdzić, tylko wspomagać. - Val poczuł znów, że dziewczyna drży, i szczerzej otulił ją swą kurtką. — Zamarznie pani, panno Gordon - powiedział, opierając lekko dłonie na jej ramionach. — Musimy wracać.

— Wiem — szeptnęła Elspeth, ale odwróciła się tylko twarzą ku niemu. Val nie wiedząc, co czyni, puścił kurtkę i pogłaskał policzek dziewczyny.

- Wargi fosiniały pani od zimna... - powiedział cicho.

- Pewnie pan przesadza... zresztą, może je pan ogrzać - szeptnęła. Odwróciła leciutko głowę i dotknęła ustami jego dłoni. Intymność tego gestu sprawiła Valowi najwyższą rozkosz. Pragnął, by ten moment trwał wiecznie... Za chwilę jednak zapragnął jeszcze więcej... Uniósłszy delikatnie twarz Elspeth, pochylił się ku niej i przycisnął usta do jej ust. — Ciepłej?

- O, tak...

Kurtka od munduru, o której oboje zapomnieli, ześlizgnęła się na ziemię. Elspeth położyła obie ręce na ramionach Vala, a on znów pochylił ku niej głowę i tym razem skłonił ją do rozchylenia warg.

Ten pocałunek wstrząsnął obojgiem do głębi. Gdy Val wreszcie wypuścił ją z objęć, nie mogli wydobyć głosu. Elspeth, zmieszana, opuściła oczy i spostrzegła kurtkę Vala.

- O Boże! Z pewnością się pobrudziła! - wykrztusiła nerwowo i schyliła się, by ją podnieść.

- Proszę nie zaprzętać sobie nią głowy, panno Gordon, Ziemia zamarzła i kurtka z pewnością się nie ubrudziła - zapewniał Val. - Musimy wracać - oświadczył, zapiąwszy porządnie mundur ...zanim pani zamarznie. - Nie wypowiedział słów, które obojgu przemknęły przez głowę: „Zanim ktoś zauważy naszą nieobecność”,

Udało im się wślizgnąć niepostrzeżenie. Nim Elspeth zdążyła coś powiedzieć, Val podprowadził ją do grupki dam i oficerów, z ukłonem podziękował za taniec i już go nie było. Minęła dobra chwila, nim panna Gordon włączyła się do rozmowy ze zwykłym entuzjazmem.

Val chciał natychmiast stąd uciec! Już nigdy nie chciał oglądać Elspeth! Chciał... do cholery! I chciał znów się z nią całować! Chciał, by wszyscy nagle zniknęli, a on mógł podbiec do niej i chwycić ją w ramiona, nie myśląc ani o zimnie, ani o skandalu.

Od dawna już pragnął ją pocałować. Chyba od pierwszej chwili, gdy się spotkali. Ale co innego pragnąć, a co innego wprowadzać swe marzenia w czyn!

Wszystko przez to cholerne prosię! mówił sobie Val. Gdyby Elspeth nie była tak pełna zrozumienia, tak wrażliwa na jego uczucia względem tego zwierzątka, może do niczego by nie doszło... Okazała jednak tyle dobroci i poczucia humoru, że całkiem go to

rozbroiło. Przed samą dobrocią albo samym poczuciem humoru jakoś by się jeszcze obronił, ale ta kombinacja pokonała go ze szczętem. A pocałunek sprawił, że jego bariery ochronne runęły ostatecznie.

Val czuł nadal dotyk warg Elspeth na swej dłoni... Nie skradł jej pocałunku: ofiarowała mu go z własnej woli. I to było najgorsze! Między nim a panną Gordon nawiązała się przyjaźń... a teraz wszystko tak strasznie się skomplikowało! W dodatku pociąg był wzajemny, sama przecież poprosiła go, by ogrzał jej wargi... Gdyby to była jakaś pierwsza lepsza damulka, Val bez skrupułów skorzystałby z okazji. Ale na co mógł liczyć w tym wypadku? Najwyżej na jesz-

cze kilka ukradkowych pocałunków. Z pewnością nie na małżeństwo!

Val nigdy nawet nie myślał o małżeństwie. W wojsku żyło się z dnia na dzień, nie tracił więc czasu na rozmyślenia o przyszłości. Gdyby ktoś go zapytał, co zamierza zrobić po zakończeniu wojny, nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Chyba od śmierci matki w ogóle nie zastanawiał się nad przyszłością. Zawsze żył tylko chwilą bieżącą: musiał przeżyć tyranie George'a Burtona, Queen's Hall, okrutną dyscyplinę w brytyjskiej armii... No i, dzięki Bogu, zdołał to wszystko wytrzymać! Ale teraz nie chodziło już tylko o dotrwanie do końca wojny... Bęcizie musiał jakoś znieść kolejne spotkania z Elspeth Gordon. Przez resztę balu, aż do białego rana, Elspeth czuła zawrót głowy podtrzymywała rozmowę z partnerami podczas tańca, gawędziła z innymi damami; nawet książe Wellington poświęcił jej chwilę, ostrzegając żartobliwie przed Jackiem Beldenem i oficerami zwiadowczymi.

- To chytre sztuki, panno Grant, zaprawione we wszelkiego rodzaju podstępach! Mam rację, Colquhounie? - spytał z uśmiechem Granta.

— Sądzę, że nie u wszystkich z nas chęć zatriumfowania nad wrogiem łączy się ze skłonnością do łamania dziewczęcych serc. Ale całkowicie zgadzam się z waszą księżecą mością co do kapitana Beldena. Jego rzeczywiście powinna się pani strzec, panno Gordon! - rzeki kapitan Grant z żartobliwym uśmiechem.

— Nie musicie się o mnie martwić, mości książe i panie kapitanie. Znam żołnierskie obyczaje wystarczająco dobrze, by odróżnić szczerą od obłudy - odparła sucho Elspeth.

- Widzę, że da sobie pani radę! - zauważył z aprobatą książe Wellington.

Nochal ma całkowitą słuszność, myślała potem Elspeth, gdy siedząc na łóżku i obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana, wpatrywała się w ciemność. Przez wszystkie te lata radziła sobie doskonale z mężczyznami. Nie zwracała uwagi na sporadyczne niezdarne zaloty młodych oficerów, którzy przez córkę próbowali trafić do jej ojca a swego zwierzchnika. Jeśli zaś chodziło o czarusiów w rodzaju Jacka Beldena, to uwodzenie kobiet było dla nich równie naturalne jak oddychanie. Kapitan był wesołym kompanem i doskonałym tancerzem... Elspeth żałowała, że to nie z nim wymknęła się z sali balowej: wówczas pocałunek rzeczywiście zostałby skradziony i nie miałby znaczenia.

Policzki Elspeth pałały, gdy pomyślała, jak prowokacyjnie zachowała się wobec porucznika Astona. Nie tylko dotknęła ustami jego dłoni, ale wręcz domagała się pocałunku! Co też on sobie o niej pomyślał?

A jednak to był cudowny pocałunek! westchnęła na wspomnienie pieśczoły. Nie, wasza książęca mość, zwróciła się w duchu do księcia Wellingtona. Znajomość z Jackiem Beldenem niczym mi nie grozi. To porucznik Aston może złamać mi serce! Elspeth ze strachem zdała sobie sprawę, że istotnie mogło się to zdarzyć. Valentine Aston różnił się od wszystkich znanych jej mężczyzn. Jego urok nie rzucał się od razu w oczy. Prawdę mówiąc, pomyślała Elspeth i uśmiechnęła się w ciemności, przeważnie jest zbyt ponury i pełen kompleksów, by umizgiwać się do dam. Ona jednak znaczną część świątecznego wieczoru spędziła w towarzystwie prawdziwego Vala, zdolnego do głębokich, choć skrywanych uczuć. Na dodatek Val podobnie jak ona odznaczał się poczuciem humoru. Nie tknąby pieczonego prosiaka... a jednak dostrzegał śmieszność własnej słabości do tego małego stworzonka w obliczu otaczającej ich śmierci i zniszczenia.

Porucznik Aston był silny i godny zaufania, a Elspeth wysoko ceniła te zalety. Był zdolny do prawdziwych uczuć, choć je ukrywał; dostrzegała wszak jego miłość i podziw dla młodszego brata. Sam również z łatwością pozyskiwał sobie ludzkie serca: Chanie ubóstwiał Vala, a dawni towarzysze broni żywili do niego niezmienną przyjaźń. Był również przystojny, choć nie cechował go ani romantyczny urok Beldena, ani słoneczny wdzięk Charliego. Elspeth wyobraziła sobie twarz Vala tuż przy swojej, palce ją wprost świerbiły, by dotknąć szramy biegnącej przez policzek... Wargi miał pełne i jędrne; na samą myśl, że mogłaby znów poczuć je na swych ustach, oblał ją żar jak kilka godzin temu w ogrodzie.

- Nigdy jeszcze nie czułam czegoś podobnego - szepnęła do siebie. - A może nigdy nie pozwoliłam sobie na podobne uczucia?

Podczas pobytu na pensji Elspeth uświadomiła sobie, że bardzo różni się od innych dziewcząt i wyglądem, i wychowaniem. Była zbyt wysoka, a choć rysy miała regularne, daleko jej było do piękności. Co prawda inne dziewczęta też nie grzeszyły urodą, ale każda z nich miała jakąś zaletę: albo była malutka i przyjemnie zaokrąglona, albo promieniował z niej kobiecy wdzięk. Zresztą nie chodzi tylko o powierzchowność, myślała Elspeth, tylko o to, kim naprawdę jestem. A raczej, kim nie jestem! Nie była istotką chowaną pod kloszem. Nie potrafiła płynnie paplać po francusku, choć znała doskonale hindi. Była też silna, niezależna i waliła prawdę prosto z mostu. A nade wszystko - nie miała próżnych złudzeń. Po paru wizytach w zaprzyjaźnionych domach i po wzięciu udziału w kilku potańcówkach przekonała się, że bracia i przyjaciele jej koleżanek bardzo chętnie zwierniają się jej, ale żaden z nich nie dostrzega w niej kobiety. Wcześniej się zorientowała, jaki los ją czeka.

Nie taki znów najgorszy! mówiła sobie. Była zupełnie szczerą, twierdząc, że nie zależy jej na londyńskim sezonie. Kochała wolność i emocje obozowego życia i bez żalu wyrzekała się wygód, które jej rówieśnice uważały za coś nieodzownego. Wiedziała, że nie byłaby w stanie wytrzymać nudy i ograniczeń salonowego życia. Przynajmniej pod tym względem była nieodrodną córką swej matki.

Po ojcu odziedziczyła jednak romantyczną, namiętą naturę; ukrywała ją przed innymi, nawet przed sobą... aż do dziś. Elspeth jęknęła, uświadomiwszy to sobie. Przeszył ją ból. Nie była tak szczęśliwa, jak jej się zdawało. Nie pogodziła się całkowicie z samotnym życiem. Pragnęła miłości! Czemu wydawało jej się, że wcale tak nie jest? Pragnęła

poczuć się bezpieczna w objęciu silnych męskich ramion... Pragnęła pod dotykiem ust Vala poczuć się kochana... Pragnęła czuć jego ciało tuż przy swoim i wiedzieć, że jest godna pożądania...

Elspeth z trudem powstrzymała się od płaczu. Znienawidziła niemal Vala Astona za to, że uświadomił jej, jaka jest naprawdę! A co gorsza, chyba się w nim zakochała...

Rozdział XVII

Charlie zawsze bawił się wyśmianicie na balach i ostatni wieczór nie stanowił wyjątku. Udało mu się zatańczyć niemal z każdą z obecnych dam; przypominał to sobie z uśmiechem, ubierając się następnego ranka. Nie zdołał tylko dopaść Elspeth Gordon: Val i Jack Belden nikomu nie dali szansy przystąpić do niej!

Charlie nawet się nieco zaniepokoił o majorównę, gdy zobaczył, że Jack usiłuje ją oczarować. Mało która kobieta potrafiła mu się oprzeć. Ciekawe, czemu taka ponura fizjonomia chwytła damy za serce? zadawał sobie pytanie Charlie, wpatrując się podczas golenia we własną, szczerą i pogodną twarz. Logicznie rzecz biorąc, kobiety powinny raczej przedkładać wesołość nad melancholię! A może traktują to jako wyzwanie? Każda ludzi się, że to właśnie ona spędzi chmurę z czoła wybranka?

Ironia losu polegała na tym, że Jack wcale nie był taki ponury jak jego gęba! Łatwo ulegał różnym nastrojom, ale wbrew pozorom potrafił cieszyć się życiem.

A Val? Melancholia Jacka przyciągała do niego kobiety jak ogień ćmy, ale Val nieraz wyglądał wręcz odpychająco. No, może to zbyt mocne słowo..., miewał jednak kamienną twarz i nieczułe spojrzenie. Mało kto się domyślał, jaki Val jest naprawdę. Charlie wiedział, że jego brat zdolny jest do głębokich uczuć, tylko nie potrafi ich uzewnętrznić. Charlie zauważył, że panna Gordon i Val zatańczyli ze sobą dwa razy, a potem wymknęli się do ogrodu. (Choć Beldenowi Elspeth nie dała się zaciągnąć w ustronny kącik!) Nie wiedział, jak długo tam przebywali, ale z pewnością starczyło im czasu, żeby się pocałować?

Charlie miał nadzieję, że istotnie tak się stało. Elspeth byłaby idealną żoną dla jego brata! Im dłużej o tym myślał, tym bardziej mu się ten pomysł podobał. Jeżeli panna Gordon się zdecyduje, nie odstraszy jej nawet nieznośna duma Vala! I była tak niezależna duchem, że z pewnością nie zrazi się jego pochodzeniem. Mogła sobie być wnuczką hrabiego, ale jej rodzice pobrali się, choć uważano ich związek za mezalians. Oni też nie powinni gorszyć się pochodzeniem Vala... Może by tak zabawić się w swata i przyczynić się do połączenia młodej pary? Łatwiej będzie znosić nudę i bezczynne wyczekiwanie na to, że Massćna wreszcie się ruszy!

Wyszedłszy z namiotu, Charlie dostrzegł w odległości kilku kroków Jamesa i zawołał do niego:

- Nie wiesz, czy przyszła dziś poczta?

— Właśnie się wybieram, żeby to sprawdzić.

- Pójdę z tobą. Od wieków nie miałem listu od ojca! Dobrze się bawiłeś na balu? - spytał, gdy maszerowali wzdłuż szeregu namiotów

- Uważam, że mieliśmy wszyscy doskonałą rozrywkę. A tobie jak się podobało?

- Obtańczyłem wszystkie damy... z jednym wyjątkiem.
— Kimże jest ta nieszczęsna? — spytał James, uśmiechając się od ucha do ucha.
- Nie zdołałem się docisnąć do panny Gordon: zawsze wyprzedzał mnie albo Jack Belden, albo mój brat!
— Też widziałem, jak się koło niej kręcili — odparł James z domyślnym uśmiechem. -
Chyba to z twoim bratem wy- mknęła się do ogrodu i mimo chłodu wróciła uroczo zaróżowiona?
- Więc i ty to zauważyłeś? Doszedłem do wniosku, że są dla siebie po prostu stworzeni!
- Doprawdy? - spytał James, unosząc brew.
- Och, bez takich mm! Czy nie widzisz, że panna Gordon byłaby idealną żoną dla Vala?
- Tylko się z tobą przekomarzam, Charlie! Mnie również przyszło to do głowy, gdy ich wczoraj obserwowałem. Mało prawdopodobne, by któremuś z nich udało się zawrzeć konwencjonalne małżeństwo, zważywszy osobliwe wychowanie Elspeth i pochodzenie Vala...
— Wiesz, ojciec powiedział mi, że matka Vala nie zgodziła się wyjść za niego! Wiedziała, że ojciec był od dawna zaręczony z moją mamą, i uważała, że z panną ze swej sfery będzie szczęśliwszy niż z nią.
— Musiała bardzo go kochać, jeśli wyrzekła się go dla jego dobra - zauważył cicho James.
- Tak, i była nieugięta, gdy chodziło o dotrzymanie danego słowa. Val ma to po niej! — Charlie zamilkł na chwilę. — Sądzę, że gdyby nie umarła tak wcześnie, Val byłby całkiem inny.
- Czy on wie o tym wszystkim?
- To ojciec powinien mu o tym powiedzieć... Ale Val nigdy nie chciał go słuchać!
- To do niego podobne!
- Pewnie!
Roześmiali się obaj.
— Więc mi pomożesz, Jamesie?
- Mam ogromną ochotę pobawić się w swata, Charlie!
Okazało się, że obaj otrzymali listy.
- Aż dwa od mego ojca! Ależ ta poczta chodzi!
James również otrzymał dwa listy.
- Od mojej siostry - oznajmił z uśmiechem. - Odcyfrowanie tego zajmie mi parę godzin, bo Maddie dodaje postscripta z prawej, z lewej i w poprzek: stara się zaznajomić mnie ze wszystkimi londyńskimi ploteczkami! Drugi list za to odczytam bez trudu.., niestety! - dodał James z ciężkim westchnieniem. — To od naszego rodzinnego adwokata; bez wątpienia odkrył jeszcze jakiś dług, który przyjdzie mi spłacić...
Chanie przeglądał listy od ojca.
— No i co pisze twój ojciec?
Charlie nachmurzył się.

- Królowi znów się pogorszyło pod koniec miesiąca... List jest z początku grudnia. To okropne, Jamesie! Podobno zupełnie nie panuje nad swym umysłem i będzie musiał przebywać przez jakiś czas w całkowitym odosobnieniu...

- Wobec tego muszą ustanowić regencję.

- Sam wiesz, Jamesie, co to znaczy! Razem z Prinnym* dojdą do władzy wigowie i odwołają nas stąd do domu. Nikt z opozycji nie wierzy, że Wellington może utrzymać się w Portugalii, a co dopiero odnieść zwycięstwo w Hiszpanii! - Charlie prychnął pogardliwie i wrócił do listu. - Podobno mnóstwo ludzi zakłada się, jak dalej potoczy się wojna. Niektórzy twierdzą, że najpóźniej w lutym Masscna się wyniesie, ale inni uważają, że Francuzi są w znacznie lepszym położeniu niż my i że wigowie z pewnością zażądają wycofania wojsk z Portugalii.

- To rzeczywiście zdumiewające, że Masscna dotąd się trzyma!

— Ale jeśli się nie wycofa, a zdrowie króla się nie poprawi... — Twarz Charliego rozjaśniła się. — Z pewnością nie przedrze się przez nasze umocnienia! Tego ci durnie w Londynie nie przewidzieli! Powiedz lepiej, Jamesie, o czym pisze twoja siostra?

— Ogromnie się cieszy na święta, choć z konieczności będą one w tym roku bardzo skromne. No i nadal ma głowę nabitą wiosennym sezonem. Jej debiut towarzyski opóźnił się o dwa lata: najpierw z powodu śmierci ojca, potem z braku gotówki. Jednak dzięki ciotecznej babce, która przysłała nam z pomocą, i moim niewielkim oszczędnościom, Maddie będzie miała wreszcie szansę zdobycia odpowiedniego męża! Moja siostrzyczka, rzecz jasna, ma nadzieję, że każą nam wrócić z Portugalii do kraju i że wobec tego wezmę udział w pierwszym balu na jej cześć! Przyznam, że chciałbym być wtedy przy niej. Jestem przecież głową rodziny.

- Mógłbyś poprosić o urlop, Jamesie!

— Wellington nie lubi, by jego oficerowie zwalniali się powodu jakichś błahostek.

- Ależ to nie żadne błahostki! Powinieneś stanąć w takiej chwili u boku lady Madeline! Spróbuj to wytłumaczyć Nochalowi!

— Spróbuję, Charlie, spróbuję!

Następnego dnia po Bożym Narodzeniu Val towarzyszył konno pułkownikowi Sanchezowi i Jackowi Beldenowi aż do granicy; chciał się dowiedzieć, czy są jakieś wieści o dalszych planach Napoleona. Jednak w żadnym z przechwyconych listów nie było wzmianki o posiłkach dla Masscny.

- Jeśli nie przyjdą mu z odsieczą, będzie musiał wynieść się z Portugalii — stwierdził Val.

- A potem z Hiszpanii - dodał Sanchez z uśmiechem zadowolenia.

W połowie drogi powrotnej Vala zaskoczyła w górach śnieżna zamieć. Do obozu dotarł dopiero tydzień po świętach. Resztką sił doznał do swego namiotu i zwałił się na łóżko.

Następnego dnia po południu obudziła go pani Casey, która przysłała po brudną bieliznę.

— Ta pościel, na której pan leży, panie poruczniku, też się domaga przepierki zauważyła Mags, spoglądając z niesmakiem na brudne buty Vala, których nie był w stanie zdjąć przed zaśnięciem. — I warto było pocerować prześcieradła... — dodała. - Nie mógł pan porucznik chociaż odpiąć ostróg?!

— Nielitościwa z pani kobieta!

- Pewnie, niejeden już mi to mówił - odparła z szerokim uśmiechem.

— Narzeczona powinna być wyrozumialsza!

Pani Casey poklepała spoczywający na jej piersi medal.

- Sam księżę Wellington mi go przypiął! - przypomniała z dumą.

I Will Taliman jest teraz pani narzeczonym.

— A jakże. Ma chłop szczęście, choć jeszcze na nie nosem kręci!

- Będę musiał przemówić mu do rozumu - powiedział Val i wyplątawszy ostrogi, które wczepiły się w pościel, zwiesił nogi z łóżka.

- Niech pan z nim pogada, panie poruczniku, a ja nie wezmę ani grosza za cerowanie! Kilka godzin później, już po kąpieli i przegryzce, Val wyruszył na poszukiwanie Willa. Zastał go skulonego przy niewielkiej kuchni polowej w towarzystwie kilku kolegów z 11. pułku; grali w kości.

- Dzień dobry, Will! - odezwał się Val. - Nie widzieliśmy się od zawodów strzeleckich! Moje gratulacje!

- Dzięki, panie poruczniku - odparł posępnie Taliman. - Słyszałem, że pańskiemu prosiakowi darowali życie - dodał nieco weselszym tonem.

- A jakże! Ale skąd u ciebie taka ponura mina, skoro zdobyłeś i medal, i narzeczoną? — spytał Val, starając się zachować powagę.

— Wrobili mnie w to, cholera! — jęknął Will. — Co miałem robić, do pioruna, kiedy ten cholerny Nochal uparł się nas zaręczyć?!

Val mimo woli uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak to pana porucznika rozbawiło? - obruszył się Will. - Ciekawe, jakby się pan porucznik czuł, jakby mu zwalili babę na kark... i tylko dlatego, że trafił w sam środek tarczy! Żeby wiedział, czym to się skończy, całkiem inaczej bym strzelał!

- Czyżby pani Casey nie wystarczył tytuł narzeczonej, Will?

— Tej starej wiedzimie? Gdzie tam! — wyrwał się jeden z kompanów. - Suszy mu teraz głowę, żeby ustalił datę ślubu!

- Przez kilka dni była wesola jak szczygiełek! I tylko się puszyła przed kumoszkami. Choć faktycznie, żadna inna nie może się pochwalić, że sam księżę Wellington ją zaręczył! - przyznał Will. - Potem jej powiedziałem, żeby sobie za dużo nie obiecywała co do tego ślubu. I dopiero się zaczęło!

- Coś ty narobil, Will?! Przecież mogła sobie być twoją narzeczoną choćby parę lat! — jęknął Val. - Co też cię podkusiło?

- Sam nie wiem. Chyba mi się już sprzykrzyło, bo gęba jej się nie zamykała: nic, tylko zaręczona i zaręczona! No i honor żołnierski kazał mi powiedzieć jasno, że zaręczyni zaręczynami, ale ze ślubu nic nie będzie! - zakończył Will z miną męczennika.

- Wiem, wiem: zawsze byłeś człowiekiem honoru - przyświadczył Val solennie, acz z podejrzanym błyskiem w oku.

- Spietrałem się jak diabli, panie poruczniku — przyznał Will i aż się wstrząsnął. — Ale teraz Mags mówi, że jak nic ze ślubu, to i sypiać mogę sam! Modłę się, żeby ten Masscna jak najprędzej nas zaatakował. Zgłoszę się na pierwszą linię, panie poruczniku, i wtedy baba się przekona, czy nie lepiej zostać narzeczoną niż wdową!

- Nie mów czegoś takiego nawet żartem! - ofuknął go Val. - Ani się obejrzymy, jak dojdzie do bitwy... Nie zamierzam tracić najlepszego przyjaciela!

- Naprawdę pan porucznik myśli, że będzie bitwa? - spytał Murphy. - Tkwimy za tymi cholernymi umocnieniami, Portugalczycy na wałach... i co dziesiąty z nas choruje, psiakrew, na febrę! Pan porucznik to ma fart: przynajmniej pojeździ sobie po okolicy! Val wiedział, że to prawda. Był w znacznie lepszej sytuacji od nich; nie siedział w jednym miejscu, a niekiedy, gdy jego misja się powiodła, odczuwał nawet dumę. Jakże ciężko musiało być tym ludziom, tkwiącym beczynn timer na mrozie... Cóż im pozostawało prócz rozważań, czy Mags zawlecze Willa do ołtarza, czy chłop się wymiga?

- Za to musztry dowalili nam drugie tyle - skarżył się gorzko Murphy. - Porucznik się o to postarał! Jak nas jesz-

cze raz pogoni, cholera, od świtu do nocy, to w szeregu, to czwórkami i z powrotem, to zdezerteruję i już! Val dobrze go rozumiał; pamiętał, jak w hrabstwie Kent życie wydawało mu się jedną nie kończącą się musztrą.

- Wiem, Murphy, że trudno to polubić, ale jeszcze będzie cie kiedyś wdzięczni porucznikowi. Teraz się to wydaje niepo

trzebny mozolem, ale podczas bitwy może ocalić wam życie.

- A bo to będzie jaka bitwa, panie poruczniku? Sam Mas

sćna poszedłby już dawno w cholerę... Napoleon musiał mu obiecać fest posiłki. Do wiosny nie będzie już po nas śladu Portugalii.

- Nie byłbym taki pewny! - odparł stanowczo Val. - Od nie

• dawna służyć pod księciem Wellingtonem, ale z tego co wiem, z pewnością zdoła wypędzić żabojadów z Portugalii... i z Hisz

panu - dodał, wstając. - Jeszcze sobie pogadamy, WiH. Może uda się doprowadzić do zawieszenia broni z panią Casey!

Val wiedział, że Mags Casey zależy bardzo na małżeństwie, ale dopiero od momentu uroczystych zaręczyn dotychczasowy układ z Willem przestał jej odpowiadać. Księżę Wellington ładnie Willa wynagrodził! pomyślał Val

uśmiechem. Teraz chłop straci albo swoją wolność, albo Mags... Może uda mi się go przekonać, że ustalenie jakiejś

— możliwie odległej — daty to jeszcze nie klęska? Bóg wie, co może się wydarzyć w ciągu roku! Mags Casey może zmienić zdanie... Oboje mogą się odkochać... Albo Will Tallman może polec, uświadomił sobie Val.

- O czym tak głęboko rozmyślasz?

— O, nie zauważyłem cię, Jamesie! — usprawiedliwił się Val.

- Jakież problemy związane z rekonesansem?
- Nic podobnego, Jamesie. Próbuję coś wymyślić, żeby ocalić Willa od małżeństwa! James roześmiał się.
- Chyba nie dasz rady, przyjacielu! Naszej Mags wystarczy tylko przytrzymać mocniej Talimana, a kapelan dokończy dzieła!
- Sam nie wiem, czy Wellington przysłużył im się, czy wręcz odwrotnie - wyznał Val. — Zabawna z nich para, ale dobrze im ze sobą, jeśli tylko nie skaczą sobie do oczu o ten ślub.
- Ja tam stawiam na Mags Casey! Jak raz dasz kobiecie pierścionek...
- Raczej medal - poprawił go z uśmiechem Val.
- Niech ci będzie medal... Inaczej mówiąc, kiedy niewiasta uzna, że ma prawo do ciebie, nie pozbędziesz się jej za żadne skarby! Zwłaszcza jeśli to dama obdarzona posturą i siłą charakteru pani Casey.
- Lubię Mags Casey - powiedział ciepło Val. - Ale Will Taliman to mój stary przyjaciel; jest przeświadczony, że zawodowy żołnierz nie powinien się żenić.
- A twoim zdaniem byłiby ze sobą szczęśliwi?
- Nawet bardzo... gdyby Will pogodził się z sytuacją.
- Wobec tego jako przyjaciel powinienes chyba namówić go do żeniaczki.
- Muszę to sobie przemyśleć... A jeśli już mowa o małżeńskich planach... co słyhać u twojej siostry? Miałaś od niej ostatnio jakieś wieści?
- Całkiem niedawno. Jest nadal w euforii.
- I tak być powinno! Czy zamierzasz wrócić do Londynu w początkach sezonu?
- Poprosiłem o krótki urlop. Zobaczmy, czy Wellington wyrazi zgodę.
- Może i ty znajdziesz sobie kogoś, Jamesie? Markiz Wimborne powinien chyba pomyśleć o odpowiednim mariażu i postarać się o dziedzica! Nie znasz żadnej młodej damy, która by ci odpowiadała?
- Żadna młoda dama nie podbiła mego serca, Val - oznajmił James. - A moje sprawy majątkowe przedstawiają się tak, że mimo tytułu markiza chyba żaden rodzic nie patrzyłby życzliwym okiem na moje konkury - dodał z uśmiechem. - Ale dość o mnie! Pozostaniesz w obozie przez kilka dni?
- Chyba tak.
- Co powiesz na poranną przejażdżkę? Umówiłem się na jutro z Charlesem... Chcesz się do nas przyłączyć?
- Wspaniale, Jamesie!
- No to do jutra - rzucił James i pożegnał się z Valem. - Może i tobie przyjaciel pomoże zdobyć szczęście? - dodał po cichu, patrząc za odchodzącym.

Rozdział XVIII

Następnego ranka nad całą okolicą wisiała gęsta mgła. Val i jego koń już po minucie byli pokryci drobnusieńkimi wilgotnymi kropelkami. Valentine postanowił dać Cezarowi nieco wypoczynku i wziął ze stajni długonogiego gniadosza, na którym nigdy dotąd nie jeździł. Zwierzę okazało się nerwowe; płoszyło je byle co - choćby drzewo, wyłaniające się nagle

z mgły. Val musiał mieć się na baczności, by nie spaść z siodła. Kiedy dotarł na skraj obozu, zderzył się niemal z Jamesem, zanim go dostrzegł.

- Ranek w sam raz na przejażdżkę! - krzyknął do niego Val.

- Słońce już się przedziera — odparł James, wskazując jasne pasmo na niebie od wschodu. - Za kwadrans będziemy się zachwycać: „Co za piękny dzień!”

- Oby! Gdzie Charlie?

- Powinien zaraz tu być. O, już jada! To znaczy jedzie.

Val nie zwrócił uwagi na słowa Jamesa, toteż gdy z mgły wyłoniło się dwóch jeźdźców, spojrzął ze zdziwieniem na przyjaciela.

- Zabrał kogoś ze sobą?

- Rzeczywiście! — stwierdził pogodnie James.

- Dzień dobry, ya! - zawołał Charles. - Panna Gordon lubi poranne przejażdżki, więc ją poprosiłem, żeby się przyłą

czyła do nas! Chyba nie masz nic przeciwko temu, Jamesie?

- Ależ skąd! Jestem zachwycony. A ty, Val?

- Oczywiście. - Co, u diabła, mógł powiedzieć?! Że drży przed spotkaniem z Elspeth Gordon?

Wydawała się równie zakłopotana i niepewna jak on. Gdy obejrzał się na brata i przyjaciela, dostrzegł porozumiewawcze spojrzenia i uśmieški satysfakcji. A więc nie była to dla nich niespodzianka... Tylko dla niego i panny Gordon!

Przez kilka minut jechali wolno - James i Val z przodu, Charlie z Elspeth za nimi. I nagle jakby jakaś olbrzymia ręka zdarła szary welon: słońce przebiło się przez mgłę.

— A nie mówiłem, Val? — powiedział James i odwrócił się w siodle. - Może byśmy tak pogalopowali? Co ty na to, Charlie? A ty, Elspeth?

Spięli konie i popędzili przez dolinę. Ranek był rzeczywiście wspaniały, Val musiał to przyznać. Jego koń także się uspokoił. Teraz, gdy zwierzę się rozgrzało, a mgła znikła, Val przekonał się, że wierzchowiec idzie równo, więc i sam się odprężył. Udało mu się niemal zapomnieć, że w ich wyprawie bierze udział panna Gordon i że prędzej czy później będzie musiał zacząć z nią rozmowę.

Doszło do tego nawet prędzej, niż przypuszczał, bo gdy zwolnili i przeszli w kłus, a potem w stępa, Chanie znalazł się nagle obok Jamesa, a Val przy Elspeth.

- No i mamy piękny dzień, nieprawdaż, panno Gordon? - odezwał się uprzejmie.

- Rzeczywiście, panie poruczniku. Jak miło ujrzeć słońce po tych wszystkich szarych dniach w ubiegłym tygodniu!

- odparła Elspeth równie sztywno.

Val zwrócił się twarzą ku dziewczynie. Słońce oświetlało ją od tyłu i kropelki mgły na jej żakiecie świeciły jak diamenty. We włosach Elspeth płonęły rudozłote światelka, twarz miała zaróżowioną od szybkiej jazdy. Była tak piękna, że Valowi odebrało mowę.

W końcu Elspeth przerwała kłopotliwe milczenie:

- Nie przypuszczałam, panie poruczniku, że i pan weźmie udział w tej przejażdżce.

No cóż, nic dziwnego, że po wydarzeniach tamtej nocy nie miała wcale ochoty go oglądać!

- Mam nadzieję, że swą obecnością nie zepsułam panu ranka — mówiła dalej, jakby się usprawiedliwiając.

— Ja też mam nadzieję, że nie zepsułam pani dzisiejszego dnia... ani tamtego wieczora na balu - odparł, gdy zdołał wreszcie wydobyć głos.

Elspeth zarumieniła się.

- Nasza... przechadzka po ogrodzie sprawiła mi radość, panie poruczniku - wyznała.

• - Gdyby nas jednak ktoś zobaczył, znaleźlibyśmy się w niezręcznej sytuacji.

- Z pewnością nie aż tak, jak przy naszym pierwszym spotkaniu - zauważyła Elspeth z lekkim uśmiechem. -

Skompromitował mnie pan na amen... i ustaliliśmy już, że nie ma się czym przejmować!

- Ma pani o sobie zbyt niskie mniemanie, panno Gordon -

• odparł Val cicho. - Jest pani czarująca i wówczas, na balu, nie mogłem się oprzeć... Postąpiłem bardzo źle, gdyż wszelkie płonne nadzieje byłyby niemądre i szkodliwe dla nas obojga...

- O jakich nadziejach pan mówi, poruczniku? - spytała Elspeth wprost.

- Postanowiliśmy zostać przyjaciółmi, panno Gordon. Jakiegokolwiek inne uczucia między nami są przecież niemożliwe. Nie powinienem był pani całować dodał.

Jakże sztywno, jak pompatycznie to zabrzmiało! Ale cóż innego mógł jej powiedzieć? Że im częściej ją widywał, tym bardziej go pociągała? Że pragnął teraz pochylić się ku niej i znów ją pocałować? Oboje zatrzymali konie; Elspeth patrzyła prosto na niego, wargi miała rozchylone, a ciemnozielony strój sprawiał, że i oczy jej pozieleniały...

- Czy to taki grzech, panie poruczniku? Przecież, na dobrą sprawę, sama się tego dopraszałam... A i panu ten pocałunek sprawił przyjemność, prawda?

Val jęknął.

- Jeszcze jaką! Chciałem, żeby się nigdy nie skończył! Teraz też chcę się z panią całować i zrobiłbym to, gdyby Charue i James nie byli tak blisko! Zadowolona pani, panno Gordon? Miło pani wiedzieć, że jej pragnę? - dodał gniewnie.

— Nie... jeśli panu sprawia to ból — odparła cicho Elspeth.

- To nie ból, to poczucie beznadziejności! Nie przywykłem do kontaktów z damami rzeki z goryczą. - Z naszych pocałunków nic nie może wynikać, panno Gordon.

- A to czemu? Niechże mnie pan oświeci, poruczniku! - odezwała się cierpko.

- Doskonale pani wie, dlaczego.

- Ach, tak! Dlatego, że jestem wnuczką hrabiego, a pan tylko hrabiowskim bękartem? Przecież nie wymagam, żeby pan się ze mną ożenił, panie poruczniku! Wystarczą mi pocałunki, które nam obojgu sprawiają przyjemność - stwierdziła Elspeth.

Val roześmiał się mimo woli. Niech ją diabli! On tu sta

je na głowie, by postąpić honorowo, a ona równa z ziemią jego heroiczne wysiłki! Chyba właśnie za to aż tak ją polubił: za jej poczucie humoru.

- Nie mogę panu przeszkodzić, poruczniku, jeśli chce pan koniecznie odgrywać niezłomnego bohatera! Ale nie mam zamiaru udawać, że mi to odpowiada - podsumowała Elspeth.

Teraz śmiali się już oboje.

- Panno Gordon, choć ma pani o sobie taką złą opinię, jest pani niesłychanie urocza i pewien jestem, że znajdzie pani kogoś, kto będzie miał pełne prawo ubiegać się o rękę pani i całować. Ponieważ jednak nie mogę to być ja, zostaliśmy nadal przyjaciółmi.

Trudno chyba o lepszych przyjaciół niż ci, którzyw tak skomplikowanej sytuacji potrafią się wspólnie śmiać!

- No cóż, muszę się chyba z panem zgodzić, poruczniku... bo, jak widać, nie zamierza pan zsiąść z wysokiego konia!

Val chciał uściskać jej rękę dla przypieczętowania „układu o przyjaźni”, gdy nagle Chanie, który zawrócił i jechał ku nim, coś głośno krzyknął. Wierzchowiec Vala spłoszył się natychmiast, bryknął i zrzucił jeźdźca.

— Nic ci się nie stało, Val? — zaniepokoił się Charlie.

— Tylko moja durna ucierpiała, bracie! Spadłem w naj mniej odpowiednim momencie - dodał, uśmiechając się do Elspeth.

— Wręcz przeciwnie, panie poruczniku — sprzeciwiła się, oddając mu uśmiech. - Takie zakończenie było jak najbardziej stosowne!

— Ach, ci piechurzy! — przekomarzał się Chanie. - Wsadź ich na konia, a oni nie potrafią się na nim utrzymać!

Val wstał, pocierając biodro.

— A wy, franty z lekkiej kawalerii, nie wytrzymalibyście . nawet godziny porządnego marszu!

— Zostawmy ich, Elspeth, niech się czubią! — odezwał się James, który podjechał w samą porę, by usłyszeć tę wymianę zdań.

Val spojrzał spode łba na Charliego i gdy pozostała dwójka zniknęła im z oczu, warknął:

- Co to wszystko ma znaczyć?!

- Co takiego?

— Nie udawaj niewiniątka, Charlesie! - powiedział groźnie Val; był w tej chwili tak podobny do ojca, że Chanie roześmiał się od ucha do ucha. - I nie szczerz mi tu zębów jak małpa! Co to za spisek uknuliście z Jamesem?!

— Jaki tam spisek?! — oburzył się Charlie. — Przyjaźnicie się przecież z panną Gordon, może nie? Więc dlaczego nie miałyby wziąć udziału we wspólnej przejażdżce?

- o nic więcej nie chodziło? - spytał z niedowierzaniem Val.

Charlie uśmiechnął się niezbyt mądrze.

- No cóż... Obaj z Jamesem zauważyliśmy, że w Boże Narodzenie wybraliście się we dwójkę do ogrodu. To byłaby idealna żona dla ciebie! - zachłysnął się entuzjazmem Charlie.

— Zawsze jesteś narwany, braciszku!

- Uważasz mnie za durnia, Val?

- Nie... ale czy ty nie rozumiesz, że panna Gordon i ja

możemy być jedynie przyjaciółmi?

- O, rozumiem wszystko doskonale! Znowu ta twoja cholerna durna! Elspeth Gordon nie zgodziłaby się na żadne sam

na sam, gdyby nie czuła do ciebie czegoś oprócz przyjaźni...

Więc to nie ona wznosi bariery między wami, co? Tylko ty i te twoje przekłute kompleksy! Zawsze się płoszysz, jeśli ktoś ci okazuje zrozumienie i trochę serca! Jak ty postąpiłeś z ojcem?! A i ode mnie byś ucieki, gdybym ci na to pozwolił! Przecież uważasz i mnie, i każdego, kto cię kocha, za durnia, może nie? Bo kto przy zdrowych zmysłach mógłby kochać bękarta, co? Może byś się lepiej zastanowił, Valentine, kto mógłby kochać takiego aroganckiego kretyna jak ty?!

Chanie spał konia i pogalopował naprzód, nawet się nie obejrzawszy. Val został z ustami rozwartymi ze zdumienia. Młodszy brat nigdy dotąd go nie krytykował, nigdy się na niego nie gniewał. Zawsze kochał go i podziwiał bez zastrzeżeń...

Charlie nie ma racji! powtarzał sobie Val z uporem. Musiałem przecież opuścić szkołę, bo zupełnie tam nie pasowałem. Kontakty z hrabią zerwałem z tego samego powodu. A moja duma? Jakąż mógł mieć dumę, dźwigając niezatarte piętno hańby?

Val dosiadł ostrożnie gniadosza i wrócił stępa do obozu. Wmawiał sobie, że pretensje Charliego są bezpodstawne... Ale może było w nich trochę racji? James również oskarżał go o to, że jest przeczulony, o doszukiwanie się zniewag tam, gdzie ich wcale nie było. Cóż w tym dziwnego, do cholery?! Przez te wszystkie lata zniewag mu nie szczędzono! Bronił go przed nimi pancierz dumy: nigdy by nie pozwolił dręczycielom poznać, jak boleśnie go ranili!

No i masz! Teraz sam przyznawał się do dumy! Ale sam się zastanów, Charlie, przemawiał w rnyślach do brata, czy ktoś, kto jest taki dumny (to twoja opinia, nie moja!), może uważać tych, którzy go kochają, za durniów? Przeczysz sam sobie, braciszku!

Val był jednak zawsze uczciwy, więc gdy jego gniew opadł, musiał przyznać, że młodszy brat ofiarował mu bez wahania swą miłość - szczerą, bezgraniczną. Val odwzajemnił to uczucie. Jakże mogło być inaczej, gdy tak bardzo spragniony był miłości? Pamiętał, że poczuł natychmiast sympatię do Charliego, gdy tylko brat wspomniał o stracie matki. To właśnie zbliżyło ich do siebie.

- Przyznaj jednak sam - mówił do siebie Val, sondując własną duszę — że nigdy nie zawierzyłeś bratu bez reszty... Rzeczywiście uważasz, że jest niemądry, bo tak cię kocha i idealizuje... — Val zdawał sobie sprawę, że istnieją w jego sercu ciemne zakamarki.

Teraz zmusił się, by do nich zajrzeć - i aż się wzdrygnął na widok tego, co tam zobaczył. W tym najczarniejszym kątku kulił się mały chłopiec, wypędzony z raju dzieciństwa i napiętnowany strasznym mianem bękarta. Ten chłopiec czuł, że nie zasługuje na miłość; ten chłopiec... Val nie czekał, by spojrzeć mu w twarz, by pojąć, co ma w sercu. Odwrócił się od niego i zatrzasnął drzwi mrocznego schowka.

Słońce świeciło, do obozu było już niedaleko. Przebywał w tej czarnej czeluści tylko chwilę... Ale i tego było za wiele: nieprędko tam powróci! Musiałby wówczas spojrzeć tamtemu chłopcu w twarz, odczuć we własnym sercu jego rozpacz... Val nie miał na to dość siły ani chęci. Chyba nigdy się na to nie zdobędzie.

- Charlie nie mówił mi, że spotkamy się z tobą i z porucznikiem Astonem, Jamesie. Gdybym to wiedziała, nigdy bym się do was nie przyłączyła - wyjaśniła Elspeth, gdy wracali z przejażdżki.

— Należą ci się przeprosiny, Elspeth — przyznał James. — Rzeczywiście, chcieliśmy się z Charliem pobawić w swaty...

: Ty i porucznik Aston...

— Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi — stwierdziła stanowczym tonem Elspeth.

— I niczym więcej?

- Tak twierdzi porucznik Aston.

- A co ty o tym sądzisz, Elspeth?

— Cieszę się, że mam w nim przyjaciela. Przyznaję, że jest bardzo pociągający... Podobnie zresztą jak ty, a nigdy to nie zakłóciło naszej przyjaźni. Prawdę mówiąc, czasem mnie to t zastanawiało.

— Zapewne widziałas we mnie tylko brata, bo jestem braem Maddie - odparł lekkim tonem.

- Pewnie masz rację — przytaknęła, uśmiechając się do niego serdecznie, - W każdym razie bardzo się z tego cieszę. To tak miło naprawdę się z kimś przyjaźnić bez żadnych komplikacji!

- Jestem tego samego zdania. Romantyczne uczucia tylko utrudniają życie, prawda? - dodał ze znaczącym uśmiechem.

Elspeth była rada, gdy wróciwszy do domu przekonała się, że ojciec już wstał i wyszedł, a matka jeszcze się nie obudziła. Przygotowana przez Ryana kąpiel już na nią czekała. Elspeth dołała jeszcze kilka dzbanków gorącej wody i zanurzyła się z przyjemnością w miedzianej wannie.

Odprężyła się i wróciła myślą do rozmowy z porucznikiem Astonem. Z początku był taki sztywny i nieprzystępny: „Mogą być tylko przyjaciółmi, żałuje, że ją pocałował”. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zażenowana... póki nie znalazł, że pragnie znów się z nią całować, choćby natychmiast! Elspeth poczuła, że ogarnia ją fala gorąca. Nie miało to nic wspólnego z ciepłą kąpielą - wyobraziła sobie, jaki mógłby być ten następny pocałunek... Pragnę tego równie mocno jak on... pomyślała, przymykając oczy. Miała wrażenie, że cała się roztapia w ogniu pożądania.

Mimo stanu swego ducha i ciała Elspeth zdała sobie w końcu sprawę, że kąpiel stygnie. Czego ja właściwie chcę od Valerine'a Astona? zastanawiała się, wychodząc z wanny i owijając się ręcznikiem. Z pewnością pragnęła dalszych pocałunków. Ale czy to wszystko? Na pewno zależało jej na przyjaźni Vala. Zbyt wiele ich łączyło, nie można było tego zlekceważyć: razem stawiali czoło niebezpieczeństwu, oboje czuli się obco w swoim środowisku, mieli identyczne poczucie humoru... Dzięki Bogu! Inaczej ich rozmowa mogłaby przybrać niepożądany obrót!

Powiedział, że nie może się z nią ożenić. Ale czy w ogóle chciał? Elspeth próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie, stojąc przed niewielkim lustrem, wiszącym na ścianie. Nie grzeszyła urodą. On był od niej urodziwszy mimo blizny na policzku i wydatnego nosa. Wiedziała, że wielu kobietom Chanie lub James wydałby się znacznie bardziej

atrakcyjny... Być może pociągały ją w Valu kontrasty jego natury: był zarazem twardy i delikatny, opanowany i czuły, silny i bezbronny...

Żaden ze znajomych nie budził w Elspeth podobnych emocji. Może dlatego, że od dawna broniła się przed marzeniami o miłości i wołała nie zgłębiać swoich uczuć? Czegóż więc chciała od Vala Astona prócz kilku pocałunków i przyjaźni? Nie była jeszcze tego pewna, ale zaczynała podejrzewać, że pragnie jego miłości.

— Nie mogłaś trafić gorzej! — powiedziała sobie Elspeth. — Choćby porucznik cię nawet pokochał, a to bardzo mało prawdopodobne, ma zbyt wiele durny, by ci to wyznać!

Rozdział XIX

Po powrocie z gór Val złożył krótki raport na ręce kapitana Granta. Kilka dni po porannej przejażdżce został znów wezwany do jego namiotu.

- Dzień dobry, poruczniku. Zapoznałem się już z raportem.

- Nie było w nim nic ciekawego, panie kapitanie. Pulkownik Sanchez nie zdołał zebrać żadnych informacji o dalszych planach Bonapartego. Wiemy tylko tyle, że na razie nie wysłano do Santarém żadnych posiłków. Wszystko utknęło w martwym punkcie.

— Coś musi się za tym kryć. Jeśli Masséna tkwi tam nadal mimo braku żywności, z pewnością otrzymuje dokładne informacje na temat bieżącej sytuacji politycznej w Anglii.

- Co ze zdrowiem króla?

— Nie poprawia się. Lada moment zostanie uchwalona regencja. Musimy schwycić tego zdrajcę, i to jak najszybciej, poruczniku! Oficjalne wiadomości docierają oczywiście także do Francuzów, ale Masséna otrzymuje informacje, zanim jeszcze dochodzą do wiadomości ogółu, i dlatego zapewne uważa, że warto czekać. Podczas twej nieobecności, Aston, dopisało nam szczęście: schwyciłem osobiście jednego z francuskich „dezertów”. Utrzymał, że ich wojsko umiera z głodu i że właśnie dlatego uciekł.

- Nieraz już wpadali nam w ręce dezertery, panie kapitanie.

- Owszem, ale żaden z nich nie miał schowka w podeszwie buta, poruczniku - odparł Grant z uśmiechem zadowolenia.

- Przewoził jakieś dokumenty?

- Nie. Kiedy go obszukaliśmy gruntownie i przekonał się, że wpadł na arnen, wyznał, że miał się spotkać z „angielskim milordem”. - Grant spojrzał na Vala, unosząc brwi. - To mi pasuje do trzech osób: Lucasa Stantona, George’a Trowbridge’a i Jamesa Larnberta.

- No, o Jamesie w ogóle nie ma co mówić! George jest zbyt głupi... Zawsze podejrzewałem, że to Stanton! Ten żabojad wymienił jego nazwisko?

— Nie znał ani nazwiska, ani rysopisu. Miał podać ustalone hasło i umówić się na spotkanie.

- Poczta z Anglii przyszła kilka dni temu... - zastanawiał się Val.

- Tak, bardzo prawdopodobne, że nasz zdrajca otrzymał jakieś wieści od londyńskiego współpracownika i zamierzał przekazać je dalej.

- Wystarczy więc ustalić, do kogo przyszły listy!

— To nie takie proste: otrzymali je wszyscy trzej.

Val zmarszczył czoło.

- Wspominałem już o pani Casey, panie kapitanie. Ma łatwy dostęp do namiotów wszystkich podejrzanych. Nie byłoby jej trudno pogmerać w ich rzeczach i przejrzeć najświeższą korespondencję.

- Nie chciałbym narażać kobiety na niebezpieczeństwo, poruczniku.

- Mags Casey to twarda sztuka, panie kapitanie. Poza tym w obecnej sytuacji dobrze jej zrobi, jeśli zajmie się czymś innym niż podejmowaniem prób zawleczenia sierżanta Tallmana do ołtarza - odparł Val z wesołym błyskiem w oku.

- Dobrze więc, poruczniku. Można powierzyć to zadanie pani Casey. Niech jednak będzie bardzo ostrożna.

- Nie ma obawy, panie kapitanie. Ostrzegę ją bardzo wyraźnie.

Val zastał Mags przy balii. Z niezwykle posępną miną prąta prześcieradła.

- Pańska pościel już wyprana i wyprasowana, panie poruczniku - oznajmiła. - Ale nie zdążyłam jej jeszcze porować.

- Nic nie szkodzi, pani Casey. Przyszedłem w całkiem innej sprawie. Gdzie moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

- W namiocie - odparła Mags, odkładając kij, którym rozgarniała prześcieradła zanurzone we wrzątku, i wycierając ręce w wielki fartuch. Kiedy weszli do wnętrza, wskazała Valowi gestem jedno z połowych łóżek. - Przepraszam, panie poruczniku, tylko na tym może pan przysiąc.

- Doskonale, pani Casey. Niech pani również siądzie.

Przycupnęła na brzeżku stojącego naprzeciw łóżka.

- Panie poruczniku, jeśli to chodzi o Willa Talirmana... bardzo by mi było przykro, gdyby się pan porucznik niepotrzebnie fatygował... Ale nie mam zamiaru zrywać zaręczyn i chcę wiedzieć, kiedy Will się ze mną ożeni!

- To, co powiem, nie ma nic wspólnego z Willem - zapewnił ją Val. — Sprawa jest o wiele ważniejsza. Kapitan Grant i ja mamy do pani pewną prośbę... ale może pani oczywiście odmówić!

Oczy Mags zabłyśły.

- Chcecie, żebym dla was powęszyła, panie poruczniku? Z miłą chęcią! Kto by się do tego nadał lepiej niż ja?

- To samo powiedziałem kapitanowi Grantowi. Ma pani łatwy dostęp do oficerskich namiotów i bez trudu może pani przejrzeć ich rzeczy. Czy pani urnie czytać? - spytał z wahaniem. Nagle zdał sobie sprawę, że cały plan może spalić na panewce.

- A jakże, panie poruczniku! — oświadczyła z dumą pani Casey. — Przecież muszę czytać, pisać i rachować, żeby prowadzić swoje rachunki! - dodała, wyciągając z kieszeni małą, podniszczoną książeczkę. Sunąc palcem po jednej ze stron, odczytała powoli: „porucznik Trowbridge, dwa szylingi”.

- Wobec tego znakomicie się pani nada - powiedział Val z uśmiechem ulgi. -
Chcielibyśmy, żeby pani przeczytała te listy, które dopiero co nadeszły z Londynu. Ktoś donosi Francuzom o wszystkim, co dzieje się u nas w kraju. Niech pani szuka zwłaszcza informacji o zdrowiu króla i ustanowieniu regencji.

- Więc staruszek znowu zwariował?

- Tak, król miał kolejny nawrót choroby. Z początku wydawało się, że to szybko minie, ale potem bardzo mu się pogorszyło.

- Boże święty! Więc ten jego głupi synalek dorwie się do władzy, panie poruczniku?!

— No, tak... Książę Walii rzeczywiście zostanie regentem.

- Nie mam do niego za grosz zaufania, panie poruczniku! Tak skrzywdzić tę śliczną panią, z którą się ożenił! Co z tego, że papistka? Mój Casey też był papistą: nie wszyscy oni takie znów diabły, jak nam próbują wmówić pastorzy!

- Jego pozycja wymagała, by poślubił księżniczkę krwi, pani Casey.

— Może i tak... ale straciłam do Prinnyego resztę zaufania, panie poruczniku! Dał jej swe serce i rękę... a potem puścił ją w trąbę!

- Przyznam, że również byłem po stronie pani Fitzherbert, Mags - odparł całkiem szczerze Val. Postępowanie księcia Walii, choć częściowo usprawiedliwione racją stanu, przypominało mu boleśnie sposób, w jaki hrabia obszedł się z jego matką. — Nie ma rady: książę jest najstarszym synem króla i następcą tronu... - Val przesunął ręką po twarzy. - Nie powinienem był tak mówić. Mamy oczywiście szczęście, że może wziąć na siebie obowiązki regenta.

- Bez tych dupereli, panie poruczniku! To fircyk i dureń! Dla własnej przyjemności szasta forszą na jakieś tam cudackie budowle, a ludzie głodują.

— Nie wiedziałem, że taka z pani republikanka!

- Nie jestem za tym, żeby ścinać ludziom łby, choćby na to zasłużyli. Ale mam swój rozum, panie poruczniku, i Powiem, że tylko drań zostawia na bruku żołnierzy, co za niego przelewali krew! — Pani Casey wzięła głęboki oddech. - Ale chociaż nie przepadam za Prinnyem, zrobiłabym nie wiem co, żeby tych Francuzów diabli wzięli!

— Wierzę pani.

— No to kogo mam przeczesać? — spytała pani Casey z błyskiem w oku.

- Jest tylko trzech podejrzanych oficerów: Stanton, Trowbridge i Wimborne.

- Co to, to nie! Markiz to prawdziwy dżentelmen!

— I mój serdeczny przyjaciel, więc całkowicie się z panią zgadzam. Ale wszyscy poza nimi zostali w ten czy inny sposób wyeliminowani.

- Założę się, że to ten Stanton! To podlec, panie poruczniku! Widziałam już niejedną, jak wychodziła z jego namiotu posiniaczona i splakana!

- I ja mam powody sądzić, że to Stanton - przyznał Val. — Musi pani jednak przeszukać starannie wszystkie trzy namioty. 1, pani Casey, wiem, że nie jest pani plotkarką, ale chętnie pani rozmawia z ludźmi, więc..

Mags roześmiała się.

- Bez obawy, panie poruczniku! Będę trzymać gębę na kłódkę.

- Proszę nie wspominać o tym nawet sierżantowi Tailmanowi - ostrzegł ją.

- Jemu?! Z nim w ogóle nie chcę gadać!

- Wynagrodzimy panią hojnie, pani Casey.

Mags była zgorazona.

- Pewnie, że jestem pracującą kobietą, panie poruczniku, proszę jednak mnie nie obrażać. Wstydzilibym się brać forszę za to, że pomogę Wellingtonowi wygrać wojnę!

- Jestem pełen najwyższego uznania, droga pani — powiedział Val i podniósł się, by wyjść. - Proszę, niech pani będzie ostrożna!

- Niech się pan o mnie nie boi! Nie radzę nikomu zadzierać z Mags Casey!

Will Tailman był tak znękany, że z początku poczuł nawet ulgę, gdy Mags zmieniła taktykę i zaczęła udawać obojętność wobec niego. Jednak po tygodniu, gdy w łóżku było zimno i samotnie, a sterta brudnej bielizny rosła, Will musiał przyznać w duchu, że życie z Mags, choćby wiecznie suszyła mu głowę tym ślubem, było stanowczo lepsze od życia bez niej. Starał się więc natknąć się na nią „przypadkiem” przynajmniej raz na dzień; przystawał wówczas i wdawał się w pogawędkę. Mags witała go jednak chłodno i nie chciała z nim gadać. Z początku ta udawana obojętność śmieszyła Willa. Jednak w miarę upływu dni zaczęło go to denerwować. Wyglądało na to, że Mags doskonale sobie radzi bez niego! Najlepszy dowód, że żadnej babie nie można ufać, mówił sobie Will. Przez całe lata suszy człowiekowi głowę, żeby się z nią ożenił... a potem ani na niego nie spojrzy! I teraz płąć, żołnierzu, jeśli chcesz mieć czyste łachy albo towarzystwo do łóżka! Choć, prawdę mówię

212

więc, wcale sobie nie życzył innej baby w łóżku, niech to szlag! Chciał tylko Mags Casey. Mags doskonale wiedziała, co się dzieje z Willem.

— Nie wygląda na zadowolonego, Mags! - poinformowała ją Lucy Brown, kiedy Tailman przyniósł jej brudną pościel do prania.

- Dobrze mu tak.

— Ty za to jesteś wesola jak szczygiełek!

— Mam ważniejsze sprawy, niż zwracać sobie głowę sierżantem Tallmanem!

Piorąc, składając i cerując bieliznę Mags myślała wyłącznie o zadaniu, które powierzył jej Val. Kiedy tylko nadejdzie poczta, zacznie się jej szpiegowska kariera!

Następna poczta zjawiała się już po tygodniu. Mags postanowiła nazajutrz obejść namioty „swoich” oficerów; zaczęła z tym do popołudnia, kiedy żadnego z trzech podejrzanych nie było w obozie.

Na pierwszy ogień poszedł namiot porucznika Trowbridge’a. Mags trzęsły się ręce, kiedy podnosiła z podłogi kolo łóżka porzucony list. Przeczytała go najszybciej jak tylko mogła. Okazało się, że to list od młodszego brata, którego interesowały wyłącznie sukcesy słynnych pięściarzy oraz własne wygrane i przegrane przy zielonym stoliku. Nic w tym nie znajdziesz, Mags, mruknęła odkładając list na poprzednie miejsce. Chyba że to pisane szyfrem?!

Następnie przyszła kolej na wicehrabiego Stanton’a. Mags z pewnym strachem zerknęła przez ramię, wchodząc do jego namiotu. Nie znosiła Stanton’a tak samo jak porucznik Aston. Jeśli ktoś z tej trójki był szpiegiem, to z pewnością ten drań!

Stanton był schludny i na podłodze nie wały się żadne papiery. Mags odłożyła naręczne bielizny i podeszła do stolika, który służył porucznikowi za biurko. Były na nim dwie książki, kałamarz i gęsie pióro po prawej, a po lewej trzy listy, porządnie złożone i przyciśnięte kamieniem. Nie zapomnij, jak leżą, Mags, i ułóż potem wszystko jak było! powiedziała sobie, podnosząc prowizoryczny przycisk do papieru i otwierając pierwszy list.

Napisała go matka wicehrabiego, o wiele bardziej zainteresowana ostatnim towarzyskim skandalem niż sytuacją polityczną w Londynie. Nadawcą drugiego listu okazał się dawny kolega szkolny Stanton, który również wspominał o ostatnich zawodach bokserskich i o aukcji w Newmarket. Także i w tym liście nie znalazła Mags nic podejrzanego, choć ostatni ustęp wydał się jej dziwny. Autor listu gratulował Stantonowi, że udało mu się tak zręcznie kogoś „wydoić”. Z treści wynikało, że chodzi o innego kolegę ze szkoły, nie wymieniono jednak jego nazwiska. „Wyciśnij z niego ile się da, Stanton! Choć, prawdę mówiąc, dziwne, żeś w ogóle coś z niego wydoił, bo wszyscy wiedzą, że groszem nie śmierdzi! No, ale za to, co ma na sumieniu, grozi czapa!”

- Ten drań musi kogoś szantażować! - mruknęła Mags. - Co za bydlę z tego Stanton! Otwierała właśnie trzeci list, gdy jej się wydało, że z tyłu doleciał jakiś szmer. Stała przez chwilę bez ruchu, nic już jednak nie usłyszała. Doszła do wniosku, że to tylko złudzenie, i szybko przebiegła wzrokiem trzeci list, od jakiejś lady Luisy, niewątpliwie jednej z kochanek Stanton. Wspomniała ona o chorobie króla, ale tylko mimochodem; Mags była pewna, że ta wzmianka nie ma żadnego znaczenia. Poskładała starannie listy i umieściła je pod kamieniem w takiej samej kolejności jak poprzednio.

Gratulowała sobie ostrożności. Cholera, była stworzona do takiej roboty... Choć niby nie wypada się chwalić...

Siedziba markiza znajdowała się najdalej i Mags ruszyła w tamtą stronę, gdy nagle zza jednego z mijanych namiotów dobiegło ją psyknięcie i szept:

— Madame...

Reakcja Mags była natychmiastowa; zaciekawilo ją, któż to ją woła, i nie uświadomiła sobie, że ten ktoś zwraca się do niej po francusku. Weszła między dwa namioty i zobaczyła, że mężczyzna, który się do niej odezwał, ma na sobie bardzo brudny i obszarpany mundur wołyżera. Żabojad, a w dodatku dezterter! I taki sobie myśli, że będę go opierała! zdążyła jeszcze pomyśleć Mags, nim kolba pistoletu spadła jej na głowę.

— Widziałeś może panią Casey, Val? — spytał James tego samego dnia po kolacji. - Miała mi dziś po południu odnieść wypraną pościel, ale kiedy wróciłem do namiotu, przekonałem się, że czyste nie ma, a brudna nie została zabrana.

Val zmarszczył brwi.

— Jesteś pewien, że miała to zrobić właśnie dziś?

— Mags jest punktualna jak zegarek. George! — James zwrócił się do Trowbridge’a, który właśnie przechodził obok - Czy pani Casey była dziś u ciebie?

- A jakże!

- To trochę dziwne... prawda, Val?

- Może miała za wiele do dźwigania? Pewnie wpadnie do ciebie jutro, Jamesie.

- Chyba masz słuszość.

— No, muszę się zbierać — oznajmił Val. — Obiecałem Willowi, że zagram z nim w kości.

Val miał nadzieję, że ujrzy Mags przy ognisku przed namiotem Willa, ale byli tam tylko Murphy i Doolittle, już zajęci kośćmi.

— Nie spotkałeś gdzieś pani Casey, Will? — spytał Val najobojętniej jak mógł.

- Nie widziałem jej od tygodnia - odparł Will.

- W końcu postawiła na nim krzyżyk - pokpiwał sobie Murphy.

— Will tylko na tym wygrał, ale ja przegrałem: założyłem się o dwa szylingi, że go zmusi do ożenku. Może odbiję to sobie na panu poruczniku - dodał, potrząsając kośćmi do gry.

- O, przypomniało mi się coś ważnego! - wykrzyknął nagle Val. — Zaraz wracam!

Wmawiał w siebie, że nie stało się nic złego. Mags Casey postanowiła po prostu udowodnić Willowi, że jej na nim

|

nie zależy... Ale poczta przyszła właśnie wczoraj, cholera jasna! Gdy dotarł do namiotu, który Mags zajmowała do spółki z panią Brown, było w nim ciemno. Współlokatorka pani Casey siedziała na zewnątrz w gronie innych kobiet.

- Kiedy ostatnio widziała pani Mags, Lucy? Pani Brown zastanowiła się.

- Wczesnym popołudniem, panie poruczniku. Ale musiała dziś odnieść czystą bieliznę i zabrać brudy, wie pan.

- Podobno nie dotarła do wszystkich klientów.

- Przecież wszystko miała poprane! - odparła zaskoczona Lucy. - A był pan porucznik u Willa Talimana? Wiem, że ostatno Mags schodzi mu z drogi, ale może się pogodzili?

- Jeszcze nie — skłamał Val. - Byłem pewny, że zastanę ją tutaj, pani Brown. Dziękuję za radę. — Uśmiechał się nadal, nie chcąc wywoływać paniki, ale czym prędzej wrócił do Tallmana.

- Możemy pogadać na osobności, Will?

- Jasne, panie poruczniku.

- Przejdźmy się kawałek - zaproponował Val.

- O co chodzi, panie poruczniku?

- To, co ci powiem, musisz zatrzymać przy sobie - ostrzegł go Val.

- Na pewno nie rozgadam, panie poruczniku - zapewnił Will ze zdziwioną miną.

- Musieliśmy zdobyć ważną informację o jednym z oficerów. Nic więcej na ten temat nie mogę ci powiedzieć, Will. No i uznaliśmy, że najlepiej będzie zwrócić się do kogoś, kto ma stały dostęp do oficerskich namiotów. Spytałem więc panią Casey, czy zechciałaby nam pomóc.

Will schwycił Vala za rękaw.

- Skołowaliście Mags, żeby dla was szpiegowała?!

- Uważałem, że nie ma wielkiego ryzyka... inaczej nigdy bym jej do tego nie namawiał. Ale, widzisz, wczoraj nadeszła poczta, a dziś Mags nie dotarła do wszystkich swoich klientów...

— Co na to pani Brown?

— Właśnie od niej wracam. Nie widziała Mags od wczesnego popołudnia.

Jak większość rudzielców, Will Tailman był z natury blady, ale w tej chwili wyglądał jak śmierć.

— Pan porucznik myśli, że coś się jej stało?

- Nie wiem, Will. Musimy ją jak najszybciej znaleźć.

Znaleźli ją za obozem, ukrytą za stertą kamieni.

- Mags! - krzyknął Will, padając na kolana. - O Boże! Co z jej głową?!

Val przyklęknął również i sprawdził puls rannej.

- Żyje, Will, ale ledwo ledwo. Leć po doktora!

— Nie mogę jej zostawić w takim stanie!

- Sprowadź go jak najszybciej. Ja zostanę przy niej.

Will dotknął ostrożnie policzka rannej.

— Zaraz wracam, Mags!

— Postaraj się o jakiś siennik i kilku ludzi do pomocy!

Twarz pani Casey była z lewej strony zalana krwią, a oko straszliwie obrzmiało. Val ujął jej dłoń w obie ręce.

- Wybacz mi, Mags! - szepnął. - Nigdy bym cię o to nie prosił, gdybym przypuszczał, że coś ci może grozić...

Po kilku minutach zjawił się doktor Clitheroe.

— Sierżant Tallman będzie tu za chwilę z siennikiem. Popatrzmy, jak to wygląda... - Uniósł powiekę lewego oka i ostrożnie obmacał całą głowę. — Nieźle ją ktoś uderzył!

- Wyżyje?

- Czaszka poważnie uszkodzona i chyba straci oko, panie poruczniku. Ale puls regularny. Mags Casey to silna kobieta, więc pewnie się wylize. Nie rozumiem, kto mógł ją tak skrzywdzić?!

Kiedy zjawił się Will z grupką pomocników, ostrożnie położono Mags na sienniku i zaniecono do lazaretu. Doktor delikatnie obmył zakrwawioną twarz.

— Zabiję tego drania, który jej to zrobił! - powiedział Will niezbyt głośno, ale z taką zawziętością, że doktor obejrzał się na niego.

— Rad jestem, że to nie ja!

- Jej biedne oko... - szepnął Will.

- Rzeczywiście, obrzęk jest bardzo duży, zarówno zewnątrz, jak wewnątrz. Może straci oko albo nie będzie na nie widziała.

- Ale wyżyje, panie doktorze?

— Nie wiem, sierżancie. Dopiero za kilka dni sprawa się wyjaśni. Im prędzej oprzytomnieje, tym oczywiście lepiej. Dam wam znać, gdyby zaszły jakieś zmiany.

- Nie musi pan posyłać po mnie, panie doktorze. Zostanę przy niej.

— Nie możesz tu przecież stale siedzieć, Will — tłumaczył mu łagodnie Val.

- Będę albo na służbie, albo przy niej - oświadczył stanowczo sierżant.

Val spojrzął na doktora, ten zaś wzruszył ramionami i Powiedział:

— Jak sobie życzycie, sierżancie. Każę sanitariuszowi przygotować dla was łóżko.

Rozdział XX

Do rana wieść rozeszła się po całym obozie; snuto najrozmaitsze przypuszczenia co do osoby napastnika. Mags była przez wszystkich lubiana, nawet książę Wellington przypomniał sobie bohaterkę świątecznych zawodów strzeleckich i okazał swe współczucie, przesyłając jej przez ordynansa pomarańcze.

Minęły dwa dni, a pani Casey nadal nie odzyskała przytomności. Opuchlizna jednak zmałała i Mags była już bardziej podobna do siebie.

— Wygląda na to, że nie straci oka - powiadomił Willa doktor. - Pytanie tylko, ile nim będzie mogła zobaczyć!

- Jak pan myśli, kiedy Mags się ocknie, panie doktorze? Will nie odważył się spytać lekarza wprost, czy jego zdaniem Mags w ogóle się obudzi.

Clitheroe uspokajająco poklepał Tailmana po ramieniu.

- Widziałem już niejednego, co leżał bez przytomności znacznie dłużej niż ona, sierżancie, i całkiem wyzdrowiał. Czemu, na miłość boską, nie wróćcie do swego namiotu, żeby się trochę przespać?! Człowieku, wyglądasz znacznie gorzej niż twoja Mags!

— Jest pan naprawdę przemęczony, sierżancie — odezwał się z tyłu jakiś głos. Była to Elspeth, która już raz odwiedziła chorą. - Jeśli pan się zgodzi, posiedzę zamiast pana przy Mags.

- Bardzo dziękuję, panno Gordon, ale to nie czuwanie przy niej mnie wykańcza - odparł Will, spoglądając na Elspeth udręczonym wzrokiem. - Ciągle myślę, że Mags tylko o jedno mnie prosiła, a ja jej tego odmówiłem. Nie chciałem się z nią ożenić.

— Jestem pewna, że pani Casey wyzdrowieje, sierżancie.

— A ja nie — wyznał szeptem Will. — Mogę się panience z czymś zwierzyć?

— Oczywiście, panie sierżancie — odparła Elspeth. — Wyjdźmy na chwilę przed namiot.

- Tak sobie myślałem... Może by panienka porozmawiała z kapelanem? Jedno bym mógł jeszcze zrobić dla Mags... gdyby nie miała się już obudzić, wie pani... Chciałbym się z nią ożenić.

- Ależ ona w takim stanie nie będzie mogła złożyć przy-
„ sięgi ślubnej, sierżancie!

- Pewnie, że nie... I właśnie sobie myślałem, że może by tak pani ją zastąpiła? Przez prokurę, czy jak tam?

Elspeth zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, czy to możliwe, sierżancie... Słyszałam oczywiście o ślubach per procura, ale zawiera się je wówczas, gdy pan młody albo panna młoda przebywają gdzieś daleko...

— Przecież Mags jest teraz gdzieś daleko... w pewnym sensie... No i wszyscy dobrze wiedzą, że chciała wyjść za mnie!

Elspeth uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście, sierżancie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości! Porozmawiam z kapelanem. Jeśli wyrazi zgodę, będę zaszczycona, mogąc ją zastąpić podczas ceremonii.

— Dziękuję z całego serca.

— Biedak jest u kresu sił, dręczy go straszny niepokój i wyrzuty sumienia, pastorze - tłumaczyła kapelanowi Elspeth.

- To byłoby niezgodne z wszelkimi przepisami, drogie dziecko.

- Ale przecież można zawrzeć małżeństwo per procura!

- Oczywiście... ale w całkiem odmiennych okolicznościach. Cóż by to było, gdyby pani Casey po odzyskaniu przytomności stwierdziła, że wcale nie chciała zawrzeć tego małżeństwa?

- Panie pastorze, wszyscy w obozie plotkują od miesięcy o tym, że Mags uparła się zawlec sierżanta Tallmana do ołtarza! Sam książę Wellington był świadkiem ich zaręczyn.

Kapelan wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu westchnął i dał za wygraną.

- Niech będzie, drogie dziecko. Załatwimy to dziś wieczorem

Elspeth przez Ryana powiadomiła WiHa o pomyślnym wyniku rozmowy, a sama wróciła do domu, by się przekonać, czy

jej ulubiona suknia wizytowa jest czysta i nie pognieciona.

- Dziś wieczór składam małżeńską przysięgę! - oznajmiła z filuternym błyskiem w oku żonie ordynansa.

- Ojej, panno Elspeth! Nawet mi panienka o tym nie wspomniała! - zdumiała się Nelly Ryan. - Czy to ten przystojny porucznik Aston? Od razu tak sobie pomyśleliśmy z Patrickiem, jakżeśmy zobaczyli, że panienka z nim wychodzi do ogrodu!

Czyżby cały obóz wiedział, że wymknęli się wtedy z Valem Astonem?!

- Zażartowałam sobie, to nie będzie mój ślub, tylko pani Casey.

- Matko Najświętsza! To ona wyzdrowiała?!

— Niestety, nie — odparła ze smutkiem Elspeth. — Ale sierżanta Tallmana strasznie gryzie sumienie, że się z nią nie ożenił...

- Dobrze mu tak!

- Więc wezmą ślub per procura i ja mam zamiast pani Casey wygłosić słowa przysięgi.

- No to będzie panienka prawie panną młodą! - uśmiechnęła się Nelly Ryan. — Proszę mi dać tę suknię. Już ja się postaram, żeby wyglądała jak marzenie!

Lazaret był jasno oświetlony blaskiem świec i latarni, kiedy Elspeth zjawiała się tam o zmroku. w towarzystwie Ryana i jego żony. Gdy weszła do namiotu, zdumiała się, ujrawszy kapitana Granta; wyglądał olśniewająco w paradnym mundurze. Przecież pani Casey nawet nie prała mu bielizny? pomyślała niezbyt mądrze. Potem kłapa namiotu uniosła się znowu i weszli sierżant Tallman i porucznik Aston, również w najlepszych mundurach. Elspeth przypomniała sobie, że obaj służyli pod komendą kapitana Granta na Karaibach.

Kapelan stał w nogach łóżka z modlitewnikiem w ręku.

- Kto jest świadkiem pana młodego? - spytał.

— Ja, pastarze — odparł cicho Val.

- Proszę stanąć z sierżantem Tallmanem tam — kapelan wskazał im miejsce po przeciwnej stronie łóżka. — A pani, panno Gordon, obok mnie.

I zaczął wygłaszać dobrze znane słowa:

- Umiłowani, zebraliśmy się tutaj, by połączyć świętym węzłem małżeńskim tego oto mężczyznę i tę kobietę...

Will powiadomił Valentine'a, że panna Gordon wygłosi przysięgę ślubną w zastępstwie Mags, ale Val nie przeczuwał, jakie wrażenie zrobi na nim Elspeth w roli panny młodej. Miała na sobie kremową wełnianą suknię i przypięła na ramieniu swój szkocki szal. Była blada, jakby sama miała podjąć ten ważny krok, gdy jednak poczuła na sobie wtok Vala, prześlicznie się zarumieniła.

Nie wiedzieć czemu, Valowi zadźwięczały w uszach słowa pieśni Burns'a, którą śpiewał ojciec Elspeth: „Miłość ma jest szkarłatną różą, w czerwcowy dzień rozkwitła...” Teraz srożyła się zima, w lazarecie hulały przeciągi, byli uczestnikami dziwacznej ceremonii... ale serce Vala także rozkwitło z zachwytem. Pojął, że słowa poety mogły mieć dwojakie znaczenie: „kobieta, którą kocham, jest piękna jak róża” albo „miłość moja do niej rozkwita bujnie jak różane krzewy

czerwcu”. Spoglądając na stojącą naprzeciw niego Elspeth, Val zrozumiał, że dla niego słowa pieśni oznaczają i jedno, i drugie. Elspeth miała w sobie niezglębione piękno szkarłatnej róży, a jego miłość do niej... tak, miłość!..., była równie świeża i czysta jak rozchylający płatki kwiat.

Gdy Elspeth wypowiadała w imieniu Mags słowa przysięgi, Val przez chwilę puścił wodze marzeniom: wyobraził sobie, że to ich ślub, że ona jemu przyrzeka to wszystko! Był jak odurzony złocistym blaskiem świec na twarzy Elspeth, melodią głosu wypowiadającego odwieczne słowa przysięgi... i Will musiał go dwukrotnie trącić łokciem, zanim sobie przypomniał, że to on ma podać obrączkę.

Udało im się kupić we wsi stary, srebrny pierścionek. Gdy teraz podawał go Willowi, wrzucił go wyraz oczu przyjacielowi. Mimo wiecznego utyskiwania, mimo prób wywinięcia się od małżeństwa, Will kochał Mags Casey i miłość ta promieniowała z jego twarzy, gdy uniósł lewą rękę żony i wsunął jej pierścień na palec.

- Tą obrączką cię zaślubiam... - szepnął przerywanym głosem. — I żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej, Mags — dodał. Potem, pochylając się nad żoną, pocałował ją lekko w usta.

Na moment zapadła cisza, potem rozległo się chóralne pociąganie nosem i pokaszliwanie. Elspeth otarła mokre policzki. Sierżant Tailman, łysiejący rudzielec o pobrużdżonej twarzy, nie wyglądał wcale na romantycznego kochanka, a Mags Casey nie jeden by uznał za ordynarną babę... ale

V

w ich wzajemną miłość nikt nie wątpił, więc Elspeth wzruszyła się.

Kapitan Grant odchrząknął raz jeszcze i oznajmił:

- Przyniosłem odrobinę brandy. Wypijmy zdrowie młodej pary. - Rozlał trunek do cynowych kubeczków, przygotowanych przez doktora. - Za sierżanta Tallmana i jego małżonkę, dwoje dzielnych żołnierzy armii Wellingtona!

- Zdrowie Willa i Mags! - powiedział Val, podnosząc swój kubek

Trunek przyjemnie rozgrzał Elspeth; w namiocie było zimno. Opróżniwszy kubek, odstawiła go. Potem odpięła broszkę, przytrzymującą szal. Chciała się nim otulić.

- Proszę pozwolić, że pani pomogę. - Podała szal Valowi, a ten starannie udrapował go na jej ramionach. - Pięknie pani składała przysięgę... To znaczy, zastępowała panią Casey - powiedział, spoglądając na nią tak, że Elspeth zrobiło się naprawdę gorąco.

— To już teraz pani Taliman, panie poruczniku! — poprawiała go.

- Prawda... Ale trudno będzie do tego przywyknąć. A jeszcze trudniej wyobrazić sobie sierżanta Tallmana jako żonatego mężczyznę! No i co? Już po kawalerskiej swobodzie, Will! — zwrócił się żartobliwie do przyjaciela.

— Zamienił ją na coś o wiele lepszego — wtrąciła Elspeth.

- Chciałem pani bardzo podziękować, panno Gordon! Tak ślicznie pani przysięgała, że ślub był całkiem jak prawdziwy!

- To dla mnie zaszczyt, panie sierżancie. Widziałam już wiele ślubów, ale nigdy jeszcze nie byłam świadkiem takiej miłości.

- Pewnie, że kocham Mags. Zawsze ją kochałem - wyznał Will. - Jeszcze raz panię dziękuję. Posiedzę teraz przy mojej żonie.

Powiedział to z taką dumą, że Val uśmiechnął się mimo woli.

- Sierżant Tallman ma zadatki na wzorowego małżonka, nieprawdaż, panno Gordon? Tak długo się zarzekał, że o ślubie nie ma mowy, a teraz tak pięknie mówi o swojej żonie! I całkiem słusznie! - dokończył poważniejszym tonem.

- Dlaczego kapitan Grant nazwał ich oboje „dzielnymi żołnierzami”, panie poruczniku? Nawet się dziwiłam, że ogóle zjawił się na tym ślubie... choć był kiedyś dowódcą sierżanta Tailmana...

- Nie mogę zdradzić żadnych szczegółów... i proszę, żeby pani zachowała to, co powiem, w tajemnicy...

— Oczywiście.

- Pani Tailman podjęła się pewnego zadania i... Można powiedzieć, że odniosła ranę, pełniąc służbę - wyjaśnił z powagą Val.

— Teraz już rozumiem! — powiedziała Elspeth. — Mags jest ogólnie lubiana i nie pojmowałam, jak ktoś w obozie mógł wyrządzić jej taką krzywdę!

- Rozpuściliśmy pogłoskę, że zaatakowano ją w celach rabunkowych, gdyż miała przy sobie zarobione pieniądze.

- A czego próbowała się dowiedzieć? - spytała, nie namyślając się, Elspeth.

- Tego nie mogę pani zdradzić, panno Gordon.

- Rozumiem, panie poruczniku! Nie powinnam była o to

pytać.

Val milczał przez chwilę.

— Sierżant Tallman miał rację. Przysięgała pani w imieniu Mags bardzo pięknie. A ten, komu kiedyś powie pani te słowa od siebie, będzie bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Dziękuję, panie poruczniku - odezwała się Elspeth po chwili kłopotliwego milczenia. -

Mam nadzieję, że pani Tallman wkrótce będzie mogła sama potwierdzić złożoną przysięgę. Otóż i Ryan! - dodała żywo, gdy podszedł do nich ordynans jej ojca. Ależ ze mnie idiotka, papłę takie banały! myślała. To atmosfera tego wieczoru czyniła ją dziwnie nerwową.

— Spisała się panienka na medal! — stwierdził Ryan.

- Właśnie to samo mówiłem.

- Mam prośbę do pana porucznika... Chcielibyśmy z moją starą zostać jeszcze chwilę z Willem i podnieść go trochę

na duchu. Czy pan porucznik mógłby odprowadzić pannę Gordon do domu?

- No... z przyjemnością.

— Ależ po co? — sprzeciwiła się Elspeth. — Sama trafię!

- Proszę nie gadać głupstw, panno Gordon! - rzucił ostro Val. — Nie schwytaliśmy tego łotra, może czai się gdzieś poblizu!

- Ma pan słuszność, panie poruczniku - przyznała Elspeth. — Ale nie musiał mnie pan aż tak besztać! — dodała lodowatym tonem. - Proszę zaczekać, zaraz się pożegniam.

Długo szli w milczeniu obok szeregu namiotów, aż wreszcie Val powiedział sztywno:

- Przepraszam, że byłem taki opryskliwy, panno Gordon. Wiem, że przywykła pani do samodzielności, ale zląkłem się o pani bezpieczeństwo.

- Rozumiem, panie poruczniku, i doceniam pańską troskliwość.

Oboje nieco się odprężyli, ale Val pomyślał: Co ona tam rozumie! Jasne, że bałem się o nią, ale wcale nie chciałem sam jej odprowadzać! Zwłaszcza dziś!

- Myśli pan, że Mags wyzdrowieje? - spytała Elspeth.

- Doktor jest dobrej myśli.

- Jeśli pani Tallman pomagała panu w śledztwie, to może i panu coś grozi?

- Nie sądzę, by ryzyko było większe niż zwykle - odrzekł z uśmiechem Val. — O ile nam wiadomo, osoba śledzona niczego nie podejrzewa.

- Ale Mags napadnięto!

- Prawdopodobnie napastnik myślał, że to zwykła ciekawska, i obawiał się, by przypadkiem na coś się nie natknęła.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. I że będzie pan ostrożny. Zaczęli właśnie schodzić ku położonej w dole wsi. Elspeth potknęła się na jakimś kamyku i Val odruchowo ją podtrzymał. Stali tak przez chwilę, on z ramieniem wokół jej talii, ona wsparta o niego.

- Obeszłoby panią, gdyby mi coś groziło? - szepnął świadom, że bliskość tej kobiety jest dla niego groźniejsza niż starcie z wrogiem.

— Oczywiście — odparła Elspeth, siłąc się na rzeczowy ton.

- Czemu?

— Bo jesteśmy dobrymi przyjaciółmi - powiedziała, spuszczaając oczy.

Ach, tak... Po prostu przyjaciółmi - rzucił z nutką ironii. Przecież zwykły przyjaciel tak by jej nie obejmował! Nie przygarniałby jej do siebie jak on w tej chwili, nie czuł, jak łagodnie unosi się i opada w rytm oddechu jej pierś... I z pewnością przyjaciel nie pochyliłby się i nie pocałował jej tak zachłannie!

Gdy tylko ich wargi się zetknęły, Elspeth zareagowała na pieśczość. Objęła Vala ramionami za szyję i rozchyliła usta pod dotykiem jego ust. Po tym żarliwym pocałunku odwróciła głowę, chcąc ukryć twarz w zagłębieniu jego szyi; przeszkodził jej w tym sztywny kołnierz munduru, więc przyłgnęła policzkiem do piersi Vala. Radował ją dotyk szorstkiej wełny, zapach mydła i woń męskiego ciała. Po chwili poczuła, że gniotą ją guziki munduru, więc troszkę się odsunęła.

- Pańska kurtka nie zachęca do pieśczoć, panie poruczniku - roześmiała się z pewnym skrępowaniem.

Val z czułością odgarnął jej włosy z czoła i schylił się, by znów ją pocałować. Elspeth, nie zważając już na guziki, przytuliła się do niego. Zapragnęła, by nic ich nie dzieliło — ani szorstka wełna munduru, ani delikatny materiał jej sukni... Gdy wypuścił ją wreszcie z objęć, musiała się roześmiać:

w tę zimową noc wyobrażała sobie ich na golasa!

- Myślałam, jakby to było cudownie, gdyby nie oddzielało nas od siebie tyle warstw ubrania!

- A ja myślałem, że powinna wyrosnąć między nami bariera nie do pokonania - odrzekł Val.

— Ach, tak? — szepnęła.

- Panno Gordon, nie ulega wątpliwości, że nasze uczucia przekroczyły granice zwykłej przyjaźni - powiedział z rozpaczą

- Owszem - przyznała.

- Nie zamierzam znów pani przeproszać...

- Dzięki Bogu! - odrzekła cierpko. - Obraziłabym się nie na żarty, gdyby pan powiedział, że mu „przykro” z powodu tego cudownego pocałunku!

Oparł dłoń na jej ramionach i lekko nią potrząsnął.

— Elspeth!...

- Tak, Valentine? - szepnęła.

— Gdy patrzyłem dziś na ciebie podczas tej ceremonii, wyobrażałem sobie...

— Co takiego, Val?

Puścił ją i odparł ze smutkiem;

- Coś, co się nigdy nie ziści, moja... moja droga przyjaciółko. Chodźmy, muszę odprowadzić cię do domu.

Kiedy dotarli do kwatery Gordonów, Val był znowu całkowicie opanowany.

— Dobrej nocy, panno Gordon.

Uniosła ku niemu twarz.

— Nie, Elspeth! — sprzeciwił się gwałtownym szeptem. — Nie kuś mnie! To nie może się już nigdy powtórzyć.

- Wobec tego dobranoc, panie poruczniku - odparła z żalem i gdy tylko otworzył przed nią drzwi, znikła we wnętrzu domu.

Rozdział XXI

Mags nie otwierała oczu do połowy następnego dnia, kiedy je wreszcie otworzyła, jęknęła, gdyż światło sprawiło jej ból. Pospieszył ku niej doktor.

— A więc się pani wreszcie obudziła, pani Taliman!

Mags ostrożnie uniosła powieki i tym razem ból nie był już taki straszny.

— Gdzie ja jestem? — wychrypiąta.

- W lazarecie, proszę pani. Trzy dni temu ktoś na panią napadł. Czy pani sobie to przypomina?

Mags zmarszczyła czoło i spróbowała się skupić, ale tylko głowa strasznie ją rozboleła.

- Moja głowa... Moje oko...

- Ma pani poważne obrażenia z lewej strony głowy, pani Tailman. Oka chyba pani nie straci, choć nie wiem, czy będzie nim pani dobrze widzieć - oznajmił doktor. - Proszę wypić laudanum. To złagodzi ból.

Wkrótce Mags znowu zasnęła i obudziła się dopiero koło północy. Obok łóżka stała latarnia. Kiedy tym razem spojrzała w światło, prawie nie poczuła bólu. Po minucie otaczające ją cienie przybrały wyraźniejsze kształty, przynajmniej gdy patrzyła prawym okiem. Lewym wszystko widziała jak przez gęstą mgłę. Chciała unieść głowę, ale powstrzymał ją głos Willa

- Ani się waż, Mags!

- Will?

— Jestem przy tobie, Mags.

Ujrzała pochylającą się nad nią twarz.

- Okropnie wyglądasz, Will! - wykrzyknęła. - Widzę to nawet jednym okiem!

Will roześmiał się.

— Pewnie, ostatnio prawie nie spałem. Ty też nie wyglądasz lepiej!

— I okropnie się czuję, Will — powiedziała, opadając na poduszkę. W głowie jej huczało.

- Wcale się nie dziwię. Zdrowo oberwałaś - odparł, biorąc ją za rękę. — Masz szczęście, żeś wyżyła, Mags.

Przymknęła oczy i zmarszczyła czoło.

- Próbuję sobie wszystko przypomnieć, Will, ale pamiętam tylko, że weszłam do namiotu porucznika Stanton.

- Doktor mówił, że czasem tak bywa, Mags. Może sobie przypomnisz resztę za dzień czy dwa, może nigdy. A teraz śpij. Będę przy tobie.

— To dobrze, Will - szepnęła i ścisnęła go za rękę.

Następnego ranka czuła się znacznie lepiej, choć głowa nadal ją bolała, a lewym okiem widziała tyle co nic.

- Gdzie Will? - spytała żałośnie, gdy pojawił się doktor.

- Odbywa musztrę z żołnierzami, pani Taliman. Nie chce pani chyba, żeby uciekł od obowiązków służbowych?

Tym razem do niej dotarło.

- Dlaczego pan to ciągle powtarza?

- Co takiego?

- To „pani Tallman”? Ja się nazywam Mags Casey, choć od dawna chciałam się wydać za Tallmana - powiedziała z odrobiną dawnej energii.

- Mój Boże, zupełnie o tym nie pomyślałem! - odparł doktor. — Powinien to pani wyjaśnić sierżant Tallman.

- Co wyjaśnić?

- No cóż... Zachodziła obawa, że pani już nigdy..... nie odzyska przytomności, Mags. Pani Will wiedział o tym i strasznie się gryzł, że się z panią nie ożenił. No i w końcu to zrobił.

- Co zrobił?! - spytała Mags. Doszła do wniosku, że obrwała po głowie jeszcze mocniej, niż myślała: nie rozumiała nic a nic, o czym doktor mówi!

— Ożenił się z panią.

- Ożenił się ze mną?! Jak mógł się ze mną ożenić, kiedy byłam nieprzytomna?!

— Cóż... Zawarliście małżeństwo per procura... Byliście ze sobą zaręczeni i wszyscy wiedzieli, że pani chce wyjść za sierżanta Tallmana. Więc poprosił pannę Gordon, żeby złożyła przysięgę małżeńską w pani imieniu.

Po raz pierwszy w życiu Mags kompletnie zamurowało.

- To była prześliczna uroczystość, pani Tallman. Porucznik Aston był świadkiem pana młodego, kapitan Grant też przyszedł i wspaniale się prezentował w galowym mundurze - mówił uspokajająco doktor.

- Prześliczna uroczystość? — powtórzyła szeptem.

Doktor usiadł obok niej.

- A teraz proszę mi powiedzieć, jak tam z pani głową.

- Jakby mnie muł wyrznął kopytem! I lewym okiem mało co widzę.

— Być może tak już będzie zawsze, pani Tallman, ale i tak cud, że całkiem go pani nie straciła i że została w nim resztką wzroku. Zaraz sanitariusz da pani trochę kleiku, a potem chciałbym, żeby się pani zdrzemnęła.

- Znowu mam spać?! Ostatnio nic tylko śpię! - mamrotała Mags, ale zjadła miskę kleiku, popiła wodą ze słodem i znów ją zmorzył sen.

Obudziła się dopiero po kilku godzinach i tym razem czuła się prawie normalnie. W głowie nadal jej dudniło, ale przypominało to raczej odległy warkot werbli, przedtem zaś miała wrażenie, że wszyscy dobosze z całej armii urządzili sobie spotkanie w jej głowie. Poprosiła o jeszcze jedną poduszkę i siedziała na łóżku, kiedy zjawił się Will.

Na jej widok rozjaśnił się uśmiechem.

— Lepiej się czujesz, Mags?

— „Mags”? Chciałaś chyba powiedzieć „pani Tailman”?

Will uśmiechnął się głupio.

— Po tych wszystkich staraniach, żeby cię zaciągnąć do ołtarza, nie byłam nawet na własnym ślubie! — jęknęła.

- Bardzo cię przepraszam, Mags... - zaczął.

— Przepraszasz mnie, Will? — spytała ze łzami spływającymi po policzkach. -

Przepraszasz, że dałeś mi to, czego od dawna pragnęłam? Tak bardzo chciałam, żebyś był na zawsze mój... - Wyciągnęła do niego rękę, a Will ją pochwycił.

Mags odchrząknęła i próbowała opanować drżenie głosu.

- Willu Tallman, dobry z ciebie człowiek i bardzo cię za to kocham. Tak cię kocham, że zwolnię cię z danego słowa, jeśli żał ci swobody. Nigdy nie słyszałam o takim ślubie i jestem pewna, że da się go unieważnić. Chociaż już dawno skonsumowali to nasze małżeństwo - dodała z szerokim uśmiechem.

- Zgodziłabyś się na to, Mags? - spytał ze zdumieniem.

— Wiem, że nigdy się nie chciałeś żenić, Will. Nie powinnam była suszyć ci tym głowy. Ożeniłeś się ze mną, boś myślał, że umrę.

- Słuchaj no, Mags Casey! Znaczy, Mags Tallman! Zrobiłem to dlatego, że cię kocham i że tak właśnie powinno być! Za długo myślałem jak żołnierz... Przyszedł czas, żeby zachować się jak mężczyzna. Więc będziesz moją żoną, Mags, czy chcesz tego, czy nie!

— Pewnie że chcę, Will! — pochlipywała Mags. — Ale to jest twoja ostatnia szansa, żebyś się z tego wyplątał!

— Wcale się nie chcę wyplątywać, Mags.

— A_ni ja, Will... No to biorę sobie ciebie na męża, żeby cię kochać i szanować...

Zapomniałam, co dalej - zaczerwieniła się — choć już to przecież powtarzałam!

- Póki śmierć nas nie rozłączy, Mags - podszepnęła.

— Póki śmierć nas nie rozłączy.

Zgodnie z tym, co Val powiedział Elspeth, wszyscy sądzili, że Mags została pobita podczas napadu rabunkowego. Gordonowie zaprosili Valentine'a na niedzielny obiad. Choć obawiał się spotkania z Elspeth, nie odmówił. Wiedział, że zaproszono również wszystkich trzech podejrzanych, i zamierzał bacznie obserwować George'a, Lucasa i Jamesa, kiedy rozmowa zejdzie na temat napadu na Mads.

- Słyszałem, że pani Casey odzyskała przytomność.

- Bogu dzięki! Nikt inny nie potrafi uprać jak należy moich koszul — poskarżył się Stanton. — Słyszałem, że z niej teraz „pani Taliman”! - dodał sarkastycznie. -

Przygotowuje się do kolejnego wdowieństwa!

Sierżant Tallman to dobry żołnierz i przez te wszystkie lata dopisywało mu szczęście — zauważył James. — Bardzo mnie wzruszyła opowieść o ich ślubie. Lubilem zawsze Mags i rad jestem, że nie tylko wróciła do zdrowia, ale spełniło się jej najgorętsze życzenie — dodał z naciskiem.

George miał jak zawsze głupią minę, a Stanton myślał tylko o swoich koszulach, rozważał Val. A James? James oczywiście przejmował się losem Mags - dobry chłop, jak złoto!

Obaj z kapitanem Grantem doszli do wniosku, że Mags zaatakował francuski agent. Nawet Val nie mógł uwierzyć,

by Stanton był zdolny do tak brutalnej napaści na kobietę. Podczas obiadu Elspeth starała się nie patrzeć na Vala, ale okazało się to niewykonalne - jej oczy same biegły ku jego twarzy. Rozmyślała nad ironią losu: jak wielu „szlachetnie urodzonych” wygiąda bynajmniej nie szlachetnie! George miał nalaną, okrągłą gębę, a Lucas przymrużone, chytre ślepia i wąskie wargi, którym nigdy nie pozwoliłaby się dotknąć! Podczas gdy usta porucznika Astona... nie, o tym lepiej nie myśleć!... Tylko jeden James wyglądał i zachowywał się jak przystało na markiza, choć przecież tytuł nie świadczy o człowieku... Był przystojny, wysportowany, inteligentny, a przede wszystkim dobry! Kiedy przebywały z Maddie na pensji, polowa koleżanek podkochiwała się w bracie jej przyjaciółki, który regularnie odwiedzał swoją siostrę. Ciekawe, czy James znalazł sobie kogoś? Prowadził takie ascetyczne życie; Elspeth nigdy nie słyszała żadnych plotek o jego kochankach ani o jakimś romansie nawiązanym w Portugalii. Wiedziała, że James dźwigał na barkach brzemień rodzinnych długów... więc może nie stać go było na kochankę? A własne małżeństwo pewnie odkładał, bo chciał najpierw wydać siostrę za mąż. Oby ci się to udało, Jamesie! pomyślała z lekkim rozbawieniem. Listy Maddie świadczyły dobitnie o tym, że jej przyjaciółka zamierza wybawić się za wszystkie czasy i porządnie wyszumieć, zanim się ustatkuje.

Po obiedzie i po kilku kieliszkach porto wszyscy goście prócz Jamesa się pożegnali. Wimborne nadal siedział przy kominku, gawędząc z majorem i majorową o tym i owym, przez cały czas obserwował jednak z ukosa Elspeth. Kiedy państwo Gordonowie wyszli z salonu, James zajął miejsce naprzeciw niej.

- Dostałem w tym tygodniu list od Maddie.

— Naprawdę, Jamesie? Jakże się ona miewa? Z ostatniego listu, który napisała do mnie, wynikało, że prawie nie wychodzi od krawcowej!

- Jej garderoba jest już prawie gotowa, za dwa tygodnie Maddie wyrusza do Londynu.

- Uda ci się spędzić z nią choć część sezonu?

- Mam nadzieję.

- Dobrze by było..., jeśli zależy ci na tym, by Maddie jak najszybciej się ustatkowała.

Podejrzewam, że chęć się wyszumieć, nim wyjdzie za mąż - powiedziała Elspeth z uśmiechem.

Obawiam się, że masz słuszność — przytaknął James. — Nie mam o to do niej pretensji, tym bardziej że jej małżeństwo może się okazać nie tak znów świetne. Nie mogę jej zapewnić wielkiego posagu. Najlepiej by było, żeby oczarowała jakiegoś bogacza, a ten, szalony z miłości, machnął ręką na pieniądze.

— A czego byś chciał dla siebie, Jamie? Myślałam o tobie podczas obiadu.

James uniósł brwi i rzucił żartobliwie:

— A ja miałem wrażenie, że myślisz raczej o poruczniku Astonie... sądząc z tego, jak ukradkiem na niego zerkasz.”

Elspeth zaczerwieniła się.

- Takie to było widoczne?

— Tylko dla mnie, Elspeth; przecież się tak dobrze znamy! Nie powinienem był drażnić się z tobą, moja droga... Miło mi, że się o mnie troszczysz.

- Myślałam o arystokratkach i o ich tytułach... I o tym, że nie we wszystkich widać szlachetną krew... Ale ty jesteś dżentelmenem w każdym calu i zasługujesz na to, by zdobyć miłość i szczęście.

— Wszyscy pragniemy miłości, Elspeth, ale nie każdy ją znajduje. Może zresztą to miłość znajduje nas, a nie my ją?

— James zawahał się, jakby chciał się z czegoś zwierzyć, ale zakończył z wisielczym humorem: - Chyba będę się musiał zadowolić pierwszą lepszą pannicą, która zdecyduje się przyjąć moją rękę i mocno odarty z pozłotki tytuł! Przypuszczam, że będzie to córka jakiegoś zamożnego mieszczucha! Ale co z tobą, Elspeth? - spytał poważniejszym tonem. - Czy do ciebie miłość już zawitała?

— Nie jestem pewna, Jamesie — odparła szczerze. — Zylałam od tak dawna w przekonaniu, że nigdy nie wyjdę za mąż, że nawet nie dopuszczałam do siebie myśli o miłości. Nie sądziłam, że mogę obudzić w czyimś sercu czułe uczucia... Ale kto wie, czy miłość nie zaskoczyła mnie zniemacka — przyznała, rumieniąc się.

— Nie wiem, jakie są twoje uczucia, ale jeśli masz co do tego jakieś obawy, zapewniam, że Valentirie Aston jest jak najbardziej godny miłości - powiedział cicho James. - Jeżeli go jednak pokochasz, moja droga, przygotuj się na trudną przeprawę. Jego duma i poczucie własnej niższości odgradzają go od reszty świata.

- A co będzie, jeśli włożę w to całą moją energię... i mimo wszystko nie przebiję się przez tę barierę? — spytała ze smutnym uśmiechem.

- Znasz żołnierską zasadę: nie wolno się poddawać, choćby wszystko wskazywało na przegraną!

— A czy do ciebie, Jamesie, zawitała kiedyś miłość?

James podniósł na nią oczy i przez sekundę Elspeth ujrzała duszę w najwyższej udręce. Szybko jednak spuścił wzrok, a twarz miał tak spokojną, iż doszła do wniosku, że coś jej się przywidziało.

- Raz jeden - odparł cicho. - Ale jak to zwykle bywa z pierwszą miłością, nie została odwzajemniona - dodał lekkim tonem.

- Mam nadzieję, że znów cię odwiedzi, Jamesie! - powiedziała Elspeth i dotknęła jego ręki. — Jesteś dobrym człowiekiem i wiernym przyjacielem.

Tak sądzisz? Jestem według ciebie dobrym człowiekiem?

- Oczywiście! Każdy, kto cię zna, myśli to samo. Jak mogłoby być inaczej?

- Dziękuję, Elspeth, za twoją wiarę we mnie — powiedział James i wstał. — Muszę już iść, bo twój ojciec zaraz wpadnie tu z muszkietem, by zapytać, jakie są moje intencje - zażartował.

Wracając do swego namiotu, James uśmiechał się gorzko; gdyby Elspeth spojrzała głębiej w jego oczy, nie miałaby wątpliwości co do tego, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

Rozdział XXII

Pod koniec tygodnia doktor pozwolił Mags opuścić laza

„ret pod warunkiem, że przynajmniej przez dwa tygodnie będzie się bardzo oszczędzała. Zamieszkała więc razem z Willem, a gdy mąż był na służbie, doglądała jej żona Ryana. W lazarecie Mags nawet nie usiłowała niczego sobie przypomnieć. Głowa zbyt ją bolała, a zaraz po obudzeniu była zamroczona laudanum, które doktor podawał jej na uśmierzanie bólu. Teraz jednak Mags czuła się o wiele lepiej i próbowała przypomnieć sobie, na razie bez powodzenia, twarz napastnika.

- Mogłabym przejść obok niego, Will, i wcale go nie poznać! - pożaliła się pewnej nocy.

— Pamiętaj, Mags, nie wolno ci się zamęczać tym przypominaniem! Kilka dni po twoim wypadku zwił jeden z francuskich dezertarów. Kapitan Grant uważa, że to był ten drań. Mags odetchnęła z ulgą.

- Dobrze, że już go tu nie ma! Ale co z tamtymi oficerami? Nie mogę sobie przypomnieć, czy udało mi się coś wywęszyć, czy nie - dodała, marszcząc czoło.

- Doktor powiedział, że to się samo przypomni. Połóż się teraz i pośpij.

- Jest coś, co lepiej by mi zrobiło niż sen, panie Taliman! Ani razuś mnie nie tknął, odkąd znów jestem w domu.

— Jakżebyś mógł? Jesteś jeszcze taka słaba...

— Czuję się o wiele lepiej, Will — szepnęła Mags, przyciągając go do siebie.

— Naprawdę? — upewnił się, głaszcząc jej piersi, i zarzucił na nich oboje koc.

V

W

Mags gotowa była przysiąc, że właśnie te pieszczoty tak jej pomogły! Obudziła się następnego ranka i spojrzawszy na stolik, przy którym Will zawsze się goił, dostrzegła obok brzytwy kilka kawałków papieru. Właśnie wtedy wszystko nagle jej się przypomniało! No, prawie wszystko. Pamiętała moment wyjścia z namiotu Stanton'a i wrażenie, że ktoś czai się w pobliżu, ale sama napaść zatarała się kompletnie w jej pamięci.

- Sprowadź mi porucznika Astona! - poleciła mężowi.

- Pójdę po niego, Mags, ale obiecaj, że nie będziesz mu paplać o naszych małżeńskich sprawach! Chętnie słyszę od ciebie, że pamięć ci wróciła, bo potrafiłem ci dogodzić w łóżku, ale nie musisz gadać o tym na prawo i lewo! - dodał z niemądrym uśmiechem. Kiedy Vał się zjawił, Mags siedziała przed namiotem i parzyła kawę w sfatygowanym garnku.

- Czy nie bezpieczniej byłoby poleżeć jeszcze w łóżku, pani Tałman? — strofował ją Valentine.

— Czuję się o wiele lepiej, panie poruczniku. Pewna jestem, że Will już panu o tym wspomniał - dodała z szelmowskim błyskiem w oku.

- Wspomniał mi, że wróciła pani pamięć.

- Prawie całkiem, panie poruczniku.

Val rozejrzył się dokoła, wyglądało na to, że są sami i nikt

- Na podłodze namiotu porucznika Trowbridge'a leżał list od jego młodszego brata. Ale nic w nim nie było, pisał tylko o bokserach.

- A u wicehrabiego Stanton'a?

Mags zmarszczyła czoło i przymknęła oczy, chcąc przypomnieć sobie wszystko jak najdokładniej.

— Na stole leżały trzy listy. Pamiętam, że starałam się ułożyć je potem dokładnie tak samo. Z porucznika Stanton'a straszny porządniczek!

- Przypomina sobie pani treść tych listów?

- Jeden był od matki... - Mags zawahała się. - Wiem, że którymś z nich na coś się natknęłam, panie poruczniku. Chwileczkę... zaraz mi się przypomni.

Val czekał, modląc się w duchu, żeby to był niezbity dowód, którego poszukiwali. Kiedy wreszcie Mags odstawiła kubek z uśmiechem zadowolenia i powiedziała: — Już to widzę tak wyraźnie, jakbym tam teraz stała! - omal nie zerwał się na równe nogi i nie chwycił jej w objęcia.

- To był list od dawnego szkolnego kolegi. Gratulował Stantonowi, że tak zgrabnie kogoś wydoił.

- Wydoił?

- Z powodu jakiejś sprawy, za którą grozi czapa.

- Chce pani powiedzieć, że porucznik Stanton kogoś szantażował?

- A jakże. To był jakiś inny kumpel ze szkoły.

Val przetarł oczy.

- Czy w którymś z tych listów znalazła pani wzmiankę sytuacji politycznej w Anglii, Mags?

- Nic takiego, o czym byśmy wszyscy nie wiedzieli. Myślałam, że ta uwaga o dojeniu i czapie na coś się przyda — dodała z nadzieją w głosie.

- A do namiotu Jamesa w ogóle pani nie wchodziła?

- Nie, panie poruczniku. Jak byłam u porucznika Stanton'a, doleciał mnie z tyłu jakiś szmer, ale pomyślałam, że to chyba jakieś zwierzę... Zdaje się, że nawet wyszłam i rozejrzałam się dokoła. - Mags przymknęła oczy. - Nic więcej.

ich nie usłyszy.

- Proszę mi powiedzieć, co się pani przypomniało.

- Najpierw poszłam do namiotu porucznika Trowbridge'a, jak wychodziłam od Stanton'a, to się wydarzyło to nieszczęście

— Więc nie była pani u markiza Wimborne'a?

- Nie... A przynajmniej nie pamiętam.

Val zamyślił się.

- Więc prawdopodobnie zaatakowano panią z powodu czegoś, co kompromitowało któregoś z tamtych dwóch.

- Albo żeby uniemożliwić jej niuchanie w namiocie markiza - zauważył Will.

- Cóż, i to możliwe. Znalazła pani coś u tamtych?

cej nie pamiętam. Bardzo mi przykro, panie poruczniku.

— Tylko się nie zamartwiaj, Mags! — odezwał się Will, kładąc jej rękę na ramieniu.

Val siedział w milczeniu i przetrawiał wszystko, czego się dowiedział.

- Napastnik widział, jak pani wychodziła z namiotu Stantonona?

- Jestem tego pewna, panie poruczniku.

— Może był tam jeszcze jakiś list, tylko pani go nie zauważyła?

- Mogło być i tak, panie poruczniku. Może gdzieś go schował? Albo, jak powiada Will, ten łotr nie chciał, żebym weszła do namiotu markiza - dodała w zamyśleniu. - Ale przecież markiz Wimborne nie może być zdrajcą, panie poruczniku!

— W tamtym liście była mowa o karze śmierci?

- O wydojeniu kogoś, komu groziła czapa.

Twarz Vala rozjaśniła się.

- Wie pani co, pani Tallman? Wolałbym, żeby to był Stanton... ale chyba rozwiązała pani za nas tę zagadkę!

Mags rozpromieniła się.

- Jakim cudem, panie poruczniku?

- George Trowbridge jest dawnym kolegą szkolnym Stantonona. A za zdradę ojczyzny karze się śmiercią. Więc może go właśnie z tego powodu szantażował?

- To Stanton nie doniósłby o zdradzie?!

— No właśnie! I przez to sam stał się zdrajcą.

- Ale czy porucznik Trowbridge nie jest na to za...

- Głupi?

- No tak... Przykro mi o tym mówić, ale rozumiem to on nie grzeszy, panie poruczniku.

- Nie trzeba wielkiej inteligencji, żeby powtórzyć komuś otrzymaną informację.

- Ale w liście od brata niczego nie było! - protestowała Mags.

- Wobec tego informacja musiała znajdować się w innym. Bardzo dziękuję, pani Tallman!

Nie spuścimy już oka z nich

obu!

- Użyło mi, panie poruczniku... Już się martwiłam, że spartoliłam sprawę.

— Ależ skąd, jest pani asem wywiadu!

- Za tydzień albo coś kolo tego wracam do prania, panie poruczniku...

— Nie waż się do niczego więcej mieszać, Mags! — sprzeciwił się ostro Will.

- Mogłabym jeszcze trochę powęszyc, panie poruczniku.

- Nie możecie tego od niej wymagać... ledwie uszła z życiem!

- Nie obawiaj się, Will! - uspokoił go Val. - Bardzo mi przykro, pani Taliman, ale pani kariera szpiegowska skończyła się raz na zawsze — oświadczył z uśmiechem. - Kapitan Grant zleci komuś innemu obserwację Stantonona i Trowbridge'a. Nie możemy pani dłużej narażać!

- W ich korespondencji nie było żadnej wzmianki o sprawach państwowych? - dopytywał się Grant, gdy Val przekazał mu informacje uzyskane od Mags.

— Nie, ale może niektóre listy zostały ukryte lub zniszczone.

Grant zmarszczył brwi.

- To możliwe, Aston. Ale obawiam się, że trochę za bardzo zależy ci na tym, by zdrajcą okazał się właśnie Stanton. Mógł przecież szantażować kogoś z całkiem innego powodu!

- Autor tamtego listu wspomniał o karze śmierci, panie kapitanie! Wprawdzie karze się w ten sposób również za kradzież owcy, ale nie przypuszczam, by Lucas Stanton szantażował takiego przestępcę!

Kapitan Grant uśmiechnął się.

— Chyba masz słuszość, poruczniku. Istnieje rzeczywiście duże prawdopodobieństwo, że zdrajcą jest George Trowbridge, a Stanton wie o tym i czerpie z tego korzyści.

— A przez to sam staje się zdrajcą! Sądzę, że należy obserwować ich obu, panie kapitanie.

- Zadbam o to, poruczniku. Przyznam, że rad jestem, iż ślady nie prowadzą w stronę markiza Wimborne’a.

- Za Jamesa rękę własną głową! Nigdy by nie zdradził ojczyzny - oświadczył Val.

- Wierny z ciebie przyjaciel, Valentine - mruknął Colquhoun Grant po odejściu Astona.

— Bardzoś dzisiaj z siebie rad, Val! - zauważył Charlie, gdy bracia spotkali się tuż po wyjściu Vala z namiotu Granta.

Val odwrócił głowę i uśmiechnął się do Charliego z całego serca, co rzadko mu się zdarzało.

— Nie jestem rad z siebie, tylko z pani Tallman!

Chanie spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Wyjdźmy z obozu - zaproponował Val. Ruszyli ścieżką w kierunku wsi i wtedy Val zapytał: - Chyba mogę polegać na twojej dyskrecji?

Chanie uśmiechnął się szeroko. Val z tą poważną miną był podobny do hrabiego jak dwie krople wody: każdy by poznał, że to ojciec i syn!

— Nie ma się z czego śmiać.

— Jasne!

— Napastnik zaatakował panią Tallman nie dla jej oszczędności, Chanie. Pobito ją dlatego, że usiłowała zdobyć dla nas pewne informacje.

Uśmiech zniknął z twarzy Charliego.

— Ktoś dostarcza Massnie poufnych wiadomości na temat kryzysu politycznego w Anglii. Właśnie dlatego marszałek nie rusza się stąd, choć jego żołnierzy trapi głód i choroby.

- Liczy na to, że po ustanowieniu regencji do władzy dojdzie opozycja i Wellingtona odwołają z Portugalii?

— Właśnie.

- Domyślcie się, kto przekazuje Francuzom te informacje?

- Mamy trzech podejrzanych: George Trowbridge, Lucas Stanton i James Lambert.

— James?

— Właśnie dlatego jestem dziś taki rad, Chanie. Wiem, że podejrzewanie Jamesa to szczyt głupoty, nie można jednak pominąć nikogo, kto ma kontakty z Whitehall. Ale pani Tallman odkryła coś, co wskazuje wyraźnie na George’a Trowbridge’a.

- Przecież to półgłówki!

— Nie przeczę - odparł Val z szerokim uśmiechem. - Ale na przekazywanie otrzymanych informacji chyba go stać.

- Jakie macie dowody przeciwko niemu?

— W namiocie Stanton pani Tallman znalazła list, w którym jest wzmianka, że Lucas szantażuje dawnego szkolnego kolegę z powodu czegoś, za co grozi kara śmierci. Zapewne dowiedział się o zdradzie George'a i ciągnie z niego forszę, a to uwalnia Jamesa od wszelkich podejrzeń!

- Chyba nie całkiem, Val... - powiedział z wahaniem Chanie.

- Nie sądzisz chyba, że James byłby zdolny do czegoś Podobnego?!

Nie, ale prócz George'a Stanton miał wielu szkolnych kolegów... Może chodzi o kogoś innego?

- To byłby nieprawdopodobny zbieg okoliczności, Charue! Gdyby Mags nie zaatakowano... No, ale ją napadnięto, i to zaraz po wyjściu z namiotu Stanton.

— Nie tylko za zdradę karze się u nas śmiercią - powiedział w zadumie Charlie.

- Nie baw się w wyliczanie..., za długo by trwało! - uśmiechnął się do brata Val.

— Masz rację, niestety — odparł Chanie. — Jeżeli jest jak mówisz, pani Taliman należy się medal!

Dotarli na szczyt wzgórza, skąd rozciągał się widok na wioskę. Dzień był słoneczny, przysiedli więc na kamieniach.

- Twoi podkomendni są w znakomitej formie, Chanie.

— Cieszę się, że tu jestem. Lubię mieć do czynienia z ludźmi i z końmi.

— Z końmi radzisz sobie idealnie, Charlie. Jeśli z ludźmi idzie ci tak samo, to twój regiment zakasuje wszystkich!

— Dziękuję ci, Val! — Charlie zarumienił się, słysząc tę pochwałę. — Strasznie jestem ciekaw, jak się spiszą w pierwszej bitwie!

— Nie spiesz się do niej aż tak, braciszku.

- To takie okropne?

- Brałem udział tylko w jednej. Owszem, to było okropne.

- Ostatecznie po to nas tu przysłano!

— Masz rację. Ale nie rwij się do ataku, nie zapędzaj się w sam środek nieprzyjaciela! Nie chciałbym stracić brata — powiedział Val umyślnie lekkim tonem.

— Ja też! — odparł Chanie. Ich spojrzenia spotkały się i obaj odwrócili wzrok, zażenowani głębią uczucia we własnych i braterskich oczach.

Siedząc potem przed lustrem i odpinając sztywny kołnierz, Charlie zamyślił się nad tym, co usłyszał od Vala. Nienawidził Lucasa Stanton równie mocno jak jego starszy brat. Niechęć do George'a była znacznie słabsza, bez trudu jednak mógł uwierzyć, że słabość charakteru popchnęła go do zdrady.

A James? Charlie podobnie jak Val uważał, że podejrzewanie go o zdradę jest wprost śmieszne. Jakie to jednak dziwne: bratu w ogóle nie przyszło do głowy, że James także

był szkolnym kolegą Stantona! I nie zdawał sobie sprawy, że prócz zdrady istniało inne karane śmiercią przestępstwo, z powodu którego można by szantażować Jamesa...

Rozdział XXIII

Styczeń był zimny i szary, ale wieści, które wreszcie nadeszły z Anglii, okazały się jeszcze bardziej posępne niż pogoda. Uznano tam, że regencja jest niezbędna ze względu na przedłużający się obłęd króla.

- Wellington otrzymał poufne informacje, że księżę Walii zamierza powołać gabinet złożony z wigów oznajmił Valowi Colquhoun Grant.

- Nic dziwnego, że generał taki struty.

- Jeśli opozycja dojdzie do władzy, z pewnością długo tu nie zabawimy.

- Nie sądzi pan kapitan, że księżę Wellington zdoła przekonać wigów, iż jest w stanie usunąć Francuzów z Portugalii?

Grant zaśmiał się gorzko.

- Nawet z rządem, który niby to go popiera, księżę Wellington musi się użerać w sprawie dostaw żywności czy kontyngentu wojska! Jeśli taki rząd nie spieszy się, by zaopatrzyć nas jak należy, to wątpię, by opozycja zechciała to uczynić.

- Toteż Massćna czeka...

- Pokładając nadzieje w nowym rządzie. A może liczy na pomoc od Francuzów? Do diabła, żebyśmy chociaż znaleźli tego sprzedawczyka! Wtedy przynajmniej Massćna nie miałby wieści z Anglii wcześniej niż my!

- Mówił pan, panie kapitanie, że ktoś zajmuje się zdemaskowaniem londyńskich wspólników naszego zdrajcy?

- Tak, i udało się już zawęzić nieco krąg podejrzanych... choć i tak jest ich spora grupka, poruczniku - przyznał Grant z ciężkim westchnieniem.

- Pan kapitan wie, że markiz Wimborne prosił o urlop?

- Owszem. Księżę Wellington wyraził zgodę. Wimborne za niecały miesiąc wraca do Anglii.

- Może udałoby się go skłonić, by nam dopomógł w tej sprawie? - podsunął z wahaniem Val.

- Nie ma mowy, Aston. Markiz nadal znajduje się na liście podejrzanych. Nie jako numer pierwszy - dodał, widząc, że Val chce zaprotestować - ale nie możemy zwracać się do niego o pomoc! Będziemy w dalszym ciągu bacznie obserwować Trowbridge'a i Stantona. Ale mam z Londynu pewną wieść, która powinna podnieść nas na duchu: taki tam mróz, że Tamiza całkiem zamarzła. Możemy się pocieszać, że jest im zimniej niż nam!

Zima spędzona za linią umocnień była może cieplejsza niż w Anglii, ale Valowi dłużyła się nieprawdopodobnie. Wieści z Anglii docierały regularnie, choć z opóźnieniem. Dopiero pod koniec lutego dowiedziano się, że księżę regent nie obalił gabinetu Perceyala. Stan zdrowia króla choć daleki od doskonałości - nieco się poprawił, toteż księżę Walii, z niezwykłą u niego rozwagą, postanowił utrzymać rząd powołany przez

jego ojca. Choć wielu wigów oburzało się, że regent zdradził swych przyjaciół, większość Anglików była zdania, że książę postąpił roztropnie.

Tymczasem Grant, Val oraz inni zwiadowcy prowadzili rekonesans na terenie Portugalii i Hiszpanii. Choć kondycja fizyczna Francuzów pogarszała się z każdym dniem, Masséna uparcie zajmował dotychczasową pozycję.

James w połowie lutego udał się do Londynu i skutkiem tego Valowi zima jeszcze bardziej się dłużyła.

- Mam nadzieję, że zanim wrócisz, będziemy już w Hiszpanii, a przynajmniej w drodze do niej! - powiedział Val przyjacielowi przed jego odjazdem do Lizbony. - Będzie mi Ciebie brak - dodał z żalem.

- A mnie Ciebie. Ale przynajmniej będziesz miał towarzystwo panny Gordon! - rzucił z łobuzerskim uśmiechem James. - Choć nie na długo, bo moja siostra pisze, że udało jej się skłonić Elspeth, by przybyła do Londynu na jej debiutancki bal.

Pożegnawszy się z Jamesem, Val pogrążył się w zadumie. Mógł istotnie spotykać się z panną Gordon, ale ustawiczne trzymanie uczuć na wodzy potęgowało tylko jego napięcie - miał wrażenie, że zima trwać będzie wiecznie, wiosna nie nadejdzie nigdy, a obie armie wrosną w ziemię i pokryją się pleśnią: Brytyjczycy za linią swych umocnień, Francuzi w Santarém. Dopiero po latach ktoś odkryje zmurszałe kości...

Nie tylko Vala dręczyło nieznośne napięcie. Ilekroć do Gordonów przybywali na obiad oficerowie, a wśród nich porucznik Aston, Elspeth łapała się na tym, że próbuje pochwycić jego spojrzenie, uśmiech, najdrobniejszy nawet dowód na to, że i on nie zapomniał o uczuciu, które między nimi zapłonęło. Jednak twarz porucznika była kamienna, a gdy pewnego razu odwrócił się nagle, czując na sobie jej wzrok, oczy jego były takie drapieżne... przypominał szarookiego jastrzębia.

Kiedy jednak rozmawiał z Charliem, Elspeth dostrzegała w jego spojrzeniu ciepło i przywiązanie, których za żadne skarby nie chciał okazać jej.

Pewnego wieczora po kolacji, gdy inni siedzieli jeszcze przy stole, Elspeth przyłączyła się do Charliego i Vala, przycupniętych koło kominka.

- Proszę usiąść tutaj, panno Gordon. - Val podsunął jej swój fotel, a sam usiadł na niewielkim podnóżku z kolanami pod brodą.

- Będzie panu niewygodnie, poruczniku! - oponowała Elspeth.

- To jeszcze nic w porównaniu z ławkami u wstępniaków... Prawda, Chanie? - uśmiechnął się do brata.

- Skąd miałbym wiedzieć, Val? To przecież ty wkuwałeś z nimi łacinę! — Chanie zwrócił się do Elspeth. — Ależ on pocieszenie wyglądał, panno Gordon! Nogi mu się nie mieściły pod pulpitem, więc siedział cały zgięty na tej maciupkiej ławeczce...

- Jak długo chodziliście razem do szkoły? - spytała Elspeth.

- Niezbyt długo - odparł Val.

- Stanowczo za krótko! - W głosie Charliego był wyraźny wyrzut.

- Daj spokój, przecież w gruncie rzeczy wygonili mnie!

— Ojciec potrafiłby temu zaradzić, dobrze o tym wiesz

Elspeth pojęła, że sprzeczka dotyczy jakichś spraw rodzinnych.

- A za cóż to pana relegowano, panie poruczniku?

Bracia wymienili błyskawiczne spojrzenia.

— Za bójkę — wyjaśnił zwięźle Val.

- Zrobił z Lucasa Stantona krwawą miazgę - uzupełnił Chanie.

- Teraz już rozumiem, czemu patrzycie na siebie wilkiem! - wykrzyknęła Elspeth. - A za co mu się tak dostało?

Chanie i Val znów spojrzeli na siebie.

- To nie jest odpowiedni temat do rozmowy z damą - odrzekł Val z nieprzeniknionym spojrzeniem.

- Lucas... znęcał się nad młodszymi chłopcami, panno Gordon. Val wystąpił w obronie jednego z nich.

- I za to go usunęli ze szkoły?!

- To nie była dżentelmeńska walka, panno Gordon.

- I nie zwrócił się pan o pomoc do swego ojca?

- Wolał zaciągnąć się do wojska, panno Gordon - odparł Chanie i spojrzał na brata z goryczą.

- Ależ nie mógł pan mieć wówczas więcej niż siedemnaście lat!

— Miał szesnaście — poinformował Elspeth Chanie, bo Val nadal milczał. - A mógł przecież wrócić do Faringdon!

- Sierżant werbunkowy był bardzo wymowny, panno Gordon - wyjaśnił łagodnie Val, udając, że nie słyszy słów brata. — A jego piosenka całkiem mnie zawojowała.

- Jaka piosenka?

- „Bęben werbownika”. Przypomniała mi coś, co w dzieciństwie śpiewała mi matka. Ta sama melodia. O Tomie, synu kobziarza.

Elspeth uśmiechnęła się.

- Ma pan rację! Nigdy nie zwróciłam na to uwagi!

— Więc postanowiłem „cały świat przemierzyć” — wyznał Val.

— A o bracie ani pomyślał! — powiedział Chanie.

Elspeth dostrzegła smutek w jego głosie.

- Nie chcę wtykać nosa w wasze prywatne sprawy - odezwała się z wahaniem — ale chyba nie wychowywaliście się razem?

- Do jedenastego roku życia nie wiedziałem, że mam brata — wyznał bez Zastanowienia Chanie. Potem zaczerwienił się, spojrzał na Vala i wymamrotał: — Przepraszam.

- Nic nie szkodzi, Chanie, panna Gordon wie coś niecoś o moim życiu.

- To ja przepraszam... Nie powinnam była wypytywać - tłumaczyła się Elspeth.

- Nie ma pani za co przepraszać, panno Gordon. Jesteśmy przecież w gronie przyjaciół.

Chanie dopiero po śmierci

ci matki dowiedział się, że ma brata, i od razu postanowił go odnaleźć. No i znalazł...

choć założył się, że w pierwszej chwili pożałował tego, kiedy ujrzał gburowatego wyrostka w kowalskim fartuchu...

— Wyglądałeś, jakbyś mi chciał od razu rozwalić głowę młotem! - pokpiwał sobie Chanie.
- Myślałem, że już po mnie, kiedy ci powiedziałem, kim jestem! — Kuksnął brata w ramię i obaj się roześniali.

Elspeth zawsze z rozbawieniem obserwowała dorosłych mężczyzn, rozładowujących napięcie za pomocą szturchańców czy żartobliwej bójki.

— Rzeczywiście wyglądałeś jak „To kowalisko, czarne drabisko...” — podśmiewał się z brata Charlie.

Podjęli obaj starą śpiewkę i zapomnieli ze szczętem o Elspeth. Dopiero pod koniec uświadomili sobie, że w obecności damy w najlepsze śpiewają o pogoni za dziewczyną i pozbawieniu jej wianka.

— Strasznie przepraszam, panno Gordon! — odezwali się równocześnie.

- Rzućmy na to zasłonę zapomnienia, moi panowie! - odparła Elspeth tonem obrażonej księżnej i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Co was tak ubawiło? - spytał Stanton, podchodząc do kominka.

- Nic takiego - odrzekł Chanie.

— Nie śmiejecie się przecież bez powodu? — nalegał.

- Wspominamy dni spędzone w szkole -. wyjaśnił Val z pozornie niewinnym uśmiechem.

- Rozumiesz: dawne dobre czasy - dodał Chanie.

— Bawiłeś tam tak krótko, Aston! Zdumiewające, żeś coś zapamiętał — zauważył sarkastycznie Stantor.

— O, ja mam znakomitą pamięć, wicehrabio! - rzucił prowokacyjnym tonem Val.

- I przypominaliśmy sobie piosenki, śpiewane w dzieciństwie! — wtrąciła pospiesznie Elspeth. — Może pan sobie jakąś przypomni, wicehrabio? Albo lord Trowbridge?

Chanie zaintonował „Żabie zaloty”, a Elspeth pobłogosławiła go w duchu: napięcie zelżało.

- Hej ho! Kum, kum! - Major Gordon dołączył swój głos do chóru. Prześpiewali wszystkie zwrotki, a następnie z wielkim zapalem przerzucili się na: „Poszedł lisek ciemną nocką...”

— Całkiem zapomniałem, jak to miło śpiewać stare piosenki! zauważył z uśmiechem Chanie, gdy skończyli. - Val zwrócił nam uwagę, że „Bęben werbownika” ma taką samą melodię jak jedna z „Piosenek Matki Gąski”! — dodał i dźwięcznym tenorem zaintonował „Toma, syna kobziarza”. Elspeth zerknęła na Vala... Dałaby wszystko, gdyby choć raz spojrział na nią z taką miłością, z jaką w tej chwili patrzył na brata.

Pod koniec lutego słońce przygrzało trochę mocniej i jego ciepło dotarło do przemarzniętej ziemi i skutych lodem rzek. Poranki były mgliste; zdarzało się nawet, że mgła nie ustępowała przez cały dzień. Bardzo to utrudniało zwiadowcze wypady Vala. Pewnego ranka w początkach marca zbliżał się pieszko do obozu Francuzów. Ze względu na mgłę pozostawił konia

znacznej odległości. Prawie niczego nie mógł dojrzeć i do swego stałego punktu obserwacyjnego dobrać, kierując się raczej dotykiem niż wzrokiem. Gdy leżał tam na brzuchu, czekając, aż mgła się przerzedzi, niezwykle wyraźnie słyszał docierające do

niego odgłosy krakanie wron, grzechot osuwających się spod buta kamyków, nawet cichy szelest rosnącej w pobliżu trawy. Dopiero po kilku minutach zdał sobie sprawę, że z obozu Francuzów nie doleciał do niego żaden dźwięk, choć o tej porze powinno dobiegać stamtąd rżenie koni i odgłosy musztry, Val leżał jeszcze przez chwilę, mając nadzieję, że słońce wreszcie przebiję się przez mgłę, kiedy jednak widoczność w dalszym ciągu się nie poprawiała, pojął, że musi podkraść się bliżej Francuzów. Czołgał się w dół po zboczu w żółwym tempie, szorując brzuchem po kamieniach. W połowie zbocza wydobył lune

tę polową i wpatrywał się przed siebie z takim natężeniem, aż go oko rozboleło. Wokół panowała absolutna cisza. Niepokojąca cisza. Val, oparach kłębiącej się mgły, znajdował się jakby poza czasem i przestrzenią. Wiedział, że musi zejść jeszcze niżej. Sądził zawsze, że nie brak mu odwagi, teraz jednak czuł, że wyczerpał ją niemal do szczytu, gdy posuwał się coraz bliżej obozu Massny. Kiedy wreszcie znalazł się już najwyżej o sto jardów od miejsca, gdzie powinni stać wartownicy, przylgnął całkiem do ziemi i pełził cał za całem.

Tam, gdzie powinny być rozbite namioty, nie było ani jednego. Tam, gdzie niedawno płonęły obozowe ogniska, ujrzał tylko poczerniałe doły. Mgła nie pozwalała Valowi dojrzeć nic więcej. Przeleżał w tym miejscu minutę czy dwie i nagle uświadomił sobie, że ma przed sobą puste miejsce po obozie Francuzów. Massćna wreszcie się ruszył! A może to mgła odebrała mi do reszty orientację i zaraz wpadnę na jakiegoś wartownika, który zastrzeli mnie bez namysłu? myślał Val z czarnym humorem, podnosząc się powoli i ruszając w stronę obozu. Znalazszy się tam, ujrzał, co zostało po odejściu wojska: kilka opuszczonych namiotów, pustą zagrodę dla koni, sterty porzuconych łąchów i skorup. Francuzi naprawdę stąd odeszli. Po kilku minutach ustalił, że skierowali się na północ, tak jak przewidywał Wellington.

Mgła wciąż przykrywała Ziemię Val wracał do brytyjskich umocnień w ślimaczym tempie. Niedobrze! Massćna miał już przewagę co najmniej trzydziestu mil. Im szybciej nowina dotrze do Wellingtona, ten zaś postawi na nogi całe wojsko, tym szybciej dopadną Francuzów!

Szybkość była więc sprawą najwyższej wagi, ale Val część drogi powrotnej musiał odbyć pieszo, prowadząc konia za uzdę. Kiedy dotarł nad rzekę Mayor, zorientował się, że o ile dotąd widział źle, to podczas przeprawy na drugi brzeg stał się właściwie ślepcem. Co chwila zatrzymywał się i posuwał się wyłącznie na wycucie. W połowie rzeki musiał już płynąć i wyęźlał wszystkie siły, by nie dać się znieść prądowi.

Kiedy wreszcie wydostał się na drugi brzeg, runął na ziemię. Po kilku minutach podniósł się jednak, i to nie tylko kierowany poczuciem obowiązku: wiedział, że gdyby poleżał dłużej, z pewnością by zmarł.

Dotarł do obozu po zapadnięciu zmroku i wtoczył się do namiotu Colquhouna Granta brudny, mokry i kompletnie wyczerpany.

- Boże święty! Aston?! Czuję się dziś, jakby mnie przekręcili przez wyżymaczkę, ale ty wracasz chyba prosto z piekła!

Val uśmiechnął się blade i przysiadł na skraj polowego łóżka. Mimo że od razu pobrudził i zmoczył pościel, Grant nie miał serca spędzić go stamtąd.

- Tylko się nie kładź! - upomniał.

Vat był zbyt wyczerpany, by reagować na żarciki.

— Francuzi wreszcie się ruszyli, panie kapitanie.

- Jasna cholera! Ale wybrali sobie pogodę! Dokąd poszli?

— Na północ.

- Tak jak przewidywaliśmy. Kiedy się stamtąd zabrali?

— Chyba dopiero wczoraj, panie kapitanie. Ale i tak mają nad nami trzydzieści mil przewagi.

Grant chwycił płaszcz.

- Gorąca kąpiel i podwójna porcja rumu. Uczciwie na to zasłużyłeś, Aston! — zawołał i wybiegł.

Val siedział zupełnie otumaniony. Zdawało mu się, że mgła, z którą zmagał się od tyłu godzin, wtargnęła do wnętrza jego głowy. Wreszcie wstał i dowlókł się jakoś do swego namiotu. Zrzucił mokry mundur, wczłogał się pod koc i natychmiast zasnął.

Znalazł się znowu pośród mgły; tym razem jednak tańczyła wokół niego jak żywa, to otulając go, to rozchylając się na sekundę czy dwie. Drażniła się z nim, wzywała go. W tych krótkich chwilach, gdy się przerzedzała, widział przed sobą jakąś zwiewną postać...

Miał wrażenie, że wędruje po spowitym w mgłę mauzoleum..., od czasu do czasu z oparów wynurzał się czyjś posąg: rozpoznał małego Gil-

linghama z koszar w hrabstwie Kent i szeregowego Moore'a, skazanego niegdyś na chłostę...

I nagle ukazał mu się ojciec. Val zatrzymał się na wprost niego, usiłując

ściągnąć na siebie jego uwagę, ale spostrzegł, że hrabia wpatruje się w mgłę z wyrazem takiej tęsknoty, że nawet Valowi zrobiło się go żal. Wlepił wzrok w mgłę, usiłując dostrzec

to, czemu przygląda się hrabia. I nagle - zupełnie jakby ktoś dmuchnął - mgła się

rozwiąła i stanęła przed nim matka.

Val nigdy jeszcze nie doznał równie intensywnej, graniczącej z bólem radości. Matka

uśmiechała się z taką miłością, że wprost nie był w stanie tego znieść...

Potem spostrzegł, że obejmowała tym uśmiechem jego i ojca. Poczł złość: jak mogła patrzeć...

jak mogła tak się uśmiechać do człowieka, który ją porzucił?!

Twarz matki zmieniła się, jakby odgadła jego myśli. Uśmiech znikł, oczy napęłniły się

łzami. „Sarah!” - krzyknął hrabia. I wówczas mgła opadła, a matka zniknęła.

- Nie odchódź, mamó! - krzyknął Val i obudził się.

Nie śnił o matce od lat... Od początku pobytu u George'a Burtona. A teraz czuł w sercu

ból wszystkich niewypłakanych łez... Niech diabli porwą ojca! To on ją spłoszył, zanim Val

zdażył do niej podbiec!

Minęło kilka minut, nim oprzytomniał całkowicie. Pojawszy, że leży na własnym łóżku i że

jest wczesne popołudnie, roześmiał się. Nawet we śnie oskarża o wszystko swego ojca!

W całym obozie wrzało, Val zrozumiał, że armia szykuje się do wymarszu. Owinał się

kocem i wyszedł przed namiot. Żołnierze biegali we wszystkie strony, namioty składano,

na skraju obozu ładowano tabory. Powietrze wokół Vala pulsowało energią. Kiedy Charlie

przebiegał obok, nawet go nie dostrzegając, Val zawołał do niego wesóło:

- Kogo ja widzę?

— Val! Massćna wreszcie się ruszył!

- Wiem - odparł. - Sam przywiozłem tę wiadomość.
- Muszę zebrać moich ludzi! - oznajmił Chanie. - Przydzielono nas do generała Erskirie”a
- dodał i wymownie wzruszył ramionami.
- O Boże! Chanie, nie rób nigdy tego, co ci każe, bo to z pewnością będzie głupie! Kieruj się własnym rozsądkiem
- poradził Val Charliemu pół żartem, pół serio i pomachał mu na pożegnanie.

A więc pościg się zaczął! Wellington, ten stary lis, rusza drogę, myślał Val z uśmiechem satysfakcji, wkładając suchy mundur. „Poszedł lisek ciemną nocką, po wertepach i przez blocko... >>Mój miesiączku, oświeć drogę, bo bez ciebie zbłądzić mogę! <<...„ Kiedy wyśpiewywał tę starą piosenkę, przypomniał mu się ostatni wieczór u Gordonów. Ciekawe, czy Elspeth i jej matka także ruszą za majorem do Hiszpanii?

Rozdział XXIV

- Wolałbym, Peggy, żebyś była w Lizbonie, całkiem bezpieczna.
- A ja wolałabym być przy tobie, łanie. Gdyby nie to, że Elspeth w przyszłym miesiącu wyjeżdża do Londynu... Nie mogę jej zostawić samej - odparła pani Gordon. - Ale po raz pierwszy od tyłu łąt będziemy z dala od siebie, mój kochany... Nie wytrzymałabym siedzenia w Lizbonie i czekania na wieści! Jeśli jednak zostaniemy w Pero Negro, częściej dostanę od ciebie słówko za pośrednictwem Ordenanzy. A nasza kwatery jest całkiem wygodna.
- Och, Peggy, moja miła! — roześmiał się major. — Żadna inna hrabianka tak by jej nie określiła! Już rozmawiałem z Ryanem: użyczy wam żony na kilka tygodni - dodał.
- To wcale nie jest konieczne, łanie... Ale muszę przyznać, że będziemy rade z jej towarzystwa.
- Dzień dobry, mamó! Witaj, tatusiu! - odezwała się Elspeth, która tym razem zasnęła.
- Dzień dobry, kochanie. Omówiliśmy właśnie całą sprawę z ojcem i na szczęście zgodził się, żebyśmy zostały tutaj.
- Elspeth uśmiechnęła się do majora z wdzięcznością.
- Wiem, że chciałeś nas wyprawić do Lizbony, tatusiu, ale obie dostałybyśmy tam bzika, nie mogąc się doczekać wieści z pola walki. Tutaj powinny dotrzeć szybciej.
- Nelly zostaje z nami - poinformowała ją matka.
- W takim razie, mamó, możesz spokojnie zabrać się z papą!
- Twarz majorowej rozpromieniła się na sekundę, ale natychmiast pani Gordon odparła:
- Nie mogę zostawić cię samej, Elspeth!
- Bzdura! Będzie przecież żona sierżanta, a poza tym to tylko miesiąc.
- Ojciec poprosi o kilka dni urlopu, wróci tu i zawiezie cię do Lizbony, a potem zabiorę się razem z nim.
- Ale wolałabyś towarzyszyć mu już teraz, prawda?

- Tak - odparła szczerze matka.

- No to jedź z papą! - nalegała Elspeth, kładąc jej rękę na ramieniu. — Naprawdę, tatusiu — zwróciła się do ojca — będę mniej się bała o ciebie, wiedząc, że mama jest przy tobie!

Major Gordon próbował jeszcze protestować, ale w końcu ustąpił wobec nalegań córki.

- Tylko bez żadnych głupstw, Elspeth! Nie zapuszczaj się poza dolinę!

— Będę miała dość szycia, pakowania i czytania! — zapewniła go córka.

Elspeth bardzo zależało na tym, by rodzice nie musieli się rozstawać... Kiedy jednak przyglądała się, jak wojsko wyrusza w długi marsz na północ, a pułkowe chorągwie łopoczą na wietrze nad głowami żołnierzy, miała ochotę pobiec za nimi, wyrzekając się podróży do Londynu. Ogarnął ją ten sam niepokój co zawsze, ilekroć armia ruszała w drogę. Elspeth nie mogła ustać na miejscu i żałowała, że nie jest żołnierzem, kroczącym w pierwszym szeregu, tylko córką oficera, której miejsce jest zawsze na tyłach. Dziś czuła się jeszcze gorzej: nie miała nawet towarzystwa innych kobiet.

- Dzień dobry, panno Gordon! - Przejeżdżał właśnie regiment lekkiej kawalerii; Chanie wstrzymał konia, by przywitać się z Elspeth. — Słyszałem, że pani zostaje w Pero Negro? Będzie nam pani bardzo brakowało!

— A ja strasznie się stęsknię za wami, wicehrabio! Mój statek odplywa z Lizbony dopiero w kwietniu.

- Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie Jamesa i Maddie, kiedy ich pani spotka.

- A pan niech pozdrowi ode mnie porucznika Astona, milordzie. Życzę wam obu szczęśliwego powrotu z wyprawy! - dodała.

- Serdeczne dzięki, panno Gordon! Miło wiedzieć, że piękna dziewczyna o nas się troszczy! - odparł Charlie z szerokim uśmiechem. - Na pewno powtórzę pani słowa Valowi!

Zdjął przy powitaniu czako i słońce błyszczało w jego jasnych kędziarach; lśniły szczerym złotem jak jego epolety. Nie po raz pierwszy Elspeth pomyślała: Jaki on przystojny!

Później, gdy armia już odmaszerowała, Elspeth, wracając do wsi, bezwiednie zaczęła nucić:

Popa trz na tego jeźdźca,

Co w dzień zimowy mknie!

Twarz mu rumieńcem plonie,

Wios jasny świeci się..

Niedawno nauczyła się tej pieśni i kilkakrotnie śpiewała ją w zimie razem z matką. Nigdy dotąd jednak te słowa nie skojarzyły się jej z Charliem, choć doskonale do niego pasowały. Elspeth uśmiechnęła się lekko na tę myśl. Szkoda tylko, że zakończenie nie jest weselsze: dziewczyna oplakuje kawalerzystę, który „na krwawym polu legł”... Elspeth zadrzała, oczyma wyobraźni zobaczyła Charliego wiodącego do ataku swoich żołnierzy... Znajdź coś weselszego! powiedziała sobie i zanuciła kilka dziecięcych piosenek, które niegdyś śpiewała z rodzicami wieczorem przy kominku. Tęskna melodia uparcie jednak powracała i prześladowała Elspeth przez kilka następnych dni.

Przez parę tygodni Massna był w ciągłym marszu; z jego trasy łatwo dało się wywnioskować, że przede wszystkim chce dotrzeć do miejsca, gdzie będzie mógł nakarmić wygłodzoną armię, a potem zamierza uderzyć na Lizbonę. Val i inni oficerowie zwiadowcy byli świadkami starć z tylną strażą francuskiej armii Wellington wysyłał swe oddziały, by pogoniły wroga w kierunku Hiszpanii. W końcu Francuzi dali za wygraną i Massna zarządził całkowity odwrót. Wellington poczuł się tak pewnie, że kazał odesłać do Anglii puste statki, które miały służyć do przewozu wojsk. Nie było już mowy o opuszczeniu Portugalii - ani tylnym, ani frontowym wyjściem!

Pewnego wieczora pod koniec marca Val powrócił do obozu i bardzo podenerwowany pospieszył do ogniska przed namiotem Willa Tallmana.

— Mogę się przyłączyć do was, Will?

— Niech pan siada i strzeli sobie kielicha, panie poruczniku! - odezwał się Murphy nieco już niewyraźnym głosem.

Val usiadł i wypił łączywie podany mu trunek Will przyjrzał mu się bacznie, zazwyczaj Val bywał wstrzemięźliwy.

- Całkiem pan złachany, panie poruczniku - zauważył. — Czy tam dalej jest równie paskudnie jak było tutaj kilka dni temu?

- Jeszcze gorzej - odparł Val, podsuwając swój kubek Murphyemu, żeby mu dołał.

- Więcej zbiorowych mogił? - spytał szeregowy Doolittle.

Val otarł usta grzbietem ręki.

— O, tego nigdy nie brakuje! Na niejedną jeszcze się natkniemy, Doolittle! Dolejcie kropelkę!

- Czy nie dosyć, panie poruczniku? - spytał cicho Will.

- W tym całym cholernym wojsku nie ma dosyć rumu, żebym mógł zapomnieć to, co dziś widziałem, Will! - odrzekł Val, wymawiając z naciskiem każde słowo, jakby chciał udowodnić, że potrafi mówić wyraźnie i jest całkiem trzeźwy.

Will machnięciem ręki odpędził Doolittle'a, podsuwającego mu rum.

- No, chłopaki, do łóżek! - zakomenderował. - Robi się późno.

Żołnierze odeszli z pewnym trudem. Kiedy sierżant odwrócił się, zobaczył, że Val siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach.

- O co chodzi, panie poruczniku?

— O co chodzi?! O tę całą cholerną wojnę, Will! Mam jej po dziurki w nosie, choć na dobrą sprawę jeszcze jej nie skosztowałem... Każdy wie, że ludzie na woj nie giną - mówił teraz spokojnie, jakby udzielał wskazówek grupie rekrutów. - Jasne, że na wojnie się walczy, a podczas walk muszą być zabici i ranni. Tutaj ich nie brak, Will! — dodał z ironią.

— Jak nie ten ich cesarz atakuje, to Massna coś wymyśli! Ale kto by pomyślał, że to aż tak cuchnie...

— Tak, najgorsze te doły, gdzie wali się ciągle nowe trupy, warstwa po warstwie, panie poruczniku.

- Wiem, że Francuzi głodowali - mówił dalej Val, zniżając głos do bolesnego szeptu. - Ale palić żywcem matkę i dziecko, żeby w mękach zdradzili, gdzie schowali reszteczkę żywności? O Boże! Nie sądziłem, że nawet żabojady zdolne są do czegoś takiego!

- Taka już ta cała wojna, panie poruczniku - tłumaczył cicho Will. — Cywile cierpią tyle samo co żołnierze.

- Wybacz, że ci zepsułem wieczór, Will. - Val podniósł się, stając chwiejnie na nogach. Czuł, że grunt to zapada się, to wznosi...

- I tak bym sam to zobaczył, jak nie jutro, to pojutrze, panie poruczniku.

— No to sobie idę. Dobranoc, Will. — Jednak stał nadal, chwiejąc się niczym na silnym wietrze.

- Niech pan zostanie na noc, panie poruczniku.

- Nie mogę, Will - wymamrotał.

- Oczywiście, że pan może, panie poruczniku. - Will ujął go za ramię i wprowadził do namiotu. - Proszę się położyć na moim wyrku.

- Nie zmieścimy się we dwóch - oponował Val.

- Mam zapasowy koc, panie poruczniku. - Will pomógł Valowi położyć się i wrócił do ognia. Skłamał oczywiście, nie miał drugiego koca. Po dwudziestu latach spędzonych w wojsku potrafił jednak spać na siedząco, a nawet na stojąco. A porucznik nie mógł tej nocy zostać sam.

Val obudził się późno, w głowie mu trzeszczało, odbijało mu się kwasem. W dodatku ktoś nim potrząsał... A mo że to trzęsienie ziemi?

- Pora wstawać, panie poruczniku. Za pół godziny wymarsz.

Val usiadł, a Will wetknął mu w garść kubek z kawą.

- Niech się pan porucznik napije. Powinno pomóc.

Pomogło rzeczywiście i w końcu Val zdołał wstać.

- Lepiej, żeby pan porucznik wrócił do swego namiotu. Da pan radę?

Val skinął głową.

- Dzięki, Will! Marny ze mnie kompan, wiem... ale tej nocy nie mogłem być sam.

— W porządku, panie poruczniku.

— Dobry z ciebie przyjaciel, Will! Uważaj na siebie, kiedy dogonimy tych żabojadów!

— Nie ma obawy! Stary ze mnie wyga, wiem, jak o siebie zadbać! Zresztą Mags by mi łeb urwała, gdybym się dał zabić! - zakończył ze śmiechem.

Val wrócił do swego namiotu bardzo powoli i ostrożnie, żeby nie urazić bolącej głowy. Idącego naprzeciw majora Gordona zauważył dopiero wówczas, gdy ten podszedł i przywitał się z nim.

- Dzień dobry, panie majorze.

- Wyglądasz kiepsko jak wszyscy diabli, chłopcze! - wypalił bez ogródek major.

— Byłem w piekle, panie majorze — odrzekł Val — więc nic dziwnego, że przypominam jego mieszkańców.

Powiedział to z ironią, ale major wyczuł kryjący się za nią ból.

- Tak, tak, chłopcze! To gorsze od wszystkiego, co dotąd widziałem... a nie raz już bywałem w piekle!

- Mam nadzieję, że szybko zapędzimy ich z powrotem do Hiszpanii! Żeby to się już wreszcie skończyło, panie majorze!

- Niech pan się nie martwi, poruczniku. Zadamy im bobu! I te cholerne krzykacze w Londynie przekonają się, na co stać starego Nochala!

- Jak to wszystko znoszą pańska żona i córka, panie majorze?

— O, z Peggy stary wiarus! Z Elspeth zresztą też, ale rad jestem, że nie musi tego oglądać.

- Panny Gordon nie ma razem z państwem?

- Obiecała lady Madeline, że przyjedzie do Londynu na jej pierwszy wielki bal.

- Ach, tak, przypominam sobie. Więc jest teraz w Lizbonie?

— Woląta zostać na razie bliżej nas, w Pero Negro. Za kilka tygodni wrócę tam i odwozę ją do Lizbony. Na razie jednak pobawię się z Masscną w berka po górach!

Val, pakując swój żołnierski tornister i rolując koc, myślał o Elspeth przejeżdżającej obok zbiorowych mogił i oglądającej widoki podobne do wczorajszych... Dzięki Bogu za zaproszenie od lady Maddie! Nie mógł znieść myśli o Elspeth stykającej się z wszystkimi okropnościami wojny... Wiedział, że jest silna, ale nawet najbardziej zahartowany żołnierz byłby przerażony. Łaska boska, że zostało to jej oszczędzone!

Val został wysłany do obozu guerilleros. Nim stamtąd wrócił, Masscna po morderczym marszu przez góry skierował się znów na wschód.

- Zdaje się, że chce zagrozić nam drogę nad rzeką Coa - powiedział kapitan Grant, gdy Val złożył mu już raport.

- Zdołamy się przedrzeć?

- Jestem tego pewien, tym bardziej że Sanchez będzie mu się naprzykrzał na drodze do Salamanki. Dzięki Bogu za tego starego lisa! - dodał z szerokim uśmiechem. — A co tam u Jacka Beldena?

Tym razem nie spotkałem go, panie kapitanie. Podobno odwiedzał swoją damę.

— Maria Elena to wspaniała kobieta. Poznaliście się?

— Nie miałem dotychczas przyjemności, panie kapitanie.

- Wdowa po miejscowym burmistrzu. Ciekawe, czy Jack ożeni się z nią i zabierze ją do Anglii? — zastanawiał się Grant.

Val rozmyślał nad tym, myjąc się i przebierając do obiadu. Anglik znakomitego rodu miałby poślubić wdowę po jakimś tam alkadzie?! Mało prawdopodobne! Ale Jack mówił o niej z prawdziwym uczuciem...

Kiedy w namiocie majora Gordona Val spotkał się z innymi oficerami, ucieszył się, widząc wśród nich Charliego. Jednak dopiero wówczas, gdy major wznosił toast za zwycięstwo w jutrzejszym starciu, Valentine zdał sobie sprawę z tego, że brat weźmie udział w natarciu pod Sabugalem.

— Zdrowie lekkiej kawalerii! Oby się przejechała po karkach drugiego korpusu Reyniera!

— Zdrowie kawalerii!

Val uniósł kieliszek i rzucił bratu niespokojne spojrzenie. Chanie odpowiedział promiennym uśmiechem.

- Przejdiesz się ze mną kawalek, Val? — spytał po obiedzie.

— Jasne!

Obaj przez chwilę milczeli, a potem odezwali się równocześnie:

— Więc jutro twoja pierwsza bitwa?

- Jutro po raz pierwszy ruszam w pole, Val...

Charlie roześmiał się, a potem rzekł zupełnie już poważnie:

— Wiesz, Val, trochę się niepokoję... Nie o moich ludzi, wspaniali z nich żołnierze! - dodał ciepło.

— To twoja zasługa, Chanie. Naprawdę nie musisz się o nich bać! Gorzej z waszym dowódcą.

Chanie trącił go w ramię.

— Cicho, Val, jeszcze ktoś usłyszy!

- Wszyscy i tak wiedzą, że Erskine to dureń! A najlepiej o tym wie Wellington. Szkoda, że nie ma Crauforda!

— Przyznam, że i ja tego żałuję — westchnął Chanie. Zawahał się na sekundę, a potem rzekł: — Val, musisz mi coś obiecać.

- Co tylko chcesz!

- Gdyby mi się coś stało...

— Nic ci się nie stanie! — przerwał mu gwałtownie Val.

- Pewnie, że nie... ale gdyby jednak, to chciałbym, żebyś to odwiózł ojcu. - Chanie ściągnął z palca nieco porysowany złoty sygnet.

- Włóż to z powrotem, Chanie! Nie mogę tego wziąć.

- No więc przechowaj go dla mnie, póki nie wrócę - poprosił łagodnie brat. - Od trzystu lat ten pierścień przechodzi z ojca na syna i nie chciałbym, żeby... nie chciałbym go zgubić podczas bitwy. Proszę cię, Val!

Księżyc świecił jasno i Valentine zobaczył na twarzy brata ten sam wyraz co wówczas, gdy przed wielu laty Chanie go odnalazł. Przystanął i popatrzył mu w oczy.

Chanie... Chyba ci tego jeszcze nigdy nie mówiłem... Chodzi o to... Rad jestem, że mnie wtedy odszukałeś... Dobrze mieć brata... — Valowi załamał się głos i teraz starał się opanować.

— I ja się cieszę, że go mam, Valentine — odparł Chanie i uśmiechnął się, jak zawsze, z całego serca. Podał bratu sygnet, a Val go wziął. - Obiecuj, że sam oddasz go ojcu.

- Obiecuję, co chcesz... bo dobrze wiem, że nie będę musiał tego robić! Wrócisz jutro do obozu jako zwycięski bohater, Chanie! Francuzi zwieją przed tobą do Hiszpanii!

Szli przez chwilę bez słowa, potem Chanie przerwał milczenie.

— Dowiedziałeś się już, kto przekazywał tajne informacje Massćnie, Val?

— Nie. Teraz, kiedy się wreszcie ruszył spod Santarćm, nie ma to już większego znaczenia. Ale w Londynie udało się przyskrzynić tego, co przesyłał mu stamtąd najświeższe nowiny.

— Wiesz, że James...

- James jest już poza podejrzeniami, dzięki Bogu! - odparł Val. — Pewnie teraz czaruje wszystkie przyjaciółki swojej siostry! Może przy okazji znajdzie sobie żonę?

- Być może - odparł łagodnie Chanie.

Następnego dnia ruszające do walki oddziały otoczyła gęsta mgła, w której nawet brzęk końskiej uprzęży i ostróg były jakieś stłumione. Val z trudem dostrzegł regiment brata, a jego samego dopiero wówczas, kiedy Chanie omal się z nim nie zderzył.

- Uważaj na siebie, Chanie! - poprosił, towarzysząc mu przez chwilę.

— Obiecuję, Val! — odparł Chanie i pochyliwszy się, schwycił wyciągniętą ku niemu rękę. Był to bardzo krótki uścisk, bo konia rozsadzała energia - zaczął brykać i bracia musieli się rozstać.

Rozdział XXV

Val otrzymał kolijny rozkaz. Miał przeprowadzić się przez rzekę Coa na południe od Sabugalu i stwierdzić, czy Francuzi przedostali się już na drugi brzeg. Posuwając się w dół rzeki, słyszał nawoływania francuskich żołnierzy, a gdy przeprowadził się przez nią kilka mil dalej niż korpus Reyniera, mgła nadal była bardzo gęsta. Teraz jednak po drugiej stronie panowała cisza; najlepszy dowód, że Masséna postanowił zatrzymać się w tym miejscu i uniemożliwić Wellingtonowi sforsowanie rzeki.

Gdy Val ruszył w drogę powrotną, usłyszał strzały z muszkietów. Starcie się zaczęło. Odnalazł kapitana Granta, razem z Wellingtonem ze szczytu pobliskiego wzgórza obserwowali bitwę.

— A więc zamierzają się tam utrzymać?

- Na to wygiada, wasza książęca mość.

Wellington podsunął Valowi lunetę polową. Gołym okiem widział jedynie kłębiącą się mgłę i błyski czerwieni oraz błękitu. Gdy jednak uniósł szkło do oka, ujrzał wyraźnie kawalerię.

— Konnica wydaje się bardzo ruchliwa, wasza książęca mość.

- Chcecie powiedzieć, poruczniku, że Erskine miota nią na prawo i lewo? Przy takim dowódcy i przy tej cholernej mgle zupełnie nie rozumiem, jak możemy być górą?! Anglicy byli jednak niewątpliwie górą. Mimo zamętu, dymu i mgły nawet Val mógł dostrzec, że straty Francuzów są o wiele cięższe niż Brytyjczyków. Kiedy godzinę później jeden z adiutantów Wellingtona wdrapał się na szczyt wzgórza, ich przypuszczenia się potwierdziły: Francuzi się wycofywali.

- Drugi korpus Reyniera został zniszczony niemal całkowicie — oznajmił adiutant.

- Widzę. A starlibyśmy go ze szczętem, gdyby nie ten cholerny Ers... gdyby nie ta cholerna mgła!

Adiutant rzucił Valowi rozbawione spojrzenie.

- No, kapitanie, wracajmy do obozu. Trzeba przygotować komunikat - stwierdził książę.

Val patrzył za schodzącym ze wzgórza naczelnym wodzem. Ubrany był jak zwykle w prosty niebieski mundur; nie olśniewał srebrem jak francuscy oficerowie, których Val dostrzegł przez lornetę. A jednak to on był górą! Dokonał czegoś, w co nikt nie wierzył: przepędził Francuzów z Portugalii! Val poczuł nagły przypływ energii i zbiegł ze wzgórzka, chcąc jak najszybciej pogratulować Charliemu zwycięstwa, do którego przyczynił się jego regiment.

Dotarł do obozu, gdzie zaczęli właśnie napływać brudni, skrajnie wyczerpani żołnierze. Z początku Valowi wydawa

ło się, że są to wyłącznie piechurzy. Gdy jednak minęło go kilku kawalerzystów, Val zagadnął młodego porucznika z okaleczoną ręką:

— Gdzie jest szósty regiment lekkiej kawalerii? Młody oficer bez słowa wskazał na tyły. Val nie mógł znaleźć innego informatora, sam więc ruszył w tamtym kierunku, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Przeciskał się przez tłum, napływało wciąż więcej i więcej konnych, ale ani śladu Charliego. Kiedy znalazł się już niedaleko rzeki, mgła zaczęła rzednąć. Potem całkiem się rozwiała i na pobojowisku zabłyśły promienie słońca - odbijały się to w zło-

262

tych epoletach, to w ozdobnej klindze któregoś z poległych czy ciężko rannych.

Val stanął jak wryty.

Minęliśmy się widać z bratem! pocieszał się, obserwując lekarzy wojskowych i ich pomocników, którzy wśród trupów poszukiwali tych, którzy jeszcze żyli. Trzeba natychmiast wracać do obozu. Znajdzie tam Charliego, odda mu sygnet i napiją się czegoś mocniejszego. Oddanie pierścienia wydało mu się w tej chwili sprawą niezmiernie wagi. Charlie musi go natychmiast otrzymać z powrotem!

Gdy tak stał, nie mogąc ani postąpić naprzód, ani się cofnąć, usłyszał jęk i dostrzegł jednego z ludzi Charliego, który usiłował podnieść się na łokciu.

- Wody! - szepnął żołnierz, wpatrując się błagalnie w Vala. Manierka porucznika była już do połowy opróżniona, ale przyklęknął obok rannego i przytknął mu ją do ust.

Udo kawalerzysty było rozplątane aż do kości francuskim pałaszem, Val wzdrygnął się na widok rany.

- Paskudnie wygląda, co? - powiedział żołnierz z uśmiechem, zauważywszy reakcję Vala. — Ale jeśli te cholerne rzezi- gnaty wezmą się za mnie w porę i pozszywają jak należy, to nie stracę nogi. Sto razy lepsza taka rana niż kula z muszkietu!

- Szukam mego brata, wicehrabiego Holme.

Ranny spojrzał na Vala w zadumie.

- To pański brat? Porządny chłop i dobry żołnierz! - dodał ze smutkiem.

- Pewnie! - przytaknął Val. - Gdzie widzieliście go ostatnio?

- Skoczył z dwoma ludźmi w środek Francuzów. Wtedy go widziałem ostatni raz. Nad samą rzeką.

Val zostawił rannemu swoją manierkę i ruszył ku rzece.

O Boże! Charlie, gdzie jesteś? myślał z rozpaczą, błakając się po błotnistym brzegu i starając się omijać zabitych i rannych.

Najpierw ujrzał gnadosza Charliego. Koń stał ze zwieszonym łbem, jedna z tylnych nóg była okaleczona. Val łagodnie poklepał zwierzę po szyi i rozejrzał się dokoła. Ujrzał brata w odległości może dwudziestu jardów, leżał na wznak, jakby zdrzemnął się nad rzeką. Słońce lśniło mu we włosach i odbijało się od błyszczących guzików munduru - tych, które nie były zalane krwią. Val klęknął obok brata i delikatnie zamknął mu oczy.

— Nie powinieneś patrzeć prosto w słońce, Chanie! — szepnął. Wokół ust brata zaschła krwawa piana, Val wyciągnął z kieszeni chustkę i starannie wytarł mu wargi. Spojrzał

nżej i zobaczył ranę: wróg trafił Charliego w płuco. - Mam nadzieję, że miałeś szybką śmierć, braciszku! — powiedział Val, odgarniając Charliemu włosy z czoła. - Dobrze się spisaleś, braciszku! — dodał, głaszcząc go po rękę. Była jeszcze ciepła i Val mógł sobie wyobrazić, że Charlie po prostu śpi.

— Mimo tego durnia Erskine'a wygraliśmy bitwę, bracie, a Francuzi wieją z Portugalii! — Przyjrzał się uważniej dłoni brata: na środkowym palcu pozostał biały ślad po pierścieniu Faringdonów. - Schowałem go w tornistrze, Chanie - zapewnił brata Val. - Bałem się, że gdyby mnie się coś stało... No wiesz: chciałem, żeby ci nie zginął.

o Boże, brat go nie słucha! Nie może go usłyszeć. Nigdy się już do niego nie uśmiechnie... Val poczuł ogromną pustkę. Charlie go kochał. Bóg raczy wiedzieć, czemu, ale go kochał! A on kochał Charliego. Czy mu to kiedyś powiedział? Nie, nigdy nie wymówił tych słów. Teraz jest już za późno.

— Kocham cię, Charlie! - szepnął. Przecież brat musi to słyszeć! Zaraz poruszy ręką, zaraz da Valowi jakiś znak... Ale tylko słońce świeciło na nich obu, muchy i komary brzęczały dokoła i siadały na zakrwawionym mundurze Charliego. Upał stawał się coraz większy, a ręka brata coraz zimniejsza.

Val nie miał pojęcia, jak długo siedział przy Charliem, zanim dotarł do nich wojskowy lekarz.

- Nie żyje, prawda? - Doktor poklepał Vala po ramieniu.

- Czy chce pan coś zatrzymać, panie poruczniku? - spytał niezręcznie. - Na pamiątkę? Trzeba go będzie szybko pochować.

Val potrząsnął głową, potem jednak dostrzegł, jak wiatr porusza włosami Charliego.

- Ma pan nóż, doktorze?

- Mam skalpel, panie poruczniku. - Lekarz wręczył go Valowi ze zdumieniem, które przerodziło się we współczucie, gdy ujrzał, jak starszy brat obcina kilka kosmyków zmarłego i chowa je do kieszeni kurtki.

- Gdzie są grabarze, panie doktorze?

- Na wzgórzu za nami, panie poruczniku. Kopiają właśnie dół... To jest grób... i wkrótce zaczną zbierać z pola zwłoki.

- Wobec tego zostanę. Nie chcę, żeby był sam. Ani żeby jakieś hieny przeszukiwały mu kieszenie czy obcinały guziki od munduru - rzekł z goryczą Val. - Poczekam razem z nim.

Trwało to godzinę, ale w końcu się zjawili i zabrali Charliego na jego ostatnie miejsce spoczynku w obcej ziemi. Val patrzył, jak owinięto ciało w płachtę i położono obok ciała innego kawalerzysty. Charlie był jednym z ostatnich, których tu pochowano. Kiedy zasypano mogiłę, kapelan odmówił nad nią modlitwę za umarłych.

- Powinienes leżeć w Faringdon, Charlie — szepnął Val i dorzucił garść ziemi do kopczyka nad zbiorową mogiłą.

Gdy wrócił do obozu, było już ciemno. Udał się prosto do swego namiotu. Przed bitwą owinał sygnet Charliego w skrawek płótna i schował na samo dno tornistra. Teraz zapalił świecę i wydobyl zawiniątko.

Siedział, wpatrując się w stary złoty pierścień. Sygnet z herbem Faringdonów, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Obiecał zwrócić go ojcu. Val wyciągnął z

tornistra cienki mosiężny łańcuszek, nawłókł nań pierścień i zawiesił go na szyi. Spoczął ciężko na jego sercu.

— To ja powinienem zginąć, Charlie - szepnął, obracając sygnet w palcach. - Ty byłeś jego ukochanym synem.

Pierścień był ze złota, ale tak pozbawiony blasku, jakby wykonano go z ołowiu. Val ostrożnie wyjął z kieszeni munduru włosy Charliego.

„Lecz herb to na gwinei znak, jej złotem człowiek, właśnie tak!”* — ni to powiedział, ni zaśpiewał. — Byłeś jak szczere złoto, Chanie. Nieważny jest hrabiowski tytuł, ale twoje serce, pełne miłości.

Znalazł w tornistrze książeczkę, z którą nie rozstawał się od lat. Otworzył ją tam, gdzie między stronicami leżała jeszcze krucha, uschnięta róża. Umieścił obok niej włosy brata i ostrożnie zamknął książkę. Przez dłuższą chwilę trzymał ją na kolanach, potem znów starannie ukrył na dnie tornistra. Tylko tyle mu pozostało po dwóch osobach, które kochały go naprawdę.

Rozdział XXVI

Przez następne dwa tygodnie Val był tak zajęty składaniem raportów na temat odwrotu armii francuskiej i przybycia Massény do Salamanki, że nie miał czasu myśleć o Charliem, a tym bardziej rozpaczać nad jego stratą. Prawie nie spał, a jadł tylko tyle, by utrzymać duszę w ciele.

- Wyglądasz jak strach na wróble, Aston - powiedział mu bez ogródek kapitan Grant, gdy Val wrócił z ostatniego rekonesansu.

Val przesunął ręką po zarośniętej twarzy.

— Przepraszam, panie kapitanie. Nie zdążyłem się ogolić...

— Myślisz, że wzrusza mnie ta szczecina? Martwię się o ciebie. Chciałem ci powierzyć pewną misję, ale tak niedawno straciłeś brata...

— Zapewniam, panie kapitanie, że jestem całkowicie zdolny do służby — odparł sztywno Val.

— To doskonale. — Grant postanowił nie wnikać w prywatne sprawy Astona, porucznik wyraźnie sobie tego nie życzył. Zaczął przerzucać papiery na biurku. — Odkryliśmy nareszcie informatora na terenie ministerstwa.

Po raz pierwszy od śmierci Charliego Vala coś zainteresowało.

— Gratuluję, panie kapitanie.

- To młodszy syn znakomitego rodu, poruczniku. Pełen entuzjazmu dla rewolucyjnych idei. Nie uważał się bynajmniej za zdrajcę - ciągnął dalej Grant z gorzką ironią. - Był przekonany, że dzięki niemu sytuacja utknie w martwym punkcie; Napoleon będzie musiał rzucić na front większe siły, Wellington wycofa się z Portugalii i wojna się zakończy. Chyba nawet wierzył, że przyczynia się w ten sposób do bezkrwawej rewolucji - W której wyniku tyran będzie rządził samowładnie całą Europą!

Grant uniósł brwi i uśmiechnął się ironicznie.

— Najistotniejsze jest to, poruczniku, że ów młodzieniec w zamian za darowanie kary...

— Darowanie kary?! Przecież to zdrajca, panie kapitanie!

- Ale potomek znakomitego rodu. A zatem, gdy obiecano nie wytoczyć mu procesu, -yjawił nazwisko swego współnika.

- Lucas Stanton! - zawołał Val z ogromną satysfakcją.

Colquhoun Grant spojrział na niego i potrząsnął głową.

- Sprawy wyglądałyby znacznie prościej, gdyby istotnie tak było... Ale człowiekiem, któremu ten młodzieniec przekazywał informacje, jest markiz Wimborne.

James?! Nigdy w to nie uwierzę!

- Markiz był od początku jednym z podejrzanych, poruczniku - przypomniał spokojnie Grant. - I jest dawnym kolegą szkolnym Stanton.

- Chce pan kapitan powiedzieć, że to jego Stanton szan

tażował?

- Na to wygląda. Wszystko do siebie pasuje. Za zdradę grozi kara śmierci, Lucas dowiadyuje się o zdradzie Wimborne'a i szantażuje go.

- Ale dlaczego James miałby w ogóle zdradzać ojczyznę?!

- Dla pieniędzy. Jego ojciec pozostawił rodzinny majątek rozpaczliwym stanie, sam o tym wiesz. Poza tym sympatie markiza były zawsze po stronie wigów, nie torysów. Już na uniwersytecie znany był z radykalnych przekonań.

Val potrząsnął głową.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć!... Ale jeśli Stanton szan

tażuje zdrajcę, kimkolwiek on jest, a nie demaskuje go, to sam winien jest zdrady!

- Brak nam wystarczających dowodów przeciwko niemu. Zeznań pani Tailman na temat listu sąd nie potraktowałby poważnie. Z markizem Wimborne natomiast trzeba postawić sprawę otwarcie. — Grant zawahał się. — Miałem nadzieję, że właśnie ty, Aston, wypalisz mu prawdę w oczy.

Val spojrział na kapitana osłupiałym wzrokiem.

- Ja? Teraz, kiedy wkraczamy do Hiszpanii, będzie przecież potrzebny każdy zwiadowca, panie kapitanie!

- Zwłaszcza tak utalentowany! Musimy jednak za wszelką cenę uniknąć publicznego skandalu - dodał z żalem -

a markiz nie może wrócić na dawne stanowisko.

- W szkole tylko on okazywał mi przyjaźń — mówił Val jakby do siebie. - Jak mogę rzucić mu w twarz takie oskarżenie?

— Możesz przesłuchać wcześniej jego współnika i upewnić się o prawdziwości jego zeznań. Jeśli zaś uznasz je za wiarygodne, to twoim obowiązkiem będzie przesłuchać również markiza Wimborne'a.

- A jeśli przyzna się do zdrady... co się z nim wówczas stanie?

- Bardzo możliwe, że władze i tym razem będą wołały uniknąć procesu. Prawdopodobnie czeka go zesłanie do ko

lonii.

- Do kolonii? A co z jego siostrą?

- Decyzja zostanie podjęta na najwyższym szczeblu, poruczniku. Ty masz jedynie ustalić, czy zarzuty przeciwko

niemu są prawdziwe. Wyjazd jest pilny, ale przedtem musisz najeść się i wyspać. To rozkaz, poruczniku Aston!

Val wyszedł od kapitana jak błędny i omal się nie zderzył z majorem Gordonem.

— Jak ty wyglądasz, chłopcze?!

— Kapitan Grant także mówił, że szczególnie, panie majorze. Przyznam, że od tygodnia nie spoglądałem do lustra.

- Gdybyś znalazł trochę czasu i jutro wpadł do nas na obiad, byłibyśmy bardzo radzi.

- Z wielką przyjemnością, panie majorze, tylko... - Val urwał. Nie był w stanie spędzić wieczoru w towarzystwie Lucasa Stanton.

- Tylko co, chłopcze?

- Nie chciałbym być niegrzeczny, ale nie mogę przyjść, jeżeli jednym z gości będzie wicehrabia Stanton.

- Moja żona nie przepada za Stantonem. Ja zresztą też, choć nie powinienem tego mówić. Przyjdź do nas, chłopcze

— dodał major łagodnie. — Poniosłeś wielką stratę i pragniemy w jakiś sposób okazać ci naszą przyjaźń.

- Dziękuję, panie majorze. Przyjdę.

Kiedy Val wrócił do swego namiotu i przejrzał się w lustrze, wybuchnął śmiechem.

Wyglądał jak jeden z opryszków, którzy napadli na Elspeth. Gdyby go teraz zobaczyła, z pewnością brzydziłaby się zbliżyć do niego, a co dopiero całować się z nim!

Po raz pierwszy od wielu dni Val pozwolił sobie pomyśleć o pannie Gordon. Po wymarszu armii z Pero Negro narzucił sobie żelazną dyscyplinę i odpychał od siebie wspomnienia, ilekroć go nawiedzały. Nie zdołał jednak usunąć Elspeth ze swych snów i nieraz budził się pełen pożądania. Od śmierci Charliego jednak nie sypiał prawie wcale i zaprzętnięty był wyłącznie zdobywaniem informacji dla Wellingtona.

Val zrzucił brudny mundur i dzwoniąc zębami, umył się lodowatej wodzie. Rzeczywiście schudłem! stwierdził, i

wyczuwając pod rękami sterczące zębra. Gdy wycierał się do sucha, napłynęły wspomnienia o pocałunkach Elspeth. Val aż się zdziwił, że mimo skrajnego zmęczenia może odczuwać takie pożądanie.

Nie będę myślał o niej! postanowił. To były płonne marzenia, trzeba zająć się czymś innym, wszystko jedno czym! Przyszedł mu jednak na myśl tylko Chanie... i James. Val opadł na łóżko i zapatrzył się tępo w płótno namiotu, poruszające się lekko na wietrze. Przez te wszystkie lata tak niewiele podtrzymywało go w życiu: wspomnienie matczynej miłości, świadomość tego, że Chanie go kocha, i przyjaźń z Jamesem. Teraz nie zostało mu już nic i nie miał pojęcia, jak zdola dalej żyć. Brat poległ, przyjaciel okazał się zupełnie kimś innym, niż sądził, a w dodatku on sam zakochał się

dziewczynie, której nigdy nie będzie mógł poślubić... Opadł na łóżko i rozmyślał, jak przebrnie przez wszystkie lata, które go jeszcze czekały, lata bez miłości i przyjaźni... Val przespał całą noc i pół następnego dnia. Gdy zjawił się u Gordonów, wyglądał już znacznie lepiej.

- Dobry wieczór, panie poruczniku! - powitała go majorowa z ciepłym uśmiechem. — Jestem taka rada, że Ian pana zaprosił! W ostatnim tygodniu prawie nie widywałam własnego męża, a co dopiero gości!

Nakrycia i potrawy były o wiele skromniejsze niż w Pero Negro, ale serdeczność powitania i swobodna, rodzinna atmosfera nie uległy zmianie. Po raz pierwszy od wielu dni Val poczuł, że się odpręża.

— A więc Massćna zatrzymał się w Salamance?

- Na razie tak, panie majorze. Być może jednak podejmie ostatnią próbę ocalenia Almeidy. Tylko ten skrawek Portugalii pozostał jeszcze we władaniu Francuzów. W ręce kapitana Granta wpadł dokument wyraźnie wskazujący na to, że Napoleon życzy sobie, by Massćna odzyskał stracone pozycje.

Major Gordon nachmurzył się.

— Nie podoba mi się to, chłopcze! Nie chciałbym stawić czoła Francuzom pod nieobecność Wellingtona.

- Pod nieobecność Wellingtona?

— Nie słyszałeś jeszcze o tym? Wybrał się z grupką oficerów na południe sprawdzić, jak sobie Beresford radzi pod

Badajoz.

Val uśmiechnął się szeroko.

— Nie słyszałem dziś nawet pobudki, panie majorze, taki byłem zmachany.

Pani Gordon przez kilka minut przysłuchiwała się, jak obaj mężczyźni dyskutują nad sposobami przechytrzenia Francuzów. Potem zwróciła się do Vala:

- Byliśmy zrozpaczeni, dowiedziawszy się o śmierci pańskiego brata, panie poruczniku.

Po raz pierwszy wspomniano o Charliem.

- Jestem bardzo wdzięczny za współczucie, łaskawa pani - odparł Val.

Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że majorowa nie dodała już ani słowa. Jednak Ian Gordon nie był równie powściągliwy jak żona.

- To straszny cios dla waszego ojca - odezwał się. - Mam nadzieję, że dowie się o tym od kogoś życzliwego, a nie z listy poległych. - Major spojrzał na Vala. - Wielka szkoda, że nie może uznać ciebie, chłopcze, za swego dziedzica.

Ręka Vala powędrowała odruchowo do piersi, jakby chciał dotknąć zawieszzonego na szyi pierścienia, który przypominał mu o danej Charliemu obietnicy.

- Wątpię, czy chciałby to uczynić, gdyby nawet mógł, panie majorze - odparł chłodno.

- Co za wstyd! Faringdon musi zadowolić się jakimś tam kuzynem, czy kto tam jest następny w kolejce do tytułu... chociaż ma rodzzonego syna!

- Ianie! - mitygowała go żona.

- Mówię temu chłopcu szczerze, co myślę, Peggy!

- Trudno nazwać pana porucznika chłopcem, Ianie!

Dziękuję, łaskawa pani — wtrącił sucho Val.

- Nie mieszaj się do cudzych spraw, mój drogi!

- Nic nie szkodzi, pani majorowo. Oboje państwo jesteście dla mnie życzliwi i wiecie, jak kochałem Charliego. Zupełnie naturalne, że pan major mówił ze mną otwarcie, jak przyjaciel.

- Chyba nie wątpisz, że nim jestem, chłopcze - odezwał się Gordon.
- Czuję się zaszczycony, panie majorze.
Wszyscy spokojnie jedli deser, gdy major nagle rzekł:
- Wielka szkoda, Peggy, że staremu Nochalowi akurat teraz zachciało się wędrowek!
Będę musiał siedzieć tu kołkiem i wytrzasnąć jakąś inną eskortę dla Elspeth!
- Może wyślemy Ryana?
Major zmarszczył brwi.
- Może...
Val odchrząknął.
— Pewnie pan o tym nie słyszał, panie majorze, ale kapitan Grant wysłał mnie w pewnej misji do Londynu. Chętnie zaopiekowałbym się w czasie podróży panną Gordon, o ile nie uznają tego państwo za niestosowne.
Państwu Gordon rozjaśniły się twarze.
- Żona Ryana pojedzie z nią aż do Lizbony - wyjaśnił major.
- Ale czy to nie opóźni pańskiej misji, panie poruczniku? - spytała majorowa.
— Nie nadłożę wiele drogi, jadąc przez Pero Negro, łaskawa pani - zapewnił Val. - Muszę jednak wyruszyć jutro o świcie, więc nie zdążą państwo powiadomić panny Gordon o zmianie planów.
— Elspeth to córka żołnierza i odbyła z nami niejedną kampanię. Dobrze wie, że w żołnierskim pochodzie trzeba być przygotowanym na wszelkie niespodzianki - uśmiechnął się major z wyraźną dumą. - Ale musisz do niej napisać, Peggy, i wyjaśnić sytuację.
- Zaraz to zrobię, lanie. - Majorowa podeszła do męzowskiego stolika i skreśliła krótki liścik - Proszę, panie poruczniku - powiedziała, wręczając Valowi złożoną kartkę. - Doprawdy nie wiem, jak panu dziękować!
- Rad jestem, że mogę choćby w ten sposób odwdzińczyć się za tę wspaniałą gościnność, jakiej doznałem od państwa.
- Doskonale się wszystko składa, Peggy! - zwrócił się major do żony po odejściu Vala.
- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że porucznik Aston wraca do kraju!
- Pewnie! Będą razem ponad trzy tygodnie, Peggy! - stwierdził, przygarniając żonę do siebie. - Mam nadzieję, że Elspeth potrafi je dobrze wykorzystać.
— Ależ, lanie!
— Założę się, że nasza mała jest o krok od zakochania... choć może jeszcze sama o tym nie wie.
- Tak sądzisz?
— A ty nie? Widziałaś chyba, jak na niego patrzy!
Pani Gordon skinęła głową.
— I czy Aston w to wierzy, czy nie, jestem pewny, że mój stary znajomy, Charles Faringdon, uzna go oficjalnie za swego syna. Może wtedy porucznik przestanie się głupio upierać, że nie jest wart mojej dziewczynki - zakończył z wyrażonym zadowoleniem.

— Myślisz, że ją kocha, Ianie?

- Głowy bym nie dał, Peggy, ale gotówem się założyć, że coś tam już między nimi jest...
To niezły początek!

- A gdyby jego stosunki z hrabią nie uległy poprawie? Też nie miałbyś nic przeciw temu małżeństwu, Ianie? - spytała żona.

— Pewnie, że nie! „Człowiek to człowiek”. Wiesz przecie, Peggy, że w to wierzę.

- Wiem - odparła z serdecznym uśmiechem. - I właśnie dlatego tak cię kocham, choć taktu nie masz za grosz!

- Cóż, nie jestem aniołem, Peggy - odparł i pochyliwszy się, ucałował żonę w szyję.

— O, tak... i bardzo jestem z tego rada!

Val zaproponował swą pomoc bez namysłu. A raczej myślał tylko o tym, że będzie mógł odwdzińczyć się Gordonom za ich dobroć. Jakże mógłbym nie zaproponować im tego? rozważał, przygotowując się do porannego wyjazdu. Wybieram się przecież do Anglii. Dziwnie by to wyglądało, gdybym nie wystąpił z taką propozycją!

Przed opuszczeniem obozu zatrzymał się przed namiotem Willa Talimana. Mags zawiesiła właśnie nad ogniskiem garnek z kawą.

- Napije się pan z nami, panie poruczniku? - spytała.

- Nie mam na to czasu, pani Tailman. Wpadłem się tylko pożegnać z wami i życzyć Willowi, by szczęście wiernie mu towarzyszyło przez najbliższe tygodnie!

Will wynurzył się z namiotu.

- Dzień dobry, panie poruczniku!

- Dzień dobry, Will. Muszę już jechać, ale chciałem powiedzieć wam obojgu „bywajcie zdrowi!”

- Będzie nam pana brak, panie poruczniku - odparł Will, wyciągając rękę.

Val pochwyił ją i ścisnął przez chwilę.

- Nie ryzykuj głupio, Will. Pamiętaj, jesteś teraz żonatym człowiekiem!

— Już Mags nie da mi o tym zapomnieć, panie poruczniku!

- Kiedy pan porucznik wraca?

- Muszę doprowadzić do końca tę sprawę, w którą i pani była zaplątana, Mags. Nie przypominało się pani coś więcej? Może w liście do Stantonona było nazwisko tego szantażowanego? - spytał z nadzieją w głosie.

- Nie mogę przysiąc, że go nie było - odrzekła Mags - ale jestem prawie pewna, że opowiedziałam wszystko dokładnie.

Val westchnął.

- Którędy pan pojedzie, panie poruczniku? - spytał Will.

- Prosto na południe, potem na zachód. Wstąpię do Pero Negro, bo mam zabrać stamtąd pannę Gordon do Lizbony, a następnie towarzyszyć jej do Londynu.

- No to bawcie się dobrze na tych wszystkich balach i wieczorkach muzycznych, panie poruczniku! - powiedziała pani Tallman z figlarnym uśmiechem.

- Wątpię, czy będę miał na to czas, droga pani! - odparł Val i uśmiechnął się również.

Mags i Will patrzyli za oddalającym się jeźdźcem.

- Ale zabiedzony ten twój porucznik! - zauważyła Mags.
— Strasznie się gryzł śmiercią brata. I z pewnością wolałby pociągnąć z nami do Hiszpanii. Nie miałby wtedy czasu na czarne myśli.
- Może panna Gordon je od niego odpędzi.
— Myślisz? — zadumał się Will.
— Myślę, że byłaby z nich dobrana para! Prawie taka jak my, Will! - dodała i ucałowała męża w czubek głowy, kiedy siadł przy ogniu.

Rozdział XXVII

Elspeth usiłowała wypełnić sobie czas szyciem i czytaniem kilku książek, które miała pod ręką jednak nic prócz długich, popołudniowych spacerów nie mogło zagłuszyć jej niepokoju. Jakże denerwujące było to zawieszenie w próżni - już rozstała się z obozowym życiem, a jeszcze nie wyruszyła w podróż do Londynu. Gdy nadeszła pora wyjazdu i w każdej chwili można się było spodziewać przybycia ojca, Elspeth odruchowo zrywała się i biegła do okna przy każdym głośniejszym dźwięku.

— Niechże się panienka uspokoi! — skarciła ją łagodnie żona Ryana pewnego popołudnia, kiedy Elspeth trzy razy pod rząd zrywała się na równe nogi.

— Wiem, że jestem niemądra. Ale tak bardzo chciałabym już ruszyć w drogę! - Elspeth odłożyła nocną koszulę, którą właśnie cerowała, i chwytając wiszący przy drzwiach szal, stwierdziła: — Muszę się przejść, ale niebawem wrócę.

- Niech panienka będzie ostrożna! Tylko patrzeć, jak się ściemni.

- Dobrze, dobrze... Nie martw się o mnie, Nelly!

Najczęściej Elspeth udawała się na południe .od wsi, dziś jednak wyruszyła w kierunku północnym. Weszła na szczyt wzgórza, a następnie spuściła się w dolinę, gdzie znajdował się dawniej ich obóz. Wmawiała sobie, że ciągnie ją w tamtą stronę, bo tęskni już do dawnych kompanów, w duchu jednak czuła, że pragnie być tam, gdzie wszystko kojarzy się jej z porucznikiem Astonem. W dolinie czuła się jakoś bliżej niego.

Był to ciepły dzień, ale gdy słońce zaczęło się zniżać, Elspeth szczerzej owinęła się szalem, żeby nie zziębnąć. Miała już wracać, gdy dostrzegła zbliżającego się jeźdźca. Nadjeżdżał górskim szlakiem z północy. Na moment ogarnął ją strach, ale zaraz dostrzegła czerwoną kurtkę. To wreszcie ojciec! pomyślała. Zaraz jednak zorientowała się, że przybysz dosiada kasztana, podczas gdy major Gordon jeździł zawsze na siwku. Dłoń Elspeth uniosła się instynktownie do serca. Boże, nie pozwól, by ojca spotkało coś złego! Nie dotarły do niej żadne wieści o pochodzie armii, z pewnością jednak do tej pory stoczono kilka potyczek, może nawet walną bitwę?

Gdy jeździec podjechał bliżej, Elspeth poznała go i odetchnęła z ulgą. To był porucznik Aston. Z pewnością kapitan Grant wysłał go z jakąś misją; nie przywozi żadnych złych wieści o ojcu! Kiedy zwolnił i zaczął jechać stępą, „wybiegła mu na spotkanie.

- Porucznik Aston! Co za niespodzianka! - zawołała, osłaniając oczy od słońca.

- Ja też nie sądziłem, że spotkam panią właśnie tutaj, panno Gordon! Nie powinna się pani zapuszczać tak daleko od wsi.

- Ależ tu całkiem bezpiecznie! Zresztą zawsze kończę spacer przy tym drzewie - zapewniła go Elspeth. - Ale cóż pana sprowadza do Pero Negro? Spodziewałam się ojca. Czy przywiózł pan jakieś wieści o nim? - spytała z niepokojem.

Val zsiadł z konia i owinąwszy sobie cugle wokół ręki, szedł obok Elspeth.

- Mam dla pani liścik od matki, panno Gordon. Wyjmę go z tornistra i oddam, gdy będziemy już we wsi.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, odwróciła się i spytała ze strachem:

— Czy ojcu coś się stało?

- Ależ skąd, nic podobnego! Tyle tylko że pan major nie może teraz oddalić się od wojska. Ponieważ i ja wybieram się do Anglii, zaproponowałem... że będę służył pani jako eskorta.

— O! - zdołała tylko wykrztusić Elspeth, zaskoczona nagłą zmianą planów.

- Chyba że pani ma coś przeciwko temu? - spytał oficjalnym tonem yał.

- Skądże znowu, panie poruczniku! Tylko... nie pożegnałam się z ojcem jak należy, bo byłam pewna, że za kilka tygodni się spotkamy - wyjaśniła z żalem. - Ale w wojsku jednego można być pewnym - dodała z uśmiechem. - Kiedy się człowiek na coś nastawi, wszystko się składa akurat odwrotnie! Kiedy ruszamy?

yał roześmiał się.

- Pan major zapewnił mnie, że potrafi pani przystosować się do nowej sytuacji jak doświadczony żołnierz! Będzie jednak pani miała cały dzień na pakowanie - mówił wesoło - bo mojemu koniowi przyda się dłuższy odpoczynek!

- Mam wrażenie, że i jego panu też, panie poruczniku - odparła Elspeth. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest strudzony.

— Rzeczywiście, chciałbym się porządnie wyspać.

- Przenocuje pan w sypialni rodziców. I obiecuję smakowitą kolację! - dorzuciła, zauważywszy, że mundur na nim wisi.

Wracając do wsi, oboje czuli, że rośnie między nimi doskonale im już znane napięcie. Kiedy minął pierwszy szok, Elspeth uświadomiła sobie, jak bardzo ucieszyła się na widok porucznika Astona. Dobrze, że mam przy sobie Nelly Ryan! pomyślała, spoglądając ukradkiem na idącego obok niej mężczyznę.

Kiedy dotarli do domu, wskazała yalowi, gdzie może ulokować konia. Obiecała również, że postara się o gorącą wodę na kąpiel.

Gdy na wieść o tym luksusie Val rozpromienił się, Elspeth była ogromnie rada: taki zgnębiony i wyczerpany... Pewnie rzadko kiedy zsiadał z konia, odkąd Francuzi ruszyli na północ!

Ustawiły razem z Nelly wannę pośrodku kuchni. Dziewczyna uprzedziła swą towarzyszkę, że kolacja musi poczekać, póki przybysz się nie wykąpie,

- Bardzo proszę, panie poruczniku! Powiesiłam kawał flaneli na drzwiczkach piekarnika, będzie pan miał wygrzany ręcznik! W wannie jest też kawałek mydła.

- Bardzo dziękuję, panno Gordon! - powiedział Val z wdzięcznością.

- Nelly zostawiła potrawkę na kominie, a świeży chleb piekarniku, więc ma pan na kąpiel tylko dziesięć minut - dodała przeproszającym tonem.

Zdjąwszy mundur, Val zanurzył się z rozkoszą w miedzianej wannie i udało mu się wyłowić niewielki kawałek mydła. Nie pieniało się zbyt obficie, ale wyszorował się całkiem nieźle. Już umyty, oparł głowę o brzeg wanny, a palce bezwiednie powędrowały do sygnetu Charliego. Szyja i pierś pozieleniały Valowi od mosiężnego łańcuszka, ale odkąd włożył go przez głowę, ani na chwilę się z nim nie rozstawał. Mocno ściskając w ręku sygnet, jak dziecko ukochaną zabawkę, po raz pierwszy od wielu dni odprężony i rozgrzany, zapadł w sen.

- Muszę wejść do kuchni, panienko, i zobaczyć, co z potrawką! - oznajmiła niespokojnie Nelly. - Jak długo porucznik będzie tam siedział?

- Zawołam przez drzwi i przypomnę mu, żeby się pospieszył. Ty przez ten czas przynieś wody ze studni — uspokajała Elspeth żonę sierżanta. Podeszła do drzwi kuchennych i lekko zastukała. - Panie poruczniku! Nelly musi zajrzeć do garnków!

Żadnej odpowiedzi.

- Panie poruczniku! - Elspeth domyśliła się, że Val zasnął. Uśmiechnęła się, ale zaraz zeszytniała. Potrawka wyraźnie się przypala! O Boże! Trzeba wejść i obudzić go! Spał rzeczywiście, dokładnie tak jak przypuszczała. Elspeth, odwróciwszy wzrok, chwyciła flanelę, wiszącą na drzwiach piekarnika, i udało jej się zdjąć z ognia garnek z potrawką. Cienka flanela jednak nie ochroniła dziewczyny przed oparzeniem; wypuszczony nagle z rąk garnek grzmotnął o stół.

Elspeth obejrzała się niespokojnie, w tej samej chwili Val otworzył oczy i zaskoczony hałasem zaczął wstawać.

- Bardzo... bardzo przepraszam, panie poruczniku - wy- jąkała Elspeth. - Musiałam uratować potrawkę Nelly... pan widać zasnął...

Zorientowawszy się w sytuacji, Val natychmiast usiadł z powrotem. Oboje poczerwienieli z zażenowania, kuchennego żaru i czegoś jeszcze... Val poczuł nagły przypływ Pożądania.

Elspeth jakby wrosła w ziemię, Valentine wołał, żeby się do niego nie zbliżała, ale potrzebny był mu ręcznik, który ściskała w ręku.

— Panno Gordon...

- Słucham, panie poruczniku?

- Czy zechciałaby pani, wychodząc, położyć ręcznik na brzegu wanny?

- Tak, oczywiście... To doskonały pomysł, panie poruczniku - odparła Elspeth, wymyślając sobie w duchu od idiotek Odwróciwszy wzrok, zawiesiła ręcznik i wyszła z kuchni.

Zachowała się jak ostatnia gęś uznała, zamykając za sobą kuchenne drzwi. Drżała jednak nie tylko ze wstydu i nie tylko na wspomnienie szerokiej piersi porucznika, pokrytej mokrym, kędzierzawym futerkiem. Wstrząsnął ją widok jego uśpionej twarzy. Wydawał się taki młody, taki bezbronny... Miała ochotę wyciągnąć rękę i odgarnąć mu włosy z czoła... To niebezpieczne myśli, musi je odpędzić! Przecież niebawem spotkają się z Valem przy obiedzie.

Z początku, kiedy Nelly podawała im obiad i kroїła chleb, panowało niezręczne milczenie. Wreszcie Val uznał,

że należy je przerwać i rzeki:

- Panna Gordon uratowała pani pyszną potrawkę dosłownie w ostatniej chwili, Nelly! Elspeth spojrzała na Vala i widząc isierki śmiechu w jego oczach, pojęła, że wszystko jest znów w porządku.

- Musi pan mi opowiedzieć, co się wydarzyło, panie poruczniku - zażądała Elspeth, gdy zjedli obiad. - Wiem, że Massćna wyruszył na północ, ale od tej pory nie dotarli do nas żadne nowiny.

— W czasie odwrotu Massćna stoczył wiele potyczek i jego straż tylna nie próżnowała - powiedział Val. - Przeważnie zapuszczałem się o wiele dalej niż trzon naszej armii...

Wiele bym wówczas dał, żeby wrócić na dawne miejsce w regimencie... - dodał. -

Sposób, w jaki Francuzi traktowali miejscową ludność... Dobrze, że pani została w Pero Negro

i nie musiała tego oglądać.

- Wyobrażam sobie, co się tam działo..., zwłaszcza że Francuzi głodowali od miesięcy.

- Nie może sobie pani tego wyobrazić... i Bogu dzięki! - odparł Val takim tonem, że Elspeth nie odważyła się pytać o nic więcej, póki nie zasiedli przy kominku w salonie, sącząc porto.

- Czy w Portugalii nie ma już Francuzów, panie poruczniku?

- Przepędziliśmy ich, panno Gordon! Został już tylko niewielki garnizon w Almeidzie. Próbowali utrzymać się nad rzeką Coa, ale zmusiliśmy ich do odwrotu pod Sabugalem.

- Czy zginęło wielu naszych?

- Mniej niż Francuzów. - Val zamilki i dopiero po chwili powiedział: - Chanie padł pod Sabugalem.

Mówił tak cicho, że Elspeth nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

- Padł? Charlie? — Spojrzała na Vala i wiedziała już, że to prawda. — Och, nie! Nie Charlie! — wykrztusiła z rozpaczą.

- Gdyby dowodził nimi Crauford... Ale ten cholerny du reń Erskine miotał konnicą we wszystkie strony! — stwierdził z goryczą Val.

Cóż mogę mu powiedzieć? myślała gorączkowo Elspeth. Stracił tego, kogo najbardziej kochał.

- To ja się już kładę, panienko - odezwała się Nelly Ryan; zupełnie nie zauważyli, kiedy weszła.

- No tak, oczywiście.

Kiedy znowu zostali sami, Elspeth wyciągnęła rękę i położyła na ręce Vala.

- Tak strasznie mi przykro, poruczniku... Wszyscy kochaliśmy pańskiego brata - powiedziała drżącym głosem. Val desperacko uściskał jej dłoń.

- Każdy musiał kochać Charliego - wykrztusił. - Nie powinien był umierać. Jeśli już ktoś miał zginąć, to czemu nie ja?!

- Nie! - zawołała Elspeth. - Nie wolno panu tak mówić!

- Dlaczego? Przecież to prawda! - Spojrzał na nią oczyma pełnymi rozpaczy. - Był taki przepelniony miłością...

- To prawda... - szepnęła Elspeth.

Val puścił rękę dziewczyny i rozpiął bluzę przy szyi, wydobył sygnet.

- Dal mi to przed śmiercią. To pierścień herbowy Faringdonów - wyjaśnił. - Miałem to przechować, póki nie wróci. I oddać ojcu, gdyby nie wrócił... - Val, obracając sygnet w palcach, powiedział z bólem w głosie: - Tylko to mi po nim zostało... Nigdy nie powiedziałem mu wyraźnie, ile dla mnie znaczył...

Elspeth, wychowana w wojsku, nieraz była świadkiem rozpaczy po zgonie kogoś bliskiego. Wiedziała, że łatwiej pogodzić się ze stratą, jeśli można wykrzyknąć swój żal. Jednak rozpacz Vala nie niosła ze sobą ulgi. Dręczył go straszliwy ból po śmierci brata, nękało go poczucie winy... Cierpienie darło go na strzępy.

Elspeth wstała z krzesła i przykięła obok Vala.

- O, mój miły! - powiedziała impulsywnie. - Nie zdręczaj się tak! Twój brat wiedział, że go kochasz. Jestem tego pewna - mówiąc to, dotknęła jego policzka.

To czułe dotknięcie coś wyzwoliło w Valu. Pochwycił Elspeth i przycisnął ją do siebie, jakby tonął i tylko ona mogła go ocalić. Przywarł gwałtownie ustami do jej ust, które rozchyliły się na jego przyjęcie. Kiedy ją wreszcie puścił, oboje byli bez tchu.

Val także zsunął się z krzesła i ukląkł naprzeciw Elspeth. Jedną ręką objął tył jej głowy, schylając się w kolejnym gwałtownym pocałunku, druga ręką pieściła jej pierś.

W pierwszej chwili Elspeth odepchnęła go i Val natychmiast się odsunął. Jednak w oczach miał taką rozpacz, że Elspeth, zapominając o wszystkim, zapragnęła ukoić ją w jedyny dostępny jej sposób - zarzuciła mu ramiona na szyję i przytknęła wargi do jego ust.

Tym razem, gdy ręka Vala wśliznęła się w dekolt jej sukni, a jego kciuk zaczął zataczać kręgi wokół piersi, Elspeth nie zaprotestowała.

Val nie zważał w tej chwili na to, gdzie się znajduje i kim ona jest. Wiedział tylko, że jej pragnie i że nikt w świecie nie zdoła go pocieszyć. Tylko Elspeth. Gdy wyczuł, że odpowiada na jego pieścizny, pomógł jej wstać.

— Gdzie jest sypialnia? — spytał chrapliwie. — Nie wezmę cię przecież na podłozde!

Elspeth ujęła go za rękę i poprowadziła do sypialni rodziców.

Drżącymi palcami rozpiął jej suknię. Gdy schowała się pod kołdrą, zrzucił buty i mundur. Potem zdjął z szyi mosiężny łańcuszek i położył sygnet na stoliku obok łóżka.

— Chcesz, żebym zgasił świecę? - spytał.

Elspeth skinęła głową; zdusił knot, świeca zamigotała i zgasła, a on wśliznął się do łóżka.

Val, dotknąwszy ciała Elspeth, poczuł z radością, że jest gotowa na jego przyjęcie. Z jękiem opadł na dziewczynę i zanurzył ręce w jej włosach. Mocno całował jej usta, Elspeth zaś uniosła się ku niemu i poczuła, jak jest pobudzony.

— Nie mogę dłużej! — jęknął i objąwszy biodra dziewczyny, przycisnął ją do siebie.

Val nie myślał o niczym, nie dbał o nic, czuł tylko gwał

towną potrzebę, by się w niej zanurzyć. Elspeth poczuła piekący ból, ale po chwili zaczęła poruszać się w tym samym rytmie co on.

O Boże! Pragnął dotrzeć głębiej, jeszcze głębiej... zatonać w niej bez reszty... Krzyknął, osiągnąwszy szczyt, i osunął się na łóżko obok Elspeth, pozostawiając ją z uczuciem takiej pełni, a zarazem takiej pustki, jakiej nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu. Leżała, czekając na jego słowa, pragnęła usłyszeć cokolwiek... Nie zapewnienia miłości - na to nie liczyła, wiedziała, że powodowała nim nie miłość, ale rozpacz. Chciała jednak dowiedzieć się, że coś dla niego znaczy, że zdołała ulżyć mu w bólu... Val jednak milczał, a ona bała się poruszyć czy odezwać. Po kilku minutach jednak zdobyła się na odwagę i uniósłszy się na łokciu, spojrzała na niego.

Zasnął widać od razu. Elspeth sama nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Był taki wyczerpany! tłumaczyła sobie. Gorzej, że odwrócił się i odsunął od niej, podczas gdy ona spodziewała się, że ją przytuli, że będzie szeptał choćby przyjazne, jeśli już nie miłosne słowa. Wstała ostrożnie z łóżka i przyciskając do siebie suknię, pobięła po cichutku korytarzem do swej niewielkiej sypialni. Tu zakopała się w pościeli i płakała tak długo, aż wreszcie usnęła.

Kiedy Val obudził się następnego ranka, po raz pierwszy od wielu tygodni poczuł się wypoczęty. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, gdzie się znajduje i co się wydarzyło ubiegłej nocy.

Zaciągnął Elspeth Gordon do łóżka. Nie całkiem wbrew jej woli, ale jednak ją wykorzystał! Zrozumiał to, odtwarzając wydarzenia poprzedniego wieczoru. Posłużył się nią, by poczuć ulgę, by ukoić swą rozpacz. Nie potraktował równie egoistycznie żadnej kobiety od czasu, gdy miał osiemnaście lat. W dodatku postąpił tak z dziewczyną, którą kochał! O Boże, co jej teraz powie?

Val wstał i spojrzał na zmiętą pościel na łóżku Gordonów.

Zobaczył na niej plamy krwi - przypomnienie, że dla Elspeth był to pierwszy raz... Zakrył twarz rękoma. Czy bardzo ją bolało? Z pewnością nie zaznała z nim żadnej rozkoszy, miał jedynie nadzieję, że nie zadał jej zbyt wiele cierpienia...

Tym razem musiał się z nią ożenić! Serce w nim zamarło, gdy uświadomił sobie, że nie tylko pozbawił ją dziewictwa, ale i prawa wolnego wyboru. Elspeth nie ma innego wyjścia, jak tylko go poślubić. Tym razem sprawa wyglądała całkiem inaczej niż poprzednio - nie chodziło o pozory, ale o honor! Nie mógłby spojrzeć w oczy rodzicom Elspeth, gdyby się z nią nie ożenił.

Co za ironia losu! Kochał Elspeth i właśnie dlatego nie prosił jej o rękę; nie chciał ściągać na nią hańby — poślubiłaby przecież bękarta! A jednak zhańbił ją - i skutkiem tego musi się jej oświadczyć!

Słońce właśnie wschodziło; miał nadzieję, że Nelly nie jest rannym ptaszkiem i nie przyłapie go, gdy skradał się po korytarzu. Nie mógł zasiać naprzeciw Elspeth przy śniadaniu, nie rozmówiwszy się z nią wcześniej. Musi zapewnić ją, że gotów jest naprawić wyrządzoną krzywdę... Albo skrzywdzić ją jeszcze bardziej. Zależy, jak na to spojrzeć...

Otworzył po cichu drzwi jej sypialni i podszedł do łóżka. Leżała pogrążona we śnie, włosy rozsypały się po poduszce... Żałował, że nie może pozostawić jej w świecie sennych marzeń... Musi jednak obudzić się i stawić czoło twardej rzeczywistości.

- Elspeth... — Na jego szept poruszyła się lekko, ale nie otworzyła oczu. Wyciągnął rękę i ostrożnie pociągnął ją za ramię.

Dopiero teraz popatrzyła na niego ze zdziwioną miną, jakby próbowała zrozumieć, co on tu robi. I nagle przypomniała sobie wszystko.

Otuliła się szczelnie kołdrą i usiadła.

- Panie poruczniku...

- Musimy pomówić ze sobą, Elspeth. Pojmujesz chyba, że po wczorajszej nocy i moim niewybaczalnym zachowaniu... musimy się pobrać.

Elspeth siedziała bez ruchu, jakby czekając na coś jeszcze, ale nie miał pojęcia, na co. — Wiem, że cenisz sobie niezależność i wyrzekłabyś się jej tylko dla miłości...

- Tak... - szepnęła.

- Nie mamy jednak wyboru... Jestem pewien, że to rozumiesz. Na szczęście jesteśmy przyjaciółmi i czujemy do siebie wzajemny pociąg... Tak mi przykro, że przeze mnie znalazłaś się w takim położeniu...

— Ach, tak? — powiedziała Elspeth, a serce się jej ścisnęło.

— Moje zdanie na ten temat jest takie samo jak ubiegłej jesieni... Gdybyśmy jednak nie pobrali się po tej nocy, straszliwa hańba spadłaby i na ciebie, i na twoich rodziców, którzy mi zaufali.

Elspeth czuła, że gdyby serca rzeczywiście pękały, jej własne rozpadłoby się na kawałki w tym momencie! Valowi było przykro, że musi się z nią ożenić! Oczywiście, powodowała nim ta groteskowa mieszanina durny i poczucia własnej niższości... Gdyby jednak naprawdę coś dla niej czuł, w jego słowach byłoby choć trochę radości!

Nie mogę wyjść za pana w tych okolicznościach, panie poruczniku - odparła chłodno, mimo że ledwie panowała nad głosem.

- Właśnie z racji tych okoliczności musi pani wyjść za mnie, panno Gordon! - oznajmił tonem człowieka nawykłego do wydawania poleceń.

- Nie jestem podkomendnym, któremu może pan rozkazywać! — rzuciła ostro Elspeth. Val odetchnął głęboko.

- Oczywiście, Elspeth. Przepraszam za mój ton. Ale naprawdę nie ma innego wyjścia i oboje musimy się z tym pogodzić.

Wiedziała, że słuszność jest po jego stronie. Zresztą, za nikogo nie wyszłaby z większą ochotą... Ale nie tak! Nie tak...

- Musimy poczekać ze ślubem do Lizbony, tam znajdziemy pastora. Bardzo żałuję, że twoi rodzice nie będą obecni... W ogóle nie będzie to ślub, o jakim marzyłaś... - powiedział ze skrucą.

- Dawno wyrzekłam się dziewczęcych rojeń, panie poruczniku - odparła cierpko Elspeth. Za żadne skarby nie da mu odczuć, jak bardzo ją zranił! - A ponieważ Nelly niedługo wstanie, niech się pan czym prędzej stąd wynosi! Gotowa jeszcze pomyśleć, że musi się pan ze mną ożenić! - do-

dała z gorzką ironią.

Kiedy wyszedł z ukłonem, Elspeth nadal siedziała owinięta kołdrą. Oczywiście nie powiedziała mu prawdy. Nie wyrzekła się marzeń. Różniły się one nieco od fantazji innych dziewcząt; nie marzyła nigdy o wspaniałym przyjęciu, poślubieniu hrabiego albo księcia... Miała jednak nadzieję, że pewnego dnia ukochany mężczyzna wyzna jej swą miłość. Zastanawiała się nieraz, jak wygląda fizyczne zbliżenie małżonków, i łudziła się, że w jej wypadku będzie to związek nie tylko ciał, ale również serc i dusz.

— No cóż, moja mała - powiedziała sobie, zaczynając się ubierać. - Wczorajsza noc była czymś zgoła odmiennym od twoich rojeń!

Zaczerwieniła się, przypomniawszy sobie gwałtowne pożądanie Vala i reakcję jej własnego ciała. Pragnęła go równie mocno jak on jej; nie mogła temu zaprzeczyć.

Odpowiedziała całym ciałem na jego rozpaczliwe wołanie o pomoc. Pozostawała jedynie nadzieja, że znalazł w niej ukojenie...

Rozdział XXVIII

Wkrótce dotarli do Lizbony. Val ulokował obie kobiety wynajętych pokojach i natychmiast wyruszył na poszukiwanie anglikańskiego pastora. Skierowano go do wielebnego Arthura, który z początku obstawał przy tym, że bez specjalnego pozwolenia nic się nie da zrobić.

- Za dwa dni odpływamy, panie pastorze. Wokół nas szaleje wojna. Po prostu musimy się pobrać! Przecież w takiej sytuacji można odstąpić od ścisłych przepisów!

- Czy dama jest w... poważnym stanie?

Val omal się nie uśmiechnął na to sformułowanie. Zresztą, sytuacja Elspeth była istotnie poważna, a wzmianka o ciąży mogła skłonić proboszcza do udzielenia im ślubu. Skinął potakująco głową i zrobił skruszoną minę. Kto wie, a nuż okaże się to prawdą? To przypuszczenie wstrząsnęło nim do głębi: nigdy dotąd nie myślał, że mógłby zostać ojcem!

Ustalono, że cichy ślub odbędzie się nazajutrz. Po wyjściu od proboszcza Val błądził po ulicach, rozmyślając o tym, jak bardzo skrzywdził Elspeth. Powinna mieć suknię ślubną, kwiaty... a nie było nawet ślubnego pierścienia! No cóż., to jedno da się jeszcze załatwić. Znalazł ulicę, przy której były trzy sklepy jubilerskie. Ani w pierwszym, ani w drugim nie zobaczył niczego, co by mu odpowiadało. Do Elspeth nie pasowały te krzykliwe brylanciki, nawet gdyby mógł sobie na nie pozwolić! Tracił już nadzieję, że coś znajdzie, gdy nagle trzeci jubiler wyciągnął tackę pełną staroświeckich pierścionków. Na samym jej środku Val zobaczył pierścień z matowego złota z niewielkim, ciemnym szmaragdem. Był tak piękny i elegancki, że Val pojął od razu: to jest ślubny pierścień Elspeth! Wytargował go od jubilera za cenę, jaką był w stanie zapłacić. Wsadziwszy pudełeczko do kieszeni, wrócił do wynajętych pokoi w o wiele lepszym nastroju.

Następnego pochmurnego ranka udali się do niewielkiego kościółka. Elspeth poprzedniego dnia także wyruszyła na zakupy i teraz miała na ramionach nowy jedwabny szal,

zaczęte do tyłu włosy wpięła grzebień ze srebra i masy perłowej. Val przyglądał jej się ukradkiem podczas drogi. Wyglądała jego zdaniem - prześlicznie, ale była bardzo blada i poważna.

Jednym ze świadków była Nelly, drugim kościelny. Proboszcz poprosił Vala, by włożył żonie obrączkę. Elspeth II

z dumą się, widząc, że mąż wydobywa z kieszeni owinięty w bibułkę pierścionek. Wyciągnęła ku niemu drżącą rękę, a on wsunął jej pierścionek na palec. Pasował idealnie i Elspeth posłała Valowi uśmiech pełen zachwytu.

Val zadbał o przygotowanie wesełnego poczęstunku w ich apartamencie i zaprosił na owo śniadanie proboszcza i kościelnego. Sam nie wiedział, czy odczuł ulgę, czy też rozczarowanie, kiedy obaj się wymówili. Nelly dotrzy mała młodej parze towarzystwa, zachwycając się malusieńkimi pomarańczami, pływającymi w syropie, wspaniałym pieczywem i omłotem. Jednak zaraz po śniadaniu zostawiła ich samych.

Po wyjściu sierzantowej Elspeth podniosła do ust kawałek pomarańczy na srebrnej łyżeczce.

- Nelly ma rację! To wspaniałe śniadanie, panie poruczniku!

— Zacznij mi wreszcie mówić po imieniu, Elspeth!

Obracała na palcu pierścionek, przyglądając się, jak kamień lśni w słońcu.

— Nie spodziewałam się pierścionka, Val... zwłaszcza tak pięknego!

- Powinnaś mieć jakąś pamiątkę tego dnia - odrzekł z uśmiechem, co rzadko mu się zdarzało.

— Więc nazywam się teraz Aston? - spytała w zadumie.

- Tak. Nie odpowiada ci taka zmiana?

- Nie całkiem - przyznała otwarcie.

— Przynajmniej jesteśmy ze sobą szęzerzy, Elspeth. Nie mam ci za złe, że nowe nazwisko ci nie odpowiada. Nie jest nawet prawdziwe... Moja matka przybrała je przed moim urodzeniem - wyjaśnił z posępnym uśmiechem.

- Twoja matka musiała być bardzo dzielną kobietą - rzekła miękko Elspeth. Nigdy dotąd Val nie wspominał o swojej matce.

- Chyba tak. Z pewnością nie było jej łatwo udawać wdowę i wychowywać samotnie dziecko.

— Kiedy ją straciłeś, Val?

— Miałem osiem lat, kiedy umarła. — Przez chwilę pano

wała cisza, potem Valentine nagle wstał. — Muszę postarać się o bilety dla nas.

Elspeth została sama. Siedziała, rozmyślając, czym dla ośmioletniego chłopca była strata matki. Czuła, że sporo czasu upłynie, nim Val powie jej coś więcej o sobie.

Tego wieczora Elspeth szykowała się do łóżka staranniej niż zwykle. Włożyła jedwabną koszulę, kupioną poprzedniego dnia, i wyszczotkowała włosy do połysku. Oparła się o poduszki i czekała.

Niebawem w drzwiach ukazał się Val.

— Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli prześpię się dziś w bawialni - powiedział.

- Ach, tak? - Pewnie należało protestować lub domagać się wyjaśnień; była jednak tak zaskoczona i urażona, że nie mogła znaleźć słów.

- Czekają nas dwa niezbyt wygodne tygodnie na pokładzie statku, więc powinnaś się wyspać na zapas. - Zawahał się. - Nie miałaś czasu przyzwycząić się do małżeństwa, a ja nie potraktowałem cię delikatnie... Chcę ci więc dać trochę czasu, żebyś się oswoiła z nową sytuacją - Przez chwilę stał, jakby czegoś od niej oczekiwał, nie wiedziała jednak, o co mu chodzi. — No cóż, jutro trzeba wstać..., więc dobrej nocy!

- Dobranoc, Valentine! - szepnęła, gdy zamykał drzwi.

Widocznie obcisła jedwabna koszulka nie zrobiła na nim większego wrażenia, a wtedy wziął mnie wyłącznie z rozpaczy! myślała ze smutkiem. Nie była to noc poślubna, jakiej się spodziewała Elspeth westchnęła, zgasiła świecę i zasnęła

W dniu ślubu Val postanowił, że da Elspeth trochę czasu, nim znów się do niej zbliży. Za pierwszym razem potraktował ją tak bezwzględnie, wykorzystał ją... Przysiągł sobie, że gdy znów będą się kochali, okaże się czuły i delikatny. Niech namiętność ogarnie ją powoli, a nie przerazi gwałtownym wybuchem. Jakże jednak musiał zmagać się ze sobą, by nie wskoczyć natychmiast do jej łóżka! Elspeth była taka śliczna w przylegającej do ciała koszulce, z rozpuszczonymi włosami... Długo nie mógł usnąć.

Kiedy dotarli do Londynu, Val wynajął dla nich apartament w niewielkim hotelu na obrzeżu Mayfair*.

- Bardzo żałuję, że to nie Fenton czy coś równie eleganckiego, Elspeth — usprawiedliwiał się — ale kapitan Grant dał mi pieniądze tylko na kawalerskie lokum. - Val nie wspomniał, że znaczną część swych oszczędności wydał na pierścionek.

- Te pokoje są bardzo wygodne, Val! - zapewniła go żona. - Przyznam zresztą ze wstydem, że gotowam w tej chwili spać wszędzie, byle na stałym lądzie!

- Muszę się udać do Whitehall, ale dopilnuję, by ci przysłano porządny lunch, Elspeth! Jesteś zbyt blada, choć bardzo ci z tym do twarzy.

- Dobrze ito, przedtem byłam zielona - odparła z uśmiechem. Val spędził w Whitehall prawie cały ranek. Długo musiał czekać, nim go przyjął szef kancelarii rządu.

- Rozumiem, że kapitan Grant przysłał pana w celu dalszego przesłuchania młodego Deyereaux? - spytał dygnitarz, gdy Vala dopuszczono wreszcie przed jego oblicze.

- Tak jest. Kapitan Grant pragnie się upewnić, że ten młodzieniec mówi prawdę, nim zostaną podjęte działania przeciw osobie, której nikt nie podejrzewałby o zdradę - odparł z żalem w głosie Val.

- Jestem przekonany, że chłopak mówi prawdę, choć tak samo jak pan wiele bym dał, żeby zdrajcą nie okazał się właśnie James Lambert.

- Gdzie mogę znaleźć tego Deyereaux?

— Pełni nadal funkcję sekretarza.

— Nie został aresztowany?

— Chyba pan pojmuje, panie poruczniku, że aresztowanie Deyereux zaalarmowałoby markiza - odparł nieco złośliwie minister.

- Istotnie. Nie pomyślałem o tym.

— Jest pan przyjacielem Wimborne'a?

Val skinął potakująco głową.

— Spełnia teraz gorliwie swe obowiązki wobec siostry, towarzysząc jej podczas pierwszego sezonu. Jako syn księcia Rayenscroft, młody Deyereaux bierze również czynny udział w życiu towarzyskim. Czy mogę podsunąć pewną sugestię?

- Bardzo proszę.

- Postaram się dla pana o zaproszenia na niektóre imprezy towarzyskie, w których i oni wezmą udział. Dzięki temu będzie pan mógł zapoznać się z Deyereaux i uśpić wszelkie podejrzenia markiza co do charakteru pańskiego pobytu Londynie.

- Wątpię, czy przysłoby mu do głowy, że go szpieguję - odparł z goryczą Val.

- Może i nie, ale lepiej nie płoszyć żadnego z nich. Gdzie się pan zatrzymał?

— Zamieszkaliśmy w hotelu „Blackstone”.

— Skąd ta liczba mnoga? Czyżby przywiózł pan ze sobą jeszcze kogoś?

- Przyrzekłem zaopiekować się podczas podróży do Londynu córką kapitana Gordona. - Val zaczerwienił się. - A ona... zgodziła się wyjść za mnie i wzięliśmy ślub w Lizbonie.

- Ach, tak? - powiedział minister unosząc brwi. — Cóż, w takim razie postaram się o zaproszenia dla porucznika Astona wraz z małżonką.

- Bardzo dziękuję, panie ministrze.

Rozdział XXIX

— Jak ci minął dzień, Elspeth? - spytał Val, gdy wróciwszy do domu zastał żonę w saloniku.

— Nic tylko jadłam i spałam! - wyznała z uśmiechem. — Mam nadzieję, że do jutra wypocznę i choć na krótko wyjdę z domu.

— Powinnaś wypoczywać, ile tylko chcesz, ale... — zaczął Val i urwał.

— Ale co?

- Jutro pewnie zaczną napływać zaproszenia.

-Jakim cudem? Maddie nie ma pojęcia, że już przyjechałam. A o naszym małżeństwie nikt nie wie - dodała, rumieniąc się lekko.

- Wie już nim pewien minister w Whitehall - poinformował ją Val z niewesołym uśmiechem. — Podobno dla pomyślnego wypełnienia przeze mnie misji niezbędny jest mój udział w życiu towarzyskim stolicy, więc otrzymamy zaproszenia na parę przyjęć. A kiedy zawiadomisz Maddie, że już jesteś w Londynie, Elspeth, posypie się ich jeszcze więcej — dodał.

W jego głosie czuć było napięcie i Elspeth zauważyła, że mąż czymś się denerwuje.

- No, siadaj tu i opowiedz mi dokładnie, z jaką to misją wysłał cię kapitan Grant — powiedziała, wskazując mu miejsce obok siebie na kanapce.

- Chyba mogę ci to wyjaśnić... - odparł, siadając na krześle naprzeciw niej. Elspeth westchnęła cichutko, zastanawiając się, kiedy wreszcie Val zechce znów się do niej zbliżyć.

— Ale nie powtarzaj tego nikomu - ostrzegł.

- Potrafię dochować sekretu. Zapewniam cię, Valentine.

- Oczywiście, że tak! Bardzo cię przepraszam. Wspomniałem ci, że w zimie ktoś przekazywał Masscnie tajne informacje, prawda?

- Tak, i że pani Tailman pomagała ci go wykryć...

- Wytypowaliśmy trzech podejrzanych: George'a Trowbridge'a, Lucasa Stantona i Jamesa Lamberta.

Jamesa?!

- Zareagowałem tak samo jak ty - odparł posepnie Val. - Ale okazało się, że to właśnie James. Informacje na temat tajnych posiedzeń rządu otrzymywał z Londynu od pewnego sekretarza ministerstwa, któremu się ubzdurało, że jest rewolucjonistą.

— Ale przecież James nim nie jest! — protestowała Elspeth. — Co mogłoby go skłonić do zdrady?!

- Jego zmarły ojciec doprowadził ich niemal do ruiny. Jamesowi udało się oczyścić rodzinny majątek z długów, ale bardzo niewiele mu zostanie po debiucie towarzyskim siostry.

— Jamie miałby sprzedawać tajemnice państwowe, by zapewnić Maddie udany sezon?! Nigdy w to nie uwierzę! Maddie z pewnością zgodziłaby się zaczekać jeszcze jeden rok!

- Sam James też powinien się ożenić... A który ojciec odda córkę bankrutowi?

- Ale ja znam Jamesa... On nie mógłby zrobić czegoś takiego! - protestowała z wyrazem osłupienia na twarzy.

- I ja tak myślałem. Może zdecydował się na to w chwili desperacji... a potem nie mógł się już wycofać. Uniemożliwił mu to Lucas Stanton!

- Lucas Stanton?

— Szantażował Jamesa. Musiał dowiedzieć się o wszystkim bardzo wcześnie. I potem James potrzebował pieniędzy już nie tylko dla rodziny, ale i na opłacenie jego milczenia.

— Przyjechałeś więc aresztować Jamesa? — Elspeth powiedziała to cicho, ale współczucie w jej głosie było bardzo wyraźne.

- Nie od razu. Muszę najpierw przesłuchać młodego Deyereaux i upewnić się, że mówi prawdę.

Twarz Elspeth rozjaśniła się.

— A może kłamie? Może Lucas zapłacił mu za fałszywe zeznania?

- Bardzo bym chciał, żeby tak było... ale pozostaje jeszcze problem szantażu.

- Czy pani Tailman znalazła w tamtym liście nazwisko Jamesa?

- Nie - przyznał Val.

- Nigdy nie mogłam znieść Lucasa Stantona. Od pierwszej chwili czułam do niego wstręt!

- oświadczyła Elspeth.

- Ja również, a znam go o wiele dawniej niż ty - odrzekł Val, nieco rozbawiony zajadłością żony.

- Zapomniałam, że byliście w jednej szkole. I z jego powodu musieliście stamtąd odejść, prawda? — mówiła powoli, przyponiainając sobie tę sprawę. - Charlie powiedział, że pobijeś go do nieprzytomności. Nigdy mi jednak nie wyjaśniliście, o co wam poszło.

- Stanton... hm... obrzydliwie wykorzystał małego chłopca, Elspeth. Nie mogłem znieść myśli, że taka brutalna napaść ujdzie mu płazem.

- Lucas Stanton należy do tych, co czują pociąg do innych mężczyzn? Nie przepuścił żadnej kobiecie w obozie! - zauważyła Elspeth ze zdziwioną miną.

- Lucas Stanton należy do tych, co potrafią wykorzystać wszystko, co im się nawinie..., choć nie sądzę, by miał z natury podobne skłonności.

- To podlec - orzekła stanowczo Elspeth. - Czy ma skłonność do mężczyzn, czy nie!

- Też tak sądzę.

- Więc może to on jest tym zdrajcą? A szantażował kogoś zupełnie innego!

- Chciałbym w to wierzyć, Elspeth.

- No to uwierz! Nie bądź taki święcie przekonany o winie Jamesa! - Odruchowo nakryła dłonią rękę męża. Był to ich pierwszy kontakt fizyczny od zawarcia małżeństwa, nie licząc oficjalnego pocałunku w kościele. Val poczuł, że pod tym lekkim dotknięciem jeża mu się włoski na całym ramieniu. Powiódł kciukiem po ręce żony, sądząc, że ona ją natychmiast cofnie. Wyczuł jednak, że poddaje się jego pieszczocie. Elspeth pochyliła się ku niemu i Val, nie puszczając jej ręki, przesiadł się na kanapkę.

- Jak ślicznie wygląda na pani rączce ślubny pierścień, pani Aston — szepnął.

- Bo to bardzo piękny pierścień, mój panie - odparła bez tchu.

— To nie pierścień jest piękny, tylko ręka — sprzeciwił się Val. — Równie kształtna, jak silna.

- Silna byłem zawsze -. westchnęła Elspeth.

- To przecież nic złego?

— Siła nie jest tą zaletą, której mężczyzna przede wszystkim poszukuje w kobiecie - odparła lekkim tonem.

- A czegoż to szuka przede wszystkim? - spytał łagodnie.

— Sam powinieneś wiedzieć, jesteś przecież mężczyzną. Urody, rzecz jasna!

— Może to prawda, jeśli chodzi o pierwszego lepszego mężczyznę, ale towarzyszką żołnierza może być tylko silna kobieta!

Elspeth dobrze wiedziała, że daleko jej do piękności. Pomyślała jednak z żalem: Jakby to było cudownie, gdyby skłamał, że jestem piękna! Szybko jednak podniosła się na duchu, słysząc dalsze słowa męża:

— A twój żołnierz miał wiele szczęścia, znalazłszy kobietę o tak pięknych włosach... - Odgarnął jej z twarzy kilka niesfornych kosmyków, połyskujących w popołudniowym słońcu. - I takich oczach: orzechowych, z zielonymi iskierkami... - Uniósł jej podbródek i wpatrzył się w nie tak intensywnie, że zmieszana Elspeth spuściła wzrok.

- I z piegowatą skórą — dodała, starając się złagodzić rosnące między nimi napięcie.

- O, tak, przyprószoną gwiazdzistym pyłem - przytaknął i powiódł palcem po jej policzku.

- A zatem jest pan zadowolony ze swojej małżonki, poruczniku? - przekomarzała się.

- Jeszcze jak, łaskawa pani! — odparł, pochylając się ku niej i muskając wargami jej wargi.

Elspeth rozchyliła je natychmiast, ich usta pieściły i drażniły się wzajemnie. Wydała cichutki jęk Val oderwał się od niej.

- O, nie odchodź! - szepnęła i przyciągnęła go znów do siebie.

Tym razem ich pocałunek był długi i namiętny. Potem Val przytulił twarz do szyi żony.

— Pragnę cię, Elspeth — szepnął jej do ucha — ale tak brutalnie cię wykorzystałem...

Nie zdziwię się, jeśli mnie nie zechcesz.

— Ależ chcę, chcę! - zapewniła.

Jego dłoń podkradła się ku jej piersi i Elspeth zadrżała.

- Ale nie na kanapie! - powiedziała z łobuzerskim uśmiechem.

Val objął ją i poprowadził na górę, do ich sypialni. Gdy zamknął za nimi drzwi, stanęli zapatrzeni w siebie.

— Jeszcze jasno — szepnęła Elspeth.

- No to zaciągnijmy zasłony. - Zasuńawszy je, Val odwrócił się. Elspeth stała bez ruchu na tym samym miejscu.

— Zmieniłaś zdanie?

- Nie - odparła powoli. - Po prostu nigdy jeszcze nie rozbierałam się na oczach mężczyzny.

- Więc pozwól, że ci pomogę. - Val podszedł do niej i zaczął powoli rozpinąć jej suknię, całując ją przy tym w kark. Wreszcie suknia opadła na podłogę.

Elspeth przestąpiła ją i zwróciła się do męża:

- Trochę mi zimno. Schowam się pod kołdrę, a ty się roz bierz.

Val wiedział, że nie chodzi wcale o zimno, tylko o jej skrępowanie. Rozpiął guziki munduru, przyglądając się wchodzącej do łóżka żonie. Przeszedł już od kurtki do spodni, gdy nagle zachichotała.

- A buty?

Miał wrażenie, że nigdy nie zdejmie tych cholernych buciorów, ale w końcu mu się to udało. Stał teraz w samych gątkach, odwrócony plecami do Elspeth. Zastanawiał się, czy nie zdjąć ich w łóżku, byli jednak mężem i żoną... Prędzej czy później i tak mnie zobaczy! powiedział sobie i ściągnął je od razu.

Gdy się odwracał, usłyszał coś jakby jęk przerażenia i aż poczerwieniał z zażenowania. Lepiej było jednak poczekać!

— Twoje plecy, Val! - odezwała się drżącym głosem.

Zupełnie o nich zapomniał! Poprzednim razem kochali się po ciemku, nie mogła więc zobaczyć jego blizn; wszystko zresztą poszło tak prędko, że nie wyczuła ich nawet pod palcami.

— No cóż, nikt, kto służy w wojsku przez dwanaście lat, nie uniknie chłosty - powiedział, bagatelizując sprawę. - Oczywiście jeśli zaczyna od szeregowca! — zakończył z ironią.

— Tylko raz przypatrywałam się chłostie — powiedziała Elspeth - i to mi wystarczyło!

Wiem, że to środek niezbędny dla utrzymania dyscypliny, ale nie byłabym w stanie przyglądać się temu ponownie!

Val przysiadł na skraju łóżka, a Elspeth muskała palcami krzyżujące się blizny.

- Dawno to było, Val?

- O, na samym początku. Nie przywykłem jeszcze do wojskowego rygoru... Choć miałem niezłą zaprawę u George'a Burtona! - dodał z goryczą.

- A któż to taki?

- Mąż mojej ciotki. Kowal, u którego terminowałem. Moje życie nie było egzystencją oficera i dżentelmena, Elspeth.

- Czy ten George był okrutny?

- Jedni powiedzieliby, że tak... Inni, że nie był gorszy od większości ludzi.

— Mówiłeś mi, że straciłeś matkę, mając osiem lat. Czy od razu zamieszkałeś u ciotki?

- A dokąd mógłbym się udać? - spytał rzeczowym tonem. Palce Elspeth nadal błędziły po jego plecach. Gładziła szramy, jakby chciała je zetrzeć. Val nie mógł odwrócić się do niej

— nie teraz, gdy litowała się nad nim. Nie pragnął od niej litości!

- Może do ojca? - szepnęła.

Popatrzył na sygnet, który wisiał na jego szyi, i ściągnął łańcuszek przez głowę.

- Do ósmego roku życia wierzyłem, że mój ojciec był żołnierzem i zginął w Indiach wyjaśnił z goryczą.

Elspeth milczała. Cóż mogła powiedzieć? Że serce jej się ścisnęło z żalu nad chłopcem, który równocześnie stracił i matkę, i ojca? Którego oddano pod opiekę brutalu... może sadysty? Wydawało jej się dawniej, że pojmuje dumę Valentine'a. Uważała nawet — Boże, przebaczone! - że jest przewrażliwiony na punkcie czegoś, co jej zdaniem nie było takie ważne...

— Bardzo żałuję, że musiałaś wyjść za mnie, Elspeth — powiedział Val.

— A ja wcale tego nie żałuję! — odrzekła gwałtownie i posunęła się na łóżku, robiąc mu miejsce. Ujęła go znów za rękę i przyciągnęła do siebie.

Po pierwszym pocałunku Valowi było już wszystko jedno, czy przemawia przez nią miłość, czy współczucie. Zatracił się w cudownej teraźniejszości, w niebotycznym zdumieniu, gdy powiodła ręką w dół po jego ciele i zaczęła pieścić go delikatnie i rytmicznie.

— Jeszcze nie... — szepnął, odsuwając ostrożnie jej dłoń.

— Myślałam, że sprawi ci to przyjemność — odparła także szepem.

— I to jaką! — jęknął. — Ale to zbyt wiele i za wcześnie... Pragnę tym razem dać ci rozkosz.

Pod pieścizną jego dłoni Elspeth pojęła, że do tej pory nie wiedziała nic o życiu. Od momentu, gdy zdała sobie sprawę, że nie jest ani piękną, ani słodkim głupiątkiem, dławiała w sobie wszelkie emocje. Po cóż by miała czekać, spragniona miłości, kiedy nikt nie wyjdzie jej naprzeciw, nie odkryje, jaka w istocie jest? Nikt nie próbował odkryć prawdziwej Elspeth. Dopiero teraz ten mężczyzna z surową twarzą i okaleczoną duszą delikatnie... o, jakże delikatnie pomagał jej wznieść się na wyżyny, tak iż pozornie oddalała się od niego. Nie pozwolił jednak, by mu uciekła... pogonił za nią, poszukiwał jej wytrwale, aż wreszcie znalazła się w jego ramionach — nareszcie wolna, nareszcie tam, gdzie chciała!

Gdy Elspeth przylgnęła do niego, drżąc na całym ciele, Val nie zwlekał dłużej. Wiedział, że czeka, gotowa się z nim zjednoczyć. Elspeth sprawiła, że zapomniał o wszystkim, co było, że istniał tylko w teraźniejszości, tylko z nią.

Długo leżeli ciasno objęci, Val od czasu do czasu całował włosy żony. Gdy wreszcie opadli oboje na poduszki, Elspeth zerknęła na męża i cicho się roześmiała.

— Co tak bawi łaskawą panią? - spytał.

Wyciągnęła palec i powiodła nim po jego nosie.

- Kpisz sobie z mego nosa?! - zawołał z udanym oburzeniem. - Żebyś wiedziała, że uchodzi za bardzo...

- WeHingtonowski - zakończyła, chichocząc.

— Aż taki?!

- Ciekawe, czy nasze dzieci go odziedziczą?

Val westchnął. Spytała niespokojnie:

- Chyba chcesz, żebyśmy mieli dzieci, Valentine?

- Tak, tak. Chcę! Tylko nigdy nie przypuszczałem, że się ożenię... że zostanę ojcem. Odwrócił się ku niej.

- Chyba na swój sposób nie jestem lepszy od Willa Tailmana - przyznał. Zawsze byłem zdania, że żołnierz nie powinien się żenić. Nie wierzyłem, że znajdę kobietę, która zgodzi się dzielić mój żołnierski los — wyjaśnił.

— Aleś ją znalazł - odparła miękko.

— Wygiąda na to, że tak - stwierdził i sięgnąwszy po jej rękę, mocno ją ścisnął. — A nosem się nie martw - podżartowywał. - Jest krzywy, bo złamany... Ale znacznie mniej sterczy niż nochal mego ojca!

— Spotkasz się niedługo ze swoim ojcem, Val? — spytała ostrożnie, by nie zakłócić swobodnego nastroju.

- Obiecałem przecież Charliemu. Zamierzam jutro odwiedzić Faringdon House i przekonać się, czy hrabia nadal jest w Londynie.

- Chcesz, żebym poszła z tobą?

— Nie, Elspeth. Bardzo ci dziękuję, ale muszę zrobić to sam. — Pochylił się i pocałował ją. — Dobry z ciebie kamrat, moja pani żono!

Val usnął, a Elspeth nadal leżała bezsennie. Ten nowo poślubiony mąż ofiarował jej swoje ciało, pomógł jej odkryć drzemiące w niej namiętności. Widziała jednak jasno, że na razie szukał w niej tylko rozkoszy i ucieczki od samego siebie. Kiedy wreszcie pozwoli, by go kochała? Kiedy otworzy się przed nią?

Rozdział XXX

Zgodnie z przewidywaniami Vala zaproszenia zaczęły napływać już następnego dnia. Po śniadaniu, przy drugiej filiżance herbaty, Elspeth zabrała się do ich otwierania.

— Książę i księżna Farron zapraszają nas na wieczór muzyczny! - wykrzyknęła.

— To chyba najtrudniejsze zadanie, jakie mi przydzielił kapitan Grant - skarżył się Val. - Wolałbym otwarty bój z Francuzami od tego zalewu zobowiązań towarzyskich! - wyznał półżartem.

- Ja też się do tego nie palę. Zgodziłam się wziąć udział w balu na cześć Maddie, ale nigdy nie oczekiwałam czegoś podobnego! - Wskazała gestem stos zaproszeń.

— Bardzo cię przepraszam, Elspeth. Nie przypuszczałem, że staniesz się ofiarą tej ponurej groteski!

- Poświęcę się dla Boga i ojczyzny - odparła z iskierkami śmiechu w oczach. Potem nagle spoważniała. - Inni złożyli im znacznie większe ofiary.

Wobec tego zostawię cię przy tym szczytnym zadaniu - powiedział Val, wstając od stołu.

- Muszę złożyć wizytę w Faringdon House.

- Powodzenia, Val! - zawołała za nim.

Dopiero przybywszy na St. James Square Val uświadomił sobie, jak bardzo liczył na to, że na drzwiach Faringdon House nie będzie kołatki*. Ujrzał ją jednak na zwykłym miejscu. Wisiała nad nią żałobna kokarda.

- Ależ ze mnie tchórz! - mruknął Val, stojąc pod drzwiami i nie będąc w stanie podnieść ręki. W końcu jednak ujął kołatkę i kilkakrotnie mocno zastukał.

- Bardzo mi przykro, ale pan hrabia nikogo nie przyjmuje — oznajmił Baynes.

Najwyraźniej zamierzał zamknąć Valowi drzwi przed nosem.

- Czyżbyś mnie nie poznał, Baynes? To ja, Valentine Aston. Przychodzę złożyć memu ojcu kondolencje.

— Pan Valentine we własnej osobie! — Twarz starego majordoma poczerwieniała. — Najmocniej przepraszam. Zaraz zamelduję panu hrabiemu o pańskim przybyciu.

Wprowadził gościa do biblioteki, gdzie na kominku wesoło trzaskał ogień. Val był zbyt zdenerwowany, by usiedzieć spokojnie, chodził więc od półki do półki, zerkając na tytuły książek i czekając z niepokojem na wejście hrabiego.

Kiedy usłyszał, że drzwi się oswieraj odwrócił się w ich stronę. Nawet gdyby hrabia był jego najgorszym wrogiem, Val czułby dlań współczucie z powodu straty syna, teraz jednak zdumiał się, jak bardzo żał mu człowieka, który stał przed nim.

— Witaj, Valentine.

- Dzień dobry, panie hrabio.

Val nie widział ojca od lat i zaskoczyło go, że tak bardzo się postarzał. Jasne włosy posiwiały, hrabia bardzo schudł. Twarz pokryły mu zmarszczki, nos wystawał jeszcze bardziej. Wygiąda jak stary orzeł, pomyślał Val.

Nie ulegało wątpliwości, że hrabiego pokonał nie tylko wiek, ale i ból. Oczy miał zaczerwienione i przygasłe, usta zaciśnięte.

- Przybyłem złożyć wyrazy współczucia, panie hrabio - odezwał się Val tak ciepłym tonem, jakim nigdy dotąd nie przemawiał do ojca.

- Usiądź, Valentine, bardzo proszę. - Przy kominku stały dwa fotele. Hrabia zajął jeden z nich, a Valowi wskazał drugi. Przez chwilę siedział w milczeniu, wpatrując się w płomień, jakby chciał z niego coś wyczytać. — Byłeś razem z Charliem?

— Tak, panie hrabio. Prawie siedem miesięcy tkwiłszy za linią umocnień.

- A tak, sławne Torres Vedras! Zawsze byłem pewny, że któregoś dnia geniusz Wellingtona zabłyśnie w całej pełni. Chyba to wreszcie nastąpiło.

— Ocalił Portugalię... i pewien jestem, że odbierzemy Francuzom także Hiszpanię!

- Gdzie zginął Chanie? — spytał hrabia wprost.

- Francuzi zatrzymali się nad rzeką Coa, w pobliżu miasta o nazwie Sabugal. Zmusiliśmy ich do odwrotu. Sam Wellington stwierdził, że to jedno z najwspanialszych zwycięstw jego armii.

- A więc Chanie padł na polu chwały? Powinno to być chyba pociechą dla mnie, ale tak nie jest, Valentine... Nie czuję żadnej pociechy — wyznał hrabia, patrząc na syna. — Czy wiesz, jak zginął? Listy poległych nie podają żadnych szczegółów, a chciałbym wiedzieć, czy bardzo cierpiał... - Głos hrabiego drżał.

- Byłem wówczas na rekonesansie po drugiej stronie rzeki, panie hrabio, ale udało mi się odnaleźć go po bitwie.

- Tak, Chanie pisał mi, że jesteś prawą ręką Colquhouna Granta. Bardzo był z ciebie dumny. Wspominał o tobie w każdym liście. Zginął od razu, Valentine, czy długo się męczył? — Głos hrabiego załamał się, jego oczy były pełne bólu. - Chyba nie mógłbym znieść myśli o jego długich cierpieniach...

— Został trafiony w płuco, panie hrabio. Sądzę, że śmierć nastąpiła bardzo szybko.

- Ale go bolało...

- Chyba niewiele poczuł - odparł Val, modląc się w duchu, by to była prawda. Hrabia ukrył twarz w dłoniach.

- Może powinienem był skłamać, panie hrabio, ale to nie byłoby w porządku wobec Charliego. Zapewniam jednak, że miał znacznie lżejszą śmierć niż wielu żołnierzy. Jego twarz wyrażała raczej zaskoczenie niż ból.

- Dzięki Bogu i za to.

- Przed bitwą powierzył mi to, panie hrabio. - Val wyciągnął pierścień Faringdonów. - Nie chciał, by sygnet zginął albo... I życzył sobie, żebym oddał go osobiście panu hrabiemu, gdyby stało się coś złego. - Zdjął pierścień z łańcuszka i podał ojcu. Hrabia wziął go i obracał w ręku, jakby nigdy przedtem go nie widział.

- Herbowy sygnet Faringdonów - szepnął.

- Tak, panie hrabio.

- Od trzystu lat nosił go zawsze wicehrabia... - Faringdon podniósł oczy na syna i powiedział z ogromnym znużeniem: - Należy do ciebie, Valentine - i podał mu sygnet.

- Należy... należał do Charliego, panie hrabio. Teraz powinien go otrzymać kolejny wicehrabia. Z pewnością znajdzie się jakiś krewniak - dodał niemal opryskliwie.

— Tak, ale jesteś teraz moim jedynym synem, Valentine, — Nim Val zdążył odpowiedzieć, hrabia wstał i podszedł do biurka. - Niestety, nie mogę uczynić cię spadkobiercą tytułu, ale... - wziął z biurka jakiś dokument — ale uznałem cię oficjalnie za mego syna. Zapewni ci to odpowiednią pozycję w społeczeństwie. Valowi odebrało mowę. Teraz, teraz ojciec chce go uznać?! I uśmiecha się do niego, jakby ofiarowywał mu upragniony dar?

- Gównu mnie to obchodzi, czy pan mnie uzna, czy nie uzna, panie hrabio! Spóźnił się pan z tym o wiele lat! - rzucił, a słowa zadźwięczały twardo jak stal.

— Przecież nie idzie o tytuł wicehrabiego, Valentine.

|

- Pańskim synem, panie hrabio, był Chanie!

— Ty również jesteś moim synem, a Chanie nie żyje. Przecież tego właśnie by sobie życzył! Nieraz nalegał, bym to uczynił.

— Chciał, żebym był razem z nim w szkole, więc pan hrabia mnie tam posłał. Chciał, żebym dostał patent oficerski, więc pan hrabia mi go kupił. Ale tego mi pan nie da, panie hrabio, bo po prostu nie przyjmę!

- Nie będziesz miał wyboru, Valentine. Uczynię to, czy chcesz tego, czy nie, i to nie tylko ze względu na Charliego. Postąpiłbym tak już dawno temu, gdybyś został z nami. Val bał się odezwać, żeby głos mu się nie załamał. Podeszedł do biurka i położył na nim pierścień.

— Niech pan robi co chce, panie hrabio, ale tego nie wezmę! Ja także go kochałem — oświadczył drżącym głosem i wyszedł, nim ojciec zdążył go zatrzymać.

Był promienny majowy poranek, ale Val nie dostrzegał ani bezchmurnego, błękitnego nieba, ani jasnozielonych listków na drzewach. W myślach nadal przebywał ze swym ojcem w bibliotece. Szedł szybkim, rytmicznym krokiem, lecz głowie miał zamęt. Po tylu latach ojciec gotów był oficjalnie go uznać! Powiedział, że chciał to uczynić dawno temu. Więc czemu nie uczyniłeś tego, gdy moja matka jeszcze żyła?! Czemu nie ożeniłeś się z nią, tylko z matką Charliego?! Ale wówczas Chanie nigdy by się nie narodził... Val czuł, że łzy napływają mu do oczu. Nie będzie płakał! Zdechnie, płakał nie będzie! Nieoczekiwanie stanął przed wejściem do parku. Wszedł i skręcił w jedną z bocznych alejek. Choć nie była to pora spotkań wytwornego towarzystwa, po parku krążyło sporo jeźdźców i powozów. Gdy tylko przestała się srożyć mroźna zima, zniknęła śnieg i lód, uwięzieni dotąd w domach londyńczycy zaczęli korzystać ze swobody.

Val starał się jak najdłużej unikać uczęszczanych szlaków, w końcu jednak wyszedł na jedną z głównych alejek. Panował tu w tej chwili mniejszy ruch niż w godzinach popołudnio

wych, konnych i powozów było jednak tyle, że Val z konieczności przyglądał się uważniej temu, co działo się wokół niego. Usunął się na bok, by przepuścić nadjeżdżający powóz, nie zwracając większej uwagi na ciągnące go jabłkowite siwki, gdy woźnica nagle zatrzymał konie i zawołał do niego:

— Val! Czy to naprawdę ty? Skąd się wziąłeś w Londynie?

Był to James Lambert.

Val spróbował się uśmiechnąć, ale czuł, że był to raczej grymas. Miał oczywiście znakomitą wymówkę.

- Dzień dobry, Jamesie! Poprosiłem o urlop, by odwiedzić ojca i przywieźć mu coś, co należało do Charliego.

James skinął na swego lokajczyka i oddał mu cugle. Sam wysiadł i ruszył pieszo obok Valentine'a. Ze współczuciem otoczył go ramieniem.

- To była straszna wiadomość, Val.

W głosie markiza słyhać było prawdziwy ból. Znali się z Charliem ze szkoły i z uniwersytetu. W pewnym sensie Wimborne wiedział o nim więcej niż Valentine. Szczere współczucie Jamesa i jego niewątpliwy żal po śmierci Charliego przełamały niemal

bariery ochronne Vala. Jedną z najstraszniejszych rzeczy po śmierci brata było to, że nie miał nikogo, z kim zjednoczyłby się w cierpieniu. Wszyscy oczywiście kochali Chanliego, ale mało kto znał go równie dobrze jak James.

- Dziękuję ci - powiedział Val zdławionym głosem. - Lżej mi to znosić, kiedy wiem, że komuś brakuje Charliego równie mocno jak mnie...

- Odwiedziłem waszego ojca. Był zupełnie załamany - rzeki cicho James. — Widziałeś się już z nim?

- Dziś rano - odparł krótko Val.

— Czy nie moglibyście pocieszyć się nawzajem w smutku? - podsunął łagodnie James.

— Poza miłością do Charlesa mieliśmy z ojcem niewiele wspólnego. Teraz nie łączy nas już nic.

- Ja również wojowałem ze swym ojcem, Val, ale mimo wszystko rad jestem, że się z nim pojednałem, zanim umarł.

— Zawsze miałeś miększe serce niż ja, Jamesie — stwierdził Val, spoglądając nań z krzywym uśmiechem. - Pod tym względem byliście podobni do siebie z Charliem.

- Ty masz równie dobre serce, Val - stwierdził z powagą James. - Jestem tego pewny. Gdy raz obdarzysz kogoś uczuciem, jest ono bardzo silne. Tylko ukrywasz je głęboko.

- On zaproponował, że... Nie, oświadczył, że mnie uzna za syna - powiedział gorzko Val. James przystanął i zwrócił się twarzą do niego.

- Postąpił bardzo słusznie. Ma teraz tylko ciebie.

- Wcale mu na mnie nie zależy, Jamesie. Nigdy mnie nie chciał. Chanie kochał mnie naprawdę — mówił dalej Val, uciszając gestem protesty Jamesa. - Hrabia sprowadził mnie do Faringdon wyłącznie na jego prośbę. To ja powinienem był zginać, nie Chanie! - kontynuował głosem pełnym bólu. - Był taki słoneczny, radosny, otwarty... Każdy, kto go znał, musiał go kochać.

- Trudno go było nie kochać przyznał James z ciepłym uśmiechem.

— A ja jestem twardy i skryty — ciągnął Val. Sam czuł, że w jego skardze było tyle samo użalania się nad sobą, co prawdziwej rozpacz.

- Gdybym cię tak nie lubił, Valentine, w tej chwili odwróciłbym się od ciebie raz na zawsze! - powiedział James z taką gwałtownością, że Val pojął od razu, iż mówi całkiem serio. — Jesteś dzielny, pełnym inwencji żołnierzem i dobrym przyjacielem, a jednocześnie zaślepionym i upartym głupcem, jeśli chodzi o twego ojca! Twój rodzice nie byli małżeństwem. I cóż z tego? Mnóstwo ludzi urodziło się tak jak ty. A los wielu jest znacznie gorszy od twojego. Nie mamy żadnego wpływu na to jak, gdzie i kiedy przychodzimy na świat, ale możemy pokierować własnym życiem! Najwyższy czas, żebyś wreszcie zaakceptował fakt, że jesteś nieślubnym dzieckiem, Val! Każdy z nas musi pogodzić się z tym, że jest, jaki jest! — dodał James, a Valentine dosłyszał w jego głosie gniew i coś jeszcze, czego nie potrafił określić.

- Dawno temu pogodziłem się z tym, że jestem bękartem - zapewniał Val. - Cóż innego mogłem zrobić?

- Póki nie pogodzisz się z ojcem, nie zaznasz prawdziwego spokoju. Val chciał zaprotestować, ale James ciągnął dalej: — Straciłem jednego serdecznego przyjaciela,

Valentine. Nie chciałbym stracić drugiego, więc nie mówmy już więcej na ten temat, dobrze?

Przez dłuższą chwilę szli obok siebie bez słowa, wreszcie James przerwał krępujące milczenie:

— Wiesz, Val, w gruncie rzeczy cię lubię, choć taki z ciebie nieczuły bękart - rzucił żartobliwie.

Val zerknął nań i obaj się roześmiali.

— Dzięki, Jamesie! Przyda mi się od czasu do czasu twoje kazanie. I będę ci zawsze wdzięczny za to, że uważasz mnie za swego przyjaciela.

- Kiedy się wreszcie zjawiłeś w Londynie, musisz nas odwiedzić i poznać moją siostrę. Może przyjdiesz do nas jutro na obiad? Wybieramy się potem na wieczór muzyczny do księcia Farron. Spróbuję dostać zaproszenie także dla ciebie, jeśli chcesz.

- Prawdę mówiąc... ja... to jest my... otrzymaliśmy już zaproszenie - wykrztusił Val.

— Tak, kapitan Grant się o to postarał.

- Chcesz powiedzieć, że i Colquhoun jest w Londynie? Nigdy bym nie przypuszczał, że Wellington puści go od siebie!

- Nie, kapitana Granta tu nie ma. Chodzi o Elspeth Gordon... To znaczy, Elspeth Aston.

Pobraliśmy się, rozumiesz... - zakończył niezręcznie Val z twarzą czerwoną jak burak

- Wiedziałem, że Elspeth przyjedzie do Londynu, żeby być świadkiem debiutu Maddie - powiedział James, usiłując doszukać się sensu w słowach Vala. - Ale kiedy, u licha, zdążyliście się pobrać?!

- Major Gordon poprosił mnie, żebym zaopiekował się nią w czasie podróży... i w Lizbonie wzięliśmy ślub.

- Do obowiązków eskortującego nie należy chyba poślubienie podopiecznej? - zauważył z uśmiechem James.

- To było, jak to się mówi, małżeństwo z konieczności... W rozpacz po śmierci Charliego... za wszelką cenę chciałem znaleźć jakąś pociechę... i skompromitowałem Elspeth.

- Rozumiem.

- Musiałem się z nią ożenić, Jamesie, gdy tak haniebnie zawiodłem zaufanie jej rodziców!

- Od dawna podejrzewałem, że coś was łączy - zauważył spokojnie James.

- Zawsze byliśmy z Elspeth dobrymi przyjaciółmi.

— Niczym więcej?

- Nie wiem, czy Elspeth mnie kocha, jeśli o to ci chodzi.

- Ale ty ją kochasz?

- Bardzo - wyznał cicho Val. — I właśnie dlatego nie powinienem był postawić jej w takiej sytuacji!

- Elspeth to niezwykła kobieta. Życzę wam obojgu wiele szczęścia.

— Dziękuję ci, Jamesie.

— No chodź, pokażę ci, jak moje siwki niosą! - Obaj wsiedli do powozu.

Gdy mknęli aleją, James odwrócił się do Vala i powiedział:

- Wiesz, nie tylko ty zaskoczyłeś mnie nagłym przyjazdem do Londynu! Kilka dni temu zjawił się Lucas Stanton. Pomyślałem, że lepiej cię ostrzec. Pewnie się na niego natkniesz na tym wieczorze muzycznym.

- Co Stanton robi w Londynie? - spytał Val tak gwałtownie, że James spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Jego cioteczna babka jest na łożu śmierci. Nigdy bym nie przypuszczał, że w Lucasie tkwi tyle miłości rodzinnej, ale podobno staruszka nie zapomniała o nim w testamencie - zakończył z ironią.

Podczas dalszej przejażdżki Val był dziwnie milczący. Wzmianka o Stantonie przypomniała mu, w jakim celu sam przybył do Londynu. Dziś będzie bacznie obserwował

i Stantona, i Dyreaux. Obecność Stantona w Londynie mogła oznaczać, że jego wiara w niewinność Jamesa była usprawiedliwiona!

Rozdział XXXI

Elspeth tego ranka siedziała dłużej niż zwykle przy śniadaniu, czując rozkoszne zmęczenie po miłosnej nocy. Poczucie jedności małżeńskiej, którego właśnie zakosztowała, sprawiło, że zapragnęła jeszcze więcej. Nie tylko jego pieszczot, myślała, rumieniąc się, ale jego serca, jego duszy! Taka zachłanność zdumiewała ją przecież tak długo żyła w przekonaniu, że skazana jest na samotność; sądziła, że zdołała zagłuszyć w sobie tęsknotę za miłością. Być może wyszłam za mąż w pośpiechu, ale z pewnością nie pożałuję tego nigdy!

Zastanawiała się, jak też wypadło spotkanie Vala z ojcem. Elspeth zetknęła się z hrabią przed kilkoma laty, gdy wraz z rodzicami bawiła w Londynie, nim oddali ją na pensję.

Całą trójkę Gordonów zaproszono do dziadka Elspeth na obiad; byli na nim zarówno Charles Faringdon, jak Charue. Zastanawiała się teraz, czy hrabia ją pamięta.

Pragnęła osobiście złożyć mu kondolencje. Przerzucając stos leżących obok niej zaproszeń, uświadomiła sobie, że na żadnej z tych imprez z pewnością go nie spotka - był przecież w żałobie! Zamierzała tego jeszcze ranka wpaść na chwilkę do Maddie i zawiadomić ją, że jest już w Londynie. Tyle tylko, że gdy Maddie dowie się o jej zamążpójściu, chwilka z pewnością nie wystarczy im na rozmowę! Może by tak po drodze wstąpić do rezydencji Faringdonów?

Gdy kilka godzin później Elspeth szła po stopniach do drzwi frontowych Faringdon House, w ostatniej chwili omal nie zabrakło jej odwagi. Mówiła sobie, że nie nadużywa przecież zaufania męża ani nie łamie jego wyraźnych za-

kazów... A poza tym hrabia jest teraz jej teściem! Niemniej jednak, gdy ujęła kołatkę, dręczyło ją poczucie winy.

Baynes powtórzył jej to samo co wszystkim: hrabia nikogo nie przyjmuje.

- Sądzę, że mnie jednak przyjmie — odpowiedziała mu Elspeth. - Proszę mu powtórzyć, że żona porucznika Astona pragnie mu złożyć kondolencje.

Brwi majordoma uniosły się w zdumieniu, odrzekł jednak tylko:

— Zechce pani łaskawie wejść. Zaraz przekażę tę wiadomość panu hrabiemu.

Wrócił bardzo szybko.

- Pan hrabia spotka się z panią w małym salonie.

Elspeth czekała tylko chwilkę, nim zjawił się hrabia. Spojrzał na nią z kamiennym wyrazem twarzy, podobny do błękitnookiego jastrzębia. Gdyby nie wiedziała, że Val jest jego synem, domyśliłaby się tego od razu: podobieństwo rzucało się w oczy.

- Baynes powiadomił mnie, że pragnie mi złożyć kondolencje żona porucznika Astona...

Tymczasem, o ile się nie mylę, mam przyjemność rozmawiać z córką Iana i Peggy Gordonów, nieprawdaż? - spytał, przyglądając jej się ze zdziwieniem.

- Pan hrabia przypomina mnie sobie?

- Bardzo dobrze znam rodzinę pani matki, toteż uważnie się przyjrzałem córce Peggy, gdyśmy się spotkali - odparł z uśmiechem. - Ale skąd się pani wzięła w Londynie, drogie dziecko?

— Do niedawna rzeczywiście nazywałam się Elspeth Gordon, panie hrabio, ale teraz jestem żoną Valentine'a Astona

— odparła szczerze. — Pobraliśmy się dopiero co. — Elspeth zawahała się. -

Zawarliśmy z Valem bliską znajomość w Portugalii i obiecał zaopiekować się mną podczas podróży do Londynu. Kiedy mnie poprosił, bym za niego wyszła, z radością powiedziałam „tak”.

- Valentine był tu dziś rano i nie napomknął o tym ani słówkiem. Wcale mnie to zresztą nie dziwi, nie zwykł mi się zwierzać - dodał z ironią hrabia.

— Wahałam się, czy przyjść - przyznała Elspeth. - Ale i moi rodzice, i ja dobrze znaliśmy i bardzo kochaliśmy Charliego... Chciałam panu powiedzieć, jak boleje mnie nad jego śmiercią i nad pańską tragedią, panie hrabio. Wiedziałam, że jeśli sama tu nie przyjdę, nie ma większych szans na to, byśmy się spotkali. Nie wiedziałam, czy Val zechce mnie panu przedstawić... - Elspeth tak się zmieszała, że zamilkła.

— Chyba ma pani rację, drogie dziecko. Valentine zjawił się tu jedynie po to, by oddać mi ten sygnet - powiedział hrabia i z oczyma lśniącymi od łez wyjął pierścień Chaniego z kieszeni kamizelki. — Powiedziałem mu, że teraz należy do niego i że zamierzam oficjalnie uznać go za syna. To zapewni wam obojgu należną pozycję w świecie.

— Nie nadaję się do wielkiego świata, panie hrabio — odparła Elspeth z uśmiechem. - Od lat przywykłam do obozowego życia. Prawdę mówiąc, drzę na samą myśl o kilku najbliższych tygodniach. Przyjechałam tylko na gorące prośby lady Madeline Lambert - wyjaśniła.

- Wygląda na to, że jest pani idealną żoną dla żołnierza, pani Aston.

- O, proszę mówić mi po imieniu! Czy Val był zadowolony, gdy dowiedział się, że zamierza pan go oficjalnie uznać, panie hrabio?

— Jeśli mam nazywać cię „Elspeth”, proszę mówić mi „Charles”.

- Czy był z tego zadowolony, Charlesie?

- A jak myślisz, moje dziecko?

Twarz Elspeth zaróżowiła się.

- Choć ogromnie mu ciąży, że od urodzenia jest wyrzutkiem... obawiam się że jego durna nie pozwoli mu zaakceptować twego szlachetnego gestu.

- Doprawdy, doskonale znasz swego męża, drogie dziecko. Znacznie lepiej niż ja... Miałem nadzieję... Ale doprawdy byłem naiwny... - powiedział ze smutkiem hrabia. - Gdybym

I

tylko mógł, uczyniłbym go moim legalnym spadkobiercą.

- I zostałabym wicehrabiną? Wolę być zwykłą panią Aston! - zauważyła z uśmiechem Elspeth. - Pragnę tylko...

- Czego, moje dziecko? - spytał cicho hrabia.

— Pragnę tylko jego szczęścia, Charlesie... Choć nie jestem pewna, czy on kiedykolwiek będzie szczęśliwy - dodała z żalem.

- Z pewnością małżeństwo z tobą daje mu szczęście, Elspeth?

— O, tak, oczywiście: jesteśmy ze sobą szczęśliwi... — odparła żywo. - Myślę jednak, że Val nadal zbyt boleśnie odczuwa hańbę swego urodzenia... I płonie w nim gniew...

Trudno mi o tym mówić, Charlesie...

- Mów dalej, dziecko.

- Gniew z powodu tego, jak potraktowałeś jego matkę. Jest przekonany, że sprowadziłeś go do Faringdon wyłącznie na prośbę Charliego!

— I nie myli się, Elspeth — powiedział hrabia cicho.

— Ach, tak... — szepnęła, czując, że gaśnie cała nadzieja na pojednanie, do którego chciała doprowadzić.

— Przynależem Sarah, matce Vala, że nie będę starał się zbliżyć do syna. Nie chciała, by moja żona, matka Chaniego, cierpiała z powodu skandalu. Gdyby jego matka nie umarła, Chanie nigdy by się nie dowiedział, że ma brata. — Hrabia odwrócił się od Elspeth i stanął przy jednym z okien, zdążyła jednak dostrzec ból w jego oczach.

- Ożeniłbym się z Sarah, gdyby tylko wyraziła na to zgodę! - zapewnił hrabia, odwracając się ku Elspeth z gorzkim uśmiechem.

— Chciałeś się ożenić z matką Vala, Charlesie? Jestem pewna, że on nie ma o tym pojęcia!

- Nigdy nie dał mi szansy opowiedzenia mu o tym. O tym, że jest nieślubnym dzieckiem, dowiedział się nagle, tuż po śmierci matki. Był to dla niego szok. W umyśle młodziutkiego chłopca ukształtował się obraz ojca-potwora, a ja przez całe lata nie uczyniłem nic, co mogłoby zmienić jego wyobrażenie o mnie.

- Musisz mu o tym opowiedzieć, Charlesie! - wykrzyknęła Elspeth.

- Może kiedyś... Na razie bardzo cię proszę o dyskrecję.

Elspeth zawahała się, potem wyraziła zgodę.

- Ma w sobie tyle dumy, co jego matka - stwierdził hrabia z pełnym miłości uśmiechem.

- Podejrzewam, że odziedziczył ją i po tobie! - odpaliła cierpkim tonem Elspeth. - Nie tylko nosy macie podobne!

Hrabia zaśmiał się.

- Mam wrażenie, że znasz swego męża jak nikt, Elspeth!

— Czy zechciałbyś przyjść do nas na obiad, Charlesie? — poprosiła Elspeth pod wpływem nagłego impulsu.

— Jeszcze na to za wcześnie, moje dziecko. Nie chcę narzucać mego towarzystwa Valentine'owi.

— A czy ja mogę cię jeszcze odwiedzić?

- Zawsze powitam cię z największą radością, drogie dziecko.

Hrabia patrzył za schodzącą ze schodów Elspeth. Valentine dobrze wybrał! mówił sobie w duchu. Jego starszy syn miał ciężkie życie. Elspeth Gordon, znająca wojsko od podszewki i obdarzona zdrowym rozsądkiem, była dla niego idealną żoną. Trudno ją było nazwać piękną, według obowiązujących kanonów urody wzrost miała zbyt wysoki, a rysy przeciętne. Odznaczała się jednak witalnością, inteligencją i wdziękiem i te właśnie cechy sprawiały, że była pociągająca. Jej urok nie zblednie, raczej wzrośnie z wiekiem, myślał hrabia.

Poza tym kochała Vala. Nie była w stanie tego ukryć. A jednak niepokoił się o los ich małżeństwa. Valentine nie wspominał ani słowa o żonie... Hrabia miał nadzieję, że jego syn kocha Elspeth, ta miłość uszczęśliwiłaby nie tylko ją, ale i jego. Miłość bywa cierpieniem... Hrabia dobrze o tym wiedział. Był pewien, że jakaś część jego istoty umarła, gdy utracił Sarah Aston. A jednak nie zamknął swego serca przed Helen, a Chanie stał się jego oczkiem w głowie... Poczul znowu głęboki ból w piersi na myśl, że nigdy już nie ujrzy uśmiechniętej twarzy syna, nie usłyszy jego głosu...

A jednak, choć śmierć Charliego była straszliwą tragedią, nie uważał, że miłość, którą go darzył, poszła na marne. Będzie nadal kochał Charliego, aż do śmierci, tak samo jak ciągle kochał Sarah i Helen. Ciężko jednak kochać wyłącznie umarłych... Dałby wszystko, by zbliżyć się do starszego syna. Kochał oczywiście Vala, gdyż był synem Sarah. Pragnął go jednak pokochać dla niego samego, ale wydawało się bardzo wątpliwe, czy Val mu to umożliwi.

Elspeth udała się do miejskiej rezydencji Lambertów, ale jej przyjaciółka biegła właśnie po sklepach. Zostawiła zatem tylko wiadomość dla niej: była, nie zastała, ma nadzieję spotkać się z Maddie na wieczorze muzycznym u księstwa Farron. Gdy wróciła do hotelu, Val czekał na nią już od godziny.

- Miło sobie pogawędziłyście z lady Madeline? - spytał, gdy weszła do saloniku, by dotrzymać mu towarzystwa.

— Niestety, nie zastałam jej w domu, załatwiała podobno zakupy. Poszłam więc w jej ślady - oznajmiła Elspeth, gdyż w drodze powrotnej rzeczywiście wstąpiła do księgarni Hatcharda. - Jakaż to przyjemność kupować nowe książki, a nie wyczytywać smutne resztki, ocalałe z ostatniej kampanii!

Usadowiła się w fotelu naprzeciw męża i ze zwykłą bezpośredniością spytała, jaki przebieg miała wizyta u ojca.

- Musiało ci być trudno opowiadać mu szczegółowo o śmierci Charliego.

— Jedną z zalet, które najbardziej w tobie cenię, Elspeth, jest to, że nigdy nie kluczysz i zmierzasz prosto do celu.

- Wychowałam się w rodzinie, gdzie nie owijało się niczego w bawełnę.

Val uśmiechnął się na wspomnienie Gordonów.

- Nie mam co do tego wątpliwości! A wizyta była ciężka - przyznał. - Gdy mu opowiadałem o tym, ujrzałem znów wszystko tak wyraźnie... - Odwrócił się do kominka, by żona nie dostrzegła łez, które napłynęły mu do oczu.

- Wyobrażam sobie - szepnęła miękko.

Val westchnął.

- Muszę ci powiedzieć o zamiarach hrabiego, Elspeth, bo dotyczy to nas obojga. Chce oficjalnie uznać mnie za syna, co zapewniłoby nam pozycję w towarzystwie. - Gdy Elspeth milczała, zapytał: — Nie zaskoczyło cię to? Pewnie jesteś zadowolona, że nasze małżeństwo będzie dla ciebie mniejszą hańbą, niż sądziłaś?

Elspeth milczała przez chwilę.

— Nie jestem wcale zaskoczona. Hrabia stracił właśnie jednego z synów... Nie może co prawda drugiemu przekazać hrabiowskiego tytułu, ale widocznie chce zrobić dla niego, co tylko zdoła. — Zawahała się. - Pragnę tylko twego szczęścia, Val... Czy będziesz go szukał w obozie wojskowym, czy w wielkim świecie, to już zależy od ciebie — powiedziała dość ostro. - Moim szczęściem jest małżeństwo z tobą, choć bywasz niekiedy największym durniem pod słońcem! Ale może ja mam jeszcze mniej rozumu — dodała z ironią. - Idę na górę przebrać się. Spotkamy się przy obiedzie.

Czemu, u diabła, Elspeth nie może być taka jak inne kobiety?! dumiał Val, pochylając się nad ogniem i rozgrzebując gniewnie płonące polana, aż w końcu zgasły. Każda inna byłaby uszczęśliwiona, że jej małżeństwo okazało się mniejszym mezaliansem, niż sądziła! Był z tego rad ze względu na nią. Jemu samemu wcale na tym nie zależało! A może jednak? Może jakąś częsteczką swego „ja” tęsknił za chwilą, gdy ojciec się do niego przyzna? Pragnął czegoś, co dla innych było całkiem oczywiste? Łaknął choćby odrobiny tego, co Charlie przez całe życie uważał za zrozumiałe samo przez się? Jakże trudno było stawić czoło temu podejrzeniu: Czyżby przez wszystkie te lata zazdrości] bratu, nie zdając sobie z tego sprawy?

Nie pragnął jego tytułu, tego był pewny. Charlie posiadał jednak coś znacznie cenniejszego - ojcowską miłość.

Och, i jemu matka opowiadała, jak bardzo ojciec go kochał! Był to jednak tylko ojciec z bajki, dzielny ołowiany żołnierz, który w rzeczywistości w ogóle nie istniał. Czy matka kiedykolwiek miała na myśli hrabiego, gdy opowiadała synkowi o ojcu?

Przez całe dzieciństwo matka karmiła go kłamstwem, uświadomił sobie nagle Val. Gdyby nie umarła, nie miałyby to większego znaczenia. Ale odeszła i został sam dzieciak bez ojca, rzucony na pastwę George'a Burtona i wielu innych, którzy przez te wszystkie lata okazywali mu swą wzdargę.

A co by było, gdyby matka nadal żyła, kiedy Charlie go odnalazł? Co by powiedziała albo uczyniła w chwili, gdy jej kłamstwo wyszłoby na jaw? O Boże, jakim prawem kwestionuje decyzje swej matki?! Cóż innego mogła zrobić?

Mogła powiedzieć mu prawdę.

Nie, nie będę o tym myślała! Przecież starała się mnie chronić! Postąpiła tak, bo myślała, że tak będzie najlepiej! Val mocno zacisnął powieki i przywołał obraz swojej pięknej matki, pracującej w różanym ogrodzie, otulającej synka na noc kołderką, opowiadającej mu... o ojcu bohaterze.

Val przesunął ręką po czole. Jak postąpiłaby Elspeth podobnej sytuacji? Dziwił się, że przyszło mu na myśl takie pytanie, ale skoro raz pojawiło się w mózgu, nie potrafił go zignorować. Elspeth powiedziała by synkowi prawdę. Był tego pewien. Wyjawiałaby ją delikatnie i z miłością, ale nie ukrywałaby jej. Obraz matki zbladł i zamiast niej ukazała się twarz Elspeth. Val wiedział, że gdyby porzucił ją, ona urodziłaby ich dziecko, to lepiej przygotowałaby swego synka do życia - przecież prawda jest lepszym fundamentem niż kłamstwo. Jego jedyną opoką była matka, a gdy umarła, nie miał już żadnej podpory... Pozbawiono go nawet wiary w nie istniejącego ojca.

Jednak uświadomienie sobie tego, że matka postąpiła niesłusznie, było dla Vala tak bolesne, jakby tracił ją po raz drugi. Jakże zdoła to znieść? Utraciwszy ją ostatecznie, nie miał już nikogo: ani matki, ani ojca, ani brata... Tylko żonę. A ona uważała go za największego durnia pod słońcem!

Rozdział XXXII

Za obopólną milczącą zgodą nie poruszali drażliwego tematu przy obiedzie, toteż był to bardzo cichy posiłek. Gniew Elspeth szybko wybuchnął, ale równie prędko gasł.

Zorientowała się jednak, że mąż różnił się od niej pod tym względem. Zapewne rozżłościła go zbyt szczerą, był jednak tak

zamknięty w sobie, że nawet tego nie mogła być pewna.

Gdyby go o to zapytała, Val odpowiedziałby całkiem szczerze, że nie, nie jest zły na nią. Jego gniew był zwrócony przeciwko matce, która karmiła go kłamstwami, a potem odeszła; przeciw ojcu, który zbyt późno postanowił przyznać się do niego; przeciw Charliemu — za to, że dał się zabić! Tego jednak Val nie potrafił wyjawić Elspeth. Ledwie zdołał przyznać się do tego przed samym sobą! Toteż zaraz po obiedzie przeprosił żonę i wyszedł, uprzedzwszy ją, że wróci późno, więc nie ma sensu, by na niego czekała.

Przez jakiś czas Elspeth siedziała sama w salonie, łudząc się, że najnowsza powieść przeniesie ją w świat, w którym wszystko dobrze się kończy... Nie potrafiła jednak skupić się na lekturze, więc dała w końcu za wygraną i poszła do łóżka.

Gdy Val powrócił, spała już głęboko, leżąc na boku z ręką pod głową. Val ostrożnie położył się obok żony i objął ją ramieniem. Leżał tak przez jakiś czas, wsłuchując się w jej cichy, miarowy oddech. Ciekawe, czy ona zawsze sypia na boku? Val uśmiechnął się w ciemności, czując, że oddycha teraz spokojniej, równie rytmicznie jak ona. Cóż to za paradoks: nie miał pojęcia, w jakiej pozycji lubi sypiać jego żona... a równocześnie znalazł ją tak, jak nikt inny w świecie!

Byli nadal przytuleni, gdy Elspeth się obudziła. Leżała przez chwilę, radując się bliskością męża. Ramię Vala obejmowało ją w talii; Elspeth wsunęła dłoń w jego rękę. Była taka silna, smukła... i nawet gdy spał, dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Po chwili przytuliła się do męża mocniej.

- Nie śpisz, Elspeth? - szepnął. Poczwała na włosach jego ciepły oddech. Potrząsnęła głową i wówczas ręka Vala powędrowała ku jej piersi.

— Ja także nie - szepnął jej do ucha i przygarnął ją jeszcze mocniej. Znajdowali się oboje w tak częstym o świcie stanie zawieszenia między snem a jawą. Elspeth nie otwierała oczu,

palce Vala pieściły delikatnie jej pierś. Czując na szyi jego gorący oddech, miała wrażenie, że topnieje jak wosk. Wkrótce oprócz oddechu poczuła na szyi drobniutkie pocałunki, ręka męża powędrowała niżej i uniosła skraj jej koszuli. Jego palce sunęły teraz po nagim ciele. Ich dotyk był tak lekki, że Elspeth leżała bez ruchu w rozkosznym oczekiwaniu na zaspokojenie. Mogłaby cieszyć się tym doznaniem Bóg wie jak długo, ale Val zmienił pozycję - poczuła, jak na nią napiera, i mimo woli oprzytomniała. Łagodnie odsunęła jego rękę. Zanim zdążył pomyśleć, że go odtrąca, odwróciła się twarzą do niego i zaczęła pieścić go bez skrępowania.

Te senne igraszki mogłyby trwać wiecznie, ale gdy Elspeth uniosła się ku nagiej piersi męża, Val wiedział już, że jest gotowa na jego przyjęcie. Wszedł w nią delikatnie i obrócił się wraz z nią tak, że leżała teraz na plecach.

Elspeth czuła, że kołysze ją potężny rytm, podobny do falowania morza. Miała wrażenie, że fale są wewnątrz niej, a równocześnie ona się w nich nurza. Oboje znaleźli się w jakimś podwodnym świecie - Val wlewał się w nią, a ona go opływała. Nie kończący się, rytmiczny cykl odpływów i przyptyków wibrował w ich żyłach.

Nic ich już nie dzieliło, zespolili się w płynną jedność, roztopili nawzajem w sobie. Trwali tak, aż wreszcie zaczęli odczuwać własne ciała; wiedzieli znów, że mają kości i mięśnie. Val, osunąwszy się na pościel, objął żonę ramieniem. Leżeli przytuleni do siebie jak poprzednio.

— Więc nie żałujesz, że wyszłaś za mnie, Elspeth? — szepnął.

— Pewnie, że nie!

— To mnie cieszy, bo i ja nie żałuję, że się z tobą ożeniłem, moja miła — powiedział, całując ją w czubek głowy.

Elspeth znowu zasnęła, ale Val leżał, przyglądając się, jak wschodzi słońce i w pokoju robi się coraz jaśniej. Myślał

o tym, że wszystkie wydarzenia jego niełatwego życia wiodły go ku chwili, gdy leżał, tuląc w ramionach tę kobietę.

Brakowało mu matki i Charliego; zawsze będzie za nimi tęsknił. Uderzyła go jednak myśl, że gdyby oboje nie umarli, nie byłby teraz razem z Elspeth. Zaszokowało go to spostrzeżenie — śmierć tamtych dwojga przywiodła go do niej i przyczyniła się do szczęścia, o jakim nigdy nie marzył.

Val westchnął i wstał bardzo ostrożnie, by nie zbudzić żony. Gdy mył się i ubierał, uświadomił sobie, że podjął już decyzję: zaakceptuje ojcowski plan usynowienia go. Val

nie bardzo wiedział, kiedy i jak to się stało, czuł jednak, że czyni to ze względu na matkę i Charliego, a także dla Elspeth.

Zjadł śniadanie i przeglądał właśnie gazetę, kiedy Elspeth zeszła wreszcie na dół i przyłączyła się do niego.

- Nie musiałaś się zrywać, Elspeth. Podałbym ci herbatę do łóżka.

- Porządna Szkotka o tej porze powinna być na nogach! - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem, a w jej głosie słyhać było wyraźnie szkocki akcent.

Val poczekał, aż żona zje jajka i bułeczkę, dolał jej i sobie herbaty, odchrząknął i rzekł, patrząc jej poważnie w oczy

- Postanowiłem ustosunkować się życzliwiej do decyzji ojca.

Elspeth domyślała się, jak trudne musiało być dla Vala przyjęcie propozycji ojca, który - jak sądził - dotąd bezlitośnie go odtrącał.

- Mam nadzieję, że robisz to przede wszystkim dla siebie - powiedziała cicho.

— Chyba tak, ale również dla mojej matki, dla ciebie i dla Charliego.

- Bardzo mi odpowiada rola żony żołnierza. Czy ta decyzja nie zmieni naszego życia, Val?

- Nie zamierzam w najbliższym czasie występować z wojska - zapewnił ją. - Ale teraz będziemy mieli do czego wrócić i sytuacja w Anglii stanie się znacznie łatwiejsza dla nas... i naszych dzieci - dodał z wahaniem.

Elspeth wyciągnęła rękę i położyła na dłoni męża.

— Sądzę, że podjąłeś słuszną decyzję, kochany.

- Jakie masz plany na dzisiaj, moja pani żono? - spytał żartobliwie.

- Chciałam wpaść do Pantheon Bazaar po nowe rękawiczki na dzisiejszy wieczór. A ty co zamierzasz zrobić?

- To chyba nie jest w dobrym tonie, gdy mąż towarzyszy żonie w zakupach? - spytał z szerokim uśmiechem.

Elspeth zarumieniła się.

— Może i nie jest, ale mnie sprawi to wielką radość, Val!

Kiedy wrócili ze swej wyprawy z rękawiczkami dla Elspeth i kawałkiem lawendowego mydła oraz jasnozieloną wstążką pod kolor sukni, w przedsiionku powitał ich właściciel hotelu i oznajmił z wyraźną satysfakcją, iż jaśnie wielmożny hrabia Faringdon czeka na nich od pół godziny.

Twarz Vala od razu spochmurniała, ale Elspeth skinęła tylko głową, podziękowała właścicielowi hotelu i poprosiła, by zaprowadził hrabiego do ich apartamentu. I czy mógłby również przysłać na górę dzbanek lemoniady i biszkopty?

Schowawszy zakupione drobiazgi, Elspeth rozsunęła kotary w saloniku i usiadła tam, czekając na Valentine'a. Kiedy mąż wszedł, zobaczyła, że na twarzy Vala maluje się napięcie i rezerwa.

Gdy zjawił się hrabia, obaj mężczyźni zwrócili się ku sobie sztywno, z identycznym wyrazem twarzy. Elspeth omal się nie roześmiała: jakże ojciec i syn byli do siebie podobni!

- Bardzo przepraszam, być może przeszkodziłem ci w czymś, yalentine... albo tobie, Elspeth?

Val obejrzał się ze zdziwieniem na żonę, a Elspeth zaczerwieniła się.

- Wczoraj złożyłam twojemu ojcu krótką wizytę, nim odwiedziłam Maddie - wyznała. - Pragnęłam osobiście wyrazić mu kondolencje.

- A więc pan hrabia wie już o naszym małżeństwie? - spytał ojca Val.

- Tak, i jak najbardziej pochwalam twój wybór, Valentine! Poznaliśmy się z Elspeth już dawniej, na przyjęciu u jej krewnych.

Val poczuł równocześnie ulgę i urazę. Rad był, że ojcu podoba się jego żona i że pochwała jego decyzję... a zarazem uważał, że to wyłącznie jego sprawa, z kim się żeni: ojciec nie ma prawa się do tego wtrącać!

Siedzieli sztywno, czekając, aż lokaj, który wszedł zaraz za hrabią, poda lemoniadę.

- Może wolałby pan coś mocniejszego, panie hrabio? - spytał uprzejmie Val.

- Nie, dziękuję bardzo. - Hrabia ruchem ręki oddalił lokaja. Ten władczy gest zirytował Vala. - Mogę chyba mówić bez ogródek. Jesteśmy w rodzinnym gronie - zauważył hrabia.

— Co postanowiłeś w sprawie, o której ci mówiłem?

- A mam w ogóle coś do gadania? - spytał z ironią Val.

— Mojej decyzji oczywiście nie zmienisz. Możesz ją jednak zignorować.

Elspeth rzuciła yalowi błagalne spojrzenie. Uśmiechnął się.

- Doszedłem do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć ją z wdzięcznością.

Hrabia wyraźnie się odprężył, powiedział jednak tylko:

— Rad jestem, że to już załatwione. Będą oczywiście plotki, ale niebawem nasz „wielki świat” zajmie się czymś innym - zauważył z ironią. - Czy zamierzacie uczestniczyć imprezach tego sezonu?

- Przyjechałam tu, by wziąć udział w pierwszym balu lady Madeline Lambert, panie hrabio... to znaczy, Charlesie - odparła Elspeth. - Poza tym otrzymaliśmy wiele innych zaproszeń.

Hrabia zrobił zdziwioną minę i Val niechętnie wyjaśnił:

— Zostałem tu przysłany przez kapitana Granta i charakter mojej misji zmusza mnie do nawiązania kontaktów towarzyskich.

- Wobec tego i ja wezmę udział w niektórych spotkaniach - oświadczył hrabia.

— Jesteś przecież w żałobie, Charlesie! — zaniepokoiła się Elspeth. - Z pewnością nie masz jeszcze ochoty stykać się z ludźmi!

— Rzeczywiście — przyznał, rzucając jej uśmiech pełen wdzięczności. — A moje pojawienie się wywoła oczywiście plotki. Ale bez wątpienia plotkowano by jeszcze bardziej, gdybym, uznawszy cię za syna, nie pokazywał się z tobą publicznie, Valentine — wyjaśnił.

- Jestem bardzo wdzięczny za poparcie, panie hrabio, choć nie sądzę, żeby było niezbędne - odparł uprzejmie Val.

- Wierzaj mi, jest niezbędne oznajmił hrabia z krzywym uśmieszkiem. — Otrzymałście zaproszenie na dzisiejszy wieczór u księcia Farron?

- Tak, Charlesie - odparła Elspeth. - A przedtem jemy obiad u markiza Wimborne.

- Wobec tego spotkam się z wami na wieczorze muzycznym i postaram się, żeby łączące nas stosunki stały się dla wszystkich jasne, zanim plotkarze rozpuszczą języki. - Hrabia wstał. - A zatem, do wieczora! Musisz mi dokładnie opowiedzieć, co słyhać u twoich rodziców, drogie dziecko. Zawsze przepadałem za twoją matką. Prawdziwy szczęściarz z tego lana Gordona!

Po wyjściu hrabiego Val spojrział na Elspeth.

- Więc odwiedziłaś wczoraj mego ojca?

- To przyjaciel moich rodziców, a i ja go poznałam... I nie byłam wcale pewna, Val, czy będę miała inną okazję złożenia mu kondolencji — usprawiedliwiła się.

- Mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Na pewno bym ci o tym w końcu powiedziała, Val. Bardzo bym chciała, żebyśmy nie mieli przed sobą żadnych sekretów. - Skubnęła kawałek biszkopta i dodała: - Twój ojciec okazuje nam wielką życzliwość, Valentine.

- Chyba tak...

- Zdobył się na prawdziwą ofiarę, by umocnić twą nową pozycję w świecie, Z pewnością nie ma ochoty na kontakty towarzyskie... Chanie zginął tak niedawno!

Val westchnął.

— Chyba masz rację, Elspeth. Trafię do wyższych sfer wyłącznie jako syn hrabiego, więc powinienem być mu wdzięczny za wsparcie. Mam jednak nadzieję, że nie oczekuje ode mnie gorących synowskich uczuć!

- Jestem pewna, Valentine, że ani mu to w głowie! - odparła cierpko Elspeth.

Rozdział XXXIII

Zanim dotarli do rezydencji Lambertów, zdążyli się już pogodzić i wchodząc po schodach, wymienili pokrępiący uścisk ręki.

James zadbał o to, by obiad był kameralny, a przyjaciółki miały czas pogawędzić i opowiedzieć sobie nawzajem, co się wydarzyło w ich życiu. Przy stole nie podano deseru, a po obiedzie panowie nie oddalili się na kieliszek porto, tylko wszyscy razem przeszli do salonu, gdzie czekał już szampan i niewielki, lecz pięknie udekorowany tort. - A teraz wypijmy zdrowie młodej pary! - powiedział uroczyście James, uśmiechając się do Elspeth i Vala.

- Och, Jamie, jak to miło z twojej strony! - wykrzyknęła Elspeth.

— No jakże: serdeczna przyjaciółka mojej siostry poślubia mego towarzysza broni i nie mielibyśmy uroczyście życzyć wam szczęścia? Zdrowie Elspeth i Valentine”a! — powiedział, unosząc kieliszek. - Oby zawsze mieli oparcie we wzajemnej miłości! Elspeth musiała otrzeć łzy, nawet Val poczuł, że coś go ścisną w gardle.

- Mój ojciec będzie dziś na wieczorze muzycznym u księstwa - oznajmił zebrany. - Pragnie w ten sposób podkreślić pozycję mojej żony i moją.

- To cudownie! - zawołała Maddie. - Zawsze bardzo lubiłam ojca Charliego... To znaczy pańskiego ojca, panie poruczniku - poprawiła się z uśmiechem i pokraśniała. - Postąpił jak należy, oficjalnie przyznając się do pana!

— Święta racja — poparł siostrę James.

Kiedy zjawili się w rezydencji księcia Farron, hrabia był tam już od pół godziny. Zaanonsowano przybycie porucznika Astona wraz z małżonką. Val przez chwilę czuł się dziwnie zagubiony, krocząc w szeregu innych gości ku witającej ich książęcej parze. Tak, to był on, żonaty i uznany przez ojca... ale w głębi duszy pozostał nadal samotnym, ciężko hanijącym chłopakiem, terminującym u George'a But-ona. Jakim cudem kowalski czeladnik mógł wstąpić w książęce progi?!

Twarz Vala była uprzejmie uśmiechniętą maską, kiedy przedstawiano go przyjaciółom i znajomym ojca. Gdyby nie idąca u jego boku Elspeth, czułby się niesłychanie samotny. Był rad, czując jej przyjazną rękę na swym ramieniu. Musiał przyznać (choć czynił to z najwyższą niechęcią!), że winien jest ojcu dożygonną wdzięczność za jego obecność na dzisiejszym wieczorze; hrabia sterował nimi gładko wśród tłumu obecnych. Tym razem Val nie miał ojcu za złe jego władczej miny, gdyż nikt nie zdobyłby się na żadną niestosowną uwagę lub grymas zdziwienia pod jastrzębim wzrokiem hrabiego Faringdona. Nawet Lucas Stanton!

Na widok Stanton'a Val zeszytniał.

- Sądzę, wicehrabio, że zna pan mego syna, Valentine'a Astona? - odezwał się hrabia, gdy dotarli do Stanton'a i grup-

ki jego przyjaciół. — Zdaje się, że pan, Val i Charlie byliście szkolnymi kolegami?

- Istotnie, panie hrabio - przyznał Stanton z lekkim ukłonem. - A z panną Gordon znamy się od dawna, bywałem na wielu uroczych obiadach u jej rodziców.

- To już nie panna Gordon, ale pani Aston, wicehrabio - poprawił go Faringdon z uśmiechem.

— Gratuluję, Aston! Szczęściarz z ciebie! — zwrócił się do yala Stanton. W pozornie niewinnych słowach kryła się jak zawsze nuta wrogości.

- Dzięki, wicehrabio - odparł Val z uprzejmym uśmiechem.

— Wiedziałem, że wybiera się pani do Londynu, panno Gordon... o, przepraszam, pani Aston, ale zdumiewa mnie pańska obecność, panie poruczniku.

- Poprosiłem o urlop, by odwiedzić ojca i złożyć mu kondolencje z powodu śmierci Charliego.

— Ach, oczywiście! To straszna tragedia, panie hrabio — powiedział Stanton, skłoniwszy się Faringdonowi. - Stracił pan syna i dziedzica... Ma pan jednak pewną pociechę w osobie yalentine'a...

— Istotnie - odparł gładko hrabia i poszli dalej.

- Ohydny typ! - mruknęła Elspeth. - Nigdy nie mogłam go znieść!

- Widzę, że mój syn znalazł sobie bystrą żonę, choć ja określiłbym Stanton'a znacznie dosadniej - rzekł hrabia. - Charlie go nie znosił i miał po temu słuszne powody.

Nieprawdaż, yalentine?

- Tak, panie hrabio.

- Zawsze dziękowałem Bogu, że przez pierwszy rok pobytu w szkole Charlie miał oparcie w tobie: był bezpieczny przed zakusami takich bydlaków jak Stanton. Wielka szkoda, że nie zostałeś dłużej w Queen's Hall, ale rozumiem twoje pobudki.

yal był zaskoczony, że serdeczność i podziw w głosie hrabiego sprawiły mu taką radość.

- Podobne wypadki miały miejsce i za moich szkolnych czasów... ale choć napawały mnie odrazą, nigdy nie próbowałem im zapobiec. Uważałem, że tak po prostu być musi... Tego rodzaju podejście do rzeczywistości to jeden z głównych grzechów naszej sfery - przyznał. - Niekiedy konieczne jest świeże spojrzenie, by uzdrowić sytuację.

- Wątpię, czy nawet koniec świata zmieniłby coś w Queen's Hall, panie hrabio! - odparł Val z ironicznym uśmiechem, który Faringdon odwzajemnił. Przez chwilę między ojcem i synem panowało całkowite zrozumienie.

Zbliżyli się już do sali balowej i orkiestry; stroiła właśnie instrumenty, by zaraz zagrać kolejny taniec.

- Właśnie zobaczyłem dobrego znajomego. Może byś zatańczył z Elspeth, Valentine? - podpowiedział hrabia.

Val spojrzął na żonę, unosząc brwi.

- Zaryzykujesz taniec z kimś, kto dopiero co wdarł się na salony, Elspeth? Kroki oczywiście znam, ale nigdy jeszcze nie płaśałem w tak wytwornym towarzystwie - wyznał z szerokim uśmiechem.

— Ja też, Val! Ja też — odparła Elspeth i również się uśmiechnęła.

Choć Val i Elspeth doskonale wiedzieli, że plotkarze mieli używanie, obecność hrabiego chroniła ich od jawnych zniewag i wieczór minął lepiej, niż przypuszczali. Przyczyniły się zapewne do tego także mundur Vala i fakt, że był oficerem w armii Wellingtona, gdyż wiele osób interesowało się przebiegiem działań wojennych i tym, co Maddie nazwała „bohaterkimi wyczynami” Vala.

— Zapewniam panią, lady Madeline, że znacznie więcej czasu spędziłem, leżąc na obludzonej ziemi i obserwując godzinami zgoła nieciekawe zajęcia obozowe francuskich żołnierzy, niż dokonując jakichś „bohaterkich wyczynów”! - protestował Val. Jednak - zwłaszcza ze względu na Elspeth

- rad był, że jego mundur wzbudza pewien respekt i łagodzi nieco hańbę jego pochodzenia.

Wkrótce po przybyciu ktoś wskazał Valowi młodego Deyereaux. Był to niewinnie wyglądający młodzian i gdyby Val nie wiedział o wszystkim, nigdy by go nie podejrzewał ani o radykalne poglądy, ani o jawną zdradę ojczyzny.

Na balu były obecne wszystkie główne postaci dramatu:

James, Stanton i młody Deyereaux. O ile jednak Val mógł się zorientować, nie kontaktowali się podczas tego wieczoru ze sobą. Postanowił nazajutrz rano udać się do ministerstwa i zagrać z Deyereaux w otwarte karty.

Daleko jeszcze było do końca balu, gdy hrabia podszedł do Vala.

— Możecie oczywiście zostać z Elspeth dłużej, Valentine, ale ja odegrałem już swą rolę i zmęczyło mnie to bardziej, niż sądziłem. Zapomniałem już, jak dalece ból odbiera siły - dodał, jakby się usprawiedliwiając.

- My też mamy już dość. Prawda, Val? - wtrąciła Elspeth.

- Z przyjemnością stąd wyjdę - zapewnił ojca Valentine.

- Polecę stangretowi, by najpierw odwiózł mnie do domu, a potem ciebie i Elspeth do hotelu.

- To zbyt cenne, panie hrabio. Możemy wrócić wynajętym powozem.
 - Bzdura! Nie pozwolę, byście się trzęśli w jakimś obskurnym pudle!
- Jadąc na St. James Square Elspeth i hrabia wymieniali uwagi na temat wieczoru u księcia.
- Maddie robi furorę, nieprawdaż? Nie zauważyłam co prawda jakiegoś zdeklarowanego wielbiciela, ale co najmniej trzech panów poprosiło ją po raz drugi do tańca!
 - To pełna życia i uroku młoda dama. Jestem pewien, że otrzyma wiele propozycji małżeńskich mimo stanu, w jakim znajduje się ich rodzinny majątek... a mówiąc ściślej, mimo jego braku - podsumował kostycznie hrabia. - Bardzo mi przykro, że na tak wspaniałego młodego człowieka jak James spadło brzemię ojcowskich długów... ale z tego, co słyszę, już zdołał je spłacić prawie w całości. Poza tym Maddie otrzymała niewielki spadek po kimś z rodziny matki. To oczywiście również poprawiło sytuację.
 - A więc James nie stoi na progu bankructwa, panie hrabio? - spytał z nagłym zainteresowaniem Val.
 - Długo to potrwa, nim Wimborne Hall wróci do dawnego stanu... Ale o ile wiem, James wypływa już na pełne wody.
 - Jakże miło mi to słyszeć! — zawołał Val. Jeśli James nie znajdował się w rozpaczliwej sytuacji finansowej, z pewnością nie miał nic na sumieniu. Deyereaux łże - tak jak przypuszczał!
 - Ucieszyły cię wiadomości na temat Jamesa - zauważyła Elspeth, kiedy odwieźli już hrabiego do domu.
 - W tej sytuacji cóż mogłoby go skłonić do zdrady?! - odparł Val. - Jutro wezmę w obroty tego kłamliwego młokosa i wycisnę z niego prawdę!

Rozdział XXXIV

Następnego ranka Val wcześniej wstał i wyszedł z domu. Zjawił się w ministerstwie w pół godziny po rozpoczęciu urzędowania. Bez większego trudu odnalazł gabinet sir Humphreya. W przylegającym doń sekretariacie Deyereaux otwierał właśnie urzędową korespondencję. Nie podnosząc głowy znad listów, oznajmił niezyczliwym tonem, że ministra nie ma i zjawi się dopiero późnym popołudniem.

- Niewiele mnie to wzrusza, panie wicehrabio, gdyż przyszedłem do pana. Młodzieniec podniósł głowę, na jego twarzy malowały się wyraźnie zdziwienie i niezadowolenie.
 - Nie mam pojęcia, czego pan może sobie ode mnie życzyć. Chyba się nie znamy?
 - Porucznik Valentine Aston, do usług.
 - Valentine Aston? Gdzie też ja słyszałem to nazwisko?
 - Zapewne wczoraj na wieczorze u księcia - podpowiedział Val.
 - Ach, tak! To pan jest tym bę... starszym synem hrabiego Faringdona?
 - I jednym z oficerów zwiadowczych Wellingtona. Przesłano mnie tu z Portugalii, żebym się z panem rozmówił - dodał ostrym tonem Val.
- Młody człowiek zrobił wielkie oczy.
- Co pan o mnie wie?

- Wszystko - wypalił prosto z mostu Val. - Gdzie możemy porozmawiać na osobności?
Może w gabinecie ministra?
Deyereaux zaczął nerwowo przerzucać papiery, potem wstał.
- Owszem, przez chwilę gabinet będzie jeszcze wolny.
— A zatem minister nie oddalił się na wiele godzin? — zauważył sarkastycznie Val.
- Moim obowiązkiem jest chronić pana ministra przed tłumem natrętów, którzy go nagabują!
Deyereaux wprowadził Vala do gabinetu i zamknął drzwi.
- Zechce pan spocząć, panie poruczniku? - spytał, wskazując dwa krzesła stojące przy oknie.
— Raczej nie. - Val stał bez słowa przez kilka minut.
Napięcie rosło i w końcu Deyereaux spytał z desperacją:
- Czego pan chce?
— Chciałem przyjrzeć się z bliska człowiekowi, który przekazywał wrogom tajne informacje.
- Robiłem to dla dobra takich jak pan, poruczniku! - oświadczył Deyereaux ze sztuczną brawurą.
- Jak ja?
- Z pewnością jako... hm... nieślubny syn hrabiego przekonał się pan na własnej skórze, jak niesprawiedliwe są obowiązujące obecnie prawa. Musi pan przecież wierzyć w wolność, równość i...
- Fraternité?
- Napoleon Bonaparte jest żywym symbolem rewolucji!
- Napoleon Bonaparte jest postrachem Europy, bezmyślny młokosie! - odparł Val, hamując się, by nie porwać Deyereaux za gardło i nie udusić go. - Wygnał prawowitego władcę Hiszpanii i na jego tronie osadził własnego brata! Na tym ma polegać równość?
- Zachował wiernie wprowadzone przez rewolucję reformy, panie poruczniku. W końcu wszystko przybierze właściwy kształt — upierał się Deyereaux. - Poza tym nie zdradziłem żadnych tajemnic wojskowych. Tego bym nigdy nie zrobił! - dodał z oburzeniem. - Zadałem tylko o to, by wieści o naszej sytuacji politycznej dotarły do Portugalii nieco wcześniej niż drogą oficjalną. Wydawało się absolutnie pewne, że książę regent oprze się na wigach i odwoła Wellingtona z Półwyspu Iberyjskiego. Wówczas zakończyłaby się wojna, a władza spoczęła w rękach tych, którym leży na sercu dobro zwykłych ludzi!
- Pan naprawdę nie pojmuję, że to była zdrada? - spytał Val, nie wierząc wprost, że ktoś może być aż tak naiwny.
- Zrobiłem to dla dobra ojczyzny! - obstawał przy swoim Deyereaux.
- No to wyjaśnię panu pokrótce, jakie były skutki pańskiego infantylnego idealizmu, panie wicehrabio! — Val pchnął Deyereaux w pierś i młodzieniec musiał się cofnąć. Stał przyparty plecami do ściany, patrząc prosto w oczy Vala. - Ponieważ dzięki panu Masséna miał dokładne informacje na temat sytuacji wewnętrznej w Anglii, uznał, że warto za wszelką cenę utrzymać się w Santarém. Mimo że Francuzi nie mieli co jeść. Wie pan, co to znaczy umierać z głodu, panie wicehrabio? - Deyereaux potrząsnął

głową, w jego szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie. - No więc Francuzi marli z głodu. A kiedy wreszcie ruszyli się spod Santarém, wie pan, co zrobili?

- Nnnie, pparlie pporuczniku - wyjąkał Deyereaux.

Wywarli swój gniew na mieszkańcach Portugalii. Tamtejszych chłopach. Tych, których nazwałby pan zapewne swymi braćmi i siostrami. Francuzi palili żywym ogniem kobiety i dzieci, by zdradziły, gdzie ukryto resztki żywności!

Deyereaux zamknął oczy.

- O Boże... - szepnął.

- No cóż, pańskiego Boga jakoś przy tym nie było, panie wicehrabio! Za to smród z dołów pełnych trupów unosił się przez wiele dni!

- Ależ ja nie wiedziałem...

- To najgłupszy ze wszystkich wykrętów! „Nie wiedziałem”?! To teraz już pan wie! - warknął Val z odrazą i puścił Deyereaux. — Kto odbierał od pana te informacje i jak nawiązaliście kontakt?

- Przed kilkoma miesiącami odwiedził mnie... pewien człowiek i poprosił o pomoc. Tak naświetlił sprawę... Naprawdę, uwierzyłem mu, że skutki będą wyłącznie pozytywne... że najpewniej wojna szybko się zakończy.

- I przekazywał pan informacje na jego ręce?

— Nie. Wyjawiłem już, że odbierał je James Lambert, markiz Wimborne.

- Łżesz!

— Mogę mieć wiele na sumieniu, ale kłamcą nie jestem — odparł Deyereaux, wznosząc dumnie głowę. - Otrzymałem poufną wiadomość, że markiz robi to dla pieniędzy.

Skąd pan je brał?

— Z własnej kieszeni. Otrzymałem spadek po ciotecznej babce, a poza tym jestem pierworodnym synem... Pieniądzy mi nie brak, panie poruczniku. Chciałem zrobić z nich dobry użytek... - dodał i głos mu się załamał.

- Kto podszeptał panu nazwisko Jamesa? - nalegał Val.

- Nie mogę panu tego wyjawić. Dałem słowo honoru - odparł Deyereaux. Patrzył Valowi prosto w twarz, pragnąc zachować resztki godności.

— Cholera jasna! Śmiesz jeszcze mówić o honorze?!

- Dałem słowo, panie poruczniku.

- No więc je złamiesz i powiesz mi, o kogo chodzi! - syknął Val z pogroźką w głosie.

- Nie mogę, panie poruczniku. Choćby mnie czekała de portacja.

Ze spojrzenia młodego głupca Val wyczytał, że trzyma się zębami i pazurami ostatniego strzępka honoru.

- Wiesz doskonale, że nie tylko cię nie deportują, ale w ogó1

le nie ukarzą... ze względu na pozycję twojej rodziny! Oto jak wygląda twoja egalitć i fraternire Nie zawahałeś się oskarżyć Jamesa Lamberta. Skąd więc takie opory przy drugim zdrajcy?!

Markiza Wimborne”a prawie nie znam. Wymieniliśmy ze sobą najwyżej kilka słów na przyjęciach. On się nawet nie orientował, od kogo otrzymuje informacje. Nigdy mu nie

obiecowałem dyskrecji. - Deyereaux zamilki na chwilę i znów się odezwał: - Rozumiem, że pan mną gardzi... Ale zaręczam honorem, że nie miałem pojęcia, jakie to pociągnie za sobą skutki. W ustach... tamtego człowieka wszystko brzmiało tak jasno, prosto i patriotycznie! - Deyereaux wybuchnął gorzkim śmiechem. - Ale jeśli bezwiednie przyczyniłem się do takich nieszczęść, to przede wszystkim on ponosi za to winę! Namawiał mnie... I bardzo mu zależało na wciągnięciu w to markiza... — Młodzieniec zamilki i Valentine widział z jego twarzy, że toczy walkę wewnętrzną. Odsunął się więc i nie przerywał milczenia.

- Nie mogę złamać słowa i powiedzieć panu, kto to jest. Ale mógłbym umówić się o tej samej porze z nim i z panem. Wiem, że to są jezuickie wykręty... Ale tylko tak mogę postąpić, panie poruczniku, by zachować choć odrobinę godności. - I dodał z goryczą: - Do śmierci będę żałował tego, co uczyniłem...

— Zatrzymałem się w hotelu „Blakestone”. Proszę mnie zawiadomić po skontaktowaniu się z tym człowiekiem.

- Tak jest, panie poruczniku.

Nie tylko młody Deyereaux sądził, że Anglia wplątała się wojnę z obawy, by na Wyspy Brytyjskie nie dotarła „zaraza” rewolucji francuskiej. Wielu oficerów uważało, że rządowi nie idzie o pokonanie tyrana, tylko o zachowanie przywilejów arystokracji.

Val przez te wszystkie lata nie miał głowy ani czasu na zajmowanie się polityką. Gdyby się jednak głębiej zastanowił, doszedłby zapewne do wniosku, że skłania się ku poglądom wigów. Pomyśleć tylko, jak twardo arystokracja obstawała przy swoich przywilejach! Valowi nie zależało na tytule wi

cehrabiego, ale chciał mieć takie same prawa, jak syn zrodzony w legalnym związku.

Jednak ojciec nie mógł mu tego zapewnić, gdyż przepisy dotyczące dziedziczenia majątku i ty- tulu miały większą wagę niż zwykłe ludzkie uczucia.

Val nie mógł jednak pojąć, czemu radykałowie nie widzą Napoleona tyrana, któremu zależy tylko na ściągnięciu do armii jak największej liczby młodych zapaleńców i na dorwaniu się - po ich trupach! - do władzy absolutnej. Francuskie wojska, idąc do bitwy, nie krzyczą już *Viye fraternité!*, lecz *Viye l'Empereur!*, pomyślał Val i skrzywił się z niesmakiem.

Ale co skłoniło Jamesa? Valowi było coraz ciężej na sercu. Jak mógł James Lambert - człowiek, którego podziwiał i naprawdę kochał — zostać zdrajcą? Nie szło przecież o pieniądze (to ostatecznie mógłby zrozumieć), bo choć James miał trudności finansowe, nie znajdował się w rozpaczliwej sytuacji. Należał do wigów, ale jego przekonania nie były skrajnie radykalne... A jednak ktoś wiedział z góry, że James przyjmie propozycję współpracy! Ktoś wskazał go palcem młodemu Deyereaux! Skąd taka pewność?! Czyżby James już od dawna parał się szpiegostwem? A może po raz pierwszy uległ pokusie?

Może podobnie jak Deyereaux sądził, że

ten sposób przyczyni się do zakończenia wojny?

Jednak Val wiedział, że to niemożliwe. Żołnierz tak doświadczony jak James wiedział, że wszelkie działania, nawet pozornie nieszkodliwe, mogą mieć daleko idące konsekwencje.

Jaki teraz będzie los Jamesa? Może nie dojdzie do procesu, należy przecież do

najwyższej arystokracji. Jeśli młodemu Deyereaux uszło na sucho, to może i Jamesowi

się upieczę? Straci oczywiście oficerskie szlify... Nie, z pewnością nie zdecydują się na proces. Złęką się szkodliwego dla rządu skandalu.

A jak on sam, Val, będzie mógł patrzeć w oczy Jamesowi, znając jego sekret?

Uczestniczyć w balu na cześć lady Madeline i zachowywać się jakby nigdy nic, mimo że wie doskonale, iż jest w posiadaniu informacji, grożącej Jamesowi co najmniej dożywotnim wygnaniem? Obowiązek wobec ojczyzny nakazywał mu zdemaskować przyjaciela... Jak można żyć z takim brzemieniem?

Tak mu zależało na tym, by zdrajcą okazał się Lucas Stanton! Do diabła, był tego pewien! Ale przecież to prawda:

Stanton jest zdrajcą!, uświadomił sobie nagle Val i zatrzymał tak nagle, że idący za nim mężczyzna wpadł na niego.

- Mógłby pan być uważniejszy!

— Proszę mi wybaczyć, zamyśliłem się - przeprosił przechodnia Val i zsalutował.

To przecież Lucas Stanton jest mężczyzną, z którym niebawem spotka się w ministerstwie! Wszystko do siebie pasowało: Lucas wiedział o kłopotach finansowych Jamesa... Ale skąd ta pewność, że markiz zgodzi się przekazywać wrogowi informacje..., tylko po to, by jego siostra mogła podczas sezonu paradować w jeszcze wykwinniejszych fatalaskach?! Może jednak była to z góry zaplanowana, okrutna zabawa

kotka i myszkę: Stanton napuścił Deyereaux na Jamesa i postawił go w sytuacji bez wyjścia, by móc go później szantażować? Podobne przypuszczenie wydawało się dość logiczne: poniżanie i wykorzystywanie innych zawsze sprawiało Stantonowi perwersyjną rozkosz.

Prawie wszystkie kawałki mozaiki pasowały do siebie... Nie, pozostawała jeszcze jedna luka: co, na litość boską, skłoniło Jamesa do wyrażenia zgody na podobną propozycję? O Boże, wrócił znów do samego początku!

Zdemaskowanie Stantonona jako zdrajcy sprawiłoby Valowi prawdziwą przyjemność.

Niestety, nie mógł zgnieść tego bydlaka, nie niszcząc zarazem swego przyjaciela.

Im bliżej Val miał do hotelu, tym bardziej ciągnęła go tam myśl o Elspeth. Mało komu mógłby zwierzyć się ze swych problemów, ale wiedział, że Elspeth ze swym zdrowym rozsądkiem i współczującą naturą zrozumie go z pewnością. Pomoże mu wszystko dokładnie rozważyć. Daj Boże, żeby tylko była w domu! modlił się w duchu Val.

Zastał żonę w saloniku, obszywała właśnie suknię zieloną wstążką.

— Co się stało, Val? Jesteś czymś strasznie przybity! Czy to spotkanie z Deyereaux tak cię zgnębiło? - Elspeth Zwinęła bez pośpiechu zieloną wstążkę, odłożyła szycie i zajęła się wyłącznie mężem.

Val odetchnął głęboko i usiadł naprzeciw niej.

- Już ci mówiłem jaki jestem rad, mając ciebie za żonę... ale jeszcze bardziej cieszę się, że mam w tobie przyjaciela. Do nikogo innego nie mógłbym się zwrócić z moimi kłopotami.

Słowa męża bardzo wzruszyły Elspeth, zachowała jednak spokój i czekała, co powie dalej.

- Rozmawiałem z Deyereaux. To niedowarzony idealista, którego głupota spowodowała śmierć wielu ludzi. Przysięga teraz, ito, uważasz, na swój honor - podkreślił z ironią - że właśnie James odbierał od niego informacje i przekazywał dalej.

— O Boże, nie! szepnęła Elspeth.

— Wciągnięcie w całą sprawę Jamesa zasugerował młodemu durniowi pewien znajomy... A Deyereaux honor dżentelmena nie pozwala wymienić jego nazwiska! Zgodził się jednak umówić z tamtym na spotkanie, a potem powiadomić mnie, że bym i ja był w pobliżu.

- Komu w ogóle mogło przyjść do głowy, że James zgodzi się na coś takiego?!

- Jestem przeświadczony, że to Lucas Stanton., Wszystko wówczas pasuje i przeczytany przez Mags list nabiera sensu... Ale dumam nad tym i dumam, i nadal nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czemu Stanton zaproponował właśnie Jamesa?

- Dlatego, że James potrzebował pieniędzy?

- Wiemy przecież, że nie jest całkowicie zrujnowany, Elspeth!

- Nie, ale może chodziło o debiut towarzyski Maddie?

- Wyobrażasz sobie Jamesa zdradzającego ojczyznę po to, by bal na cześć siostry wypadł wspanialej?! W najgorszym razie mógł poszukać posażnej żony!

- Nie — odparła natychmiast Elspeth - nie wyobrażam sobie Jamesa ani jako zdrajcy, ani jako łowcy posagowego!

Ani w ogóle jako żonatego mężczyzny! Ta myśl przyszła jej do głowy zupełnie nieoczekiwanie, Elspeth siedziała cichutko i analizowała ją. Tak, wszystko się zgadza... O wiele lepiej niż wszelkie poprzednie przypuszczenia! Ze też dopiero teraz przyszło jej to na myśl!

— Val, a jeśli Stanton już wcześniej szantażował Jamesa i dlatego właśnie był pewny, że nie odrzuci takiej oferty?

Val zastanawiał się przez chwilę.

- Owszem, wtedy by się wszystko zgadzało - przyznał. - Ale czym, na litość boską, mógł szantażować Jamesa?!

— Chyba sam James najlepiej ci to wyjaśni — odparła cicho Elspeth.

- Więc uważasz, że powinienem go uprzedzić? Niewątpliwego zdrajcę?

- I dobrego przyjaciela. Val jęknął.

- Ostrzegę go... - zgodził się. - Ale kim wówczas sam się okażę?

- Równie dobrym przyjacielem. - Elspeth dostrzegła ból w oczach męża i ujęła obie jego ręce. — Czy potrafiłbyś bez ostrzeżenia zadenuncjować Jamesa przed Grantem?

Przecież mogą go powiesić!

- Raczej skazą na deportację... ale i to okryje straszliwą hańbą i jego, i całą rodzinę. — Val mocno uściśnęła ręce żony. — Jeżeli jednak uprzedzę Jamesa, stanę się również zdrajcą. Splamię mój honor oficera i... - dorzucił z ironią - dżentelmena.

Elspeth spojrzała mu w oczy.

— I ja się cieszę, że jesteśmy przyjaciółmi, Val. Jesteś dla mnie uosobieniem honoru, wzorem dżentelmena... bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję.

Val puścił ręce żony i obu dłońmi objął jej twarz. Potem pochylił się i ucałował ją delikatnie.

- Elspeth, ja... jestem bardzo szczęśliwy, żeśmy się pobrali. — Omal mu się nie wyrwało „kocham cię”. Ale jeśli z jej strony to tylko przyjaźń? Postawi ją w niezręcznej sytuacji: będzie się usprawiedliwiała przed nim z braku miłości!

- Jutro bal na cześć lady Madeline, Bogu dzięki! Nie mogę niezwłocznie zagrać z Jamesem w otwarte karty, bo zepsułbym całą uroczystość. Potem jednak ostrzegę go i dam mu szansę wyjaśnienia wszystkiego. A jeśli okaże się, że to Stanton zaaranżował wszystko dla własnej perwersyjnej uciechy... przysięgam na Boga, że za to zapłaci!

Rozdział XXXV

Hrabia zapowiedział, że przyjedzie po nich swoim powozem, toteż następnego wieczora wszyscy troje ugrzęźli

długim szeregu pojazdów zdążających do londyńskiej rezydencji Lambertów.

- Jesteście dziwnie milczący - zauważył hrabia. — Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w sprzeczce zakochanych!

- Ależ skąd - zapewniła go Elspeth z uśmiechem. - Jesteśmy po prostu zmęczeni. Żadne z nas nie przywykło do życia towarzyskiego.

- Mam jednak wrażenie, że wszystko poszło dobrze... A co ty o tym sądzisz, Valentine?

- To, że pan hrabia jest naszym sprzymierzeńcem, nakłada kaganiec plotkarzom - przyznał Val. - Jestem ogromnie wdzięczny, zwłaszcza ze względu na Elspeth.

- Czy myślałeś może o wystąpieniu z wojska? - spytał ojciec. — Moglibyście osiąść na stałe w Anglii i zająć właściwe miej sce w towarzystwie.

— Moje miejsce jest w szeregach armii, panie hrabio, przynajmniej do końca wojny - odrzekł bez zastanowienia Val.

- Ale co z twoją żoną?

- Nie wyobrażam sobie życia bez wojska, Charlesie - odparła Elspeth, ściskając rękę męża.

- No, dotarliśmy wreszcie! — oznajmił Val, rad z przerwania rozmowy. Nie miał wcale ochoty dyskutować z ojcem na temat przyszłości.

— Tłok aż miło, prawda? — uśmiechnęła się Maddie, gdy Elspeth i Val dotarli wreszcie do niej. — James to wzór brata!

- Zasłużyłaś na wszystko co najlepsze, Maddie - oświadczył James. — Teraz tylko postaraj się powalić któregoś z wielbicieli na kolana!

James otworzył bal z Maddie, potem zaś przyglądał się z pobłażliwym uśmiechem, jak inni porywają siostrę do następnych tańców.

- Nie tańczysz, Jamesie? - Po skończeniu kadryla Val na prośbę żony podszedł wraz z nią do markiza.

— Miałaś rację co do tych młodzieńców, Jamesie! Kłóć się teraz, który z nich poprowadzi Maddie do kolacji. Zdaje się, że przyrzekła to obu! — roześmiał się Val.

- Szelma!

— Myślisz, że wyróżnia któregoś z nich, Jamie? Mnie się nie zwierzyła — wtrąciła Elspeth.

- Nie sądzę, choć bardzo chętnie wydałbym ją za każdego z nich. Obaj to wspaniali..., młodzieńcy.

— Chciałeś powiedzieć „chłopcy”, prawda? - zauważył ją z żartobliwym uśmiechem.

- Wiem, że są ode mnie młodszy zaledwie o kilka lat, Valentine, ale w porównaniu z nimi czuję się niemal starcem.

— Doskonale cię rozumiem, Jamesie — powiedziała Elspeth ze współczującym uśmiechem. - Czułam się tak samo w towarzystwie moich koleżanek z pensji.

- Już stroją instrumenty... Czy uczynisz mi ten zaszczyt, Elspeth? Nie masz mi chyba za złe, że porwę twą małżonkę w tany?

- Ależ skąd!

Val poczuł ulgę, ujrawszy Deyereaux. Podszedł do młodzieńca gawędzącego z grupką rówieśników.

I- Czy mógłbym zamienić z panem słówko, wicehrabio?

- No... tak, oczywiście, panie poruczniku. Za chwilę wróć; cę i upomnę się o mój taniec - zwrócił się do jednej z młodzianek.

Val odciągnął go do pokoju na uboczu.

- Już się pan skontaktował z tym człowiekiem? - spytał prosto z mostu.

— Prawdę mówiąc, tak. Zamierzałem przesłać panu wiadomość jutro rano. Zjawi się w ministerstwie o trzeciej.

— Ja też tam będę.

- Ale co z tego wyniknie? - spytał niespokojnie Deyereaux.

- No cóż, przekonamy się jutro, milordzie!

Gdy Deyereaux wracał do swej partnerki, by porwać ją do tańca, drogę zastąpił mu Lucas Stanton.

- Widziałem, jak stąd wychodził ten bękart Faringdona. O czym mogliście ze sobą gadać? — spytał podejrzliwie.

- Pytał... czy można przyznać jego bratu jakieś pośmiertne odznaczenie — Deyereaux sam był zaskoczony, że zdołał wymyślić taki sprytny wykręt.

- Co za kochający braciszek!

- To było doprawdy wzruszające! - Deyereaux sam już prawie wierzył w swoją bajeczkę.

— Nie wątpię! - zaśmiał się szyderczo Stanton. Patrzył jednak podejrzliwie za oddalającym się wicehrabią.

Po rozmowie z Deyereaux wieczór dłużył się jelowi nieznośnie, był więc bardzo rad, gdy Elspeth podeszła do niego i zaproponowała, żeby się już pożegnać.

- Twój ojciec wygląda na strasznie zmęczonego, Val - powiedziała. — Oczywiście, jeśli chcesz zostać dłużej, to poprosimy, żeby powóz zajechał po nas powtórnie.

- A ty masz na to ochotę?

- Było bardzo przyjemnie, ale doprawdy nie musimy siedzieć do samego końca!

— Bardzo mi przykro, Elspeth, ale dziś będziesz musiała obyć się beze mnie — usprawiedliwił się Val, siadając następnego ranka do późnego śniadania.

- Odwiedzisz Jamesa?

- Tak, a potem wpadnę do Whitehall. Kiedy wszystko się wreszcie wyjaśni, wracamy od razu do Portugalii - zapewnił ją z uśmiechem. - I powiadomimy twoich rodziców o naszym małżeństwie. — Uśmiech zgasł.

- Jestem przekonana, że się ucieszą, Val — zapewniła go Elspeth. - Chociaż mój ojciec z początku zacznie gderać, że przez nas nie był na ślubie! — Zawahała się. — Jaka szkoda, że nie możesz pobyć dłużej ze swoim ojcem...

- Nie przypuszczałem, że z ciebie taka sentymentalna kobietka, moja droga! — zauważył Val z odrobiną ironii.

- Czy to według ciebie sentymentalizm jeżeli pragnę, byście się obaj zbliżyli po śmierci Charliego?

- Przypominam mu tylko, że zginął nie ten syn, co trzeba - odparł gorzko Val. Elspeth zrobiła taką minę, jakby była przeciwnego zdania, ale powiedziała spokojnie:

- Nie będziemy teraz o tym dyskutować, Val. Życzę ci, by rozmowa z Jamesem przebiegła pomyślnie... a potem bądź ostrożny! Jeśli Lucas Stanton jest rzeczywiście inspiratorem całej tej afery, będzie wściekły, kiedy go zdemaskujesz.

- Miło mi, że się o mnie troszczysz, Elspeth, ale doprawdy nie ma powodu do obaw. Wrócę wieczorem, niezbyt późno.

Rozdział XXXVI

Val obszedł skwer trzykrotnie, zanim zastukał do drzwi Jamesa.

- Jaśnie państwo jeszcze nie przyjmują - poinformował go majordomus.

- Wiem, że wczorajszy bal zakończył się bardzo późno, ale to niezwykle pilna sprawa — wyjaśnił Val. — Proszę powiadomić pana markiza, że porucznik Aston musiz nim pomówić.

- Proszę wejść, panie poruczniku - odparł niechętnie majordomus, wpuszczając Valentine'a do holu. - Zaraz przekażę wiadomość.

Po chwili zaprowadził gościa do biblioteki.

— Pan markiz niebawem się zjawi. Właśnie się ubiera dodał i rzuciwszy Valowi oskarżycielskie spojrzenie, zniknął.

Val nie był w stanie usiedzieć i gdy kilka minut później wszedł James, krążył nerwowo po pokoju.

- Witaj, Val! Co za miła poranna niespodzianka! A może już popołudniowa? Balowaliśmy długo po waszym wyjściu, toteż cały nasz dom właściwie jeszcze chrapie! — powiedział z szerokim uśmiechem.

Kiedy Valentine nie uśmiechnął się w odpowiedzi i nie zajął wskazanego miejsca, markiz zapytał już całkiem serio:

- To coś ważnego, Val? Dostałeś jakieś wieści z Portugalii? Masz strasznie ponurą minę! Wybaczysz, że usiądę, chociaż ty nie siadasz. — I James, przysiadłszy na brzegu biurka, spojrzał z ciekawością na przyjaciela.

Wcale nie widać, żeby się niepokoił, pomyślał Val. Przecież chyba nie byłby taki opanowany, gdyby to wszystko było prawdą?

- Od kilku miesięcy z rozkazu kapitana Granta pracowałem nad pewną sprawą - zaczął.

- Tak?

- Mieliśmy podejrzenia, że Masscna otrzymuje poufne informacje o sytuacji politycznej w Londynie. Kapitan Grant polecił mi zbadać tę sprawę.

- Rozumiem - odparł spokojnie James.

Val, obserwując bacznie przyjaciela, nie dostrzegł żadnej zmiany w wyrazie jego twarzy.

- Wyłoniło się trzech podejrzanych: Trowbridge, Stanton... i ty.

Brak wszelkiej reakcji ze strony Jamesa zbijał Vala z tropu, ciągnął jednak dalej:

- Ponieważ sam nie zdołałem niczego wykryć, zwróciłem się o pomoc do Mags Casey, która miała łatwy dostęp do waszych namiotów.

— Istotnie. Zatem atak na Mags?

— To nie był napad rabunkowy, Jamesie. Jesteśmy pewni, że ktoś ją zobaczył, gdy wychodziła z namiotu Stantona,

- Nie myślisz chyba, że jestem zdolny do brutalnej napaści na kobietę! — oburzył się James.

- Już sam nie wiem, co myśleć - odparł cicho Val - odkąd upewniłem się o czymś, w co nie potrafię uwierzyć: że jesteś zdrajcą. Mags znalazła w namiocie Stantona list świadczący o tym, że Lucas szantażował kolegę ze szkoły z powodu czegoś, za co grozi kara śmierci.

- Mogło przecież chodzić o kogoś całkiem innego, Val!

- Tak, ale podczas gdy ja prowadziłem śledztwo w Portugalii, podobne działania podjęto w Londynie. Wicehrabia Deyereaux przyznał się do wszystkiego, Jamesie, i wskazał na ciebie jako na współnika.

Valentine spostrzegł, że jego przyjaciel zbladł i zeszywniał. Zdołał jedynie wykrztusić:

— Ach, tak?

— „Ach, tak?”, Jamesie?! Tylko tyle? Nie masz nic więcej do powiedzenia na swą obronę? Powiedz, że Deyereaux łże, nawet jeśli to nieprawda! — W głosie Valentine’a brzmiał ból.

- To byłoby kłamstwo, a ja nie potrafiłbym cię okłamać, Val.

— Nie potrafiłbyś okłamać mnie, ale możesz zdradzać swój kraj?! A Deyereaux nie wahał się przekazywać wrogom informacji, które setki naszych sprzymierzeńców przypłaciły życiem, ale uważa, że naraziłby na szwank swój honor, wymieniając nazwisko tego, kto wplątał was w całą tę sprawę! Słowo daję, Jamesie, cieszę się, że jestem bękartem, jeśli szlachetnie urodzeni tak rozumują!

— Wątpię, czy mi uwierzysz, Val, ale nie miałem innego wyjścia.

- Czyżbyś aż tak potrzebował pieniędzy? Czy pierwszy bal Maddie znaczy dla ciebie więcej niż losy Europy?!

James wstał i podszedłszy do kominka, zaczął rozgarniać płonące polana. Kiedy znów odwrócił się do Vala, twarz miał gniewną i surową.

— Zapewniam cię, że nie zrobiłem tego z chciwości.

— Więc dlaczego to zrobiłeś?! Nie jesteś przecież taki głupiak Deyereaux! Musiałeś się domyślać, jakie będą konsekwencje!

- Nigdy bym nie zdradził tajemnicy wojskowej, dotyczącej liczebności lub strategii naszej armii, wierząc mi! Ale nie będę się usprawiedliwiać. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z konsekwencji. Miałem jednak nadzieję, że regencja zostanie ustanowiona, a Wellington wróci do Anglii, zanim głód poczyni takie spustoszenie wśród Francuzów.

— Jesteś więc aż takim radykałem, Jamesie? Nie zraża cię to, co Bonaparte wyprawia w Europie?! - spytał z niedowierzaniem Val.

James uśmiechnął się krzywo.

- Cóż za ironia, prawda? Z nas dwóch zagorzałym wigiem okazuje się nie bękart, ale członek znakomitego rodu, przedstawiciel uprzywilejowanej arystokracji!

— To wcale mnie nie bawi, Jamesie, ciebie zresztą także nie.

— Siadaj, Val!

Valentine tylko spojrzał spode łąb.

— Siadajże, na litość boską! Nie mam zamiaru uciekać... ani przed tobą, ani przed konsekwencjami własnych czynów. I tak bym nie mógł - dodał ze znużeniem.

Ból w jego głosie dotarł wreszcie do świadomości Vala. Usiadł na kanapie. James wpatrywał się przez chwilę w ogień, a potem, odwracając się do przyjaciela, posłał mu uśmiech tak serdeczny, że Valowi ścisnęło się serce.

— Nie miałeś pojęcia, prawda?

— O czym, Jamesie?

- O Boże, jakie to trudne... Cóż, mój przyjacielu, nie tylko za zdradę orzeka się karę śmierci - zauważył sucho James.

— Szafuje się nią na prawo i lewo, wiem! Nie sądzę jednak, żebyś był na przykład kłusownikiem, Jamesie - odparł Val sarkastycznie.

- A dlaczego, twoim zdaniem, dotychczas się nie ożeniłem? Nie związałem się z żadną kobietą?

- No, byłeś poza krajem... I długi twego ojca... - Głos Vala załamał się, gdy przebiegło mu przez myśl podejrzenie, które nie mogło przecież być prawdą!

- Chyba nie jesteś... Nie możesz być...

- Pedalem? Ciotą? Ależ tak.

— Nie wierzę!

- Dlaczego? Chanie uwierzył bez trudu - powiedział James z dziwnym uśmiechem.

- Chanie wiedział o tym?!

- Chyba nie doceniałeś Charliego, Val. Podobnie jak inni. To, że ktoś nosi serce na dłoni, nie musi znaczyć, że nie ma pojęcia o świecie! Chanie odkrył mój sekret wkrótce po przybyciu do Oksfordu.

- Ale przecież to Lucas Stanton...

- Gwałcił młodszych chłopców? - dokończył z sarkazmem James. - Mówiłem ci już, że Stanton gotów jest kopolować ze wszystkim, co mu się nawinie!

- A ty ich broniłeś przed nim...

- Jak tylko mogłem. Oczywiście! Zrozum, Valentine: homoseksualizm nie jest równoznaczny z napastowaniem młodych chłopców! Różnica między nami a wami polega tylko na tym, kogo się kocha...

— Więc ty... kochałeś... mężczyzn? — spytał Val starając się bez powodzenia ukryć odrazę.

— O Boże! - jęknął James. — O co ty właściwie pytasz, Val? Czy uprawiałem miłość z mężczyznami? Tak, choć niezbyt często, to ogromne ryzyko. Czy byłem zakochany w jakimś mężczyźnie? Tak, byłem. Poznałem go w Oksfordzie. Studiował o rok wyżej i był... cudowny. Nie klasycznie piękny, ale inteligentny i czarujący. No i zaręczony od dzieciństwa z córką sąsiadów dodał głosem pełnym bólu.

— A więc nie był... taki jak ty?

- O, był dokładnie taki jak ja! - odparł James z gorzkim uśmiechem. - Zakochaliśmy się w sobie do szaleństwa. Usilowałem go namówić, by rzucił wszystko i wyjechał ze mną na kontynent. On jednak nie potrafił się na to zdobyć. Tłumaczył, że nie może okryć hańbą rodziny i skrzywdzić swej przyszłej żony... - James patrzył martwym wzrokiem na Vala.

- I ożenił się z nią?...

- Tak. Byłem na ich ślubie. To przemiła dziewczyna. Jeśli musiał z kimś się ożenić, to nie mógł wybrać lepiej, ale...

— Ale co?

- Oszukuje ją każdego dnia, każdym pocałunkiem... Nieustannie zadaje gwałt własnej naturze. Ja nie mogłbym tak postąpić. Ani wówczas, ani nigdy.

- I Lucas Stanton dowiedział się o tobie?

- Sądzę, że powziął pewne podejrzenia już w Queen's Hall, choć Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Z nikim się tam nawet nie zaprzyjaźniłem... oprócz ciebie, Val - dodał. - Byłeś takim samym wyrzutkiem jak j, choć oczywiście nie miałeś o tym pojęcia. Obaj nosimy od urodzenia hańbiące piętno: ty jesteś bękartem, a ja czuję pociąg do mężczyzn, nie do kobiet... Tak czy inaczej, Stanton mniej więcej przed rokiem wyspiegował mnie w Lizbonie z pewnym mężczyzną. To nie było nic ważnego, ale od tej pory Lucas trzymał mnie w garści.

— Groził ci?

- Nie zląkłbym się jego gróźb, ale w pierwszej chwili zlekceważyłem sprawę... Stanton jednak szantażował mnie nadal, a ja coraz dokładniej uświadamiałem sobie, co by się stało z Maddie, gdyby prawda wyszła na jaw... Lekkomyślność naszego ojca już jej pokrzyżowała życie, ale to zniweczyłoby wszelkie jej nadzieje na szczęśliwe małżeństwo.

- Rozumiem - przyznał cicho Val. - Wobec tego wzięłeś pieniądze, żeby opłacić milczenie Stantona.

— Tak. Miałem niezbyt wiele, ale wystarczało mi na własne potrzeby. Sprzedałem niewielką posiadłość i udało mi się spłacić ojcowskie długi... i przygotować debiut Maddie. Ale szantażysta wciąż zwiększał swoje wymagania.

- Przecież nie brak mu pieniędzy!

- Oczywiście. Ale zadawanie innym bólu sprawia mu przyjemność, Val. Mogłeś to zauważyć w Queen's Hall. Pieniądze były dla niego najmniej ważne. - Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym James mówił dalej: - Nie będę przed tobą udawał niewinnej

ofiary, Val. Prawda wygiąda tak: choć nie jestem zwolennikiem Bonapartego, doceniam, że utrzymał reformy wprowadzone przez rewolucję. W Europie pod rządami Napoleona mógłbym żyć bez trwogi. Sądzę, że w pewnym stopniu na mojej decyzji zaważył kontrast pomiędzy ich a naszym prawodawstwem — wyznał z goryczą.

- Chyba potrafię to zrozumieć - powiedział Val. — Nigdy się nie zastanawiałem nad prawami godzącymi w... takich jak ty.

- W zeszłym roku dwóch podobnych mi powieszono.

- Jakim byłem głupcem w porównaniu z Charliem! Nie miałem pojęcia...

— Zналиśmy się z Charliem o wiele dłużej, więc to całkiem zrozumiałe.

— Ty pierwszy okazałeś mi przyjaźń, James je — mówił Val, starając się opanować drżenie głosu. — Widziałeś we mnie człowieka, a nie tylko „hrabskiego bękarta”!

Traktowałeś mnie jak równego sobie...

- Przecież wszyscy ludzie są równi! Widzę, że muszę ci podsunąć publikacje wigów - dodał z wymuszonym uśmiechem. Zamilki na chwilę, po czym spytał: - Co zamierzasz uczynić? Nie proszę o łaskę dla siebie, ale chciałbym jakoś przygotować Maddie na to, co ją czeka.

— Deyereaux nie stanie przed sądem, bo jego ojciec ma ogromne wpływy. Tobie chyba także odebrali by najwyżej patent oficerski... Nie przypuszczam, by komukolwiek zależało na rozpętaniu skandalu właśnie teraz, gdy Wellington wkracza na teren Hiszpanii. Cięży jednak na tobie zarzut nie tylko zdrady, ale i... sodomii - wykrztusił z trudem Val.

- Sądzę, że czeka cię deportacja...

- A gdybym sam złożył oficerski patent i udał się dobrowolnie na bezterminowe wygnanie do Włoch albo Grecji? Wówczas zarówno Whitehall, jak armia uniknęłyby skandalu, a mojej siostry i całej rodziny nie unurzano by w błocie.

- Postaram się przekonać ich, że takie rozwiązanie byłoby najlepsze, Jamesie.

Oczywiście, w tej sytuacji także Stanton uniknie kary - dodał z goryczą.

Ręce Jamesa zacisnęły się na pogrzebaczku, uniósł go w górę niczym broń... ale zaraz ostrożnie położył koło kominka.

- Na to już nic nie poradzimy, Val - powiedział z pozorną obojętnością.

- Wiem! - odparł Val, z trudem opanowując furię. - Ale doprowadza mnie do szału, że taki podlec wyjdzie z tego bezkarnie! Deyereaux także przydałaby się dobra nauczka... Ale Stanton?! Oby zgnił w piekle!

- Wraca niebawem do Hiszpanii, prawda? Być może więc znajdzie się w piekle wcześniej, niż przypuszczasz, Val - odparł James z krzywym uśmiechem.

— Postaram się, żeby i on przekonał się, co to strach! — wykrzyknął gwałtownie Valentine. - Teraz ja będę go miał w garści!

- Bądź ostrożny. Z kimś takim jak Stanton lepiej nie igrac!

— Wierzaj mi, Jamesie, to nie będą igraszki! — zapewnił Val i wstał. — Mogę się nieco wstrzymać z przesłaniem raportu kapitanowi Grantowi. Zresztą, i tak potrwa kilka tygodni, nim do niego dotrze. Starczy ci czasu na załatwienie wszystkich spraw... — Głos mu się załamał.

— Dziękuję ci, przyjacielu. Czy wolno mi cię jeszcze tak nazwać? - spytał James z uśmiechem, zza którego przeziarał lęk przed odtrąceniem.

- Oczywiście - zapewnił Val, podając mu sztywno rękę i przeklinając się w duchu za ten oficjalny ton. Gdy wymienili uścisk, natychmiast cofnął dłoń i ujrzał ból w oczach Jamesa. Czuł się tak niezręcznie! Kochał przecież Jamesa prawie tak jak Charliego... ale jakże mógł mu to okazać teraz, kiedy już wiedział, kim on jest?

Do spotkania w ministerstwie Val miał jeszcze prawie godzinę. Idąc ulicą, zorientował się nagle, że jest bardzo blisko Faringdon House. Po co ja tam idę?! mówił sobie, zmierzając w tym kierunku. Nie miał przecież ojcu nic do powiedzenia! Nogi jednak same go niosły i oto już trzymał w ręku kołatkę.

- Pan hrabia w domu, Baynes?

- Tak, panie poruczniku, w bibliotece.

Hrabia znów siedział za biurkiem. Gdy zaanonsowano Vala, podniósł głowę i uśmiechnął się niepewnie.

Milo mi cię widzieć, Valentine - powiedział, wychodząc zza biurka. - Przynieś nam sherry, Baynes.

- Słucham, panie hrabio.

- Siadaj, Val. - Spojrzał na syna, jakby chcąc zapytać o powód jego wizyty.

— Byłem w pobliżu, pomyślałem więc, że wstąpię i spytam, czy pan hrabia wypoczął już po wczorajszych trudach? — spytał oficjalnym tonem Val.

- Nie musisz szukać pretekstu, by mnie odwiedzić, Valentine — odparł spokojnie ojciec.

— Jesteś tu zawsze mile widziany. Bardzo bym chciał, byś zrozumiał, że Faringdon House to także twój dom. - W tej chwili zjawił się lokaj z sherry. — Dziękuję, postaw tutaj. Napijesz się, Val?

- Z przyjemnością, panie hrabio.

Sączyli sherry, świadomi rosnącego między nimi napięcia. W końcu odezwał się Val:

- Sam nie wiem, czemu tu przyszedłem... Może lądziłem się, że Charlie...

Hrabia popatrzył znad kieliszka.

- Choć był od dłuższego czasu w wojsku, nadal co rano nadśluchuję, czy nie pędzi po schodach na śniadanie... - wyznał ze smutnym uśmiechem, po czym odchrząknął i dodał:

— Cokolwiek cię tu sprowadziło, rad jestem, że cię widzę, Valentine. Chciałbym coś z tobą omówić. Wiem, że zamierzasz wrócić do Hiszpanii...

Val skinął potakująco głową.

— Jestem oczywiście dumny z ciebie... Czasem jednak wołałbym, żebyś nie narażał tak swego życia - powiedział cicho Faringdon.

- Taki już mój zawód, panie hrabio. Muszę z czegoś utrzymać żonę.

- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Kiedy po raz pierwszy przybyłeś do Faringdon Hall i dyskutowaliśmy na temat twojej przyszłości, proponowałem ci między innymi zarządzanie którymś z moich majątków. Przypominasz sobie?

Val skinął głową. Obracał kieliszek w dłoni z oczyma utkwionymi w wirujący bursztynowy płyn. Starał się trzymać uczucia na wodzy.

— Sporządziłem nowy testament, Valentine. Gdyby przepisy prawne na to zezwalały, uczyniłbym cię moim dziedzicem i następcą, przyszłym hrabią Faringdon. Ponieważ to jednak niemożliwe, zadbałem o to, byś odziedziczył po mnie wszystko, co nie zostało

objęte majoratem*. Faringdon przejdzie w ręce mego kuzyna, ale i ty będziesz bogatym człowiekiem.

- Nie chcę pańskich pieniędzy! - odparł sztywno Val.

- Możesz je zawsze rozdać, nieprawdaż? — rzucił hrabia z krzywym uśmiechem. -

Zresztą, trzymam się jeszcze całkiem krzepko, więc nie irytuj się przedwcześnie, Valentine! Na razie chciałbym ci powierzyć mój majątek w Yorkshire. Dochód z niego będziesz mógł wykorzystać na utrzymanie posiadłości w dobrym stanie i na wszelkie ulepszenia, jakich zechcesz dokonać dla dobra swojej rodziny. Ponieważ zaś ten majątek nie jest objęty majoratem, po mojej śmierci będzie należał do ciebie.

Val wzruszył się mimo woli. Do diabła, przecież nie zamierzał zmięknąć! Nie potrzebował żadnych pieniędzy od ojca! Chciał tylko... Sam już nie wiedział, czego chce ani co tutaj robi! Zerwał się raptownie, potrącając kolanem stojący między nimi stół. Brzęknęły tłuczone kieliszki, lśniąca odłamki rozprysły się po całym dywanie.

— Niech to szlag! Najmocniej przepraszam, panie hrabio - wybąkał Val i schyliwszy się, zaczął zbierać szklane okruchy.

— Zostaw to, Valentine. Baynes zaraz się tym zajmie.

Val wyprostował się i spojrzał na ojca. Pragnął nienawidzić go tak jak dawniej, ale już nie potrafił.

- Lepiej by było, gdybym się nigdy o panu nie dowiedział, panie hrabio! - Wykrzyczał to, nim zorientował się, co robi. - Przez całe lata wierzyłem, że zaszła jakaś pomyłka i mój tatuś, sierżant Aston, wróci do domu! Ale potem mama umarła i nie zostało mi już nic... Miałem ołowianego żołnierzyka, wyobrażałem sobie, że to mój tata... - dodał z goryczą. Wrzuciłem go do ognia w kuźni George'a Burtona!

- Tak mi przykro, Valentine... Wiem, że nie zdołam już naprawić przeszłości, ale...

- Niech pan przestanie! Wstyd mi tylko, że się wygadałem! Nie wiem, co mnie napadło... Muszę już iść, bo się spóźnię - rzucił, udając, że nie dostrzega ojcowskiej ręki na swym ramieniu ani milczącej prośby, by jeszcze został.

Po odejściu Vala Charles Faringdon siedział zatopiony w myślach. Usiłował sobie wyobrazić chłopczyka, jakim był niegdyś jego syn. Przyszło mu to bez trudu: ów mały Val objawił mu się właśnie przed chwilą.

— Nie miałaś racji, Sarah — szepnął hrabia. — Twoja duma zagroziła nam drogę do szczęścia... Nie, nie robię ci wyrzutów, kochanie moje... Bóg wie, jak bym sam postąpił na twoim miejscu... Zresztą może jest jeszcze jakaś nadzieja dla mnie i naszego syna? Coś go tu przecież przyciągnęło... Nawet jeśli sam nie wiedział, co to takiego...

Rozdział XXXVII

Val, zmierzając w stronę Whitehall, czuł, że policzki pieką go ze wstydu. Nikt nie wiedział o tym żołnierzyku! Nikt! A teraz, po tylu latach, wygadał się z tym przed ojcem! To wszystko przez Jamesa, niech go diabli! Myślał, że go zna, a tymczasem okazało się, że nic o nim nie wie! Jak mógł się nie domyślić? Przecież z pewnością w Jamesie było coś, co powinno zwrócić jego uwagę! Choć, prawdę powiedziawszy, w tamtych dwóch mężczyznach sprzed lat nie było nic nadzwyczajnego... Gdyby nie plotki, pewnie niczego

by się nie domyślił. Ale cóż ja wtedy wiedziałem o dziwacznych wybrykach ludzkiej namiętności? Dopiero w szkole stanął twarzą w twarz z takimi..., wybrykami. A w wojsku, rzecz jasna, człowiek styka się z różnymi ludźmi: z takimi, którzy mają pociąg do własnej płci, z takimi, którym sprawia rozkosz znęcanie się nad kobietą... Kiedyś nawet znaleźli takiego, co się wieszał w stodole: nie ulegało wątpliwości, że w ten makabryczny sposób szukał rozkoszy! A mimo wszystko pozostałem prostaczkiem i durniem! dumał Val. Niby to znam świat od podszewki, a tymczasem to Charue wiedział więcej niż ja!

Dotarł do Whitehall pięć minut przed godziną, o której miał zjawić się Stanton. Spiesznie wbiegł po schodach. Deyereaux siedział za biurkiem i usłyszawszy kroki Vala, spojrzał na niego ze strachem. Był bardzo blady.

- Wice... ten człowiek, o którym mówiliśmy, powinien się zjawić lada chwila. Może pan zaczeka w gabinecie ministra?

Val skinął głową. Wyznanie Jamesa tak nim wstrząsnęło, że nie myślał o tym, co nastąpi. Zależało mu tylko na tym, żeby się nie spóźnić.

- Można zostawić drzwi lekko uchylone... Wtedy pan wszystko usłyszy, a przecież o to tylko chodzi? - zaproponował nerwowo Deyereaux. - Dowie się pan, kto to taki. Chyba nie zajdzie potrzeba konfrontacji, prawda?

Val bez słowa wślizgnął się do gabinetu. W gruncie rzeczy Deyereaux miał rację. Wystarczy upewnić się, że szantażystą jest rzeczywiście Stanton, i można będzie zawiadomić kapitana Granta. Naczelne dowództwo armii zadecyduje o jego dalszym losie... W tym momencie Val usłyszał, że otwierają się drzwi do sekretariatu. Podniósł się bezszelestnie i czekał z zapartym tchem.

- Chciałeś się ze mną widzieć, Deyereaux?

Valentine odetchnął z ulgą: to był głos Stanton!

— No... tak, wicehrabio — odparł młodzieniec, starając się opanować drżenie głosu.

- A może mi powiesz, w jakim celu?

- Oczywiście... To nic specjalnie ważnego, Lucas... Chciałem cię tylko zapewnić, że jedynym nazwiskiem, jakie im podałem, było nazwisko Wimborne'a.

- Przecież uzgodniliśmy z góry, że nie zdradzisz mego udziału w całej sprawie. Dałeś mi słowo honoru.

- Dałem ci słowo honoru, że nigdy nie wyjawię twego nazwiska.

- A twoja pogawędka z Astonem?

— Miała charakter wyłącznie towarzyski, zapewniam cię!

— Mam nadzieję, że to prawda. Inaczej musiałbym podjąć niezbyt miłe kroki...

Po sekundzie milczenia rozległ się dziwnie piskliwy, przerażony głos Deyereaux:

— Nie rozumiem, czemu mi grozisz, Stanton! Daję ci słowo dżentelmena, że w rozmowie z porucznikiem Astonem twoje nazwisko nie padło ani razu! - Krzesło szurnęło po podłodze; widać sekretarz starał się odsunąć jak najdalej od Stanton. Potem Val usłyszał szcęk odwodzonego kurka i pełen satysfakcji głos Łucasa:

- Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, milordzie?

Najwyższy czas, by ktoś odegrał się na Stantonie za wszystkie jego ofiary! powiedział sobie Val i wyszedł z gabinetu.

- On mówi prawdę, Stanton, więc przestań mu grozić pistoletem. - Val również trzymał w ręku gotową do strzału broń. - Nie mogłem wydobyć od Deyereaux twojego nazwiska, więc go zmusiłem, by wysłał ci to zaproszenie. Deyereaux nie pójdzie pod sąd, nie masz już nad nim żadnej władzy, więc się stąd wynoś!

- Ale cóż będzie z markizem Wimborne? Tego nazwiska nie ukrywałeś chyba przed panem porucznikiem, co, Deyereaux? - spytał z uśmiechem Stanton. - Teraz już wszyscy się dowiedzą!

- O czym? Że James przekazywał informacje Francuzom, czy że ty go szantażowałeś? — O tym, że jest cholernym pedałem, oczywiście!

— Nie przypuszczam, by to wyszło na jaw - odparł z namysłem Val. - Za to bardzo możliwe, że wszyscy się dowiedzą, iż to ty byłeś inicjatorem tej pożałowania godnej intrygi!

- Nie sądzę, Aston - rzeki słodko Lucas. - Władze wcale sobie nie życzą skandalu politycznego, inaczej już by postawiły przed sądem tego młokosa! Ale nie zawahają się potępić publicznie takiej cioty jak James! A moje słowo z pewnością będzie miało w sądzie więcej wagi niż zeznania jakiegoś tam bękarta!

— James postanowił zrzec się stopnia oficerskiego i przenieść na kontynent. I nad nim nie masz już żadnej władzy, Stanton! Za to ja mam dowody przeciwko tobie i dopilnuję, żeby cię zdegradowano! Jestem pewien, że wraz z kapitanem Grantem znajdziemy jakiś wiarygodny pretekst - zakończył z uśmiechem Val.

Stanton wycelował znów pistolet w Deyereaux.

— Przekłęty pleciugo! „Słowo dżentelmena”, co?! Jeśli go zabiję, Aston, nie będziesz miał już żadnego świadka przeciwko mnie!

- Jeśli go zabijesz, będę zmuszony zabić ciebie – zagroził Val. Starł się spojrzeniem dodać otuchy Deyereaux i modlił się w duchu, żeby ten durny młokos się nie poruszył! Lucas wystrzelił tylko o sekundę wcześniej, ale to wystarczyło. Val poczuł ból w boku w tym samym momencie, gdy nacisnął spust. Strzelam lepiej niż on! pomyślał, obserwując jakby z wielkiej odległości padającego Stantona. Bądź co bądź, ja jeszcze stoję! zauważył z ironią, wspierając się o biurko.

- O Boże! Trafił go pan prosto w serce! — zdumiał się Deyereaux.

— Niemożliwe - wyszeptał Val, osuwając się na kolana. — On nie miał serca.

- O mały włos mnie nie zabił!

- Tak, tak... - Val próbował wesprzeć się plecami o bok biurka, przyciskając rękę do piersi. - Ale ze mną mu się chyba udało... - I runął na podłogę.

Przeniesiono go do Faringdon House. Hrabia nadal siedział w bibliotece. Kiedy Baynes otworzył drzwi bez pukania, spojrzał na niego z pewnym zniecierpliwieniem.

- O co chodzi?

- O pańskiego syna, panie hrabio. Pan porucznik został trafiony w pierś!

Hrabia zastygł w fotelu, zupełnie zdezorientowany.

- Wiem, jak zginął Charles - powiedział cicho.
— Nie, nie, panie hrabio! Chodzi o Valentine”a!
Hrabia zerwał się tak raptownie, że fotel się wywrócił.
- Zanieście go na górę, do pokoju gościnnego! - polecił dwóm gwardzistom, strzegącym siedziby rządu, którzy w tej chwili nieśli Vala. — Czy ktoś posłał po doktora?
- Ja, panie hrabio - odparł Deyereaux. — On... on mi ocalił życie — dodał trzęsącym się głosem.
- Za chwilę pójde do niego. Teraz powiedz mi, Deyereaux, jak do tego doszło?
- Książę Wellington i kapitan Grant wysłali porucznika Astona do Londynu z tajną misją. Widzi pan, panie hrabio... przekazywałem wrogom poufne informacje i ostaiem zde maskowany. Porucznik miał za zadanie stwierdzić, czy Wimborne rzeczywiście współdziałał ze mną.
Hrabia miał w głowie kompletny zamęt.
- Mniejsza z tym, Deyereaux... Kto strzelał do Valentine”a?
- Lucas Stanton, panie hrabio. On także był w to zamieszany. Przystawił mi pistolet do głowy... a potem odwrócił się tak nagle do Astona... Nie zdążyłem go powstrzymać!
- Dobrze, już dobrze, chłopcze - powiedział hrabia.
- Czy mogę w czymś pomóc?
- Już zrobiłeś, co trzeba, wezwałeś od razu doktora. I kazałeś przynieść tu mego syna.
- To było pierwsze, co mi przyszło do głowy, panie hrabio...
- Trzeba zawiadomić panią Aston. Czy mógłbyś pojechać do niej i sprowadzić ją tu, Deyereaux? Zaraz każę zaprząć do karety. Williamie - zwrócił się do jednego z lokajów - zaprowadź pana wicehrabiego do biblioteki i podaj brandy.
Zanim hrabia dotarł do pokoju gościnnego, Vala położono już na łóżku. Dwaj gwardziści stali bezradnie obok.
— Williamie, płócienne ręczniki! — warknął hrabia na idącego za nim lokaja. - A wy ściągnijcie mu buty. Tylko ostrożnie!
Mundur Vala był przesiąknięty krwią. Hrabiemu ręce się trzęsły, gdy rozpiął kurtkę.
— Przekłete guziki! — burczał, szamocząc się z nimi. Kiedy udało mu się odpiąć wszystkie, skinął znów na gwardzistów.
— Unieście go i podtrzymajcie, a ja zdejmę mu kurtkę.
Teraz mógł już zobaczyć ranę i serce w nim zamarło. Była co prawda - Bogu dzięki! - poniżej i na lewo od serca, ale znajdowała się niebezpiecznie blisko płuca i krwawiła bardzo obficie.
— Są ręczniki, panie hrabio - zameldował William, podając płócienne płachty.
— Dobrześ się spisał, Williamie. - Faringdon rozdarł koszulę Vala i przyłożywszy płótno do rany, mocno przycisnął je ręką. Val jęknął i próbował się cofnąć, gdyż zabolalo go mocniej, ale ojciec go przytrzymał. - No, no, wiem, że boli jak diabli, ale muszę zatamować krwotok.
Doktor zjawił się kwadrans później, choć hrabiemu wydawało się, że minęły długie godziny.

- Proszę usiąść na chwilę, panie hrabio, a ja tymczasem obejrzę rannego - zaproponował łagodnie. - Widzę, że znakomicie pan sobie poradził. Najgorsze krwawienie ustało. Hrabia odsunął się i obserwował, jak lekarz ogląda ranę.

- Pomóż mi go podnieść! - zwrócił się do lokaja.

— Nie, nie! Lepiej ja pomogę — powiedział hrabia. — I tak już jestem zakrwawiony.

- O, ładny, czysty wylot kuli! Nie będę musiał sondować rany. Kula przeszła przez całe ciało, właśnie dlatego krwawi jak zarzynane prosię. - Położył ją z powrotem. - Szczęściarz z niego, panie hrabio: kula ominęła i serce, i płuco!

- Więc będzie żył? - szepnął hrabia.

- Cóż, zawsze istnieje obawa zakażenia — zastrzegł się doktor.

— Będzie miał najtroskliwszą opiekę.

- Nie wątpię, panie hrabio. To ktoś, kogo pan hrabia dobrze zna, prawda?

- Nie znam go dobrze - odparł hrabia ze smutnym uśmiechem - ale to mój syn.

- Pierwsze czterdzieści osiem godzin to okres krytyczny. Jeśli nie wda się zakażenie, wkrótce potem rana zacznie się goić.

Elspeth zjawiała się w chwili, gdy doktor wychodził.

- To pani Aston, doktorze - powiedział hrabia.

- Co z nim? - spytała Elspeth, z trudem panując nad gębą.

— Proszę się nie obawiać, łaskawa pani. Mówiłem właśnie panu hrabiemu, że pani mąż powinien niebawem wyzdrowieć.

— Gdzie on jest, Charlesie?

- Chodź, drogie dziecko. Zaprowadzę cię do niego. - Hrabia skinął głową medykowi i wzięwszy Elspeth za rękę, poprowadził ją na górę.

Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w yalę. Potem hrabia przysunął jej fotel.

- Siadaj, drogie dziecko. - Elspeth usiadła i wyciągnąwszy rękę, delikatnie nakryła nią leżącą na kółdrze rękę Vala. - Najdroższy... - szepnęła z taką miłością i z takim bólem w głosie, że oczy hrabiego napełniły się łzami. - Jak to się stało? — spytała, nie odwracając wzroku od męża.

- Nie bardzo mogłem się połapać w tym, co mówił mi Deyereaux. Wiem tylko, że winę za wszystko ponosi Lucas Stanton.

- Zabiję go! - szepnęła gwałtownie Elspeth.

- Z tego, co mówił ten młodzieniec, wnoszę, że Stanton już nie żyje.

- Znakomicie!

Zawziętość w głosie Elspeth sprawiła, że hrabia uśmiechnął się przelotnie.

- Deyereaux wspominał też o Jamesie. Czy wiesz coś na ten temat, Elspeth?

— To długa historia, Charlesie, i nie znam jej dokładnie. Ale Val odkrył, że Stanton szantażował Jamesa i zmusił go do przekazywania pewnych informacji Francuzom. Val nie mógł uwierzyć, że Jamie mógłby być do tego zdolny! Dla niego wszystko jest albo

czarne, albo .białe... Być może, gdyby nie stracił tak wcześnie matki... O ile wiem, uważał ją zawsze za chodzącą doskonałość... a ciebie za niegodziwca.

- A co z tobą? Jak ty wyglądasz w jego oczach, drogie dziecko? - spytał hrabia łagodnie.

— Byliśmy najpierw przyjaciółmi, Charlesie... Potem Val uznał, że musi się ze mną ożenić. Miałam nadzieję, że może z czasem rozkwitnie między nami miłość,.. Ale teraz obawiam się, że nie zdąży... - dokończyła przez łzy.

- Nie mów głupstw, drogie dziecko! Doktor zapatruje się na sprawę bardzo optymistycznie.

Następnego dnia gorączka gwałtownie wzrosła. Wezwany doktor potrząsał tylko głową.

— Może się jeszcze z tego wygrzebie, łaskawa pani. To przecież młody, zdrowy człowiek.

- Był tak straszliwie zmęczony, gdy wyjeżdżaliśmy z Portugalii! — załamywała ręce Elspeth po odejściu doktora. — A w dodatku śmierć Charliego i ta historia z Jamesem... Skąd on ma brać siły?

— Ty z pewnością stracisz je do reszty, jeśli się nie prześpisz, drogie dziecko — ostrzegł ją hrabia. - Teraz ja trochę przy nim posiedzę.

Ale mimo najszczerzych chęci Elspeth nie mogła zasnąć i wróciła, by wraz z hrabią czuwać przy chorym.

Jak ciężko było patrzeć na miotającego się w gorączce Vala! Czuć, że jego czoło płonie coraz silniej, dotykać rąk, wyschniętych i bez życia... Jeżeli umrze? Nie, nie pozwoli mu umrzeć! Ale jeśli jednak umrze? Nie będzie mogła mu powiedzieć, że go kocha...

Po całym dniu gwałtownych drgawek i majaczeń w językach angielskim, hiszpańskim i portugalskim nastąpiło coś jeszcze gorszego - Val leżał teraz bez ruchu, oddychał z trudem i tak płytko, że pierś prawie się nie poruszała.

— Na pewno wkrótce nastąpi przesilenie, Charlesie! - powiedziała Elspeth, podnosząc głowę, i spojrzawszy w oczy hrabiego, ujrzała w nich rozpacz, będącą odbiciem jej własnej. Dobry Boże... utracić w ciągu kilku miesięcy obu synów? On przecież tego nie wytrzyma!

— Jesteś kompletnie wyczerpany, Charlesie. Może się położysz?

Hrabia przesunął dłonią po oczach i skinał głową.

- Zawołasz mnie, gdyby zaszły jakieś zmiany?

- Natychmiast! - zapewniła go.

Charles Faringdon wszedł do swojej sypialni, spojrział na łóżko i roześmiał się niewesoło. Jakże mógłby się położyć,

tym bardziej zasnąć, kiedy Val umiera? Rozsunął story i popatrzył na ogród. W tej godzinie przed świtem miało się wrażenie, że słońce nigdy już nie zaświeci, że śmierć zatriumfuje nad życiem.

— O, Sarah! — szepnął złamanym głosem hrabia. — Jeśli tam, gdzie jesteś, możesz mnie usłyszeć, pomóż naszemu synowi!

To doprawdy śmieszne rozmawiać ze zmarłą, spodziewać się, że go usłyszy... Ale przecież robił to od lat... Charles pochylał głowę w rozpacz. Tak się kochali! Ale ostatecznie cóż

tym niezwykłego? Potem Sarah umarła i miłość umarła razem z nią... A teraz, tego jeszcze ranka, umrze ich syn — jedyny żywy dowód ich miłości. Charles był tego pewny.

Rozdział XXXVIII

Val zapadał się w ciemność. Był sam, choć od czasu do czasu słyszał, że ktoś go woła. Elspeth? Ale nie było jej przy nim. Ciągłe posuwał się naprzód, nie miał innego wyjścia: coś pchało go nieubłaganie przez mrok i mgłę.

I nagle jakby ktoś uniósł zasłonę przed jego oczyma. Znowu widział! Szedł ku niemu Charlie, wysoki i krzepki, i uśmiechał się na powitanie. Val pragnął się zatrzymać, chwycić brata w objęcia, ale w tej dziwnej krainie między dwoma światami musiał posuwać się naprzód.

A potem zobaczył ją... Za jej plecami jaśniało oślepiające światło i w pierwszej chwili nie był pewien, czy się nie pomylił. Gdy jednak zbliżyła się ku niemu, przekonał się, że to jego matka. Była ubrana tak zwyczajnie: w starą suknię, którą wkładała do pracy w ogrodzie. Wydała mu się taka bliska i droga... I taka maleńka! Val aż się uśmiechnął, widząc, że musiała podnieść głowę, by spojrzeć na niego.

- To ty, mamó? - szepnął.

Nie odpowiedziała. Widać tutaj - nieważne, gdzie się znajdowali! - słowa nie były potrzebne. Patrzyła tylko na niego z durną i miłością. Łzy spływały Valowi po policzkach, gdy dotarło do niego jej bezgłośnie przesłanie. W tym momencie uświadomił sobie, że przez całe życie pragnął, by mogła go zobaczyć, by mogła być dumna z tego, co w życiu osiągnął.

Gdzie my jesteśmy? zastanawiał się i rozejrzał dokoła, jakby spodziewał się ujrzeć przelatującego anioła.

Mama uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć:

- Nie ma tu aniołów ani niebiańskich chórów, jest tylko Światło.

- Oślepia mnie! — pożalił się matce, nie mogąc w żaden sposób spojrzeć prosto w Światło, z którego się wynurzyła, którego była częścią.

— Bo nie jesteś jeszcze gotowy, żeby w nie wejść.

- Nie mogę znowu się z tobą rozstać! - protestował.

— Nie ma rozstania tam, gdzie jest miłość, Val.

Przemawiała bez słów, prosto do jego serca. Powiedziała mu właśnie to, co tak bardzo pragnął usłyszeć: że wszystko, co uczyniła, wynikało z miłości; że zrobiła to, co uważała za najlepsze dla nich obojga. Opuściła jego ojca, bo go kochała. A jeśli, kierując się uczuciem, popełniała omyłki, to dlatego, że ludzka miłość jest niedoskonała i ograniczona.

— Pamiętasz, Val: „Gdy byłem dzieckiem...”*

Niemal słyszał jej głos, odczytujący te słowa małemu chłopcu. Bardzo lubił, gdy mu czytała ciekawe historie z Biblii, ale tego tekstu — choć słyszał go wielokrotnie i z ust matki, i z kazalnicy - nigdy dotąd w pełni nie rozumiał.

- „Gdy byłem dzieckiem... - powtórzył - myślałem jak dziecko”. Zawahał się, a potem wyznał: — Uważałem cię za ofiarę, a ojca za potwora... „Kiedy zaś stałem się mężem...”

W jednej chwili ujrzał całe swoje życie i przekonał się, jak wszystko było ze sobą powiązane. Gdyby jego rodzice nie rozstali się, Charlie nigdy by się nie urodził. Jakże ubogie byłoby życie bez Charliego! Jedno wynikało z drugiego spotkanie z Charliem zaprowadziło go do szkoły... Stamtąd trafił do wojska... I tak wszystko wiodło go ku Elspeth. Ku miłości.

- „Teraz zaś zobaczymy twarzą w twarz...”- szepnął. Zrozumiał wreszcie, że dotychczas jego durna i poczucie ciężającej na nim hańby zniekształcały obraz, który oglądał w swoim zwierciadle. Widział w nim człowieka niegodnego miłości, człowieka, który w nikim nie potrafi jej wzbudzić. Człowieka lękającego się miłości, którą tak łatwo było utracić... Postać matki przeobrażała się z sekundy na sekundę. To widział wyraźnie ukochaną istotę, to roztopiała się w różnobarwną tęczę... I znów pojawiała się przed nim... Siła, która dotąd przyciągała go ku niej i ku Światłu, wyraźnie słabła. I oto na jego oczach matka po raz ostatni rozjaśniła się setką barw. Pozostało już tylko jasne Światło, którego była maleńką cząsteczką... A potem Val zapadł się znów w ciemność.

Przesilenie nastąpiło tuż przed świtem. Elspeth śledziła każdy mozolny oddech męża. Miała wrażenie, że jego skóra zaraz zajmie się płomieniem, była taka rozpalona i sucha... Trzymała go za rękę, powtarzając bez końca: „Kocham cię, Val, kocham cię”, jakby ta litania mogła do niego dotrzeć, gdziekolwiek teraz był, i sprowadzić go z powrotem.

Nagle Elspeth poczuła, że ręka, którą ścisza, staje się wilgotna. Podniosła oczy na twarz męża.

— Charlesie!

Hrabia uniósł głowę.

— Chyba gorączka wreszcie się przesiliła. — Elspeth dotknęła drżącą ręką czoła Vala. Było nadal gorące, ale również wilgotne od potu.

— Otul go jeszcze cieplej, Elspeth — polecił jej teść.

Oboje przykryli Vala całym stosem kołder i patrzyli na dokonujący się na ich oczach cud. Oddech Vala nie był już tak przerywany, ledwie dotąd wyczuwalny puls stał się silniejszy. Hrabia i jego synowa spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się. Charles w obawie, że całkiem się rozklei, wstał i mamrocząc: - Każę sprowadzić doktora,.. - wyszedł, zostawiając Elspeth sam na sam z mężem. Pochylając się ku Valowi, przy- cisnęła wargi do jego czoła.

- Najdroższy, znów jesteś z nami!...

W pierwszych dniach po owym przesileniu Val spał niemal bez przerwy, otwierając oczy tylko na kilka sekund. Widział wówczas albo Elspeth, albo swego ojca, którzy czuwali nad nim. Val chciał do nich przemówić, ale nie miał siły nawet się uśmiechnąć.

Potem chwile przytomności stawały się coraz częstsze i coraz dłuższe. Nie miał siły jeść samodzielnie, ale był świadom, że karmią go kleikiem. Początkowo za każdym razem szeptał wówczas „dziękuję” do Elspeth lub ojca, pod koniec tygodnia jednak wydobrał na tyle, że odepchnął podsuwaną łyżkę i szeptem, lecz dobitnie, zażądał „czegoś mniej paskudnego”.

Oczy Elspeth wezbrały łzami radości, gdy po raz pierwszy pozwolił sobie na takie grymasy.

— Doktor uważa, że powinieneś być na ścisłej diecie jeszcze przez dzień lub dwa. Kiedy odzyskasz trochę sił, przyjdzie pora na bulion — wyjaśniła mężowi.

— Jak mam odzyskać siły, kiedy mnie karmicie tą breją?! — narzekał, usiłując się podnieść.

Leż spokojnie, Val! Porozmawiam z doktorem, może zmieni zdanie — obiecała Elspeth. Przez tydzień Valentine był słaby jak kocię, potem jednak poczuł, że wraca mu energia. Po upływie dwóch tygodni siadał już w fotelu, a nawet spacerował po pokoju, wsparty na ramieniu lokaja. Rana goiła się błyskawicznie. Ilekroć doktor odwiedzał ozdrowieńca, uśmiechał się, po-
trząsał głową i powtarzał:

- Zdumiewające, panie poruczniku! Jak szybko regeneruje się młody organizm! No, ale miał pan najlepszą w świecie opiekę!

Val dobrze o tym wiedział. Musiałby być ślepy, by nie dostrzec troski i miłości na twarzach Elspeth i ojca. Cho

ciaż jednak ciało Vala odzyskiwało siły, jego duch przebywał jakby w zawieszeniu między dwoma światami. Nie powrócił jeszcze całkiem z krainy, w której przebywał.

Pewnego ranka, trzy tygodnie po wypadku, Val siedział w niewielkim ogrodzie, położonym z boku domu. Dzień był słoneczny, tym miłszy, że wiał lekki wietrzyk, przesycony zapachem róż. Val dostrzegł, że dalsza część ogrodu to rosarium. Wstał i podszedł powoli do różanych krzewów, by upajać się z bliska wonią i obfitością szkarłatnego kwiecia.

- To były ulubione kwiaty twojej matki - usłyszał za sobą głos ojca.

Val drgnął, zafascynowany widokiem i zapachem róż nie usłyszał zbliżających się kroków.

— Pamiętam. Mam jeszcze jeden taki kwiat. Zasuszyłem go w biblii, którą dostałem od niej.

- A ja poszarpałem na strzępy różę, którą mi dała... Taki byłem zrozpaczony, że każe mi od siebie odejść! - wyznał ojciec z bolesnym uśmiechem.

Val wrócił na ogrodową ławkę. Ojciec usiadł obok niego. Patrząc na wydeptaną ścieżkę i ścierając czubkiem buta zielony, aksamitny mech, który wyrósł pomiędzy okalającymi ją ceglami, powiedział cicho:

- Błagałem ją, by za mnie wyszła.

- Czemuś mi o tym nie powiedział?

- Chyba nigdy mi nie dałeś szansy, Valentine - odparł ojciec i uśmiechnął się do syna.

- Chyba nie... - przyznał Val.

- Może powinienem był ją zmusić, by za mnie wyszła - ciągnął dalej hrabia. - Ale taka była silna i uparta! Ogromnie mi ją przypominasz, synu - stwierdził i uśmiechnął się raz jeszcze.

- Czy nigdy nie zapragnąłeś zobaczyć jej... albo mnie?

- Pragnąłem tego nieustannie. Ale musiałem obiecać Sarah, że będę się trzymał od was z daleka. Nie chciała pozbawić niczego Helen ani dzieci, które mogły się nam urodzić...

- Hrabia milczał przez chwilę. - Kiedy umarła... Cóż, Charue był już wtedy na świecie, a nasze małżeństwo z jego matką dobrze się ułożyło. Sądziłem, że siostra Sarah zaopiekuje się tobą jak należy, więc uznałem, że będzie lepiej, jeśli ograniczę się do przesyłania w dalszym ciągu pieniędzy... Nie miałem pojęcia, jakim człowiekiem był George Burton Przysięgam ci, Val...

- Nie warto się tym przejmować... — powiedział całkiem szczerze Val. Bez względu na to, czy jego rodzice podejmowali słuszne decyzje, czy popełniali błędy — co się stało, to się nie odstanie. Miał ciężkie życie, to prawda, ale niej edne mu bywało jeszcze trudniej.

Hrabia sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął sygnet Charliego. Odwrócił się do syna i powiedział drżącym głosem:

— Chcę, żebyś to wziął, Valentine. Charlie także by sobie tego życzył. Nie mogę zapewnić ci Faringdon ani tytułu, ale to mogę ci dać. Proszę, weź...

Val zawahał się, ale po chwili wziął pierścień i wsunął na palec.

- Dziękuję... ojczy - wyrzekł z trudem.

Siedzieli obaj w milczeniu, przyglądając się, jak wiatr kołysze różami, a w powietrzu unoszą się szkarłatne płatki. Przyjdzie jeszcze pora na dalsze serdeczne rozmowy. Teraz wystarczało im, że siedzą tak, radując się wspólnie słońcem, różami i niewidzialną obecnością tej, którą obaj kochali.

Tego samego dnia po kolacji, podczas której niewiele mówili, Val poszedł za Elspeth na górę. Gdy chciała otworzyć drzwi swej sypialni, położył rękę na jej dłoni.

- Kazałem przenieść moje rzeczy do twojego pokoju, Elspeth - powiedział cicho. - Pozwolisz, że za chwilę przyjdę do ciebie?

Elspeth wyczuła niepewność w głosie męża i zarumieniwszy się lekko, skinęła potakująco głową.

Siedziała na brzegu łóżka w nocnej koszuli, kiedy wszedł.

- Brakowało mi twojej bliskości - wyznał, zamykając za sobą drzwi. - Choć obawiam się, że dziś zaśniemy tylko obok siebie - dodał z uśmiechem. Usiadł przy niej na łóżku i delikatnie zaczął rozplatać jej włosy.

- Dopiero co zaplotłam warkocze, Val - protestowała bez przekonania.

- Tak bardzo lubię, gdy masz rozpuszczone włosy, Elspeth... — mówił, przeczesując je palcami. Drugą ręką uniósł koldrę i okrył nią żonę. Gdy przytulili się do siebie, Val poczuł przypływ pożądania, był jednak zbyt osłabiony. Leżeli więc spokojnie i w końcu oboje usnęli.

Obudzili się późno. Kiedy Val otworzył oczy, przez szczelinę w zasłonach wpadało do pokoju słońce. Wtulił twarz w zagłębienie między szyją a ramieniem Elspeth i zbudził ją pocałunkami.

- Och, Val! - szepnęła, odwracając się do niego. — Tak się bałam, że cię stracę...

Ucałował ją delikatnie w czoło.

- Nie mógłbym cię opuścić, Elspeth. Za bardzo cię kocham.

— A ja ciebie, Val!

— Wiem o tym od dawna, kochanie. - Zamilkli na chwilę, a potem powiedział z wahaniem: - Kiedy byłem taki chory... Wydawało mi się, że umarłem.

— Naprawdę omal nie umarłeś, Val.

- Ujrzałem moją matkę. Zupełnie jakby czekała na mnie. Nic do mnie nie mówiła, ale rozumiałem wszystko, co mi chciała przekazać. Nie potrafię tego wytłumaczyć... — powiedział bezradnie. — Pojąłem jednak, że miłość zawsze nas otacza i łączy wszystkich. Wystarczy tylko dopuścić ją do siebie. - Zamknął oczy, a gdy je po chwili otworzył, Elspeth ujrzała, że są pełne łez. — Zawsze myślałem, że miłość trzeba samemu zagarniać, ale dzięki tobie zrozumiałem, że można się też jej poddawać... Ty mnie nauczyłaś dawać i brać, moje najdroższe kochanie.

Elspeth wyciągnęła rękę i powiodła palcem po jego policzku. Potem zaczęła całować go w usta, najpierw delikatnie, potem coraz namiętniej... Val zanurzył ręce w jej włosach i przyciągnął ją do siebie.

— Może lepiej nie? — zawahała się Elspeth. — Jesteś jeszcze słaby...

- Ale nie aż tak! — zapewnił Val i pokierował jej dłonią tak, by wyczuła, jak bardzo jest pobudzony. Chciał raptownie zmienić pozycję, ale żona popchnęła go lekko na poduszki.

- Nie, Val, naprawdę nie powinienes... - szepnęła.

— Nawet z twoją pomocą? - spytał z nieśmiałym uśmiechem.

Elspeth usiadła i ściągnęła koszulę przez głowę. Val leżał bez ruchu, wpatrując się w żonę. Położyła rękę na jego piersi i delikatnie dotknęła świeżo zagojonej rany.

- Na pewno ci nie zaszkodzi, Val?

Kiedy skinął głową i objął ją, odprężyła się i z łobuzerskim uśmiechem siadła na nim, upominając:

— Ty sobie tylko leż, a ja spróbuję, co potrafię! Z początku całowała go tylko łagodnie w usta, ale osunęła się niżej i wtuliła mu twarz pod pachę.

Lubię twój zapach... - szepnęła i znowu zmieniając pozycję, zaczęła muskać leniwie językiem jego pierś, a jednocześnie ocierała się o niego. Val jęknął.

— Sprawiałam ci ból? — spytała i już się chciała podnieść.

— Nie taki jak myślisz - szepnął i przyciągnął ją z powrotem. Czuł, jak jest pobudzona, i pomyślał, że chyba umrze z rozkoszy.

- Nie mogę już dłużej czekać... — szepnął.

Elspeth uniosła się nieco i delikatnie pokierowała nim tak, że się w niej zanurzył. Przez chwilę radowała się tylko jego obecnością w sobie, potem zaś zaczęła się znowu poruszać, najpierw powoli, potem szybciej i szybciej, aż wyprężył się, unosząc ku niej biodra. Gdy był już o krok od szczytu, doprowadził i ją pieśczętą do ekstazy. Elspeth odrzuciła głowę w tył. Czuła, że wznosi się coraz wyżej i wyżej... i tam znów spotkała się z nim. Przyłgnęła do Vala, płacząc i krzycząc w jego ramionach, gdy razem osiągnęli spełnienie.

Val leżał, głaszcząc ją po włosach i szepcząc czułe słowa. Jego Elspeth miała w sobie tyle siły, a jednak z własnej woli odktyła przed nim całą swą bezbronność, ukazała mu siebie pełni... On zaś zaakceptował swoją słabość, pozwolił, by opuściła go z trudem zdobywana przez całe życie umiejętność panowania nad sobą. Dziś to Elspeth

pokierowała nim tak, jak to on zwykle czynił w stosunku do kobiety - a jednak zaznał najwyższej rozkoszy, otwierając się na miłość żony i darząc ją nawzajem swoją miłością. Elspeth spowodowała, że rozwarły się w jego wnętrzu wszystkie zatrzasknięte dotąd drzwi, i dotarła do głębi jego duszy.

- O Boże... Jak ja cię kocham, Elspeth - szepnął.

Elspeth podniosła głowę. Patrzył jej prosto w oczy i widziała, że nie istnieje już nic, co chciałby ukryć, nic, co nie należałoby również do niej.

- Nigdy nawet nie marzyłam o takim szczęściu, kochanie moje — szepnęła. Potem osunęła się na postanie i przytuliwszy się mocno do pleców męża, objęła go ramieniem pasie. Val nakrył dłonią jej rękę i oboje zasnęli.

Rozdział XXXIX

W okresie rekonwalescencji wszelkie myśli o Stantonie i Jamesie całkiem ulotniły się Valowi z głowy, ale powróciwszy całkiem do zdrowia, pewnego ranka przy śniadaniu zagadnął ojca:

- Czy w gazetach było coś na temat Stantona? Albo Jamesa?

— Zapewne za sprawą Whitehall rozeszła się wieść, że Stanton został zastrzelony podczas kłótni w jakiejś karcianej speluncie - odparł hrabia z ironicznym uśmiechem. - Gdyby prawda wyszła na jaw, wybuchnąłby gigantyczny skandal, a tego ci panowie boją się jak ognia!

—A James?

- Nikt nie kojarzy jego nazwiska z tą sprawę.

- Bogu dzięki! - westchnęła Elspeth.

- Słyszałem jednak, że teraz, gdy lady Madeline już się zaręczyła, jej brat postanowił zrezygnować z kariery wojskowej i udać się na dłuższy czas do Włoch. Ta decyzja wywołała pewne poruszenie. „Czy to patriotycznie: przecież wojna trwa nadal!” „Może to i rozsądniej, że markiz, głowa rodu, nie ryzykuje życia”. - Mówiąc to, hrabia tak doskonale parodiował miny i ton plotkarzy, że Val musiał się uśmiechnąć.

— Czy sądzisz, że postąpiłem słusznie, Charlesie? — Mimo pamiętnej chwili w ogrodzie Valowi jakoś niezręcznie było zwracać się do hrabiego „ojcze”. Obaj byli przecież dorośli... Łatwiej mu przychodziło mówienie mu po imieniu. Hrabia nie miał synowi tego wcale za złe, zwłaszcza że w rozmowie z innymi Val zawsze mówił o nim „mój ojciec”. Przyjaźń ich rosła z każdym dniem.

- Nie sądzę, by z unurzania w błocie Jamesa i całej jego rodziny mogło wynikać coś dobrego, Val.

- W czasie twojej choroby James wielokrotnie odwiedzał nas, dopytując się o twoje zdrowie. Maddie mówi, że brat wyjeżdża już za dwa dni - powiedziała Elspeth.

Valentine wiedział, że żona nigdy nie będzie mu czynić wyrzutów, ale z jej oczu wyczytał, jak bardzo pragnęła, by pożegnał się i pojednał ze swym dawnym przyjacielem. Miała słuszność, ale Val nie był pewien, czy zdobędzie się na to.

Wyznania Jamesa połączyły się w umyśle Valentine'a z wypadkami w Whitehall, a ból spowodowany zdradą przyjaciela zlał się w jedno z cierpieniem zadany mu przez

Lucasa. Val nie zdążył przemyśleć tego, co mu powiedział James, teraz zaś, gdy usiłował sobie przypomnieć ich rozmowę, pamiętał tylko, że czuł wówczas upokorzenie z powodu własnej głupoty, zażenowanie i coś na kształt odrazy.

Ojciec wybrał się z Elspeth na przechadzkę po parku, stało się to ich codziennym zwyczajem. Val siedział nadal przy stole nad filiżanką wystygłej herbaty. Jeśli dziś nie pójdzie do Jamesa, nie spotkają się zapewne przez wiele lat.

Przed miesiącem był wobec przyjaciela sztywny i zimny.

Ale czuł się wtedy tak głupio! Jak mógł zdobyć się w stosunku do Jamesa na serdeczność, gdy wiedział już, kim on jest?

No dobrze, ale kimże on jest, u licha?! zadał sobie w duchu pytanie. Co się w nim zmieniło? Przecież jest nadal inteligentny, uroczy i serdeczny! Poważnie traktuje swe obowiązki. Ile się natrudził, by ocalić rodzinę od ruiny!

Tak, ale swym postępowaniem narażał ją na jeszcze większą hańbę, dyskutował Val z samym sobą. James był walecznym żołnierzem i oficerem, do którego wszyscy mieli zaufanie... A on tego zaufania haniebnie nadużył! Trzeba jednak przyznać, że znalazł się w położeniu bez wyjścia... Musiał płacić Stantonowi, bo inaczej rodzina, którą ocalił, nie podniosłaby się nigdy po nowym ciosie. A jaki byłby los lady Madeline, gdyby jej brat został napiętnowany jako sodomita?

Może dlatego nie potrafię mu wybaczyć, że sam czuję się oszukany? Czemu James nie zaufała mi na tyle, żeby się zwierzyć? Przecież nawet Chanie o tym wiedział! Na litość boską, Jamesie, czyżbyś sądził, że się od ciebie odwrócę?...

A nie odwróciłeś się?! No nie, byłem zaskoczony, i to wszystko... I przestraszony. trzeba przyznać... bo jeśli James był rym, czym był, to jak można określić to, co czuł do mnie? Albo ja do niego?

Val siedział, tocząc ze sobą rozpaczliwą walkę. I nagle odpowiedź na jego pytanie nasunęła się sama: James miał po prostu dla niego takie samo serdeczne przywiązanie, jakie i on żywił w stosunku do wszystkich swoich przyjaciół! James kochał Vala dokładnie tak samo jak Chaniego. I dokładnie tak, jak on, Val, kochał Jamesa! Dlaczego to wszystko miałoby teraz ulec zmianie?!

Valentine przypominał sobie, jak wspólnie spacerowali po wrzosowiskach wokół szkoły i jak James pomagał mu w łacinie. Ani razu podczas ich kontaktów nie wyszedł poza granice zwykłej przyjaźni. A gdyby nawet kryło się za tym coś jeszcze, to z pewnością nie zamierzał ciebie tym gorszyć! powiedział sobie Val z ironicznym uśmiechem.

Stanowczym ruchem odsunął krzesło i zawołał, by przyniesiono mu jego czako. Pójdzie pożegnać się z przyjacielem!

Gdy Val zjawił się w miejskiej rezydencji markiza, poinformowano go, że wyszedł, ale niebawem wróci. Majordomus zaprowadził gościa do małego salonu. Valentine krążył po pokoju, aż wreszcie usłyszał, że drzwi się otwierają. Odwrócił się i ujrzał stojącego w progu Jamesa.

- Val... - powiedział cicho James i zamknąwszy drzwi za sobą, ruszył w stronę przyjaciela z wyciągniętą ręką. Zatrzymał się jednak w pół drogi i gestem wskazał gościowi miejsce

na kanapie. — Siadaj, proszę! Bardzo zeszczuplałeś, ale mam nadzieję, że poza tym wróciłeś już całkiem do formy?

— Czuję się wyśmienicie, choć nie nadaję się jeszcze do wypełniania nowych zleceń Colquhouna Granta. Na to przyjdzie pora za kilka tygodni.

— A więc wracasz do Hiszpanii? Myślałem, że teraz, kiedy ojciec cię uznał, pożegnasz się z armią.

— Oboje z Elspeth jesteśmy tego samego zdania: zżyliśmy się z wojskiem do tego stopnia, że nie ma mowy o tym, by je teraz porzucać. A co będzie po wojnie? To już całkiem inna sprawa. Mój ojciec przekazał mi jeden ze swych majątków w Yorkshire. Będzie więc do czego wracać. Od wielu lat moim jedynym domem był obóz wojskowy - powiedział cicho Val.

Przez kilka minut panowała niezręczna cisza, którą w końcu przerwał Val.

— Elspeth i ojciec mówili mi, że dowiadywałeś się o mnie niemal codziennie podczas mojej choroby. Jestem ci bardzo wdzięczny, Jamesie, ale nie rozumiem, czemu nie zjawiłeś się ani razu, odkąd wyzdrowiałem?

- Nie przypuszczałem, byś chciał się ze mną zobaczyć - odparł po prostu James.

- Być może sprawiłoby mi to pewną trudność, choć wstyd się do tego przyznać.

James rzucił mu spojrzenie pełne bólu i spuściwszy wzrok, powiedział:

- Nie mam do ciebie żalu, Val. Gdyby nie to, że Stanton mnie szantażował, nie znalazłbyś się jedną nogą na tamtym świecie! Słyszałem, że miałeś cholerne szczęście, żeś się wyliżał! — dodał ze ściśniętym gardłem.

— Rzeczywiście miałeś szczęście! Kiedy byłem o włos od śmierci... Nie potrafię ci tego opisać, ale wtedy właśnie uświadomiłem sobie, jak wiele zostało mi dane: mam pełną miłości żonę, po latach odnalazłem także ojca...

— A więc nareszcie doszliście do porozumienia z Charlesem! — odezwał się James, spoglądając na Vala ze smutnym uśmiechem. - Rad jestem, że z tej ponurej sprawy wynikło coś dobrego!

— Przerwałeś mi wyliczanie moich skarbów, Jamesie — zauważył wesoło Val. - A zamierzałem ci właśnie powiedzieć, że jednym z nich była dla mnie przez te wszystkie lata twoja przyjaźń.

James siedział bez ruchu. Nie mogąc znieść panującego między nimi napięcia, Val wstał i podszedł do okna. Dzień zapowiadał się ciepły i słoneczny, ale teraz niebo zasnuły szare chmury, a pierwsze wielkie krople deszczu były już w okno i spływały po szybie. Val odwrócił się do przyjaciela.

- To, co zrobiłeś, było złe; popełniłeś zdradę. Rozumiem jednak, że zostałeś do tego zmuszony... I nie wiem, czy sam postąpiłbym lepiej w podobnych... okolicznościach - zająknął się.

- A jeśli chodzi o te „okoliczności”, Val? Co o tym myślisz?

- Nie będę udawał, że łatwo mi to zrozumieć. Prawdę mówiąc, chyba w ogóle tego nie rozumiem. Ale myślałem nad tym długo i gdybym miał drugi raz wybierać, to i teraz wybrałbym ciebie na przyjaciela. Odkryłem, że o wiele ważniejsze jest dla mnie to, kim jesteś, niż to, kogo kochasz. Ty przecież zaakceptowałeś mnie, bękarta, bez żadnych zastrzeżeń. Jakże bym mógł nie odplacić ci tym samym?

James milczał, więc Val odwrócił się i powiedział:

- No, na mnie już czas.

James wstał i obaj podeszli do drzwi.

— Cieszę się, że przyszedłeś, Val — powiedział cicho Wimborne. - Jutro wyjeżdżam.

Val spojrział na niego.

- Cholera jasna! Czemu znów muszę stracić kogoś, kogo kocham?! - wykrztusił.

- Włochy nie leżą na końcu świata! I będę przecież do ciebie pisał. A może za kilka lat, gdy wojna się skończy, uda mi się wrócić choćby na krótko do kraju? Wtedy odwiedzę w Yorkshire ciebie, Elspeth i wasze dzieci... i znów pospacerujemy sobie po wrzosowiskach jak niegdyś w Deyon - dodał z serdecznym uśmiechem i wyciągnął rękę.

Tym razem Val uściskał gorąco przyjaciela.

- Muszę już iść - powiedział.

- Uważaj na siebie w Hiszpanii, Val! — poprosił James, kładąc mu rękę na ramieniu, zanim otworzył drzwi. Val niemal wybiegł, a Wimborne podeszedł do okna i zapatrzył się w prawdziwie angielską ulewę. Po chwili nie widział już nic

- może z powodu deszczu, może skutkiem łez?

Dwa tygodnie po wyjeździe Jamesa Val i Elspeth wyruszyli z powrotem do Portugalii.

Tym razem podróż trwała dłużej, gdyż wiały przeciwne wiatry. Mieli jednak ładną pogodę i pobyt na statku stał się dla nich pogodnym interludium między dramatycznymi wydarzeniami ostatnich dwóch miesięcy a wszelkimi trudami i wyzwaniem, jakim mieli stawić czoło w Hiszpanii. Każdego wieczora przechadzali się ręką w rękę po pokładzie i patrzyli w gwiazdy. Potem wracali do kajuty — czasem żeby się kochać, czasem by po prostu przytulić się do siebie i usnąć.

Droga przez Portugalię do Hiszpanii była męcząca, ale niczym nie zakłócona. Jednak niepokój Vala rósł, w miarę jak zbliżali się do obozu Wellingtona.

- Co ja powiem twoim rodzicom, Elspeth?! - spytał ją pewnego wieczora, gdy siedzieli przy ognisku.

- Prawdę, mój miły odkryliśmy, że się kochamy, i postanowiliśmy nie zwlekać ze ślubem.

- Nie całkiem tak było, moja pani żono, dobrze o tym wiesz! Odkryliśmy, że się nawzajem kochamy, po ślubie!

— Ale przecież pokochaliśmy się, Val, o wiele wcześniej!

— Oczywiście, najmilsza — przyznał, całując ją.

— A kiedy właściwie zakochałeś się we mnie, Val?

- Myślę, że pokochałem cię od pierwszego wejrzenia... Ale uświadomiłem to sobie wtedy, gdy składałaś przysięgę małżeńską w imieniu Mags. Byłaś taka piękna... jak szkarłatna róża z pieśni Burnsa, którą twój ojciec tak lubi śpiewać... Słuchałem ciebie i nagle zrozumiałem, jak bardzo pragnę, byś złożyła tę przysięgę właśnie mnie...

- Nie obawiaj się moich rodziców, Val. Zawsze chcieli dla mnie tylko tego, żebym była w małżeństwie równie szczęśliwa jak oni. Nigdy nie przypuszczałam, że tak się stanie... szepnęła e zdumieniem.

Val objął ją ramionami i zaczął nucić melodię, która prześladowała go od czasu, kiedy usłyszał ją po raz pierwszy.

- To piękna pieśń, Elspeth.

— Tak, ale słowa są jeszcze piękniejsze, Vał.

- Chciałbym zawsze być przy tobie - powiedział. - Choć pewnie będziemy musieli się rozstać, i to nie raz, nim się skończy ta krwawa wojna. Ale zawsze „wrócę, choćby nas dzieliło tysiąc mil...” Gdyby to było nawet dziesięć tysięcy mil, wrócę do mojej róży... do mojej ślicznej, malutkiej dziewczuszki! - powiedział, przygarniając ją jeszcze mocniej. Elspeth zaśmiała się cicho. A choć ognisko już przygasło, ogrzewała ich wzajemna miłość, która miała w nich płonąć przez resztę wspólnego życia.

KONIEC KSIĄŻKI.